

ELIZABETH THORNTON

# Ucieczka

## Prolog

Richard Maitland nie chciał jeszcze odchodzić z tego świata, choć, w gruncie rzeczy, nie miał w tej kwestii wiele do powiedzenia. Otaczała go gęstniejąca mgła. A więc tak to jest, kiedy się umiera, myślał. Czuł, że jego ciało chce się poddać, miał ochotę zasnąć. Dlaczego więc walczył?

Ponieważ wiedział, że godzin jest lepszej śmierci, i nie chciał, by zabójca lub zabójcy pozostali bezkarni. Musiał przyznać, że sprytnie go podeszli; zresztą sam włożył im w ręce. Jest samotnym wilkiem - to właśnie, zdaniem Harpera, jego największa wada. Teraz wreszcie musiał przyznać Harperowi rację. Jak na

prawdziwego samotnika przystało, nikomu nic nie mówił o tej wyprawie. Uznał, że skoro sprawa nie jest związana z zadaniami Służb Specjalnych, nie musi informować o niej znajomych i kolegów z pracy. Dlatego nie wiedzą, gdzie się teraz znajduje. Poza tym przyjaciele zapewne nie uwierzyliby w to, co się wydarzyło, a gdyby nawet uwierzyli, to i tak nie mieliby pojęcia, kto go zaatakował.

Sam tego nie wiedział.

Kto pragnął jego śmierci?

Wybuchnął śmiechem, który jednak zaraz zamienił się w suchy, dławiący kaszel, więc przycisnął dłonie do piersi, by zdusić nagłe bolesne kłucie. W swoim czasie dorobił się wielu wrogów. Żołnierz, agent, szef Służb Specjalnych - człowiek na jego stanowisku przyciąga wrogów, niczym rozkładające się ciało ściąga muchy.

Po tej myśli przyszła następna, tak samo przerażająca. Lucy.

Ciemna mgła przeredziła się, umysł wypełnił pulsujący strach. Lucy. Gdzie ona jest? Co z nią zrobili? Przypomniawszy sobie chłopca...

Czuł krew. Powietrze było nią przesiąknięte. Krwią Lucy, a także jego krwią. Musi otworzyć oczy, musi się rozejrzeć.

Uniósł powieki, choć miał wrażenie, że nim mu się to udało, minęła wieczność. Zawirowało mu przed oczami. Kształty przybliżały się i oddalały. Ściągnął brwi, próbując wyostrzyć wzrok. Wpatrywał się w łóżko i leżące na nim na wpół nagie ciało młodej kobiety. Lucy.

Chciał krzyknąć, sprzeciwić się, ale nie miał sił. Myślał, że płuca mu pękają. To nie powinno było się zdarzyć. Cóż ona zawiniła oprócz tego, że go znała? W tej groteskowej sztuce była tylko rekwizytem. Tylko tym była dla zabójców, rekwizytem, a prawdziwym celem ataku był przecież on.

Wszystko wróciło: czekający na niego na szczycie schodów chłopiec; zbir, który zaatakował go nożem, a potem rzucił na krzesło i zostawił samego, aby wykrwawił się na śmierć. Pomiedzy palcami dłoni przyciśniętej do piersi poczuł coś ciepłego i lepkiego. Spojrzał w dół. Na koszuli pojawiła się duża i ciągle rosnąca szkarłatna plama. Jeśli szybko czegoś nie zrobi, wkrótce będzie za późno.

Nie był w stanie się podnieść, więc zsunął się na podłogę, na kolana, jedną ręką mocno uciskając pierś, żeby zatamować krwawienie. Wraz z oprzytomnieniem wróciła też niestety wrażliwość zmysłów. W piersi czuł straszliwy ból, jakby go

ktoś dźgał rozgrzanym do czerwoności prętem. Nie zwracając uwagi na dudnienie w głowie, przesuwał się na kolanach, centymetr po centymetrze, do skraju łóżka.

Oparł się o nie wolną ręką i odnalazł pistolet, który wpadł między materac a ramę. Miał bardzo mało sił i choć wiedział, że to może oznaczać jego koniec, odjął dłoń od piersi i pochwycił pistolet w obie ręce, oparty o łóżko, wycelował w okno, a potem pociągnął za spust.

Huk wystrzału odbił się echem od ścian. Piętro niżej ludzie zaczęli krzyżeć, usłyszał też dudnienie stóp na schodach. Nie wiedział, czy wezwał pomoc, czy morderców. Zresztą w tym momencie było mu to dość obojętne.

Mgła stawała się coraz gęstsza, pokonując jego wolę walki i odbierając siły, aż wreszcie wessała go niczym czarna chmura.

## 1

- Michaelu, dlaczego chcesz się ze mną ożenić?

Natychmiast pożałowała, że zadała to pytanie. Wiedziała przecież, że mu odmówi. A teraz musi udąć, że interesuje ją odpowiedź.

- Książę - poprawił ją automatycznie. - Ponieważ, lady Rosamundo, uważam, że będzie z ciebie doskonała księżna.

Doskonała księżna. Ta nazwa ją prześladowe. Tak nazywają ją w gazetach, odkąd książę małego państewka Kolnbourg uczynił ją obiektem swojego zainteresowania. Najbardziej przygnębiał ją fakt, że prawdopodobnie istotnie byłaby doskonałą księżną.

Jest przecież córką księcia. Wychowała się w luksusie. Od dnia urodzin uczono ją wszystkiego, co powinna wiedzieć i umieć dama, wszystkiego, czego wymaga się od żony dżentelmena z jej sfery. Nigdy nie chodziła do szkoły, nigdy

w nikim się nie kochała, nie całowała się z chłopcami ani nie przeżywała innych przygód dostępnych zwyczajnym dziewczętom w jej wieku.

Gdyby urodziła się chłopcem, jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Miała dwóch braci, starszego Caspara i trzy lata od niej młodszego Justina. Jakiż oni wiedli ekscytujący żywot.

Podróże, wojaczka, a także inne zajęcia, o których nie powinna wiedzieć... *La contessa*, tak wszyscy nazywają ostatnią kochankę Caspara, ekskluzywną kurtyzanę o temperamentie tygrysicy.

Uśmiech znikł z twarzy Rosamundy. Kobieta z tak wielkim temperamentem nie mogłaby być córka księcia, natomiast Rosamundę wychowano na osobę uprzejmą, doskonale znającą zasady protokołu, o nieskazitelnym manierach. Zawsze wiedziała, które miejsce przy stole ma zająć, komu się uklonić, a komu nie. Była mistrzynią pogawędki towarzyskiej, oprócz chwil, gdy odpływała gdzieś myślami, tak jak teraz, i zapominała, gdzie się znajduje. Gdyby miała opisać siebie jednym słowem, użyłaby określenia... słodka.

Słodka. To słowo tkwiło jej w umyśle od czasu balu u lady Townsend, gdzie podsłuchiwała kilka młodszych kobiet opisujących jej charakter. Chyba nikt nie mógłby jej nie lubić, powiedziała któraś, bo jest słodka jak marcepan. I roześmiały się.

O matce Rosamundy nikt by tak nie powiedział. Elizabeth Devere miała zdecydowanie zbyt mało cierpliwości, zwłaszcza gdy w grę wchodziły więzy, jakie nakładała na nią wysoka pozycja, poza tym nie widziała powodu, aby ulegać im służalczo. Skończyło się to dla niej tragicznie. Ignorując zasady, wybrała się samotnie na konną przejażdżkę i przy skoku przez płot spadła z konia. Sam upadek by jej nie zabił, ale niestety odnaleziono ją dopiero następnego dnia. Dostała gorączki i cicho zeszła z tego świata.

Może gdyby Elizabeth nadal żyła, jej mąż, ojciec Rosamundy, owładnięty żalem, nie wychowywałby córki tak surowo. Poza tym gdyby matka żyła, Rosamunda z pewnością nie czułaby się teraz taka niespokojna.

Elizabeth Devere zmarła przed dwudziestu laty, jednak Rosamunda nadal za nią tęskniła. Zastanawiała się, co matka pomyślałaby o niej, gdyby ją teraz zobaczyła.

- Lady Rosamundo?

Och, znowu to samo. Znowu zapomniała, gdzie jest.

Spojrzała na księcia Michaela i westchnęła, myśląc przy tym, że naprawdę coś jest z nią nie tak. Książę Michael to wysoki, ciemnowłosy i przystojny mężczyzna. Jest posiadaczem tytułu i całe legiony kobiet próbowały zaciągnąć go do ołtarza. Dlaczego więc ten wymarzony mężczyzna wcale jej nie pociąga?

Może dlatego, że ona także jest wysoka, ciemnowłosa, piękna oraz utytułowana. Na dodatek jest majątna, no i niegłupia. Nie trzeba zresztą wiele inteligencji, by zrozumieć, że właśnie z tych powodów książę Michael postanowił się do niej zalecać. Tymczasem ona w przyszłym miesiącu skończy dwadzieścia siedem lat i ojciec bardzo pragnie, by przyjęła wreszcie oświadczyzny któregoś z zalotników.

Rosamunda jednak marzyła o kochanku, a nie zalotniku, o mężczyźnie, który pokochałby ją za to, jaka jest naprawdę. Z doświadczenia wiedziała, że zalotnicy są jak księgowi - przed rozpoczęciem zalotów robią spis aktywów.

Michael, książę Michael, bez wątpienia zalicza się do grona zalotników. Jest dopiero czwarty w kolejce do tronu i nie ma grosza przy duszy - tragiczny zbieg okoliczności, zważywszy na jego wyrafinowane gusta. Małżeństwo z Rosamundą rozwiązałoby wszystkie jego problemy.

Znajdowali się w ciepłarni w Twickenham House, posiadłości księcia położonej niedaleko Londynu. Rosamunda, by stworzyć odpowiedni nastrój, przez chwilę wyglądała przez okno. Jesień w rozkwicie upstrzyła drzewa tysiącem barw.

- Jestem Angielką - rzekła wreszcie. - Nigdy nie będę szczęśliwa, żyjąc na obcej ziemi.

Spojrzała przez ramię i stwierdziła, że książę spogląda na zegarek. Najwyraźniej nudziła go tak samo, jak on ją. Nie była zaskoczona: lady Rosamunda Devere jest przecież klasyczną nudziarą. Jako córka księcia była wychowywana na kobietę przede wszystkim słodką. Słodką jak marcepan. No i taką właśnie żonę chciał mieć książę Michael.

Doskonała księżna, słodziutka i uprzejma, na którą można liczyć, wiedząc, że nigdy nie popełni błędu, nie powie nic zdrożnego i żadna oryginalna myśl nie wpadnie jej do głowy.

Niezrażony książę Michael wsunął zegarek do wewnętrznej kieszeni i posłał jej zachęcający uśmiech.

- Nie mam nic przeciwko temu, byś po naszym ślubie została w Anglii - stwierdził. - Może nawet sam zdecyduję się tu zamieszkać na stałe. Podoba mi się

tutejszy klimat.

Tak jak tutejsze aktoreczki, pomyślała Rosamunda, ale tego nie powinna przecież wiedzieć. Teraz ona posłała księciu zachęcający uśmiech.

- To kuszące, ale...

- Tak?

- No cóż, Wasza Wysokość, nie potrafisz grać w szachy. Widzisz, księżę, nigdy nie wyszłabym za kogoś, kto nie gra w szachy.

Lady Calliope Tracey z hukiem odstawiła filiżankę.

- Szachy? - powtórzyła. - Co z tym wszystkim mają wspólnego szachy?

Rosamunda popatrzyła na przyjaciółkę znad krawędzi filiżanki.

Zeszłego wieczoru pojawiła się w Clendon, gdzie zazwyczaj się zatrzymywała, gdy odwiedzała miasto w celu poczynienia zakupów lub gdy chciała uciec przed gniewem ojca. Księżę nie był zachwycony, kiedy mu powiedziała, że odrzuciła oświadczyzny księcia Michaela. Nastąpiła awantura, jeśli można tak nazwać to, że ktoś wrzeszczy i rzuca się na innych. Nawet braciom się dostało. Wyszło na to, że księżę wychował trójkę niewdzięczników. Żadne jeszcze nie wstąpiło w związek małżeński, co groziło wymarciem rodu. I co wtedy?

Rosamunda i bracia jak zawsze spokojnie wysłuchali ojca, po czym uciekli do zajęć, które im odpowiadały. Justin do uganiania się za spódniczkami, przejażdżkami powozem, pojedynkami, hazardem lub szwendaniem się z przyjaciółmi. Caspara interesowała wyłącznie la contessa. Córka księcia nie miała właściwie dokąd uciec, ale zawsze mogła liczyć na swoją jedyną przyjaciółkę, która chętnie wysłuchiwała jej zwierzeń. Tak więc Rosamunda znalazła się w jadalni w domu Callie przy Manchester Square.

To, że Rosamunda przyjaźniła się tylko z jedną osobą, wynikało właśnie z jej pozycji, z faktu, że jest córką księcia. Wprawdzie miała całe legiony znajomych

obojga płci, ale nie byli to przyjaciele. Ludzie bali się jej i jej statusu i przez to traktowali ją tak unieżenie, że najczęściej chciało jej się wyć z wściekłości. Nigdy się jej nie sprzeciwiali i akceptowali wszystko, co zaproponowała. To było takie nudne.

Callie należała do wyjątków. Jej ojciec, wdowiec, służył u księcia jako kamerdyner. Pojawił się wraz z córką w zamku Devere, głównej posiadłości księcia Romsey, niedługo po tragicznej śmierci matki Rosamundy. Dziewczynki znały się więc od dzieciństwa. Razem też się kształciły, ale nie w szkole, tylko pod kierunkiem guwernantek Rosamundy. Taki układ pasował zarówno księciu, jak i jego kamerdynerowi, którego w innym wypadku nie byłoby stać na tak kosztowne kształcenie córki. Księżę też był zadowolony, ponieważ Rosamunda miała dzięki temu towarzystwo.

Choć na początku założono, że obie dziewczynki będą traktowane jednakowo, w rzeczywistości było inaczej: Callie zawsze miała więcej swobody niż Rosamunda.

Potem Callie wyszła za mąż i wyprowadziła się z zamku, dla Rosamundy zaś nastał czas przyzwoitek, w większości starych panien. Dopiero jakieś dwa miesiące temu księżę wreszcie ustąpił i zgodził się przyjąć na towarzyszkę córki osobę w jej wieku, pannę Prudence Dryden. Jednakże jej obecność nie odmieniła życia Rosamundy tak, jak ta tego pragnęła. Panna Dryden była osobą zamkniętą, podobnie jak Rosamunda, więc obie panie, choć uprzejme dla siebie, były sobie w gruncie rzeczy obce.

- Ros? - Callie walnęła otwartą dłonią w blat stołu, by przywołać przyjaciółkę do rzeczywistości. - Halo? Halo?

Rosamunda zamrugnęła.

- Co?

- Dokąd odpływasz, kiedy na twojej twarzy pojawia się ten wyraz zadumy? O czym myślisz?

- Myślałam o tym, że zwykle dziewczęta mają łatwiejsze życie i więcej możliwości. Mogą robić to, na co mają ochotę, i chodzić tam, gdzie chcą. Chociażby ty.

Callie roześmiała się.

- Gadasz głupstwa - sarknęła. - Smutna prawda brzmi tak, że żadnej kobiecie nie jest lekko. Już od urodzenia jesteśmy przywiązane do jakiegoś mężczyzny,

najpierw do ojca, a potem do męża lub brata. Dopiero kiedy kobieta zostaje wdową, staje się prawdziwie wolna. Powinnaś pójść za moim przykładem.

Rosamunda uśmiechnęła się. Callie nieustannie żartuje, że życie dla kobiety zaczyna się dopiero wtedy, gdy owdowieje, co zresztą w jej przypadku było prawdą. Po śmierci męża tyrana, który, spity na umór, udusił się własnymi wymiocinami, Callie zamieszkała z jego bratem przy Manchester Square, gdzie odnalazła swoje prawdziwe powołanie - zarządzanie domostwem Charlesa Traceya. Okazała się wspaniałą gospodynią, zabawną i gościnną. Wszyscy chcieli być zapraszani na urządzone przez nią przyjęcia i ją także wszędzie zapraszano. Nie brakowało jej też kochanków.

Zdaniem Rosamundy, Callie należała do kobiet, które bardzo podobają się mężczyznom. Zwłaszcza jej duże orzechowe oczy i ciemnokasztanowe włosy, które w naturalny sposób kręciły się i okalały jej twarz. Poza tym była tak drobna i zgrabna jak porcelanowa figurka. Nie zdarzyło się, by Callie wychodziła z powozu bez asysty jakiegoś mężczyzny, by sama niosła pudło na kapelusze albo podniosła chusteczkę, która jej upadła. Oczywiście nie liczyła na te uprzejmości. Mężczyźni po prostu pragnęli jej usługiwać, sądząc, że jest taka delikatna i bezbronna. Nic bardziej mylnego.

Co prawda mężczyźni z taką samą uprzejmością traktowali Rosamundę, ale tylko dlatego, że chcieli przypodobać się jej ojcu. Jedyne chwile, gdy czuła się w miarę drobna, zdarzały się w obecności ojca i braci. No i w obecności Prudence, ponieważ przyzwoitka była tego samego wzrostu co ona.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytała Callie.

- Myślałam o księciu Michaelu. Jedyne jego zaleta, że jest ode mnie wyższy.

- Nadal mi nie wytłumaczyłaś, o co chodzi z tymi szachami. Co odpowiedział na twoją uwagę, że nigdy nie wyjdiesz za mężczyznę, który nie gra w szachy?

- Nie za tego, który nie gra w szachy, tylko który nie potrafi w nie grać. To różnica. A co mógł powiedzieć? Widzisz, wygrałam z nim partię. Gdyby nie spoglądał na zegarek, potraktowałabym go łagodniej. Ale ponieważ był taki arogancki, więc ja też byłam w stosunku do niego obcesowa. - Widząc pytające spojrzenie przyjaciółki, Rosamunda pospieszyła z dalszymi wyjaśnieniami: - On gra w szachy. Uważa się wręcz za eksperta. Ale dałam mu do zrozumienia, że nie jest dla mnie odpowiedni.

- A potem co się stało?



- Podskoczył na równe nogi i wybiegł z pokoju jak wystrzelony z procy.

Callie przez chwilę wpatrywała się z niedowierzaniem w przyjaciółkę, aż wreszcie wybuchnęła śmiechem. Po chwili powiedziała:

- Wy, szachiści, jesteście naprawdę dziwnymi ludźmi. Nigdy nie miałam do tej gry cierpliwości.

- Tak, pamiętam.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której Callie ponownie napełniła filiżanki. Nie patrząc na Rosamundę, rzekła:

- Cała ta rozmowa o zwykłych dziewczynach zdaje się wskazywać na to, że w końcu zaczniesz się zastanawiać nad posiadaniem własnego domu.

- Rzeczywiście o tym myślałam, ale nie wiem, co by mi z tego przyszło. Nie przeprowadzę się bez ojca i braci, a nawet gdybym to zrobiła, odwiedzałyby mnie tak często, że w zasadzie nie byłoby żadnej różnicy.

Callie westchnęła.

- Zapewne masz rację. Twój ojciec i bracia są zbyt opiekuńczy. Gdyby byli moimi krewnymi, chyba bym zastrzeliła ich albo siebie. Na szczęście moi krewni płci męskiej wiedzą, że muszą trzymać się ode mnie na dystans, oprócz Charlesa, oczywiście, ale on jest taki kochany. Nigdy nie żałowałam tego, że zgodziłam się z nim zamieszkać.

Rosamunda wcale w to nie wątpiła. Oprócz Charlesa z Callie pod jednym dachem mieszkała jeszcze jej niezamężna ciotka, Frances, ale to Callie praktycznie prowadziła dom. Wyglądało też na to, że rządziła także Charlesem, który, zdaniem księcia, dobrze by zrobił, gdyby o wiele częściej potrafił się zdobyć na mocne tupnięcie nogą.

Callie nagle zapytała:

- Gdzie jest twoja opiekunka, panna... jak jej tam?

- Panna Dryden - rzekła Rosamunda, nieco poirytowana faktem, że przez całe dwa miesiące Callie nie zadała sobie trudu, aby zapamiętać imię jej przyzwoitki. - Przeziębła się i leży w łóżku.

- Jestem zaskoczona, że ojciec pozwolił ci podróżować samej. - Callie dopiła herbatę i odstawiła filiżankę na spodek. - Choć z panny Dryden tak naprawdę żadna opiekunka. Jest taka mdła.

- Powściągliwa - poprawiła ją gniewnie Rosamunda. - Panna Dryden jest powściągliwa, a nie mdła. A ja wcale nie podróżuję sama. Przyjechałam powozem papy z pełną asystą, jest woźnica i forysie, wszyscy uzbrojeni po zęby. A teraz, gdy siedzę tutaj, ty możesz być moją opiekunką.

Callie oparła brodę na złączonych dłoniach.

- Wiesz, Ros - zaczęła - na twoim miejscu wyszłabym za męża. Nie, nie, posłuchaj mnie do końca. To mogłoby być idealne rozwiązanie. Może pospieszyłaś się z odrzuceniem księcia Michaela. To, co o nim słyszałam, pozwala przypuszczać, że byłby z niego idealny mąż. - Oczy Callie rozbłysły rozbawieniem. - Ożeniłby się z tobą i od razu by o tobie zapomniał. Mogłabyś wtedy chodzić wszędzie, gdzie byś chciała. Żadnych zakazów. Czegóż więcej może pragnąć kobieta?

- A co z wymarzoną mężczyzną? - odparła sucho Rosamunda.

- Wymarzoną mężczyzną? - Callie roześmiała się. - Ros, taki ktoś nie istnieje. Gdyby tak było, już byś go spotkała.

- Chwileczkę! Jeszcze nie jestem starą panną.

Callie oparła się o krzesło i uważnie przyjrzała się zagniewanej twarzy przyjaciółki. W końcu rzekła:

- Zamieniam się w słuch. Opisz mi tę romantyczną postać, która może uczynić to, czego nie udało się dokonać nikomu innemu, czyli zaprowadzić cię do ołtarza.

Rosamunda spojrzała w dół na fusy w filiżance, jakby była wróżką. Pojedynczy listek wypłynął na wierzch. Palcem wskazującym pchnęła go w dół, ale po chwili znowu wypłynął.

- Do diaska - syknęła. - Nie mogę się go pozbyć.

- Kogo? - zapytała Callie z rozbawieniem.

- Ciemnowłosego, wysokiego i przystojnego.

- No, mam nadzieję, że jest wysoki. Kobieta tańcząca z partnerem sięgającym jej do brody to okropnie śmieszny widok. Co jeszcze?

Rosamunda z uwagą odstawiała filiżankę i uśmiechnęła się słodko.

- No więc - zaczęła - byłby dokładnie taki jak ty, Callie, wiesz, odważny,

czasami niemal arogancki. Nie musiałabym się zastanawiać, co naprawdę myśli, ponieważ mówiłby mi wszystko prosto z mostu. Nie traktowałby mnie jak córki księcia. Nie obchodziłby go mój majątek. Sprzeciwiałby mi się na każdym kroku. Nie starałby się przypodobać mojemu ojcu i braciom i gdyby go zezłościł, kazałby im iść do diabła. I...

- I?

- I przy grze w karty lub szachy nie obrażałby się tylko dlatego, że pokonała go kobieta.

Callie wybuchnęła śmiechem.

- Zdaje się, że naprawdę mówisz poważnie.

- O tak. Ale ponieważ ten mężczyzna jeszcze się nie pojawił, muszę zadowolić się twoim towarzystwem. Więc powiedz mi, co zamierzasz dzisiaj robić.

Callie poprawiła zapięcie złotej bransoletki.

- Obawiam się, że przez godzinę lub dwie będziesz musiała zająć się sama sobą. Jestem umówiona i nie mogę się spóźnić. - Podniosła wzrok i uśmiechnęła się. - Zabrałabym cię, ale twój ojciec wpadłby w szał, gdyby się o tym dowiedział.

Rosamunda poczuła przyływ irytacji.

- Wydawało mi się, że lepiej znasz mojego ojca. Szczeka groźniej, niż gryzie. Gdybym przejmowała się jego wybuchami, przyjąłabym przecież oświadczyzny księcia, nieprawdaż? Pozwól więc, że sama się będę martwiła o ojca, i powiedz, dokąd idziemy.

Callie potrząsnęła głową.

- Nie. Poważnie mówiąc, sędzę, że nie jest to miejsce, w którym dobrze byś się czuła.

- Pozwól, że ja to osądzę.

- Dobrze. Wybieram się do Newgate.

- Newgate? Tego Newgate?

- Tak. Do więzienia.

Rosamunda natychmiast zobaczyła oczyma wyobraźni przerażającą scenę egzekucji. Spojrzała ostro na przyjaciółkę. To typowe dla Callie. Od dawna

uchodzi za osobę oryginalną, kogoś, kto wejdzie w pakt z diabłem dla samego dreszczyku podniecenia. Między innymi dlatego ma takie powodzenie, że zna mnóstwo szokujących historyjek, którymi zdumiewa słuchaczy. Callie na pewno nie jest nudna. Bywa na balach maskowych, o których damy nie powinny nawet wiedzieć. Leciąca balonem. Ale publiczna egzekucja? Tego już za wiele.

Delikatne brwi Callie uniosły się.

- Nie wiem, co ci chodzi po głowie, ale jestem pewna, że się mylisz. To akt litości.

Wstała, podeszła do komody, wzięła gazetę i podała Rosamundzie.

- Strona tytułowa, Richard Maitland - powiedziała. - Rozprawa ciągnęła się przez cały tydzień. Musiałaś o niej słyszeć. Uznano go za winnego i skazano na powieszenie.

Rosamunda zerknęła na gazetę.

- Czy to nie on zamordował pokojówkę w gospodzie George i Dragon? Chyba była jego kochanką?

Callie pokręciła głową.

- Maitland zaprzecza, że była jego kochanką. Utrzymuje, że się tylko przyjaźnili. Jej ojciec służył pod jego dowództwem w Hiszpanii, a po jego śmierci dziewczyna poprosiła Maitlanda o pomoc. Powiedział, że kiedy wszedł do pokoju, była już martwa i że wtedy zaatakował go jeden z zabójców.

- Zabójców?

- Chłopiec i jakiś mężczyzna. Nie czytałaś gazet?

- Czytałam, ale nie pamiętam szczegółów.

Callie westchnęła z irytacją.

- W spisku brał udział jakiś chłopiec. Zwabił Maitlanda do pokoju panny Rider, gdzie za drzwiami krył się prawdziwy zabójca.

- Myślałam, że to była zbrodnia w afekcie. Czy nie tak twierdził prokurator? Chciała go zostawić dla innego. Tak mówią świadkowie.

Callie jeszcze raz westchnęła.

- O tak, świadkowie, jeśli można barmankę i sprzątaczkę nazwać

wiarygodnymi świadkami.

Czasami, tak jak teraz, Callie potrafiła być ogromnie irytująca. Gdy się przy czymś uprze, przywoła cokolwiek, co tylko potwierdzi jej punkt widzenia. Rosamunda czytała w gazetach o rozprawie, ale niezbyt uważnie, ponieważ bardziej interesowały ją wzmianki dotyczące jej zaręczyn z księciem. Pamiętała jednak, że Richard Maitland jest bez wątpienia winny.

- Barmanki i sprzątaczkki - powtórzyła. - Tacy ludzie są równie godni szacunku jak inni, a poza tym ława przysięgłych im uwierzyła.

- Ha! W tej zgrai nie było nic szacownego. Wystarczyło na nich popatrzeć. Tak, byłam na rozprawie. Nie przepuściłam ani jednego dnia.

Rosamunda wcale nie była zdziwiona tą informacją. Wiele pań uchodzących za nowoczesne, zwłaszcza tych odważniejszych, często uczestniczyło w podobnych wydarzeniach, a przecież Callie jest odważna jak mało kto.

- Dlaczego świadkowie mieliby kłamać? - zapytała po chwili zastanowienia.

- Może ktoś ich przekupił. A może boją się ujawnić prawdę. Maitland mówił, że ma groźnych wrogów.

Rosamunda pokręciła głową.

- Co? - zaciekawiała się Callie.

- Dlaczego wierzysz, że ten człowiek jest niewinny?

- Bo jest oficerem i dżentelmenem. Zajmował wysokie stanowisko w Służbach Specjalnych. Był szefem personelu. Wierzę mu bardziej niż barmankom i sprzątaczkom. I zamierzam mu to powiedzieć prosto w oczy. Och, nie patrz na mnie z takim przerażeniem. Będzie zakuty w kajdanki. Nic nam nie grozi.

Rosamunda za mało znała całą sprawę, żeby się spierać, a poza tym wiedziała, że kiedy Callie jest do czegoś przekonana, nic tego nie zmieni.

- Jakim nam? - zapytała.

- Och, ja i ciotka Fran. A na miejscu spotkamy się z Charlesem. Sama więc widzisz, że będę miała dobrą obstawę.

Rosamundzie przyszło nagle na myśl, że chyba po raz pierwszy chciałaby, aby Charles wreszcie mocno tupnął nogą, choć bratowa i tak zapewne by go nie posłuchała.

Callie przez chwilę przyglądała się przyjaciółce, po czym lekko westchnęła.

- Posłuchaj, Ros - rzekła. - Po prostu żal mi tego człowieka. Opuścili go wszyscy przyjaciele. Chcę, żeby wiedział, że ktoś w niego wierzy. Zamierzam mu urządzić królewskie pożegnanie, szampan, pieczona kaczką, trufle, i tym podobne rzeczy. Nie rób takiej przestraszanej miny. Może nie zgodzić się na widzenie ze mną. Wtedy po prostu zostawię mu ten koszyk z jedzeniem.

Nastąpiła chwila ciszy, ale zaraz Callie przerwała ją pytaniem:

- A może poznałaś Maitlanda, kiedy byłaś w Lizbonie?

- A Maitland był w Lizbonie?

- Spędził tam całą kampanię hiszpańską. Jego akta z czasów wojny są krystalicznie czyste. Pisali o tym w gazetach.

- Nie, nigdy go nie spotkałam. Ale to nic dziwnego. Byliśmy z ojcem gośćmi ambasadora. Spotykałam tylko żołnierzy wysokich rangą.

Callie podniosła się.

- Jeśli przed wyjściem chcesz się odświeżyć, pokój lawendowy jest wolny. Spotkamy się tu znowu za jakieś pół godziny. Jeśli nie zechcesz ze mną iść, nie obrażę się. Wiem, jak nieprzyjemny potrafi być twój ojciec, kiedy zapominasz, że jesteś córką księcia. Czuj się tu jak u siebie. Wracamy za godzinę.

Rosamunda rozparła się w krzesło, czego nigdy by uczyniła w obecności kogokolwiek innego. Przyszło jej do głowy, że Callie często budzi w niej uczucie przekory. Spojrzała na gazetę. Po chwili sięgnęła po nią i potrząsnęła tak mocno, że o mało jej nie podarła. Widniała na niej data 28 sierpnia 1816 roku. Zaczęła czytać.

*Maitland winny! Skazany na powieszenie!*

*Pułkownik Richard Maitland, szef personelu Służb Specjalnych, został dzisiaj uznany przez sąd przy Old Bailey za winnego zamordowania panny Lucielle Rider. Spodziewano się, że ława przysięgłych potraktuje oskarżonego łagodniej ze względu na jego zasługi z okresu wojny, ale żadna taka propozycja nie została sądowi przedłożona. Przed wygłoszeniem wyroku sędzia Robarts stwierdził, że zbrodnia była wyjątkowo brutalna oraz że zbrodnie dokonane w afekcie nie powinny być w cywilizowanym kraju tolerowane. Następnie ogłosił wyrok śmierci.*

*Wyraz twarzy Maitlanda przez cały czas przewodu pozostawał niezmienny, a przy wygłaszaniu wyroku na sali sądowej panowała niczym*

*niezmacona cisza. Pułkownika Maitlanda, i który od początku twierdził, że jest niewinny, wyprowadzono z sali skutego łańcuchami.*

*Przed gmachem sadu stało wiele osób. Publika przyjęła werdykt z wielką satysfakcją. Przeważała opinia, że nikt nie jest poza prawem i człowiek z taką pozycją jak Maitland, który przysięgał bronić prawa, powinien być tym surowiej ukarany. Ludzie wyrażali współczucie dla ofiary, pokojówki z hotelu, w którym popełniono zbrodnię. Do wyroku doszło głównie dzięki zeznaniom znajomych panny Rider. Choć Maitland twierdził, że z ofiarą nie łączyły go żadne bliskie relacje, zeznania świadków, utrzymujących co innego, podważyły jego obronę.*

*Wysoki urzędnik Służb Specjalnych, który pragnie pozostać anonimowy, twierdzi, że pułkownik jest człowiekiem ogromnie skrytym i że rządził swoim wydziałem żelazną ręką. Zapytany o plotki na temat brutalnych i nietypowych metod pracy Maitlanda, urzędnik ów odmówił wszelkiego komentarza.*

*Wykonanie wyroku ustalono na dzień 30 sierpnia na ósmą rano poza więzieniem Newgate.*

Rosamunda jeszcze raz przeczytała artykuł, po czym odłożyła gazetę. Ani jedno słowo nie wzbudziło jej sympatii dla Richarda Maitlanda. Wielu żołnierzy może się poszczycić wspaniałym przebiegiem służby, ale to nie jest usprawiedliwienie dla morderstwa. O Maitlandzie nie wypowiadali się pozytywnie nawet jego koledzy z pracy.

Przypomniała sobie, że oskarżony w trakcie obrony twierdził, iż cała sprawa jest wyreżyserowana przez jego wrogów. W rzeczywistości celem był on, a nie panna Rider. Zabili ją, chcąc, by zbrodnia, wyglądająca na morderstwo dokonane w afekcie, obciążyla Maitlanda, a nie ich. Potem mordercy zaatakowali także jego i zostawili, by wykrwawił się na śmierć. Niestety, prokurator wezwał biegłego lekarza, który orzekł, iż rana Maitlanda jest powierzchowna i nie zagraża jego życiu. Oskarżyciel stwierdził, że Maitland zadał ją sobie sam, aby przekonać sąd o swojej niewinności. Nóż wyrzucił przez okno, ale go znaleziono, dzięki czemu oszustwo się wydało.

Na myśl o tym, że egzekucja skazanego ma odbyć się, następnego dnia rano, Rosamunda wstrząsnął dreszcz współczucia. Akt litości...

Gdyby ojciec wiedział, że zamierza wybrać się do Newgate, stanowczo by jej tego zabronił. Z drugiej strony ma już swoje lata, a życie przechodzi jej obok nosa.

Długo siedziała i rozmyślała, co ma zrobić. W końcu, po podjęciu decyzji, wstała i poszła do lawendowego pokoju.

## *Rozdział 2*

Wiele by można mówić o prawie angielskim, lecz jedno trzeba stwierdzić z całą pewnością: działa szybko, pomyślał Richard Maitland. Wystarczył tydzień na oskarżenie go o morderstwo, przeprowadzenie rozprawy i skazanie na powieszenie. Co nastąpi jutro. Nawet nie miał czasu zaplanować ucieczki.

Rozciągnął się na twardej pryczy i przeniósł wzrok ku okratowanemu okienku usytuowanemu wysoko w ścianie, za wysoko, by przez nie wyrzeć. Trzy piętra niżej znajdowała się sala odwiedzin, ale przez zamknięte okienko do celi nie docierał żaden dźwięk. Nic nie widać, nie słysząc, mało powietrza i w dodatku, do diaska, mało światła. Człowiekowi zamkniętemu w takiej celi nie pozostaje nic innego, jak tylko zastanawiać się nad swoim życiem lub oszaleć.

Richard nie po raz pierwszy oczekiwał na egzekucję. W Hiszpanii, przyłapany na szpiegowaniu, dostał się w ręce wroga. Mógł wtedy zawisnąć i wcale by się nie skarżył, bo taka śmierć okryłaby go chwałą. Walczył w imieniu króla i ojczyzny. Jednak stryżek za zbrodnię, której się nie popełniło, to żadna chwała.

W Hiszpanii z opresji wyratowała go kawaleria. Gdzie ona się teraz, do diabła, podziewa?

Spróbował usiąść i skrzywił się z bólu. Wprawdzie rana w piersi się goiła, ale Newgate to nie jest najlepsze miejsce na kurację, o warunkach sanitarnych nie wspominając. Cieszył się, że nie doszło do zakażenia krwi. Dyrekcja więzienia też niespecjalnie dbała o stan zdrowia skazańca. Młody lekarz, który badał Richarda z rana, zażartował, że jedynym potrzebnym mu lekarstwem jest długi odpoczynek. Będzie miał całą wieczność na śmianie się z tego żarciku, jeśli szybko się stąd nie



wydostanie. A kiedy znajdzie się na wolności, przywróci swoje dobre imię i dowie się, kto naprawdę zamordował Lucy Rider.

Nie mógł myśleć o tej dziewczynie, bo natychmiast ogarniała go wściekłość. A na myślenie czasu mu nie brakowało i w końcu, nieco zbyt późno, zdał sobie sprawę, że Lucy musiała uczestniczyć w spisku przeciwko niemu. Nie wierzył jednak, by rozumiała, w co się pakuje. Dla jego wrogów była tylko przynętą, poświęconą dla większego zysku. Richard wyrzucał sobie swoją ślepotę. Gdyby nie ona, być może potrafiłby zapobiec śmierci Lucy.

Nie mógł uwierzyć, że był aż tak głupi. Zaufał jej. On, Richard Maitland, który na palcach jednej ręki może policzyć ludzi, którym ufa. Policzył ich na palcach prawej ręki: Harper, Hugh Templar i jego żona Abbie, Jason Radley... Zatrzymał się. To cztery osoby. Po chwili zastanowienia dodał siebie.

Ze zdumieniem stwierdził, że się uśmiecha, choć w tych okolicznościach naprawdę nie powinno mu być do śmiechu. Jediną rozrywkę, odrywającą go od ponurych myśli i nudy, stanowiły odwiedziny osób, które przychodziły się z nim pożegnać.

Ale to nie byli przyjaciele. Tych wręcz przestrzegł, by trzymali się od niego z daleka, i to nie tylko od Newgate, ale też od całej rozprawy. To samo przekazał rodzicom. Nie chciał narażać ich na długą podróż z Aberdeen do Londynu tylko po to, by zobaczyli go w tym stanie. Wiedział, jak sprawy się potoczą. Wiedział, że zostanie uznany za winnego i nie zamierzał pokornie godzić się z losem. A gdyby udało mu się zbiec, każda osoba, która się do niego zbliżała w czasie pobytu w więzieniu, natychmiast zostanie oskarżona o pomoc w ucieczce.

Z samego rana pojawił się u niego Massie, jego zastępca na stanowisku szefa personelu. Nie był wylewny.

- Wiem, że jesteś niewinny - stwierdził. - I wiem, że padłeś ofiarą spisku. Chcę ci pomóc, więc powiedz, kogo mam szukać.

Richard lubił Massiego. Był dobrym agentem i miał podobne jak on podejście do pracy. Służba w wywiadzie była ich zawodem. W przeciwieństwie do wielu kolegów nie posiadali na górze koneksji, które pomagałyby im wspinać się po drabinie kariery. Wszystko, co osiągnęli, zawdzięczali własnej inteligencji i ciężkiej pracy.

Istniała jednak między nimi pewna bardzo znacząca różnica: Massie trzymał się przepisów.

Richard postanowił w nic go nie wtajemniczać. Dobrzy agenci nie zawsze są tymi, na których wyglądają, a jeśli Massie pracuje dla jego wrogów, propozycja pomocy mogła być tylko próbą dowiedzenia się, jak wiele Richard wie, tak żeby spiskowcy zdążyli pozacierać ślady.

Pozacierać ślady? O mało nie wybuchnął śmiechem. Mężczyzna i chłopiec, którzy rozwiali się we mgle. Tak dobrze zatarli za sobą ślady, że nie miał pojęcia, gdzie rozpocząć poszukiwania. Świadczenie nie kłamali na rozprawie. Mówili to, co rzeczywiście widzieli. Lucy naprawdę dobrze odegrała swoją rolę. To był spisek. Ale kto się za nim kryje?

Od tej nocy, kiedy zginęła Lucy, starał się odpowiedzieć na to pytanie na różne sposoby, lecz nie znajdował odpowiedzi. I to nie dlatego, że brakowało mu podejrzanych. Wręcz przeciwnie, było ich aż za wielu.

Nagle usłyszał zgrzyt klucza w zamku i głowa z wrażenia aż mu podskoczyła. Zaraz też masywne żelazne drzwi otworzyły się powoli. Stał w nich umundurowany strażnik, którego złośliwy wyraz twarzy i zsunięte groźnie krzaczaste brwi przywodziły na myśl małpę.

- Harper - rzucił Richard i powoli na twarz wypłynął mu uśmiech. - Co tak długo?

- Czekałem, aż pole się oczyści. No, ruszaj tyłek. Nie mamy całego dnia.

Sierżant Harper należał do skromnej grupki ludzi, którym Richard ufał. Dobrze się składało, ponieważ to właśnie Harper pełnił rolę jego ochroniarza. Zapewne dlatego przemawiał do swojego szefa dość ostrym tonem, bo nie umiał pogodzić się z faktem, że człowiek, którego przysiągł strzec, bez słowa załatwia jakieś swoje prywatne sprawy, które ostatecznie doprowadziły go do więzienia.

Richard i Harper znali się od dawna. W Hiszpanii obydwaj służyli w tajnym wywiadzie Jego Królewskiej Mości. Nie zawsze pracowali nad tymi samymi sprawami, ale darzyli się nawzajem ogromnym szacunkiem. Byli towarzyszami broni i na gruncie prywatnym traktowali się swobodnie. Wprawdzie Harper nieco swobodniej, niż życzyłby sobie jego szef, ale z sierżantem lepiej było się nie sprzeczać. Za zasługi w czasie wojny dostał odznaczenie od samego premiera, o czym nigdy nie pozwolił Richardowi zapomnieć.

Harper obejrzał się za siebie i stwierdził, że korytarz jest pusty. Wszedł do celi.

- Wysłowię cię z tych łańcuchów - powiedział. - Ale ich jeszcze nie

zdejmuj.

Teraz, gdy nadszedł moment ucieczki, Richard poczuł przyływ energii. Kłujący ból w piersi zelżał; umysł pracował sprawnie, krew krążyła szybciej.

Harper rozkuł go, po czym zabrali się do ustalania szczegółów ucieczki. Harper naprawdę pracował w więzieniu jako strażnik. Załatwił sobie tę posadę przy pomocy swoich dość podejrzanych przyjaciół jeszcze przed zakończeniem rozprawy. Był urodzonym pesymistą i czasami, tak jak w tej sytuacji, wychodziło mu to na dobre. Zgodnie z pierwszym punktem planu, Richard miał się przebrać w mundur strażnika. W tym celu Harper miał go zaprowadzić do łazienki położonej na końcu korytarza, gdzie ukrył mundur, czapkę i zawinięty w nią nabity pistolet. Potem musieli zejść trzy piętra niżej do sali odwiedzin, gdzie mieli udawać strażników pilnujących więźniów i odwiedzających ich gości. Ponieważ zaraz potem miała nastąpić zmiana strażników, Richard i Harper ze starą zmianą mieli przejść do szatni, znajdującej się za mieszkaniem głównego dozorca. Od wolności dzieliłyby ich wtedy już tylko jedne drzwi.

Jednak ten moment był najsłabszym punktem planu. Liczyli na to, że przy zamieszaniu wywołanym zmianą straży nikt nie zauważy, że wchodzą do mieszkania dozorca, którego zamierzali zmusić siłą, by otworzył im drzwi prowadzące na wolność.

Naturalnie Harper pomyślał o wszystkim, co mogłoby się nie powieść. Plan opierał się na założeniu, że nikt Richarda nie rozpozna. Idąc za radą przyjaciela, Richard nie zgodził się z rana na golenie, tak więc jego policzki i brodę pokrywał teraz ciemny zarost. Sprzyjało im także to, że w Newgate ogólnie było ciemno i ponuro, jak to w... cóż, jak w więzieniu.

- Gotowy? - zapytał Harper. Richard uśmiechnął się.
- Prowadź, MacDuffie.

Kiedy pół godziny po rozstaniu Rosamunda weszła do jadalni, zastała w niej

Charlesa Traceya, pogrążonego w gorącej dyspacie z Callie i ciotką Fran. Wiedziała, że coś jest nie tak, bo Charles przecież miał się z nimi spotkać w Newgate.

Dobiegał trzydziestki, był wysoki i szczupły, miał jasne włosy przerzedzone na skroniach. Rosamunda nigdy za nim specjalnie nie przepadała, być może dlatego, że zawsze wydawał się czymś zmartwiony i zły. Nie złościł się tylko nigdy na Callie, którą wprost uwielbiał. Rosamunda mu współczuła, niemniej godzina spędzona w jego towarzystwie zawsze wpędzała ją w przygnębienie.

Okazało się, że Charles zgłasza właśnie swoje wątpliwości co do wyprawy do Newgate.

- Zbyt wiele złych rzeczy może się tam wydarzyć! - orzekł.

- Nonsens - zaprzeczyła Callie. - Wszystko jest już ustalone. Nie dopuszczę, żeby taka mała rzecz mnie powstrzymała.

- Taka mała rzecz? - zapytała ze zdziwieniem Rosamunda, poprawiając szal i podchodząc do nich.

Zapadła cisza. Widziała po twarzach obecnych, że są zaskoczeni jej pojawieniem się. Charles pierwszy się otrząsnął.

- Lady Rosamunda - powiedział. - A więc to pani powóz widziałem na podjeździe.

- Sądziłam, że postanowiłaś z nami nie jechać - rzuciła Callie.

Rosamunda najpierw odpowiedziała jej szwagrowi.

- Jak się masz, Charles. Miło cię znowu widzieć. - Na jego oficjalny ukłon tylko lekko skinęła głową. - Nie pamiętam, żebym ci mówiła, że nie pojedę - zwróciła się do przyjaciółki. - Ale jeśli odwołaliście wyprawę, nie będę zawiedziona.

- Niczego nie odwołaliśmy - stwierdziła stanowczo Callie. - Nie pozwolę, żeby mi przeszkodziła jakaś ciżba prostaków.

- Ciżba? - Rosamunda spojrzała na Charlesa.

Ten skinął potakująco głową.

- Milicja już rozpędza tłum. Mówimy tu o rozruchach, lady Rosamundo. Na ulice Londynu wyszło tysiące ludzi. Dowiedzieli się, że ich petycje nie zostaną

wysłuchane, i wpadli w szał. Rzucają kamieniami w okna pałacu, a nawet próbowali go podpalić.

- A o co im chodzi?

- O sprawiedliwe płace. Niższe ceny. Pracę dla bezrobotnych. - Charles wzruszył ramionami.

- Pałac księcia znajduje się daleko stąd i jeszcze dalej od Newgate - zauważyła Callie.

Ciotka Fran, poprawiając coś w koszyku, który trzymała na ramieniu, podniosła wzrok.

- Newgate - zaczęła lekko roztrzęsionym głosem. - Przypominam sobie rozruchy z tysiąc siedemset osiemdziesiątego roku. Tłum ogarnęła furia. Ludzie palili domy, a potem pomaszerowali na Newgate i uwolnili wszystkich więźniów.

- To było prawie czterdzieści lat temu - rzekła Callie. - Władze wiedzą już, jak radzić sobie z takimi rozruchami.

- Mimo wszystko ciotka ma rację - upierał się Charles. - Wątpię, żebyśmy znaleźli powóz, który zawiezie nas teraz do Newgate.

- Och! - Callie jęknęła, zamyśliła się na chwilę, ale zaraz twarz jej pojaśniała. - W takim razie weźmiemy powóz Rosamundy. Ludzie widząc uzbrojonych forysiów i woźnicę w powozie księcia, dwa razy się zastanowią, zanim zaatakują. Poza tym księżę z pewnością wolałby, aby Rosamunda podróżowała tym powozem.

Charles powoli tracił cierpliwość.

- Ci ludzie się nie patyczkują. Oni rzucają kamieniami i podpалonymi gałganami.

Rosamundę, która zamierzała już zgodzić się na użyczenie powozu, teraz ogarnęły wątpliwości. Zastanawiała się, co powiedziałby ojciec, gdyby tak pieczołowicie zaprojektowany przez niego (robił to z zamiłowaniem) nowiutki powóz zamienił się w szerniąłą skorupę.

- A może pojedziemy waszym? - zaproponowała. - Weźmiemy moich forysiów.

- Nie mówiłam ci, że jest w naprawie?

Ciotka Fran wydawała się zmartwiona.

- Czy to znaczy, że jednak jedziemy?

- Tak - potwierdziła Callie. - Charles, każ podstawić powóz Rosamundy. I o nic się nie martwcie. Ten pojazd jest jak forteca. Będziemy w nim całkowicie bezpieczni.

Charles wyszedł. Przez pewien czas panowała cisza. Nagle ciotka odchrząknęła.

- Czy nie moglibyśmy odłożyć tej... nie, nie, cóż ja mówię. Jeśli nie pojedziemy dzisiaj, będzie za późno.

Uwaga staruszki uzmysłowiła Rosamundzie, że ciotka, podobnie jak ona, wcale nie ma ochoty oglądać człowieka skazanego na egzekucję. Rosamunda postanowił pojechać, bo chciała się sprawdzić, ale dlaczego ta starsza pani zmusza się do czegoś, na co nie ma ochoty?

- Panno Tracey - rzekła - dobrze się pani czuje? Jest pani strasznie blada.

Ciotka Fran rzuciła się na to pytanie jak ścigany królik do kryjówki.

- No, wcale nie czuję się najlepiej - przyznała. - Przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Callie westchnęła.

- Lepiej niech pani wraca do łóżka - zaproponowała Rosamunda. - Callie i ja damy sobie radę.

Ciotce nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Odstawiła kosz na stół i niemal potykając się o własną spódnicę, pospiesznie opuściła pokój.

Callie pokręciła głową.

- Nie miałam pojęcia, że tak się czuje. No więc, Ros, zostałyśmy ja i ty, jak za dawnych czasów. Wchodzi pani do gry, panno Słabe Serduszko?

I jak za dawnych czasów Rosamunda poczuła, że podejmuje wyzwanie. Trudno zmienić stare nawyki.

Na stanowcze żądanie Rosamundy powóz wraz z całą obsługą pozostał na dziedzińcu gospody Magpie i Stump. Rosamunda tłumaczyła, że nie chce narazić służących na ataki ciżby. Lepiej dla nich, dla powozu papy i drogich koni, by nie znajdowali się na widoku. Zresztą, by dotrzeć z gospody do więzienia, muszą przejść tylko jedną ulicę.

Callie nie spodobała się ta propozycja. Stwierdziła, że i tak są spóźnieni. Dozorca pomyśli, że nie przyjdą. Ulice są puste, więc nie widzi powodu, dla którego powóz nie może czekać na nich przed więzieniem.

Charles wziął stronę Rosamundy i na głos wypowiedział myśl, która jej także przyszła do głowy.

- Ulice są puste - zaczął - ponieważ wieść o rozruchach już się rozniosła. Rozsądni ludzie siedzą w domach, zamknawszy na wszystkie spusty drzwi i okna. My też tak powinniśmy zrobić.

- Ani słowa o rozruchach do dozorca - ostro ostrzegła Callie. - Jeszcze odwoła naszą wizytę.

Do Newgate weszli prywatnym wejściem prowadzącym do mieszkania dozorca. Callie niepotrzebnie się martwiła, bo pan Proudie już na nich czekał. Był zachwycony pojawieniem się tak dostojnych gości.

- Lady Rosamunda! - wykrzyknął. - Córka księcia Romsey! No, no! To wielki honor. Newgate, jeśli wolno mi zauważyć, stało się ostatnio bardzo popularne wśród arystokracji. Bylibyście państwo zaskoczeni, gdybyście wiedzieli, ilu dostojników przekracza nasze progi.

- Tak - odrzekła Rosamunda. - Zbrodnia rzeczywiście bywa pożywką dla niezdrowej ciekawości.

Dozorca zmieształ się jej wypowiedzią, ale Callie postarała się szybko poprawić atmosferę.

- A pułkownik Maitland? Czy dużo osób go odwiedziło? - Przeszyła Rosamundę wzrokiem, który mówił, że nie jest to dobry moment na błazenadę.

Dozorca zakaszłał.

- Och, skądże. Nie jest postacią podziwianą. To tylko pospolity morderca. No, gdyby był Jackiem Shappardem lub drogowym bandytą jak Dick Turpin, stałyby tu kolejki chętnych do uściśnięcia jego dłoni. No tak, ale proszę za mną, tędy.

Gęsiego ruszyli za dozorcą wzdłuż kamiennego korytarza bez okien, na końcu którego widniało rozmyte światło. Rosamunda szczelniej otuliła się szalem. To ponure miejsce budziło w niej niepokój. Powietrze było tu jakieś ciężkie, zduszone. Wokół roznosił się mdlący zapach przegotowanej kapusty i stęchłej uryny. Wzdrygała się za każdym razem, gdy za jej plecami trzaskały któreś z żelaznych drzwi. Najchętniej jak najszybciej by stąd uciekła. Gdyby to ode mnie zależało, zamknęłabym go i wyrzuciła klucz. Ileż razy wypowiadała bezmyślnie podobne zdanie? Nigdy więcej, przyrzekła sobie.

Minęli ostatnią bramę, za którą znajdowała się sala odwiedzin. W pomieszczeniu tym były wprawdzie okna, ale z powodu wysokości ścian światło i tak nie docierało do znajdujących się na sali nielicznych więźniów i ich gości. Pod ścianami rozstawione były ławki i właśnie do jednej z nich poprowadził ich dozorca.

- Nie odwiedzimy pułkownika w jego celi? - zapytała ze zdziwieniem Rosamunda.

- Och, nie, lady Rosamundo - odparł dozorca. - To nie miejsce dla dam. Wysoce nieprzyjemne. - Roześmiał się. - Nawet dorośli mężczyźni wybuchali płaczem, kiedy wprowadzano ich do celi dla skazańców. - Skinął głową w stronę umundurowanych strażników, rozstawionych co kilka kroków wzdłuż ścian. - Poza tym tu jest bezpieczniej. Większość moich ludzi to byli żołnierze. Najpierw strzelają, a dopiero potem zadają pytania. Ale w tej chwili na sali nie ma groźnych więźniów, więc proszę się nie obawiać. Ci tutaj to zwykli złodziejaskowie, oszuści i liberałowie, to wszystko.

- A co z dłużnikami? - zapytał Charles.

- Och, ich trzymamy w zupełnie innej części więzienia.

Po tych słowach dozorca cofnął się do najbliższego strażnika i rozkazał, by towarzyszył mu do celi Maitlanda.

Kiedy zniknęli na schodach, Callie usiadła na kamiennej ławce. Charles wymamrotał coś pod nosem i odstawił na podłogę koszyk z jedzeniem. Rosamunda zaczęła przyglądać się obecnym na sali ludziom.



Dostrzegła trzy kobiety, ale musiały to być żony lub córki więźniów, bo więźniarki mają własną salę spotkań. Jedna głośno wyklinała na męża, pozostałe dwie płakały. Więźniowie nie wyglądali groźnie, raczej budzili współczucie. Nie było tu miejsca na okrzyki radości i żarty. Rosamunda zastanawiała się, jak się czuje człowiek skazany na śmierć. Gdyby to od niej zależało, więzienia takie jak Newgate zostałyby zrównane z ziemią.

Przeniosła wzrok na strażników. Jakoś nie wyglądali na byłych żołnierzy, raczej na zbirów. Mundury mieli porwane i źle dopasowane, czapki przekrzywione. Zabawiali się rozmową. Rosamunda знаła wielu żołnierzy i uznała, że ci tutaj, nawet jeśli rzeczywiście służyli w wojsku, z pewnością nie należeli do najlepszych.

Zwłaszcza dwóch przykuło jej uwagę. Twarz starszego przywoziciła na myśl koszarne chimery na frontonie Twickenham House, a młodszy... cóż, ojciec orzekłby, że ma prezencję. Był niezwykle przystojny, niezwykle wysoki, a jego spojrzenie miało moc i energię, które potrafią onieśmielić. Strażnik nie dowcipkował, nie rozglądał się na boki. Był nonszalancko spokojny, jak myśliwy oczekujący, aż pokaże się jego ofiara.

Lekko odwrócił głowę i wtedy ich oczy się spotkały. Rosamunda natychmiast poczuła siłę spojrzenia tego mężczyzny, jakby dotknął ją kawałkiem lodu. Nie lubił jej. Nie, nie. To coś silniejszego. On nią gardził.

Odwróciła wzrok i powiedziała coś do Charlesa, sama nie wiedząc co, nadal myśląc o mężczyźnie o twardym spojrzeniu, który nawet nie próbował ukryć pogardy, jaką do niej żywił. I nic dziwnego, pomyślała. Ona i Callie ubrane są jak królowe; Callie miała na sobie kołnierz z białych królików i pasującą do niego mufkę, a ona buty na obcasie wysadzone szklanymi paciorkami. Zapewne myśli, że Callie ubrała się w norki, a paciorki na trzewikach Rosamundy to drogocenne kamienie. Gdyby wcześniej wiedziała, że przyjdzie w odwiedziny do Newgate, włożyłaby coś skromniejszego.

Ten mężczyzna uważa ich pewnie za arystokratów poszukujących sensacji. Nie uwierzyłyby, gdyby się dowiedział, że ich przybycie tu to akt miłosierdzia, zresztą ona także by w to nie uwierzyła.

Co ja tu właściwie, do diaska, robię? - zastanawiała się w duchu.

To samo pytanie zaświtało w umyśle przystojnego strażnika. Co, do diabła,

ta kobieta tu robi? Arogancka, wystrojona arystokratka, niemająca lepszego zajęcia niż odwiedzanie skazańców. Popsuje mu plan. Przez nią dozorca poszedł do celi i zaraz się przekona, że Maitlanda w niej nie ma. Za chwilę Proudie zbiegnie po kamiennych schodach i zarządzi alarm. Najgorsze, że stracili element zaskoczenia. Proudie jest już przygotowany na kłopoty, więc raczej niemożliwe, by zdołali zmusić go do otwarcia drzwi więzienia. Pewnie zamknie je na cztery spusty. Nie będzie też zamiany strażników, co znaczy, że on i Harper zostaną złapani. A wszystko przez lady Rosamundę Devere.

Tak, tak, rozpoznał ją, to oczywiste, *La belle dame sans merci*. Tak ją nazywali w Lizbonie. Nie dlatego, że była bezlitosna, a przez jej obojętność. Nie zdarzało się, by odezwała się do kogoś poniżej rangi pułkownika lub porozmawiała z żonami oficerów. Kiedyś podziwiał jej urodę, ale to było, zanim się przekonał, że za tymi pięknymi rysami i chłodnymi szarymi oczyma kryje się osóbką paskudnie zarozumiała.

Wystarczająco dużo usłyszał, by domyślić się, że to on jest celem wizyty panny Devere w Newgate. Nic z tego nie rozumiał. Nigdy się przecież nie spotkali. W Lizbonie zwykli żołnierze, tacy jak on - a wtedy był porucznikiem - nie mogli marzyć nawet o pocałowaniu rąbka jej sukni. A gdyby nawet próbował, był przekonany, że jej elegancko obuta stopka natychmiast wystrzeliłaby w powietrze wprost w jego szczękę.

Miał złe przeczucie co do motywu, który sprowadził lady Rosamundę do więzienia. Bardzo złe przeczucie.

Harper zaczął się denerwować.

- Ty tu dowodzisz. Co teraz robimy? - szepnął kącikiem ust.

- Czekamy - odparł Richard.

- Na co?

- Aż się rozpęta piekło.

- A potem co?

- Potem, w zamieszaniu, weźmiemy zakładnika, który posłuży nam za tarczę.

Harper spojrzał na szefa. .

- Córkę księcia? Lady Rosamundę Devere?

- A kogo innego proponujesz?

- Ale ona jest prawie tak wysoka jak ty. Może zabierzemy tę drugą? Z tą będzie o wiele łatwiej. Jest malutka jak laleczka.

- Tak, ale nie jest córką księcia, prawda? Nie jest tyle samo warta. I... - Na ustach Richarda pojawił się złośliwy uśmiezek.

- I?

- Zawsze chciałem dostać w swoje ręce lady Rosamundę. To może być jedyna okazja. Słuchaj! Zbliżają się kłopoty. Spokojnie, Harper, spokojnie. Nie rób nic, zaczekaj, aż dam ci znak.

Dozorca, który właśnie wypadł z klatki schodowej, dyszał z pośpiechu.

- Zamknijcie więzienie - wycharczał, ale zaraz krzyknął głośniejszym głosem: - Zamknijcie więzienie! Wszyscy więźniowie do swoich cel! Goście zostają na miejscu! Uciekł więzień. Uważajcie na Richarda Maitlanda.

Strażnicy stojący na sali wyciągnęli pistolety i pomachali nimi ostrzegawczo przed więźniami i ich gośćmi. Rozległy się okrzyki przerażenia i płacz, kiedy kobiety przywarły do swoich mężów, których strażnicy zaczęli od nich odrywać. Rosamunda zastygła w miejscu, zaszokowana. Richard Maitland uciekł.

Nagle ją olśniło. Zrozumiała, dlaczego strażnik o twardym spojrzeniu wydał jej się taki groźny.

Callie już się podniosła.

- Przecież on nie mógł uciec. Nikt nie ucieknie z Newgate! Rosamundo, o co chodzi? Dlaczego tak się gapisz?

Rosamunda szybko zrobiła krok w tył, a potem następny. Richard Maitland, a była pewna, że to on, szedł prosto na nią, z wyciągniętym przed siebie pistoletem. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Nonszalancki łowca dostrzegł ofiarę. Zaraz na nią skoczył.

Nagle zdarzyło się kilka rzeczy jednocześnie. Rosamunda znów cofnęła się o krok i potknęła o kosz, zostawiony na podłodze przez Charlesa. Upadając, uderzyła się w głowę o kamienną posadzkę. Rozległ się wystrzał. Krzyki, wrzaski. Richard Maitland runął na Rosamundę, która znowu uderzyła się w głowę.

Jego głos był tak samo twardy jak spojrzenie. Mówił z lekkim szkockim akcentem.

- Jeśli będziesz się opierać, zabiję cię, rozumiałaś?

Nie była w stanie się opierać, nawet gdyby chciała. Przygniatał ją swoim ciężarem tak, że nie mogła oddychać. Upadek zamroczył ją, w oczach pojawiły się łzy bólu. Spojrzała na swoje białe rękawiczki i stwierdziła, że są poplamione krwią.

- Chyba zostałam postrzelona - powiedziała.

- Tam! Tam! - krzyczał Harper, pokazując na klatkę schodową. - Uciekł tam! I ktoś z nim jest!

Po tych słowach panika jeszcze wzrosła. Kilku strażników pobiegło do schodów; inni spychali więźniów i gości w róg sali, by usunąć ich z linii ognia.

Richard wstał.

- Córka księcia została postrzelona! - krzyknął.

Callie także krzyczała, ale jej głos był za słaby, by przebić się przez harmider. Rosamunda usiadła i rozejrzała się, szukając Charlesa. Jakimś sposobem rozdzielono ich i stał teraz z resztą więźniów w rogu sali, z podniesionymi rękami. Potem mężczyzna o twarzy chimery wsadził pistolet między żebra Callie. Rosamunda go nie słyszała, ale widziała, że jego słowa zrobiły na przyjaciółce ogromne wrażenie. Przestała krzyczeć, skinęła głową i opadła na kamienną ławkę. Wydawała się przerażona.

Wtem Rosamunda krzyknęła, bo Maitland poderwał ją na nogi i wziął w ramiona. Opuścił głowę i wysyczał jej do ucha:

- Jeśli piśniesz choć słówko, jeden z moich towarzyszy zabije twoją przyjaciółkę, a potem ja zabiję ciebie. Zrozumiałaś?

Jeden z towarzyszy? Ilu ich jest?

- Usłyszałaś? Zabiję cię.

Skinęła głową. Wierzyła mu. Miał twarz zabójcy - złowieszczo wykrzywione usta i oczy twarde jak stal. I nie miał nic do stracenia, nawet jeśli zabiłby ją i Callie. I tak groził mu stryczek.

Skrzywiła się, kiedy towarzysz Maitlanda głośno wrzasnął:

- Zrobić drogę dla córki księcia! Jest ranna! Jest ranna!

Nadal była zamoczona po uderzeniu w głowę, ale nagle pojęła, że wcale nie jest ranna. Bolała ją tylko głowa. Ale dla Maitlanda to bez znaczenia, czy jest ranna, czy nie. Rozumiała, co planuje. Zamierzał użyć jej jako zakładniczki w

ucieczce.

Nie panikuj! Nie panikuj, powtarzała sobie w duchu. To się zaraz skończy. Kiedy wyjdą z więzienia, Maitland nie będzie jej już potrzebował i puści ją wolno.

Może zresztą nie uda mu się uciec. Może strażnicy go nie przepuszczą. Może któryś go rozpozna. Może go złapią i z powrotem wsadzą do celi.

I, zupełnie zapominając o niechęci do Newgate, uznała, że z całą przyjemnością będzie się przyglądała, jak go wieszają.

Jednak jej nadzieje okazały się płonne. Żaden ze strażników nie rozpoznał Maitlanda, ponieważ trzymał ją przyciśniętą do piersi i szedł ze spuszczoną głową, a odzywał się tylko ten drugi. Strażnicy nie bardzo chcieli ich wypuścić, bo nie mieli pojęcia, co się dzieje. Wiedzieli tylko, że padł rozkaz zamknięcia więzienia, więc pomyśleli, że zastrajkowali więźniowie. Jednak rozpoznali w Rosamundzie damę, nad którą tak roztkliwiał się dozorca, toteż wszystkie drzwi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otwierały się przed nimi.

W drodze do mieszkania dozorca oprawcy Rosamundy naradzali się. Maitland uznał, że nie uda im się wyjść, używając za pretekst zranienia Rosamundy, bo strażnicy poślą po więziennego lekarza. Postanowił więc zmienić scenariusz. Powiedzą, że córka księcia zemdląca i że dozorca nakazał wynieść ją do powozu.

- Gdzie on stoi? - zapytał twardo.

Nie było sensu kłamać, więc powiedziała.

I znowu tym draniom się udało. Strażnik tylko spojrzał na bladą twarz Rosamundy i szybko otworzył podwoje.

Wyszli na ulicę i wtedy Maitland zachwiał się. Jego zakładniczka wcale nie była tym zdziwiona. Choć nie miała na sobie grama niepotrzebnego tłuszczu, to przecież była słusznego wzrostu. Jeśli Maitland chciał mieć kieszonkową Wenus, mógł wybrać Callie.

Jakby czytał w jej myślach.

- Powinienem był zabrać tamtą drugą. - Opuścił ją na ziemię, wcale nie siląc się na delikatność. - Chyba nadwerżyłem sobie kręgosłup. Prawdziwa amazonka, prawda?

Rosamunda na te słowa wzburzyła się, ale ze strachu wołała milczeć. Nie

chciała prowokować bandziorów, którzy przecież mogli ją skrzywdzić.

- Co to jest? - zapytał Maitland.

Podnieśli głowy i przez chwilę nasłuchiwali. Odgłos przypominał nadciągającą z oddali burzę lub stado koni.

- Rozruchy - poinformowała Rosamunda z radością. - Manifestanci maszerują na więzienie. Lepiej szybko się ulotnijcie. Żegnam, pułkowniku. Może kiedyś jeszcze się spotkamy. - Miała nadzieje, że wtedy będzie dyndał na końcu sznura.

Zimne oczy znowu się na nią zwróciły, aż przeszył ją dreszcz.

- Nigdzie nie pójdziesz, zanim się nie dowiem, dlaczego chciałaś mnie zabić - warknął.

Rosamunda poczuła, że brakuje jej słów, jednak szybko się otrząsnęła.

- Postradałeś pan zmysły! Strzelał pewnie któryś ze strażników.

Maitland pochwycił ją mocno za nadgarstki. Aż jęknęła z bólu.

- Powiesz mi prawdę, nawet jeśli będę musiał połamać ci kości. - Potem rzucił do swojego towarzysza: - Gdzie są konie?

- Za kościołem.

Ruszyli biegiem w stronę kościoła. Rosamunda z trudem dotrzymywała kroku dwóm mężczyznom. Kilka razy potknęła się, ale wtedy Maitland brutalnie pociągnął ją za ramię.

Nagle ogarnęła ją tak wielka wściekłość i gniew, że zapomniała o strachu. Zrobiła to, co chciał, i tak jej się za to odwdzięcza? Bez jej pomocy nigdy nie uciekłby z Newgate. Jeżeli dalej będzie mu posłuszna, skończy jak ta dziewczyna z hotelu.

W tej chwili na końcu ulicy pojawiła się pierwsza fala tłumu, a Rosamunda wiedziała już, co ma robić.

Rzuciła się z wściekłością na swego oprawcę i walnęła go w plecy. Opadając na kolana, Maitland poluzował uścisk na jej nadgarstku. Wyrwała się i przeskoczyła przez niego, po czym rzuciła się w stronę nadciągającej cizby, jakby to była jej ekipa ratunkowa.

- Cholera jasna! - zaklął Harper. - Odcięli nam drogę ucieczki. Teraz nie

zdołamy dotrzeć do koni.

Maitland wstał i obejrzał się za siebie.

- Wracać też nie możemy.

Od Newgate biegła cała gromada uzbrojonych strażników.

- A dziewczyna - rzucił Harper. - Dokąd ona ucieka?

Patrzyli na Rosamundę, która odbiła w bok, unikając nadciągającego tłumu, i zniknęła w uliczce za Old Bailey.

- Co ona mówiła o powozie, że gdzie go zostawiła? - zapytał Richard.

- Przy Magpie i Stump.

Popatrzyli po sobie.

Oślaniając się przed kamieniami rzuconymi przez tłum i schodząc z drogi pociskom strażników, pobiegli za Rosamundą.

### *Rozdział 3*

Rosamunda gnała, co sił w nogach. Nie musiała się zastanawiać, dokąd biec. Ulica Old Bailey znajdowała się tuż przed nią, za skrzyżowaniem. Tam są sędziowie, prawnicy i oficerowie, którzy obronią ją przed Richardem Maitlandem i jego pomocnikiem. A ona ich ostrzeże, że Maitland jest bardzo niebezpieczny i sprytny, więc, w przeciwieństwie do strażników z Newgate, będą przygotowani na spotkanie z nim.

Maitland to nie tylko morderca. To szaleniec. Wszędzie widzi wrogów; myśli, że każdy napotkany człowiek chce go zabić. Wszędzie węszy zdradę i spisek. Ale że podejrzewał ją, córkę księcia, o próbowanie pozbawienia go życia? I to w Newgate! To nie do pomyślenia.

Pewnie postradał zmysły. To jedyne wytłumaczenie. I nie ma sensu spierać się z szaleńcem.

Znalazła się na tyłach Old Bailey i zatrzymała przy pierwszych drzwiach. Były zamknięte. Zaczęła w nie walić obydwoma pięściami. Żadnej odpowiedzi. Z trudem oddychała, więc jej wołanie o pomoc przypominało raczej pomiaukiwanie topiącego się kota.

Obejrzała się przez ramię. Tłum przelewał się w stronę Newgate, nigdzie natomiast nie było jej prześladowców. Mimo to przeczuwała, że nie jest jeszcze bezpieczna. Wprawdzie zamieniła z Maitlandem tylko kilka zdań, ale wiedziała już, co z niego za osobnik. Nie podda się łatwo.

Ignorując klucze w boku, podciągnęła spódnicę i pobiegła przed siebie. Wtem w uliczkę na wprost niej wlała się nowa fala strajkujących. Na odgłos ciężkich kroków, dzikich wrzasków i widok rozwścieczonych twarzy Rosamunda zmartwiała. Rozległ się wystrzał i tłum wpadł w szaf.

Rzuciła się do następnych drzwi i znowu zaczęła się do nich dobijać. Tym razem doczekała się odpowiedzi. Ktoś wrzasnął coś z okna nad drzwiami. Potem pomiędzy kratami pojawiła się lufa pistoletu, wycelowana wprost w nią.

- Musicie mi pomóc! - zawołała. - Nazywam się lady Rosamunda Devere i...

Kiedy zobaczyła, że kciuk odciąga cyngiel, przywarła do ściany. Okna, w które strajkujący rzucali kamieniami, drżały i dzwoniły. Od Old Bailey nadleciał grad kul. Były to ostrzegawcze wystrzały, nad głowami tłumu, który wpadał w coraz większy szaf.

Rosamunda stała przy ścianie rozdygotana, nie mając pojęcia, co zrobić. Nie wiedziała, w którą stronę biec. I kiedy tak rozważała swoją sytuację, na rogu ulicy Newgate pojawiły się dwie postaci biegnące w jej kierunku: Richard Maitland i ten drugi, o twarzy chimery.

Wpadła w panikę. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko naprawdę się jej przytrafia! Nigdy nic złego jej nie spotkało! - Zawsze natykała się na czyjeś opiekuńcze ramię. Kiedy szła na zakupy na Bond Street, zawsze towarzyszyło jej dwóch lokajów, pilnujących, by ktoś przypadkiem nie popatrzył na nią w niewłaściwy sposób. Jeśli wybierała się na przejażdżkę, parobek jechał kilka kroków za nią. Gdy jechała powozem, przed napadem pilnowali ją woźnice i forysie.

A teraz stoi tu, całkowicie bezbronna, z jednej strony mając szalonego mordercę i jego współnika, z drugiej rozszalały tłum. Przecież to Anglia. W tym kraju takie rzeczy się nie zdarzają.



Ale nie miała czasu na przeżywanie rozgoryczenia. Maitland albo tłum, musiała wybierać.

Wybrała tłum.

Po podjęciu decyzji trochę się uspokoiła, a umysł zaczął jaśniej funkcjonować. Po drugiej stronie ulicy, za tłumem, znajdowała się Fleet Lane i gospoda Magpie i Stump, gdzie zostawiła powóz. Powóz i uzbrojonych forysiów, i woźnicę. Jeśli Maitland spróbuje choćby musnąć ją palcem, odstrzela mu głowę. Musi tylko przebić się przez tłum, a raz na zawsze uwolni się od tego szalonego mordercy.

Oprawcy byli tuż za nią, więc nie namyślając się dłużej, rzuciła się na kocie łby i wpadła w tłum. Była zbyt przerażona, by pamiętać o uprzejmościach. Zwyciężył zwierzęcy instynkt, który kazał jej łokciami odpychać ludzi z drogi, jakby byli strachami na wróble rozstawionymi na polu kukurydzy. Na gniewne okrzyki odpowiadała tym samym i co jakiś czas rzucała spojrzenie za siebie, nie chcąc stracić wrogów z oczu.

Dopędzali ją.

Rzuciła się przed siebie i wtedy nagle otoczyły ją czyjeś potężne ramiona. Spojrzała na mężczyznę, który posturą przypominał kowala pracującego dla jej ojca.

- Ho, ho! - rzucił olbrzym. - Biegiesz w złą stronę, mała damo.

Nazwał ją małą damą. Rzeczywiście, w porównaniu z nim była kieszonkową Wenus, którą zawsze chciała być. Ale nie teraz, nie wtedy, kiedy Maitland depta jej po piętach. Teraz pragnęła być amazonką, jak ją nazwał. Jedną z tych legendarnych kobiet wojowniczek, które potrafiły obronić się przed każdym mężczyzną.

Wątpiła jednak, czy ktokolwiek dałby radę mężczyźnie, który trzymał ją w objęciach. Jego ramiona były jak stalowe przęsła.

- Jesteś ranna - powiedział. Miał ostry głos, ale nie słyszała w nim wrogości, więc przestała się wyrywać. - Kto ci to zrobił, mała damo? - Przyglądał się ranie na jej ramieniu, której sama do tej pory nie zauważyła.

Odwróciła głowę i wciągnęła powietrze, widząc, jak niedaleko jest Maitland. Był tak blisko, że widziała zmarszczki śmiechu wokół jego zimnych niebieskich oczu. Aż trudno uwierzyć, że ten potwór potrafi się śmiać. Miał mocną szczękę; jego rysy były jak wyryte w granicie.

I nadal miał na sobie mundur strażnika.

Umysł Rosamundy pracował błyskawicznie. Brakowało czasu na tłumaczenie, kim jest i dlaczego Maitland ją ściga. Ten miły kowal wyraźnie chce jej pomoc. Przypuszczała, że nie byłby taki skory do pomocy, gdyby wiedział, że jest córką księcia.

- Ściga mnie tamten mężczyzna - załkała. - To milicjant. Prowadził mnie do Newgate.

Jej słowa wywołały pożądany efekt.

- Milicjant! - zawył kowal. - Jaki milicjant?

Wskazała roztrzęsionym palcem na Maitlanda.

Kowal pchnął ją za siebie, po czym natychmiast zaczął się przepychać w stronę wskazanego osobnika. Kiedy do niego dotarł i rzucił się z pięściami, Rosamunda pozwoliła sobie na lekkie westchnienie ulgi. Jeden pokonany. Został jeszcze jeden. Rozejrzała się po twarzach, ale nie dostrzegła nigdzie pomocnika Maitlanda. Modląc się, by spotkał go taki sam los jak jego pana, znowu rzuciła się w tłum.

Kiedy wpadła na dziedziniec gospody, płuca jej płonęły, a nogi się pod nią chwiały. W całym zamieszaniu zgubiła torebkę, czepeczek, szal i jeden but. Nie obchodziło jej to.

Pragnęła tylko dostać się do powozu i uciec z tego miejsca, zanim dojdzie do nowej katastrofy.

W gospodzie i na dziedzińcu było pełno ludzi; manifestantów, którzy - czego się domyśliła po wrzaskliwych uwagach - postanowili zrobić sobie przerwę w strajku lub dodać animuszu kuflem piwa. Wszyscy zdawali się świetnie bawić, jakby znajdowali się na hucznym przyjęciu.

Wreszcie dostrzegła swój powóz i zmarszczyła czoło. Nie było przy nim ani woźnicy, ani forysiów, tylko chłopak stajenny trzymający konie za uzdy. Powiedziała, że wróci za godzinę, ale zjawiała się wcześniej, więc ich nie było, ale od razu domyśliła się, gdzie podziewają się jej służący. Oczywiście dołączyli do tłumu i pewnie siedzą gdzieś w gospodzie, bawiąc się wyśmienicie.

Newgate! Old Bailey! A teraz to! Chyba musiała kiedyś popełnić jakiś straszny grzech, skoro spotykają ją takie rzeczy.

Kuśtykając, przedarła się przez rozbawiony i podchmielony tłum do chłopca stajennego. Była tak zdyszana, że chwilę potrwało, zanim odzyskała głos.

- Mój woźnica - zdołała wreszcie wykrztusić. - Natychmiast go tu przyprowadź.

- Twój woźnica? - Stajenny spojrzał pogardliwie na jej 1 potargane włosy, spuścił wzrok na gołą stopę i zachichotał. - Poproś mnie o to, kiedy wytrzeźwiejesz.

Rosamunda zamierzała zganić chłopaka kilkoma wyważonymi słowami, ale kiedy znowu zachichotał, jej dłoń, jakby żyjąc własnym życiem, nagle pochwyciła go za kołnierz i uniosła w powietrze.

Była wyższa od parobka. Zbliżając twarz do jego twarzy, naśladując głos ojca, którym się posługiwał, gdy był wściekły, wysyczała:

- Natychmiast przyprowadź mojego woźnicę albo dopilnuję, żebyś resztę swojego nędznego żywota spędził w Newgate.

Zadowolona z tego, co wyczytała na twarzy chłopaka, postawiła go na ziemię i pozwoliła odejść. Z oczami okrągłymi jak talerze parobek dotknął kołnierza i potykając się o własne nogi, rzucił się w stronę gospody. Rosamunda zajęła się uspokajaniem koni. Zdziwiła samą siebie. Jeszcze nigdy do nikogo tak się nie odezwała, zwłaszcza do osoby, która nie mogła się jej sprzeciwić. Zawsze myślała, że ma nieskończone pokłady cierpliwości. Zostawiła powóz niecałą godzinę temu, wróciła do niego całkowicie odmieniona. Przynęła sobie, że od tej chwili nigdy już nie będzie się uskarżała na podejmowane przez ojca działania, mające na celu zapewnienie jej bezpieczeństwa.

Sama myśl o ostatniej godzinie budziła w niej dreszcze. Jednak na zatłoczonym dziedzińcu, wiedząc, że woźnica i forysie są gdzieś blisko, czuła się bezpieczna i mogła bez chęci mordy pomyśleć spokojniej o Maitlandzie. Naturalnie nie życzyła mu niczego dobrego, ale nie chciała też, żeby go powieszono. Gdyby tylko odtransportowano go do kolonii, czułaby, że sprawiedliwości stało się zadość.

Przypomniała sobie kowala, którego na niego nasłała. Zapewne nie zrobił mu większej krzywdy, a tylko nieco poturbował. No, może połamał mu nogi. Ta myśl sprawiła jej wielką przyjemność. Tak czy inaczej zyskała trochę czasu.

Z rozmyślań wyrwał ją czyjś okrzyk domagający się ciszy.

Ludzie zamilkli i zamarli, zaniepokojeni. Po chwili powietrze rozdarł niezaprzeczalny odgłos strzelaniny. Z każdej strony padało słowo „milicja”.

Wprawdzie tłum nie wpadł w panikę, ale przyjęcie się skończyło i na dziedzińcu szybko zrobiło się pusto.

Wtedy zobaczyła Maitlanda. Stał pod rozłożystym kasztanowcem z kuflem piwa w ręce. Nadal miał na sobie mundur, ale zdarł z niego naszywki, więc wyglądał jak reszta buntowników. Nie wyglądało na to, żeby spotkała go jakaś krzywda. Ani jednego zadrapania, zakrwawionego nosa, złamanej szczęki czy kończyny. Najwyraźniej kowal był mocniejszy w gębie niż w rękach. Nadzieja, że Maitland weźmie ją za jednego z buntowników - wyglądała przecież strasznie - rozviała się, gdy podniósł kufel i uśmiechnął się do niej kpiąco.

Cóż, nie jest tak bezbronna, jak mu się wydaje. Ojciec uczył ją, co ma robić, gdyby została napadnięta przez ulicznych rabusiów. Nie tracąc czasu, postanowiła natychmiast wcielić teorię w praktykę. Rzuciła się do drzwi powozu, otworzyła je jednym szarpnięciem i wskoczyła do środka. W tej samej chwili konie poruszyły się niespokojnie, cały powóz zadrżał, a ona straciła równowagę, ale zaraz ją odzyskała i sięgnęła po pistolet ukryty za poduszkami siedzenia. Na szczęście umiała się nim posługiwać.

Przykucnąwszy przy oknie, wyjrzała na zewnątrz. Maitland nie stał już pod drzewem, ale to jej nie zaskoczyło. Pewnie skrada się, zamierzając ją zaskoczyć, może od drugiej strony. Pochyliwszy głowę, przeczołgała się do drugich drzwi. Wtedy pojawił się w nich Maitland i rzucił się na nią. Podniosła broń, ale zamiast, zgodnie z instrukcją ojca, celować w serce, wymierzyła w ramię oprawcy. Po prostu nie miała instynktu zabójcy. Okazało się, że Maitland jest od niej szybszy. Kopnął w pistolet w tym samym momencie, gdy ona pociągnęła za spust. Kula minęła cel. Z dachu powozu doszło ją czyjeś wściekłe przekleństwo. Potem Maitland padł na nią i po raz trzeci w przeciągu niecałej godziny uderzyła głową w coś twardego. Konie, wystraszone wystrzałem, zaczęły się cofać.

- Harper! - wrzasnął Maitland.

Harper! Przecież zna to imię! Harper to ochroniarz Maitlanda. Czytała o nim w gazetach. To ci dopiero ochroniarz! Gdzie się podziewał, kiedy jego szef mordował Lucy Ride?

- Mam je, mam - huknął głos z góry.

Rosamunda chciała krzyknąć, ale ciężar leżącego na niej Maitlanda zatykał jej płuca. Bolała ją głowa i nadgarstki, ale choć była oszołomiona, wiedziała, co się dzieje. Harper siedział na miejscu woźnicy i przejął wodze. Zacisnęła zęby, bo konie zerwały się do przodu, lecz zaraz znieruchomiła, czując na skroni lufę pistoletu.

- Leż, bo inaczej odstrzelę ci mózg - wysyczał przez zęby Maitland. Ponieważ nie odpowiedziała, zapytał niecierpliwie: - Słyszałaś?

Pokiwała energicznie głową.

W końcu podniósł się i znowu mogła oddychać, ale nie do końca swobodnie, bo Maitland usiadł, po czym postawił stopę na jej piersi.

Na co on czeka? Czego wypatruje?

- Ruszaj! - krzyknął niespodziewanie, aż się skrzywiła.

Usłyszała trzask bata i powóz zaczął się toczyć.

Nie zajadą daleko, pomyślała. Konie ojca bardzo trudno prowadzić. Forsyie towarzyszyli jej nie tylko dla bezpieczeństwa; mieli też pilnować, by narowiste konie nie zerwały się z uprzęży przy pierwszej nadarzającej się okazji. Jeden woźnica nie wystarczy. Konie nie będą go słuchały, co skończy się źle i dla Maitlanda, i dla jego współnika.

A jeśli nawet będą posłuszne, to powóz zatrzyma tłum albo milicja. Tak czy inaczej wkrótce ten horror się skończy, więc pozostaje tylko zacisnąć zęby i czekać.

Nie widziała, jak wyjeżdżali z dziedzińca, ale słyszała krzyki, przekleństwa i trzask bata, którym woźnica wywijał, śmiejąc się przy tym niczym szalony.

Powóz skręcił, potem koła zaterkotały na kamiennych łbach ulicy, aż Rosamundzie zadźwięczały zęby. Maitland nie celował już w jej skroń. Trzymał pistolet na ramieniu i wyglądał przez okno. Jej pistolet leżał gdzieś na ziemi, ale był bezużyteczny, chyba że zdołałaby ponownie go nabić, lecz to było niemożliwe, dopóki Maitland przygniatał stopą jej pierś.

Zobaczyła, że patrzy na nią, mrużąc oczy. Wstrzymała oddech.

- Co tam znowu knujesz? - zapytał niebezpiecznie spokojnym głosem. - Co jeszcze chcesz mi zrobić?

Pomyślała o wrzącym oleju i zdzieraniu paznokci, ale w tych okolicznościach postanowiła zachować się dyplomatycznie.

- Myli się pan co do mnie - rzekła. - Nie biorę udziału w żadnym spisku. Coś pan sobie ubzdurał.

Stalowe usta zacisnęły się w jeszcze cieńszą linię. Maitland pochylił się do

niej.

- Ubzdurałem, tak? - powtórzył.

- Tak.

- Także to, że strzeliłaś do mnie, kiedy wsiadałem do powozu?

- Pan mnie ścigał! Poza tym celowałam w ramię.

- Jakim sposobem córka księcia tak dobrze potrafi posługiwać się bronią? - zapytał wciąż śmiertelnie poważnym tonem.

- Dlatego że - zaczęła - kiedyś moja matka, jadąc powozem, została zaatakowana przez zbójców. Ledwo co uszła wtedy z życiem. Po tym zdarzeniu ojciec postanowił nauczyć mnie, jak się bronić przed takimi osobnikami.

- Raczej, jak dać się zabić.

- To właśnie powiem ojcu, kiedy już puści mnie pan wolno.

Maitland nie zareagował na te słowa, uniósł tylko ciemne brwi, a potem odwrócił wzrok, tak żeby nie mogła nic z niego wyczytać. Miała wrażenie, że się z niej śmieje. Gula strachu tkwiąca w jej gardle natychmiast gdzieś znikła. On się z niej śmieje! Z niej, z lady Devere! Przecież jej przodkowie byli odważni niczym bohaterowie wojny trojańskiej: Caspar Devere walczył z Czarnym Księciem pod Poitiers, a wiele lat później rozsyłał pocałunki damom, tuż przed tym, jak kat odciął mu głowę, gdy przekłęci Lancasterowie doszli do władzy. Lady Margaret Devere broniła zamku męża przed ludźmi Cromwella, a potem ścigała ich na czele swojej armii. Natomiast jej ojciec, także Caspar, w czasie rewolucji uratował wiele istnień; no i matka, Elizabeth Devere, stanęła twarzą w twarz ze zbójem, który celował w jej syna. Historia jej rodziny obfitowała w wydarzenia pełne heroizmu.

Cóż więc ona robi na podłodze powozu, pozwalając, by byle rzezimieszek wbijał but w jej pierś?

Koła powozu wjechały w dziurę i Rosamunda zadzwoniła zębami jak kastanietami. Miarka się przebrała.

- Puść mnie ty... ty śmieciu - warknęła i zaciśniętą pięścią zepchnęła z siebie nogę Maitlanda.

Zdumiała się, bo nie zareagował.

Dopiero po chwili wycelował w nią pistolet.

- Zostań na ziemi - nakazał.

W jego głosie i oczach nie było nawet cienia uśmiechu. Mylnie uznała, że się z niej śmieje. On nie ma poczucia humoru, a zmarszczki wokół oczu to wcale nie są zmarszczki śmiechu. To są zmarszczki, które powstały od mrużenia oczu w ten nieprzyjemny sposób, mający przerazić ofiary.

Zresztą to działa.

Podparła się rękami i usiadła, ale pamiętając o pistolecie, pozostała na ziemi, jak jej kazał.

Maitland najpierw zagryzł dolną wargę, a potem powiedział:

- Zaczynj od początku i wyjaśnij szczegółowo, co cię sprowadziło do Newgate.

Zwlekąła z odpowiedzią, udając, że niby zbiera myśli, a w rzeczywistości nadśluchiwała, czy ktoś jedzie jej na pomoc. Ulice Londynu powinny być pełne milicji. Dlaczego więc nikt nie zatrzymuje powozu księcia? Przecież jego herb widnieje na drzwiach. I dlaczego narowiste konie papy nie opierają się, choć są prowadzone tylko przez jednego woźnicę? I dlaczego...

- Czekam, lady Rosamundo.

Podniosła wzrok.

- Za moimi odwiedzinami w Newgate nie kryje się nic podejrzanego - zaczęła. - Moja przyjaciółka, pani Tracey, poprosiła mnie, bym jej towarzyszyła. Było jej pana żal. Uważa, że jest pan niewinny. Chciała to panu powiedzieć i podarować kosz ze smakołykami, by rozjaśnić panu ostatnie godziny życia.

- Ale pani mnie nie żałowała, lady Rosamundo, prawda?

- Och, żałowałam, dopóki pana nie poznałam.

Teraz się uśmiechnął, ale nie był to przyjemny uśmiech. Raczej przerażający, tak jak pistolet w jego ręku.

- Mógłbym pani uwierzyć, gdybym nie widział, że dała pani komuś znak, żeby do mnie strzelił.

- Jaki znak?

- Upuściła pani torebkę. To wtedy ktoś do mnie strzelił.

- Co upuściłam? Torebkę? Przecież zgubiłam też but, szal i czepeczek. Czy to także były sygnały, by pana zabić?

Znowu to robił - gryzł dolną wargę - a jej znowu się wydało, że się z niej śmieje. Czowała, że nie wytrzyma i zaraz skoczy mu do gardła, nie zważając na to, że celuje w nią z pistoletu.

Maitland odchrząknął.

- Ale pani mnie rozpoznała. Widać to było w pani oczach. Wtedy właśnie dała pani znak.

Ten człowiek nie tylko jest szalony, jest także głupi.

- Miał pan zostać powieszony - powiedziała powoli i cierpliwie. - Po co ktoś przy zdrowych zmysłach miałby pana zabijać, jeśli za dzień dokonałby tego królewski kat? Gdyby powiesili pana wczoraj, nie doszłoby do tego wszystkiego. Byłabym w Twickenham. Poza tym ja wcale pana nie rozpoznałam. Przynajmniej na początku. Zresztą, w jaki sposób, skoro nigdy przedtem pana nie widziałam? Po prostu wydał mi się pan jakiś inny niż reszta strażników, to wszystko. A kiedy strażnik krzyknął, że pan zbiegł, dodałam tylko dwa do dwóch.

Maitland zmarszczył czoło.

- Inny niż reszta strażników? Dlaczego oni nic nie zauważyli, tylko pani?

Nie zamierzała mu tłumaczyć, że jest to związane z faktem, iż jest kobietą - że uderzyła ją jego męskość, dumna postawa i szerokie ramiona. Wtedy dopiero by się z niej śmiała.

- Ponieważ - zaczęła - miał pan niespokojny wzrok. Wystarczyło na pana spojrzeć, żeby wiedzieć, że jest pan zabójcą.

Wypowiedziała te słowa, zanim zdążyła się nad nimi zastanowić. Zdrętwiała, oczekując, że zaraz na nią napadnie, ale on tylko westchnął. W końcu powiedział:

- Zacznijmy jeszcze raz. Niech mi pani opowie o swojej przyjaciółce, pani Tracey. Proszę niczego nie ukrywać. Chcę wiedzieć, dlaczego zjawiała się pani w mieście i dlaczego córka księcia poniża się odwiedzinami u skazańca. Lepiej niech pani mówi przekonywająco, bo inaczej marnie pani skończy.

Jego stanowcze spojrzenie i zimne błyski w oczach zapewniały ją o tym, że pożałuje, jeśli będzie kłamała. Cóż, nie musiała kłamać, ale ten człowiek jest tak szalony, że i tak nie odróżni prawdy od kłamstwa, nawet gdyby przekazał mu ją



sam Pan Bóg. Jest obsesyjnie podejrzliwy. Mogłaby się założyć, że przed położeniem się do snu sprawdza wszystkie szafy i zagląda pod łóżka.

Powędrowała spojrzeniem do okna. Z miejsca, w którym siedziała, niewiele mogła zobaczyć, ale wiedziała, że ciągle przemierzają się po mieście, bo koła nadal turkotały na kocich łbach. Dokąd jadą? Co z nią zrobią, kiedy dotrą do celu? Maitland nie będzie chyba chciał jej przetrzymywać, bo przecież jest dla niego tylko ciężarem.

Zaczęła wymyślać, co mógłby jej zrobić, sądząc, że od tych dywagacji wpadnie w panikę, ale tak się nie stało. Nie wiedziała dlaczego, lecz nie bała się teraz tego człowieka nawet w połowie tak bardzo jak wtedy, gdy ją ścigał. Nadal wyglądał groźnie, ale wyczuwała w nim coś, czego nie umiała nazwać. Intuicja podpowiadała jej, że albo jego podejście do niej złagodniało, albo Maitland tylko ją straszy.

Gdy dotrą do celu, puści ją wolno, zapewniała samą siebie, w duchu i z tym przekonaniem rozpoczęła swoją opowieść.

- Zaczęło się od księcia Michaela z Kolnbourg.

Pół godziny później Rosamunda, zaciskając zęby, wyzywała się w duchu od idiotek za to, że myślała, iż Maitland zaczął ją łagodniej traktować. On i jego koszmarnie brzydki pomocnik siedzą sobie wygodnie w powozie jej ojca, rozstrzygając, co mają dalej robić, a jej każą leżeć ze związanymi rękami pod jakąś cuchnącą łodzią, gdzieś za Londynem, na brzegu Tamizy.

Dobrze, że przewrócona łódź przynajmniej osłania ją przed deszczem.

Nie zastanawiała się już, czy Maitland ją zabije, czy nie. Teraz rozmyślała, kiedy i w jaki sposób to zrobi. Wrzący olej i zrywanie paznokci nie zaspokajały już jej potrzeby zemsty. Zapłaci jej, przysięgała sobie chyba po raz setny, za każde poniżenie, które musiała znieść. Było jej zimno, czuła głód, a najgorsza była

świadomość, że jeśli Maitland wkrótce się nie pojawi, to pęknie jej pęcherz. Obrzydliwy, wstrętny typ! Co, och, co go tam tak długo zatrzymuje?

A wstrzymywał go ciernisty problem w postaci lady Rosamundy Devere. Co z nią zrobić?

- Nie chcę ciągnąć jej z nami za żadne skarby - oświadczył Richard. - Sprowadza same kłopoty. Jeśli szybko nie wróci do ukochanego papy, ten zmusi premiera do wysłania za córką całej armii. Nie żartuję, Harper. Księżę posiada taką władzę.

- A czyja to wina? To ty chciałeś wziąć ją jako zakładniczkę. Mogliśmy zostawić ją w Newgate.

- Sądziłem, że może coś wiedzieć.

- Na jaki temat? Przecież miałeś zawisnąć, czyż nie? Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć cię zabić, skoro wystarczyłoby poczekać do następnego dnia?

Richard uśmiechnął się i w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

- To samo powiedziała ona.

- I miała rację. Zdaję się, że Newgate zrobiło ci z mózgu papkę.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Harper przekazał szefowi otwartą butelkę brandy. Znaleźli ją w schowku pod siedzeniem, razem z zestawem srebrnych kubków, srebrnym dzbankiem i ciepłymi wełnianymi kocami.

Po wypiciu kilku łyków Richard zwrócił mu butelkę. Może i Newgate pomieszało mu zmysły. W tej chwili własne podejrzenia wydawały mu się absurdalne. Rosamunda nie udawała zdumienia tym, że jej uporządkowane życie tak nagle wywróciło się do góry nogami. Jest naprawdę zaszokowana i zła. A winą za wszystko obarcza jego.

Na usta wyplął mu słaby uśmiezek, bo przypomniał sobie jej obraźliwe słowa. „Gdyby powiesili pana wczoraj, nie doszłoby do tego wszystkiego”.

Harper ma rację. Nie było żadnego spisku. Kiedy padł strzał, Richard pomyślał, że jego wrogowie w jakiś sposób dowiedzieli się, że planuje ucieczkę, i postanowili jej zapobiec. Nie zamierzał zwierzać się z tych podejrzeń pomocnikowi, ponieważ oprócz niego samego tylko trzy osoby wiedziały o ucieczce - Harper oraz Hugh i Abbie Templar, jego oddani przyjaciele. Byliby obrażeni, gdyby się dowiedzieli, że podejrzewał któreś z nich o zdradę.

Boże, był zmęczony, a rana po nożu piekła go jak ogień. Niedaleko od miejsca, w którym się znajdowali, czekała na nich mała chatka, w której Hugh zostawił najniezbędniejsze rzeczy - ubranie na zmianę, pieniądze, jedzenie i inne drobiazgi.

Według planu, mieli się ukryć w chacie i wymknąć z niej dopiero po zapadnięciu zmroku. Potem mieli się spotkać z Hugh w Lavenham, zmienić konie i upewnić go, że wszystko dobrze poszło. Ale tak było, zanim postanowił pojmać lady Rosamundę.

Pokręcił się w miejscu i zmienił pozycję, by zmniejszyć ból w klatce piersiowej.

- Proponuję, żebyśmy zostawili ją na jakiejś opuszczonej drodze - rzekł. - Sama dotrze do domu.

Harper podrapał się po brodzie.

- O tak, już to widzę. Zostawimy ją na opuszczonej drodze, gdzie napadną na nią złodzieje albo inne zbiry, a wtedy jej kochający ojciec nie będzie marzył o niczym innym, tylko o tym, żeby ci serdecznie podziękować.

- Masz lepszy pomysł?

- A właśnie że mam. Wiemy, że księżę wyśle za nami pościg. Będzie szukał swojego powozu. Zaciągnę ich w ślepą uliczkę, a potem pozbędę się powozu i koni, zdobędę świeże wierzchowce i wrócę po ciebie i lady Rosamundę.

- A co ja mam z nią robić w tym czasie?

- Ukryjcie się w chacie i odpocznicie.

Richard odwrócił się do Harpera i popatrzył na niego ostro.

- Może to ty ukryj się z nią w chacie, a ja pojedę?

Harper roześmiał się.

- Wygląda na to, że boisz się tej dziewczyny. Co ona może ci zrobić?

- Popatrz na mój przypalony wystrzałem płaszcz, a będziesz wiedział.

- I to wszystko? Mnie o mały włos nie odstrzeliła tyłka. Gdyby nie to, że konie się zerwały, pozbawiłaby mnie męskości.

Ramiona Richarda zaczęły drgać. Znowu zmienił pozycję.

- Mimo wszystko uważam, że to ja powinienem pojechać.

- Nie, bo jeśli cię złapią, zawisniesz. Poza tym nie dasz sobie rady z końmi księcia. Nie pamiętasz już, że byłem woźnicą pana Templara? Jeśli potrafisz powozić tymi bestiami, potrafisz wszystko.

Richard rzeczywiście zapomniał, że Harper był niegdyś woźnicą. Żołnierz, szpieg, woźnica, ochroniarz - kariera zawodowa Harpera była bogata. Wszyscy trzej służyli niegdyś w Służbach Specjalnych. Teraz Hugh przeszedł na emeryturę, jemu grozi stryczek, a Harper jest zbiegiem. Piękny koniec wspaniałych karier! A przecież premier zarzekał się, że jest im winien dozgonną wdzięczność za oddaną służbę.

No więc gdzie jest ten premier, kiedy go potrzebują?

- No jak, zgadzasz się? - zapytał Harper. - Ja biorę powóz, a ty dziewczynę.

Richard zaczynał się czuć jak rozkapryszone dziecko, ale naprawdę nie uśmiechało mu się zostawać z Rosamundą. Jest pomysłowa i trudno ją upilnować. Był w takim stanie, że nie wiedział, czy da sobie z nią radę.

- Jest niebezpieczna - zaczął - i...

Harper wyrzucił ręce w powietrze.

- Byłeś najlepszym agentem Jego Królewskiej Mości, tak? Jeśli boisz się jednej niedoświadczonej dziewczyny, to mnie pozostaje tylko powiedzieć: Boże miej w opiece Anglię!

- W porządku! - Richard westchnął z rezygnacją. - Wracaj do nas z końmi. Ale co będzie z nią?

- Po zmroku zawieziemy ją do mamy Danby i powiemy jej, żeby wypuściła ją dopiero z rana. My wtedy będziemy już daleko.

- Kto to jest ta mama Danby?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Och, prowadzi porządny dom. I jest amazonką, tak jak lady Rosamunda. Tak więc pozbędziemy się kłopotu. - Odwrócił głowę. - Co to było?

- Lady Rosamunda - stwierdził Richard. - Rozpoznałbym jej głos wszędzie.

Harper uśmiechnął się złośliwie.

- Lepiej już ruszę.

Wyskoczyli z powozu. Kiedy Harper znalazł się na miejscu dla woźnicy, Richard powiedział:

- Powodzenia i uważaj na siebie.

Harper popatrzył na odwróconą łódź, od której dobiegały wyrzekania.

- Pamiętaj, że to dama - upomniał szefa i strzeliwszy batem, puścił do niego oko, po czym odjechał.

Richard pod jedną pachę wetknął butelkę brandy, naładowany pistolet trzymał w drugiej ręce, a na głowę zarzucił koc, który miał go chronić przed deszczem. Zdusił westchnienie i ruszył w stronę odwróconej łodzi.

## *Rozdział 4*

Pęcherz nie pękł, choć Maitland pojawił się w ostatnim momencie. Rozwiązał Rosamundę i wskazując na kępę krzaków, kazał jej się pospieszyć. Nie musiał dwa razy tego powtarzać. Zachowując resztki godności, pokuśtykała w stronę krzaków, gdzie zajęła się pilnym problemem. Dopiero potem pomyślała o innych sprawach.

Słyszała, że powóz odjechał, co znaczyło, że ma do czynienia tylko z Maitlandem. Mogłaby uciec i skryć się gdzieś, czekając zmroku. Sądziła, że nie odjechali daleko od Londynu. Wprawdzie poruszali się bocznymi drogami, aby uniknąć rogatek, ale wiedziała, że dość niedawno przejeżdżali przez wieś. Mogłaby...

- Co ty jesteś, wół? Wystarczy tego. Wracaj tu, albo pójde po ciebie, nieważne, czy już skończyłaś, czy nie.

Zrobiłby to! Nie ma w nim ani krzty delikatności. Też coś, wó! Najpierw amazonka, teraz wó! Nikt nigdy tak niegrzecznie się do niej nie zwracał. Gdyby ojciec tu był, kazałby zakuć Maitlanda i wrzucić do lochów zamku Devere. Miała ochotę mu to wszystko wykrzyczeć, ale nie było czasu. Musiała wykorzystać okazję. Teraz albo nigdy.

Pojawił się przed nią nagle i cicho jak pantera, a ona stała i gapiła się głupkowato. No, ale nie była taką skończoną idiotką. Miała jeszcze tyle zdrowego rozsądku, żeby rzucić za siebie but. W ten sposób zostawiła po sobie ślad pościgu.

- Chodź! - rozkazał. - I zabierz ten but.

Zacisnęła pięści i wystawiła do przodu brodę, ale jedno spojrzenie na odpychającą twarz kazało jej zastanowić się, czy warto w tej chwili porywać się do walki, którą z pewnością przegra.

Urażona duma bardzo jej jednak doskwierała. Maitland był tak nieznośnie pewny siebie i rozkazywał jej, jakby była jego lokajem. Nie chodziło zresztą tylko o dumę; wzburzał ją też jego egoizm. Sam okrył się przed deszczem kocem, który przecież wykradł z powozu jej ojca, a ona nasiąka wodą jak gąbka.

Pocieszała się, że mogłoby być gorzej. Nie wolno jej zapominać, że Maitland jest mordercą, więc ją także może zabić i nic na tym nie straci.

Kiedy wyszli z krzaków, wskazał ręką drogę, którą mieli iść. Rosamunda aż się wzdrygnęła. Ścieżka przed nimi wyglądała jak zwykłe bagniste grzęzawisko z kępami krzaków po bokach. Wspaniałe miejsce na ukrycie ciała. Jej ciała!

Poczuła dotyk ręki na ramieniu i odskoczyła, ale pośliznęła się na błocie i ciężko usiadła w sam środek kolczastego krzewu.

- Na rany boskie! - krzyknął poirytowany Maitland. - Coś ty myślała, że co ci zrobię? - Popatrzył na nią ostro i potrząsnął głową. - Gdybym chciał cię zabić, zrobiłbym to wtedy, kiedy poszłaś w krzaki. Czy ty nie masz rozumu, kobieto? Nie ruszaj się, aż wyciągnę ci z sukni te kolce.

Wepchnął pistolet za pasek spodni, butelkę brandy odstawił na ziemię i zabrał się za oczyszczanie jej odzieży. Siedziała przed nim z podkurczonymi kolanami, a deszcz oblewał ją strugami, jakby była pod wodospadem. Czy to wczoraj marzyła jej się jakaś przygoda? Jeśli to ma być żart Pana Boga, to wcale nie była nim rozbawiona. Wręcz przeciwnie, aż kipiała ze złości na taką niesprawiedliwość. Nie winiła Boga, skądże znowu. Tylko jeden człowiek, a mianowicie Richard Maitland, był wszystkiemu winien.

Oczyściwszy ją z kolców, wyprostował się i jeszcze raz uważnie jej się przyjrzał.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Czy dobrze się czuję? - powtórzyła uprzejmie. - Dziwię się, że pan pyta. Nie ma nic miłszego, niż mieć pistolet wycelowany w głowę, być porwaną i rzuconą w krzak jeżyn, no i moknąć w strugach deszczu w jakiejś dziczy.

- Sama upadłaś - przypomniał i podniósł butelkę.

Czyżby zobaczyła uśmiech na jego twarzy? Ogarnęła ją wściekłość i zanim pomyślała, co robi, mocno pchnęła Maitlanda nogą, tak że wraz z kocem i butelką brandy poleciał w krzaki. Nim zdążył wypluć z siebie pierwsze przekleństwo, zerwała się i pobiegła błotnistą ścieżką w stronę łodzi. Poleciała na twarz, ale nie dała za wygraną i nadal ścisnęła w ręce ten swój głupi but. Leżała na ziemi i czekała. Maitland podszedł, pochylił się i podniósł ją, ciągnąc za ramię.

- Zaczynij zachowywać się rozsądnie, bo inaczej...

Celowwała w twarz. Maitland uniósł łokieć, by się ochronić przed uderzeniem, i niechcący walnął ją nim w szczękę.

- Cholera jasna! - mruknął, łapiąc Rosamundę w ramiona, gdy zaczęła osuwać się na kolana.

Ścieżka wiodła do jednoizbowej opuszczonej chaty. Richard z trudem wniósł Rosamundę po schodkach i położył na łóżku. Dyszał z wyczerpania. Dwa tygodnie w Newgate nie dodały mu krzepy, a przecież jeszcze musiał taszczyć tę amazonkę po całym więzieniu, no i teraz do chaty. Rana w piersi coraz silniej pulsowała bólem.

Odsunął się od łóżka i dobrze przyjrzał leżącej na nim dziewczynie. Gazety nazywały ją doskonałą księżniczką. Cóż, w tej chwili księżniczka wyglądała tak, jakby wyszła z balii.

Jak do tego wszystkiego doszło? Przez przypadek, oczywiście, choć nie sądził, by lady Rosamunda zechciała mu uwierzyć. Nigdy w życiu nie uderzył kobiety. Chciał tylko, żeby zachowała spokój do czasu, aż będą mogli się rozstać.

Sięgnął po wyleniały koc leżący w nogach łóżka i przykrył nim dziewczynę, by tkanina wchłonęła nieco wilgoci. Potem przeszedł do kredensu stojącego przy ścianie, gdzie znajdował się też kominek. Kiedy się przekonał, że wszystko jest tak, jak miał nadzieję zastać, podziękował w myśli przyjacielowi. Hugh Templar zostawił mu wszystko, czego potrzebuje uciekinier - świeżą zmianę odzieży, pełny portfel, lekarstwa, opatrunki, brzytwę, jedzenie i butelkę brandy, która zastąpi mu tę utraconą.

Na stole przed kominkiem stały dwa cynowe kubki. Napełnił jeden z nich i upił spory łyk, po czym wrócił do łóżka. Uniósł głowę Rosamundy i wlał jej w usta kilka kropel trunku. Na szczęście piła bez oporu. Kiedy zamrugła i poruszyła się, odetchnął z ulgą. Nic jej nie będzie.

Nie mógł powiedzieć tego o sobie. Głowa mu pękała, mięśnie bolały. Jeśli nie weźmie się w garść, zmęczenie go pokona, a przy tej dziewczynie może się to skończyć fatalnie.

Pomyślał, że powinien zmienić opatrunek, ale uznał, że nie jest to odpowiedni moment, zwłaszcza w chwili, gdy Rosamunda odzyskuje przytomność. Poczekaj na powrót Harpera. Dwóch mężczyzn z pewnością da sobie radę z jedną kobietą. Dwóch mężczyzn, i to jakich. Najlepszych szpiegów Służb Specjalnych i Jego Królewskiej Mości, przynajmniej tak uważa Harper.

Potrząsnął głową. Lady Rosamunda nie jest zwyczajną kobietą. Inna niewiasta na jej miejscu zamieniłaby się ze strachu w galarete, ona jednak się nie ugięła. Nawet gdy jest przerażona, potrafi zachować przytomność umysłu. Stawiła czoło uczestnikom rozruchów i strzelaninie w Newgate, próbując mu umknąć, a kilka minut temu zaatakowała go zwykłym butem. Gdyby była mężczyzną, a on nadal szefem Służb Specjalnych, z miejsca zaoferowałby jej pracę.

Uśmiechnął się na tę myśl, ale zaraz spowaźniał, bo spojrzał na Rosamundę. Cienki koc przywarł do jej mokrego ciała, podkreślając kobiece kształty. Była wysoka, ale proporcjonalnie zbudowana. Zauważył to już w sali odwiedzin. Teraz, gdy mógł swobodnie się jej przyglądać, znalazł następne szczegóły godne podziwu: gęste ciemne włosy, piękne łuki brwi i delikatne rysy twarzy. I pełne usta.

Gdy zdał sobie sprawę, że wgapia się w nią jak sroka w gnat, nabrał głęboko powietrza. Ta kobieta jest niebezpieczna! Nie wolno traktować jej łagodnie ani pożądać, bo zbyt wiele można stracić. Ona musi się go bać. Tylko wtedy będzie mu



posłuszna.

Niestety, nie czuł się w tej sytuacji komfortowo. Nie tego uczyła go matka, gdy był mały. Kobiety to słabsza płeć. Mężczyzna wykorzystujący swoją przewagę jest zwykłym brutalem. Poza tym ta akurat kobieta niczemu nie była winna. Popełniła tylko jeden błąd: znalazła się w złym miejscu o nieodpowiedniej porze.

No, no, takie myślenie może go znowu posłać do Newgate i na szubienicę.

Ona musi się go bać.

Po tej otrzeźwiającej myśli ściągnął z siebie mokre ubranie, wytarł się ręcznikiem, po czym szybko narzucił suche odzienie.

Uprzytomniała zupełnie i dopiero wtedy poczuła pulsujący ból szczęki i piekący smak brandy w ustach. Leżała na łóżku, ale wiedziała, że nie jest u siebie. Materac był taki nierówny i niewygodny. Słoma, Maitland... nagle wszystko do niej dotarło. Uniosła się.

Maitland stał przed kredensem obok poczerniałego kamiennego paleniska. Powiodła wzrokiem dalej i zobaczyła mały stół oraz dwa drewniane krzesła; poczerniałe garnki i naczynia na półce; małe okienka po obu stronach drzwi. Jednoizbowa chata wyglądała na opuszczoną i niezamieszkaną.

Odsunęła koc i spuściła nogi na podłogę. Głowa jej pękała. Maitland wyprostował się i podszedł do niej. Był czysty, w co trudno jej było uwierzyć. Zanim zemdląca, był utyłany błotem. Umył się i przebrał, ale to nie wszystko. Jakoś też wyprzystojniał. Zdaje się, że się uczesał. Z twarzy znikł mu ten złowieszczy wyraz. Nagle pojęła, skąd ta zmiana. Ogolił się.

Nienaganny wygląd prześladowcy tym bardziej uzmysłowił jej, w jakim ona jest stanie. Ubłocona, mokra suknia przywierała do ciała jak stara szmata.

Rosamunda wstała, patrząc gniewnie na kroczącego w jej stronę Maitlanda. Widząc jej minę, skinął głową.

- Nie zmuszaj mnie, żebym znowu musiał użyć siły - ostrzegł.

Nie mogła znieść tego jego groźnego spojrzenia. Pragnęła odwrócić wzrok, ale duma jej na to nie pozwoliła. Pewnie nic bardziej by go nie ucieszyło, jak widok strachu w jej oczach.

- Wiem, że potrafisz być brutalny - odrzekła, dotykając obolałej szczęki.

Wymamrotał coś pod nosem, przecesał dłonią włosy i cofnął się o krok.

- Niech mnie pani posłucha, lady Rosamundo. Jeśli będzie się pani zachowywała jak należy, nic się pani nie stanie. Harper wkrótce wróci z końmi, odwieziemy panią do pewnej gospody i dalej z Harperem pojedziemy swoją drogą. Zanim się pani obejrzy, znowu będzie pani ze swoją rodziną.

Zaczynała powoli rozumieć całą sytuację. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by znaleźć tę opuszczoną chatę i zaopatrzyć ją w to, czego Maitland potrzebował do ucieczki. Chata jednak jest tak zniszczona, że to oczywiste, iż nie jest celem podróży, a tylko przystankiem do nabrania sił i przekonania się, czy droga jest wolna.

Powiedział, że Harper wkrótce zjawi się z końmi i odwiezą ją do jakiejś gospody. Gdybyż mogła w to uwierzyć!

- Znalazłem dla pani suchą odzież na zmianę - powiedział. Podszedł do kredensu i po chwili wrócił z naręczem ubrań.

- Należą do Harpera, ale wystarczą, dopóki nie wyschnie pani suknia. I buty. Też należą do Harpera. Ma dość małe stopy.

Było jej straszliwie zimno i z chęcią przebrałaby się nawet w szmaty, ale nie podobał jej się pomysł wykradania odzieży Harperowi. Bała się go prawie tak samo jak Maitlanda.

Poza tym w grę wchodziło coś jeszcze.

Nie odpowiadała, więc Maitland zaczął się denerwować.

- Pięć minut - powiedział. - Daję pani pięć minut. Potem wracam i jeśli nie będzie pani przebrana, sam to zrobię. I proszę nie marzyć o ucieczce. Będę stał zaraz za drzwiami. Usłyszała mnie pani, lady Rosamundo? Lepiej, żeby była pani w suchym ubraniu, kiedy znowu pojawię się w tych drzwiach.

- Nie - odrzekła.

Ogarnęła go złość.

- Jest pani przemoczona. Szczęka pani zębami. Nie pozwolę, żeby nabawiła się pani zapalenia płuc. Zrozumiano?

- Doskonale. To pan niczego nie rozumie.

- Więc proszę mnie oświecić, madame.

Wzruszyła lekko ramionami.

- Nie rozbiore się bez pomocy pokojówki.
- Bez pomocy...
- Pokojówki.

Zapadła cisza. Na policzkach Rosamundy ukazały się dwie czerwone plamy. Patrzyła na Maitlanda wyzywająco, czekając, że się roześmieje. Uniósł brwi ze zdumieniem, ale w końcu pojął, o co chodzi. Nie może sama się rozebrać, ponieważ, jak sobie przypominał, guziki sukni ciągną się z tyłu od karku do pasa.

- Zastąpię pokojówkę - rzekł.

Zesztywniała.

- To nie będzie potrzebne. Wystarczy, że da mi pan nóż albo nożyczki.
- Nóż albo nożyczki?

Skinęła głową.

- Czy ja wyglądam na szaleńca? Proszę się odwrócić. Zastąpię pokojówkę.

Rosamunda szeroko otworzyła oczy, a Maitland, widząc to, naprawdę się wściekł. Wiedział, co jej przyszło na myśl.

- Litości, Boże! Nie sądzi pani chyba, że mam wobec niej jakieś niecne zamiary? Gdyby mogła się pani zobaczyć w lustrze, wiedziałaby pani, jaki to śmieszny pomysł. A teraz niech się pani obróci.

Rozdęła delikatny nosek, ale go posłuchała.

Guziczki okazały się malutkie, a jego palce były sztywne jak kołki. Uznał, że przy tym tempie będzie tu stał do sądnego dnia. Rozzłoszczony, mocno szarpnął. Guziki posypały się na kamienną posadzkę i poturlały pod stół i łóżko. W rozdarciu pokazały się kremowe ramiona oraz zadziwiająco wąska talia, którą mógłby objąć dłońmi.

O czym on, do diabła, myśli?

- Pięć minut - warknął i opuścił izbę.

Poczekwała, aż drzwi się za nim zamkną, szybko pozbyła się sukni i pończoch, a koca użyła jako ręcznika.

- Gdyby tylko zobaczyła pani siebie w lustrze - powiedziała, naśladowując ton

głosu Maitlanda. Cóż, z niego też żaden Romeo. Nie potrafi nawet rozpiąć kobiecie sukni. Nie dziwiło jej to.

Jaka kobieta przy zdrowych zmysłach zechciałaby Richarda Maitlanda? Ona z pewnością nie. Nawet jego kochanka go nie chciała. Biedna Lucy Rider.

Gdyby tylko mogła zobaczyć się w lustrze! A czego on oczekuje po tym, co przeszła? Ojciec twierdzi, że z niej prawdziwa piękność. Oczywiście, ojciec przesadza, ale też nie jest taką wiedźmą, jak twierdzi Maitland.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak ją zabolowały jego słowa. No to co, że mu się nie podoba. Tym lepiej. Jedno zmartwienie mniej.

Bieliznę też miała przemoczona, ale nie mogła zdjąć koszuli, zanim nie pozbędzie się gorsetu, a był zasznurowany na plecach. Zmagła się ze sznurówkami, aż rozbolowały ją palce, ale w końcu zdołała się rozebrać. Zastanawiała się, jak dają sobie radę zwykłe kobiety.

Włożyła białą koszulę, która zakryła jej kolana. Nie dbała w tej chwili o elegancję. Najważniejsze, że ubranie jest suche, i to się liczy, a nie opinia Maitlanda. Ciemne spodnie leżały nie lepiej niż koszula; za szerokie w pasie, za długie nogawki, zwisające z tyłu. Cieszyła się nawet, że w tej chatynce nie ma lustra, bo pewnie by je zbiła, a przecież nie powinna prowokować więcej złego losu.

Wkładając buty, zastanawiała się, czy Maitland dawałby jej świeże ubrania, gdyby chciał się jej pozbyć. Cóż, musi czekać...

Czy może mu zaufać? Czy powinna?

Oczywiście, że nie, uznała w duchu, pochylając się, by podwinąć nogawki. Przy skłonie odezwał się ból w szczęcie.

Sięgała po ostatnią część garderoby, niebieską kurtkę, kiedy w drzwiach pojawił się Richard. Obydwoje zamarli. On dlatego, że spodnie Harpera ujawniły długie nogi Rosamundy, co natychmiast w niezdrowy sposób pobudziło jego wyobraźnię.

Ona z kolei, ponieważ Maitland wyglądał tak, jakby ktoś pchnął go nożem w plecy. Tylko czekała, że padnie przed nią na kolana.

Zmarszczył czoło i rzucił z irytacją:

- Nie może pani zrobić czegoś z włosami? A może do czesania także

potrzebuje pani pomocy pokojówki?

No cóż, to oczywiste, że potrzebuje Nan do ułożenia fryzury. Po to ma się służące. A gdyby nawet postanowiła obejść się bez nich, to co stałoby się z Nan? Nie miałyby pracy, a jej owdowiała matka i młodsi bracia i siostry musieliby dawać sobie radę bez jej zarobków. Maitland jest chyba zbyt tępy, żeby rozumieć, jak urządzone jest ten świat.

Przeszedł do kredensu, a ona w tym czasie palcami przeczesła włosy. Stanowiły jej największą ozdobę - gęste, jedwabiste i ciemne. Teraz jednak przypominały zabłocony gąszcz, a Rosamunda nie miała pojęcia, co z nimi zrobić, oprócz odrzucenia ich na plecy.

A poza tym dlaczego Maitland jest taki zły?

Kiedy odwrócił się od kredensu, w rękę trzymał kosz piknikowy. Postawił go na stole, po czym rozwiązał sznurek, którym kosz był przewiązany. Podszedł do Rosamundy. Aż podskoczyła, gdy nagle wyciągnął ręce do jej włosów.

- Nigdy nie spotkałem tak bezradnej kobiety - stwierdził. - Proszę się nie ruszać.

Zebrał włosy i przewiązał je sznurkiem. Potem wskazał na palenisko.

- Niech pani rozpali ogień, a ja przygotuję coś do jedzenia.

Spojrzała na stertę drewna na rozpałkę. Nigdy jeszcze nie rozpałała ognia, ale widziała, jak robią to inni. Pomyślała, że to nie może być trudne. Przeszukała wzrokiem gzyms kominka. Leżała na nim hubka z krzesiwem. Wystarczyło potrzeć krzesiwem o krzemień, żeby uzyskać iskrę, która podpali hubkę. Wtedy przysunie ją do drewna i gotowe.

- No już, proszę rozpalić ogień, to wysuszymy pani ubrania.

- Rozkazy, rozkazy, rozkazy - mamrotała do siebie, idąc do kominka. Ona nawet do służby tak się nie zwraca, żeby nie urazić ich uczuć.

Po kilku próbach krzesania ognia jej szacunek do pokojówek wzrósł niepomniernie. To nie było zadanie trudne. To było zadanie niewykonalne.

Richard Maitland podszedł do niej i wyrwał jej krzesiwo z rąk.

- Czy pani jest całkiem beзуżyteczna? - zapytał z rozdrażnieniem. - Gdyby musiała pani sama się wyżywić, umarłaby pani z głodu, jeśli wcześniej by pani nie zamarzała. Wy, damy z wyższych sfer... - Westchnął przeciągle. - Proszę się

przyglądać.

Patrzyła więc, jak pociera krzesiwem o krzemień. Czynność tę powtarzał wielokrotnie, ale bez efektu. W końcu skrzywił się.

- Pewnie hubka zamokła.

Chętnie uśmiechnęłaby się prosto w tę wściekłą twarz, ale szczeka zbyt mocno ją bolała. Uniosła więc brwi, jak robiła zawsze, gdy służba ją w czymś zawiodła.

- Znam to uczucie - powiedziała. - Mnie też brakuje służących. Szkoda, że nie ma tu Harpera.

Smakował jej każdy kęs pożywienia, choć nie było na czym go podgrzać ani też świec, które wprowadziłyby trochę przyjemnego nastroju do ponurej izby. Zarówno ona, jak i Maitland czuli się beznadziejnie. Wiele razy próbowali wzniecić ogień, ale w końcu dali sobie z tym spokój. Jej to nie przeszkadzało. Za całe ciepło wystarczyła jej rozwścieczona mina Maitlanda.

Nawet fakt, że przywiązał ją do krzesła, nie popsuł jej humoru. Ból w szczęce nieco ustąpił. Choć jedzenie było zimne, smakowało tak samo jak potrawy przyrządzane przez domowego kucharza. Poza tym z każdą minutą coraz mniej bała się swojego oprawcy.

Maitland, w przeciwieństwie do niej, stawał się coraz bardziej niespokojny. Nagłe wstał i powiedział, że idzie sprawdzić, co się dzieje. Martwił się czymś, o czym nie zamierzał z nią rozmawiać, lecz przecież miała oczy i czuła rosnące w nim napięcie. A im bardziej on się denerwował, tym ona czuła się spokojniejsza. Może ratunek już nadchodził.

- Wynosimy się stąd - oświadczył w końcu.

- Co? - Odłożyła widelec na stół. - Nie słyszałam przyjazdu Harpera.

- Bo nie przyjechał. Dlatego właśnie musimy się stąd wynieść. Znalezienie

koni nie powinno było zająć mu tyle czasu.

Nie wiedziała, czy to dobre, czy złe wieści, więc zapytała z wahaniem:

- Czy to znaczy, że mnie pan wypuści?

Krażył między kredensem a łóżkiem, pakując torby. Odpowiedział, nie patrząc na nią:

- Raczej nie. Sprowadziłaby tu pani milicję.

- Ale przecież mówił pan, że zawiezie mnie do jakiejś gospody i tam zostawi.

- Zrobiłbym tak, gdybyśmy mieli konie. Harper miał je tu sprowadzić. Bez niego plan się nie powiedzie. Musimy wymyślić coś innego.

Jeszcze chwilę temu czuła się z tym mężczyzną bezpiecznie, lecz teraz znowu nie wiedziała, na czym stoi. Jakby była na huśtawce. Raz w górze, raz na dole.

- A jeśli - zaczęła - przyrzeknę, że nic nikomu nie powiem?

Tym razem na nią spojrział.

- Dlaczego miałbym pani zaufać?

Uniosła dumnie brodę.

- Ponieważ nazywam się Devere.

Już chciał udzielić jej szorstkiej odpowiedzi, ale zmienił zamiar, gdy zobaczył wyraz jej twarzy. Rysowała się na niej duma z domieszką strachu.

To oczywiste, że jest przestraszona! Ma go za bezlitosnego oprawcę i wierzy, że jest mordercą. Nie wie, czego może się po nim spodziewać. To jasne, że przyrzeknie wszystko, żeby tylko się uwolnić.

Najbardziej zdziwiony był faktem, że rzeczywiście pragnął jej zaufać.

Odpowiedział łagodniejszym tonem:

- Nie mogę pani puścić, dopóki nie przekonam się, że nie zagraża mi już pościg, ale jeśli da mi pani słowo, że nie będzie próbowała ucieczki ani innych sztuczek, schowam pistolet i rozwiążę pani rękę.

Przez chwilę wyglądało na to, że chyba się zgodzi, ale potem potrząsnęła

przecząco głową.

- Słowo honoru dla każdego, kto nosi nazwisko Devere, to świętość - rzekła.  
- Czy pan uznaje jakieś świętości?

Jej słowa napełniły go goryczą. Całe życie poświęcił swojemu krajowi, a na koniec ojczyzna odwróciła się od niego. Nie rozumiał, dlaczego oczekiwał czegoś więcej od tej dziewczyny.

Nie ufała mu, ale to nie miało znaczenia, ponieważ on też jej nie ufał. Praktycznie sama mu to odradzała. W porządku. Tak więc znowu stanie się bezlitosnym oprawcą.

Uśmiechnął się kąśliwie.

- Moje życie to dla mnie świętość - rzekł. - I lepiej, żeby pani o tym pamiętała.

Odwrócił się, żeby kończyć pakowanie. Rosamunda odniosła dziwne wrażenie, że w jakiś sposób go zawiodła, ale to przecież nonsens. To ona jest tutaj niewinną stroną. Jej słowo jest coś warte. A Maitland to morderca. Jego słowo nie ma żadnej wartości.

Dlaczego więc czuje się tak, jakby go zawiodła?

- Co chce pan ze mną zrobić? - zapytała cicho.

- Coś wymyślę.

Po tej chłodnej odpowiedzi, wypowiedzianej tak niedbale, pojaśniało jej w głowie. Dotarło do niej jego ostrzeżenie. Jedyna rzecz, na której mu zależy, to jego życie i rzeczywiście lepiej się stanie, jeśli będzie o tym pamiętała.

Przełknęła ciężko ślinę, zastanawiając się, co ją czeka, a po chwili pomyślała o ojcu. Zapewne już wie, że została porwana, i szaleje ze strachu o nią. Podobnie bracia. Spojrzała na okno. Wkrótce zapadnie zmierzch. O zmroku ucieczka będzie łatwiejsza.



## Rozdział 5

Wieść o ucieczce Maitlanda z Newgate i o tym, że porwał lady Rosamundę, przeleciała przez Londyn z prędkością komety. W związku z rozruchami tego dnia odwołano wiele bali i bankietów, jednak w klubie dżentelmenów u White'a przy St. James było tłoczniej niż zazwyczaj. Znajdował się tu też pan George Withers i uważnie przysłuchiwał się relacji Charlesa Traceya z ucieczki Maitlanda. Tracey powiedział, że był w więzieniu z bratową, a co do lady Rosamundy, to twierdził, że uparła się, by im towarzyszyć. Withers, słuchając go, pomyślał, że Tracey bardzo się raduje faktem, iż stał się ośrodkiem zainteresowania, choć w całym wydarzeniu bynajmniej nie odegrał bohaterskiej roli. Pragnął zadać mu kilka konkretnych pytań, ale Traceya otaczało tylu ludzi, że nie był w stanie się do niego przedrzeć.

I dobrze, bo nie wiedział, czy zdołałby zachować spokój. Już i tak serce mu waliło i dość głośno oddychał. Ogarniała go nieopanowana wściekłość, a przecież za nic nie chciałby takim wybuchem zdradzić się przed bogaczami i arystokratami z White'a, którzy przyjęli go tu jak swojego.

Znali go jako George'a Withersa, Anglika, który zrobił fortunę w Karolinie Południowej, gdzie jest właścicielem wielkiej posiadłości. Referencje i rekomendacje były autentyczne. Rzeczywiście George Withers był jednym z przodujących obywateli Charles Town, nikt natomiast nie wiedział, że umarł on dawno temu, zanim osobnik, który się pod niego podszył, przeniósł się do Karoliny Południowej.

Cudem się opanował, uśmiechnął, po czym odsunął krzesło i stwierdził, że idzie do domu. Kilka osób skinęło głowami, ale żaden z panów siedzących przy jego stoliku nie starał się go zatrzymać. Byli zbyt zainteresowani opowiadaniem Traceya.

Mieszkanie Withersa przy Bond Street znajdowało się niedaleko klubu i krótki spacer nie wystarczył, by gniew zdążył opaść. Gdyby napotkał po drodze psa lub żebraka, wyładowałby na nich wściekłość, ale minął tylko strażnika nocnego, wyjątkowo potężnie zbudowanego mężczyznę, więc dotknął rąbka kapelusza.

Richard Maitland uciekł z Newgate, huczało mu w głowie. Richard Maitland uciekł z Newgate!

Nikt nie mógłby mu zarzucić, że nie docenia Richarda Maitlanda, ale ucieczka z Newgate to jest coś, co trudno sobie wyobrazić. Wszystko przez tę lady

Rosamundę. Tracey powiedział, że Maitland użył jej jako zakładniczki, a pomógł mu były ochroniarz.

Powinien był zabić Maitlanda, kiedy miał okazję, czyli wtedy, gdy wszedł do sypialni Lucy Rider. Ale to mu nie pasowało do planu. Chciał, żeby Maitland przeżył i został; publicznie upokorzony, a potem powieszony. Chciał wyrównać rachunki. Spiskował, intrygował, śnił o tym, że ma Maitlanda w garści - a teraz co?

Ale to jeszcze nie koniec. Jeszcze nie.

Wściekłość zaczęła ustępować, kiedy wyobraził sobie uciekającego Maitlanda, ściganego przez wszystkich, nawet księcia i Devere, pragnącego oswobodzić córkę. Maitland jest sam, bez przyjaciół, nikt mu nie pomoże - on, Withers, postarał się o to. Złapanie go to tylko kwestia czasu.

Nie bał się, że Maitland go odnajdzie, i sprawiało mu wielką radość, gdy sobie wyobrażał, jak człowiek, którego uważano za najinteligentniejszego agenta Służb Specjalnych Jego Królewskiej Mości, próbuje się domyślić, kto stoi za uknutym przeciw niemu spiskiem. Nigdy się tego nie dowie, nawet za milion lat.

Im dłużej myślał o Maitlandzie, kryjącym się w jakiejś brudnej norze, próbującym dojść, przez kogo znalazł się w takim położeniu, tym lepszy miał nastrój. Wchodząc do swojego mieszkania, znowu czuł się panem sytuacji. Z uśmiechem odprawił lokaja.

Poszedł prosto do biblioteki, nalał sobie spory kieliszek brandy i usiadł przy kominku, by się ogrzać. Spojrzał w wiszące nad gzymsem lustro i zobaczył w nich odbicie swoich oczu. Nikt, patrząc na niego, nigdy by nie powiedział, że jest zabójcą. Nie był przystojny, ale miał przyjemną, przyjazną twarz, taką, której ludzie ufają, zwłaszcza kobiety. Wyglądał też na starszego, ale to dobrze. Włosy miał przyprószone siwymi pasmami, a pod oczami głębokie zmarszczki, których nabawił się podczas srogich zim, gdy zajmował się handlem futrami na pustkowiach Kanady.

Nigdy nie musiałyby spędzić tych nieszczęsnych, ponurych lat w Kanadzie, gdyby nie Maitland.

Nagle przyszła mu do głowy zaskakująca myśl. Tylko dwie osoby w życiu mu nie ufały: ojciec i Richard Maitland.

- Nie zabiłem tego kotka, ojcze! Nie zabiłem! To był lis, a ja go przepłoszyłem. - Po policzkach spływały mu prawdziwe łzy.

Ojciec nie był do końca przekonany, ale wtrąciła się matka i uratowała

swojego niebieskookiego niewinnego chłopczyka.

Kobiety zawsze miękły w jego rękach - matka, żona, Lucy - uśmiechnął się na wspomnienie chłopca. To było coś innego. Nigdy wcześniej nie miał czeladnika; nigdy wcześniej nikt nie patrzył na niego z podziwem, zachwycony jego oszustwami i sukcesami. Sprawiało mu ulgę, że mógł wreszcie zdjąć maskę i pokazać prawdziwego siebie. A chłopiec był pojętym uczniem. Mieli przed sobą świetlaną przyszłość.

Maitland zaś wpływał na niego zupełnie odwrotnie. Od chwili, gdy się spotkali, czuł się w jego obecności nieswojo. Surowy Szkot, tak o nim myślał, ale chodziło o coś więcej. Maitland często mu się przyglądał, bez uśmiechu i życzliwości, a wtedy on milkł w pół zdania. Starał się zaprzyjaźnić z Maitlandem, zdobyć jego sympatię, on jednak ignorował każdy przyjazny gest.

Maitland nigdy się nie domyśli, że to on. Ma cechę, a raczej wadę, której on, Withers, nie ma. Kieruje się zasadami honoru, wprowadzie bardzo wysublimowanymi, ale jednak są to zasady. Maitland nie mógłby nikogo zamordować, a on tak.

Rozmyślał o różnych rzeczach, aż w końcu zatrzymał się przy przyjaciółach uciekiniera. Maitland jest bardzo ostrożny, i to akurat Withers w nim cenił. Szef Służb Specjalnych nie może sobie pozwolić na nawiązywanie bliższych znajomości z byle kim. Tylko Hugh Templar i Jason Radley jakoś się do niego zbliżyli. Withers wiedział, że Radley wyjechał do Paryża, zanim wokół Maitlanda zawalił się świat, i chyba nadal tam jest. A co do Templara, to ten opuścił przyjaciela, kiedy tylko zaczął się proces.

A może nie?

Po tej refleksji Withers uznał, że nie jest zbyt bezpiecznie stać na boku i czekać, aż władze same odnajdą Maitlanda. Nie miał do nich zaufania. Opieszala i niekompetentna, to słowa, których by użył do opisania królewskiej milicji, inaczej nigdy nie doszłoby do skazania niewinnego człowieka - Maitlanda - i puszczenia bezkarnie kogoś, kto był sto razy bardziej winny - czyli jego.

Pierwsze zabójstwo było dla niego szokiem, choć zaplanował je bardzo starannie. Dziwiło go, że każde następne morderstwo przychodziło mu coraz łatwiej. Łatwiej i przyjemniej. Nigdy wcześniej nie doświadczył podobnego uczucia, uczucia władzy. Kiedy zabijał, czuł się jak Bóg.

Odczuwał tę moc nawet teraz, kiedy myślał o zabijaniu. Ale nic się jednak nie może równać przyjemności, jaką odczuje, kiedy zobaczy Maitlanda wiszącego

na końcu sznura.

Ostrożnie, przestrzegł sam siebie. Jego nie jest tak łatwo zabić jak innych. Jest straszliwie podejrzliwy. Withersowi, dopóki nie spotkał Maitlanda, wystarczał spryt i urok osobisty. Po poznaniu Maitlanda nauczył się wykorzystywać także umysł. Musiał wszystko planować, zbierać fakty i brać pod uwagę, że istnieje szansa, bardzo nikła, ale jednak, istnieje, iż Maitland odkryje prawdę.

Wstał, słysząc głosy w korytarzu. Czekał już na swojego gościa i bardzo chciał poznać odpowiedzi na pytania, które krążyły mu po głowie. Gdzie są przyjaciele Maitlanda? Gdzie on sam może się ukrywać? Co teraz zrobi? Kim był mężczyzna, który pomógł mu w ucieczce?

I kto będzie przewodził ścigającej go grupie?

Harper oparł łokieć o bar, pociągnął z kufła spory łyk, po czym rękawem wytarł z ust pianę. Zaczynał sobie uświadamiać, że porwanie córki księcia nie było najmądrzejszym posunięciem szefa. Droga do Chelsea roiała się od żołnierzy. Zdażył przejechać milę lub najwyżej dwie, kiedy go zauważyli i zaczęli za nim pościg. Gdyby nie fakt, że powoził najlepszym i najszybszym ekwipażem, byłby teraz w drodze do Newgate. Na szczęście udało mu się porzucić powóz i schronić się w Cocked Hat.

Powóz księcia znaleziono dopiero po zapadnięciu zmierzchu, milicja jednak otoczyła gospodę, w której pełno było ludzi. Gościom kazano nie ruszać się z miejsc i czekać, aż zostaną przesłuchani. Trudno sobie wyobrazić większe zamieszanie, nawet gdyby porwano nie córkę księcia, lecz samego króla.

Ale mogło być gorzej, o wiele gorzej. W gospodzie mogły pojawić się jednostki Straży Konnej, a w jej szeregach przecież znajdują się agenci Służb Specjalnych. Któryś z żołnierzy mógłby rozpoznać Harpera i zabawa skończona. Na szczęście żołnierze pilnujący gospody pochodzą z Richmond i nie mają zielonego pojęcia, kim jest Harper.

Wcale nie zamierzał czekać, aż zaczną przepytować gości. Wprawdzie ufał swojemu wygadaniu i wiedział, że potrafi wykręcić się prawie ze wszystkiego, jednak oczekiwanie na swoją kolej mogłoby mu zająć zbyt dużo czasu. Musi zdobyć konie i wrócić do szefa. Posiedzi tu jeszcze trochę, a potem wywoła zamieszanie i zniknie jak kamfora.

Jeśli dopisze mu szczęście.

Wtem drzwi się otworzyły i do gospody weszło dwóch mężczyzn. Harper natychmiast zdał sobie sprawę, że dotarcie do szefa to najmniejsze zmartwienie. Odwrócił się plecami do wchodzących, żeby nie dostrzegli jego twarzy. Nie wiedział, czy go znają, czy nie, za to on rozpoznawał ich bez wątpienia. Wszyscy w Służbach Specjalnych ich znają, Digby i Whorsley. Choć agenci pracują pod jednym dachem i należą do Tajnych Służb Jego Królewskiej Mości, to jednak niektóre wydziały są tajniejsze od innych. Digby i Whorsley pracowali w Wydziale C, potocznie nazywanym Hiszpańską Inkwizycją. To szpiedzy szpiegujący szpiegów.

Zawsze wtykali nosy tam, gdzie najmniej je chciano oglądać. Pułkownik Maitland kilka razy przytarł im te wścibskie nosiska, Digby go nienawdził, ponieważ uważał, że Maitland popsuł mu opinię. Chciał go złapać, żeby Maitland mu za to zapłacił.

Harper kątem oka zobaczył, że dwóm mężczyznom towarzyszy jakiś oficer. Ciekawe, czy już odkryli chatę. W odpowiedzi na własne pytanie potrząsnął przecząco głową. O jej istnieniu wie tylko on, szef i pan Templar. Nikomu o niej nie mówili. Niemniej po znalezieniu powozu ci dwaj wiedzą już, że Maitland ukrywa się gdzieś w pobliżu.

Harper miał bardzo złe przeczucia.

- Popatrzcie! - zapiszczała jakaś kobieta. - Podprowadzili powóz księcia! I czy to nie sam książę i jego syn?

Goście rzucili się do okien. Harper miał ze swojego miejsca przy barze bardzo dobry widok. Książę wraz z synem stał tuż pod latarnią.

Tworzyli bardzo dziwną parę: ciemni jak Cyganie, uderzająco dumni. Na ich twarzach rysowało się coś jeszcze, nie arogancja, jednak coś pobliskiego, co wzbudzało szacunek. I właśnie z szacunkiem odnosili się do nich Digby i Whorsley, kłaniając się i łasząc, niczym para wyszkolonych psów.

- Żabojady - sarknął pod nosem Harper.

Drzwi się otworzyły i do środka weszli żołnierze.

- Jego Wysokość książę Romsey oferuje nagrodę w wysokości pięciu tysięcy funtów za informację, która pomoże odnaleźć jego córkę! - krzyknął jeden z nich.

Zapadła cisza, lecz zaraz potem rozległ się szum podnieconych głosów. Jeden z pilnujących drzwi żołnierzy zostawił swój posterunek, żeby uspokoić dwóch gości, którzy wdali się w poważną sprzeczkę. Na takie właśnie zamieszanie czekał Harper.

Przeszedł spokojnie do drzwi, pchnął je i zamarł, bo usłyszał swoje nazwisko.

- To przecież sierżant Harper! Jeden z nich!

Głos Digby'ego! A więc ten facet jednak go rozpoznał. Harper nie odwrócił się. Rzucił się korytarzem do tylnych drzwi i wypadł na podwórko gospody. Za nim pobiegła horda gości, każdy z zamiarem pochwylenia go, za co oczekiwali nagrody.

Kiedy wypadli na podwórko, żołnierze podnieśli broń.

- Tam jest! - zawołał Harper, podnosząc palec. - Tam ucieka!

Tego samego podstępu użył w Newgate i miał nadzieję, że tym razem też zadziała.

Odwiązał pierwszego z brzegu konia i wskoczył na niego. Rozległa się seria wystrzałów, ale żaden pocisk nie był skierowany w niego. Żołnierze celowali w kierunku, który im wskazał. Załadowanie na nowo broni zajmie im cenne sekundy.

Harper wbił piętę w brzuch konia i wypadł na drogę. Koło ucha przeleciała mu kula. Zawsze znajdzie się mądrała, który strzeli dopiero, gdy dobrze namierzy cel. Tak właśnie szkolił podwładnych sobie żołnierzy, więc nie powinien się skarżyć.

- Wstrzymać ogień! - krzyczał Digby.

- Za nim, idioci! - dołączył się Whorsley.

W tej chwili Harperowi nawet na myśl nie przyszło, by wracać do szefa. Wiedział, co musi zrobić; musi odciągnąć pościg jak najdalej od Maitlanda.

## *Rozdział 6*

Księżę zawołał Digby'ego i Whorsleya i nie czekając ani nie patrząc, czy za nim idą, wszedł do gospody. Kiedy właściciel wprowadził ich do oddzielnej izby i pokłoniwszy się, wyszedł, księżę wskazał krzesła.

- Proszę siadać - powiedział.

Digby i Whorsley wymienili się spojrzeniami, ale ponieważ obaj synowie księcia zasiedli za stołem, oni także przykucnęli na swoich krzesłach.

Księżę stał na środku pokoju na szeroko rozstawionych nogach, zaciskając i rozkładając dłonie. Był to wysoki mężczyzna o skroniach przyprószonych siwizną. Harperowi przypominał Cygana, ale w rzeczywistości nie miał ciemnej karnacji. Był po prostu opalony z powodu częstego przebywania na powietrzu. Miał sześćdziesiąt lat, choć zazwyczaj brano go za młodszego. Jednak w tej chwili wyglądał starzej. Na zatroskanej twarzy mocno rysowała się każda zmarszczka.

Jego synowie, lord Caspar i Justin, tak bardzo byli podobni do ojca, że nie ulegało wątpliwości, iż są spokrewnieni. Rosamunda nie odziedziczyła kwadratowej szczęki i orlego nosa ojca, ale miała jego szare inteligentne oczy, patrzące na świat czystym i myślącym spojrzeniem.

Po dłuższej chwili ciszy pierwszy odezwał się Caspar:

- Ojczy, usiądź.

- Co? - Księżę spojrział na starszego syna, starając się opanować, po czym zajął wskazane krzesło.

Jeszcze nigdy nie przeżywał takiej bezradności; zawsze panował nad sytuacją. W swoim czasie zastąpił z bohaterskich eskapad we Francji podczas rewolucji, o czym do tej pory krążyły legendy, ale ta sytuacja była inna. Przywróciła do życia ból, który odczuwał po śmierci żony. Ten ból wywoływał paraliżujący lęk. Zapomniał, że jego psychika bywa nader krucha, a przypomniało mu o tym dwóch obcych ludzi, Digby i Whorsley, gdy przybyli do jego domu z

wiadomością, że Rosamunda została porwana. Powiedzieli, że znaleziono jej powóz porzucony w okolicach Chelsea, a wtedy on, bez zastanowienia, wskoczył na konia i pojechał wraz z żołnierzami. Teraz chciał wysłuchać pełnej relacji o tym, co się wydarzyło.

Wiedział, że synowie, Caspar i Justin, są bezradni tak samo jak on. Przebywali w Londynie i tam odnalazło ich dwóch milicjantów i przekazało wieści. Zjawili się w Cocked Hat jeden po drugim w odstępie kilku minut.

Sama ich obecność wpływała na księcia uspokajająco, choć nie zawsze tak bywało. Caspar, spadkobierca, wbrew woli ojca walczył w kampanii hiszpańskiej i wrócił z tej wojny całkowicie odmieniony - stał się twardszy, co księżę po cichu w nim podziwiał, ale nie zawsze potrafił tolerować.

Justin, nie chcąc w niczym ustępować bratu, dołączył do niego w ostatnich tygodniach wojny. Ale doświadczenia Justina różniły się od przeżyć Caspara. Dla Justina wojna oznaczała blask chwały, dla starszego z braci natomiast długie lata spędzone w Hiszpanii były o wiele trudniejsze. Niemniej w obecnej chwili, w tej straszliwej katastrofie, księżę liczył na pomoc obydwu synów.

Rozumieli, że Maitland nie jest głupcem i że będzie chciał wykorzystać Rosamundę jako przepustkę do wolności. Księżę modlił się o to, by to była prawda, ale po przeczytaniu wycinków prasowych opisujących Maitlanda obawiał się najgorszego. Jeśli porywacz uzna, że ujdzie mu to na sucho, zabije Rosamundę bez skrupułów. Muszą ich odnaleźć, zanim będzie za późno.

Przeniósł wzrok na Digby'ego i Whorsleya. Choć byli żołnierzami, wyglądali tak, jakby większość czasu spędzali za biurkiem, czytając raporty. Obaj byli szczupli, mieli około czterdziestki i kiedy tak siedzieli, z namysłem marszcząc czoła, wyglądali jak solidni księgowi, gotowi tyle razy sprawdzać rozliczenia, aż wszystko będzie się zgadzało. Księżę miał nadzieję, że to dobry znak.

Powiedzieli, że należą do Wydziału C Służ Specjalnych Jego Królewskiej Mości, i wydawali się z tego dumni, jednak dla księcia nie stanowiło to większego pocieszenia. Służby Specjalne były tak podzielone, że często prawa ręka nie wiedziała, co robi lewa. Gdyby tak nie było, to ktoś taki jak Richard Maitland nie mógłby piastować tak wysokiego stanowiska.

Wszyscy obecni w izbie mężczyźni wpatrywali się w księcia, czekając, co powie.

- Majorze Digby - zaczął - kim jest ten Harper?



- To ochroniarz Maitlanda, a teraz najwyraźniej jego pomocnik. Pomógł mu uciec z więzienia. Tyle tylko na razie wiemy, Wasza Wysokość.

Księżę skinął głową.

- A co za głupiec do niego strzelał? Mówię o tym ostatnim strzale, który o mało co go nie zabił.

Digby rozłożył ręce.

- Nie wiem, ale dowiem się i ten człowiek zostanie ukarany.

Odpowiedź chyba zadowoliła księcia.

- Teraz proszę opowiedzieć mi o Richardzie Maitlandzie - nakazał księżę. - Jak to się stało, że był sądzony przez sąd cywilny, a nie wojskowy?

- Dlatego, że pierwsze dotarły do niego władze cywilne, a potem odmówiły wydania go nam. Mogliśmy się upierać, ale opinia publiczna chciała cywilnej rozprawy. Zapewne obawiano się, że skoro jest jednym z nas, potraktujemy go ulgowo. Tak czy inaczej nasi przełożeni postanowili nie robić zamieszania.

Księżę odchrząknął.

- No więc, kto to jest ten Maitland? Co możecie mi o nim powiedzieć?

- Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość - zaczął Digby ostrożnie - czas ucieka. On jest gdzieś blisko. Powinniśmy zająć się organizowaniem poszukiwań, dom za domem, ulica za ulicą.

Księżę uniósł głowę i zaczął mówić ostrym tonem:

- Wspaniały pomysł, gdyby byli tu wasi ludzie, ale przecież wszyscy ścigają Harpera. I miejmy nadzieję, że nikt więcej nie będzie do niego strzelał albo nasza szansa na odnalezienie Maitlanda zostanie zaprzepaszczona.

Digby zagryzł wargę.

- Tak więc - ciągnął księżę - zaczekamy, a wy w tym czasie opowiecie mi o Maitlandzie. Jakim sposobem taki człowiek został szefem personelu w Służbach Specjalnych? Kim są jego przyjaciele? Czy ma jakąś rodzinę? Do kogo może się zwrócić po pomoc?

- Zdaje się, że jego rodzina mieszka w Szkocji. Ojciec jest prawnikiem, ale niezbyt znanym i ważnym. Można powiedzieć, że to skromna rodzina. Syn był ambitny. Dobrze się uczył, a po ukończeniu studiów wstąpił do wojska. Na koniec

przeniósł się do brytyjskich służb wywiadowczych w Hiszpanii.

Kiedy Digby zamilkł, by zebrać myśli, Caspar wtrącił:

- Z pana opisu wynika, że to porządny człowiek. Co więc się z nim stało?

- Co? - powtórzył Digby z przejęciem. - Woda sodowa uderzyła mu do głowy. Został szefem personelu nie tyle ze względu na swoje zalety, co przez łut szczęścia. Po prostu znalazł się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie.

Digby chyba się zorientował, że peroruje zbyt namiętnie, więc dalej mówił już spokojniejszym tonem.

- Być może słyszał pan, książę, że ktoś planował zabić premiera?

- Tak, słyszałem. Chcecie powiedzieć, że Maitland temu zapobiegł?

- Nie, ale sobie to przypisał. Sobie i swojemu wiernemu psu, Harperowi.

- Rozumiem - rzekł książę. - Mówcie dalej.

- W nagrodę lord Liverpool mianował go szefem personelu. Gdyby zapytano o zdanie naszą sekcję, nie zgodzilibyśmy się. Maitland nie jest jednym z nas. Nie pasuje do nas. Nie przestrzega obowiązujących zasad i uważa, że nie musi się przed nikim tłumaczyć. Co do przyjaciół, to ich nie ma, przynajmniej nie w naszym rozumieniu tego słowa. Ma tylko znajomych i kolegów, to wszystko.

- Jednak - wtrącił lakonicznie lord Justin - ten ochroniarz... jak mu tam, Harper, wydaje się mu bardzo oddany, jak przyjaciel. Takiej lojalności nie da się kupić.

Digby pozwolił sobie na lekki uśmiezek.

- Sierżant Harper? - rzekł. - Prosty szeregowy, potem woźnica, ochroniarz i teraz współnik w zbrodni. To dopiero przyjaciel. Pasuje do kogoś takiego jak Maitland.

Książę zmarszczył czoło. On także miał w gronie przyjaciół woźnicę, Sellersa, teraz już na emeryturze, który zamieszkiwał wygodnie w jego zamku, toteż nie spodobały mu się uwagi Digby'ego. Nie podobał mu się jego kpiący ton, zresztą po chwili namysłu doszedł do wniosku, że Digby w ogóle mu się nie podoba.

Popatrzył na drugiego agenta.

- A pan, panie Whorsley, co pan ma do powiedzenia?

- Och... - Whorsley popatrzył na swego kolegę. - Zgadzą się ze wszystkim, co powiedział major, Wasza Wysokość.

- Maitlandowi nie ujdzie to na sucho - dodał Digby. - Nie ma dokąd uciec. Złapiemy go i zapłacą za popełnione zbrodnie.

Książę wstał, a za nim pozostali mężczyźni.

- Posłuchajcie - rzekł. - Nie jest naszym celem złapanie Maitlanda i wymierzenie mu kary. Musimy odnaleźć moją córkę, jeśli nadal jest przy życiu. Damy Maitlandowi wszystko, czego tylko zażąda, za jej zwrot. Jeśli zechce okupu, wypłacę mu go. Jeśli zechce opuścić bez przeszkód Anglię, zorganizuję to. Jeśli chce amnestii, dostanie ją. Będzie miał wszystko, co zechce. Zrozumiano?

Obydwaj agenci skinęli głowami; Whorsley od razu, Digby z wyraźną niechęcią.

Książę popatrzył w stronę małego okna.

- Ale - dodał niskim i napiętym głosem - jeśli cokolwiek złego spotka moją córkę, Maitland mi za to odpowie. Mnie, nikomu innemu.

Ciszę, która zapadła po tych lodowatych słowach, przerwał stukot kopyt końskich na bruku. Książę wstał i wyjrzał przez okno.

- Zdaje się, że wracają wasi ludzie, majorze Digby - zauważył. - I najwyraźniej z pustymi rękami. - Odwrócił się od okna. - Na jakiś czas ta gospoda stanie się moim centrum dowodzenia. Proszę informować mnie o rozwoju sytuacji. To wszystko.

Ponieważ agenci patrzyli na niego z niezrozumieniem w oczach, dodał:

- Zdaje się, że zamierzaliście zorganizować pościg. No więc zabierajcie się za to.

Digby i Whorsley opuścili izbę w pokłonach.

Idąc po schodach, milczeli, ale przy wyjściu na podwórko przed stajniami obaj wybuchnęli kaśliwymi uwagami.

- Słyszałeś go? - zapytał Whorsley, wyraźnie zdumiony. - Mamy dać Maitlandowi wszystko, co zechce.

Digby kipiał ze złości.

- Bezpieczny wyjazd z Anglii! Okup! Zamierzają zapłacić temu mordercy! Po moim trupie!

Whorsley potrząsnął głową.

- Nic na to nie poradzimy. Otrzymaliśmy wyraźne rozkazy: nie wolno nam zrobić jednego kroku bez uzgodnienia z księciem. To rozkaz samego premiera.

- Są sposoby na obejście rozkazów.

Szli w stronę grupki jeźdźców, którzy właśnie zsiadali z koni, ale na słowa towarzysza Whorsley stanął jak wryty.

- Masz jakiś plan?

Digby westchnął, zniecierpliwiony.

- Oczywiście, że nie mam żadnego planu. - Spojrzał na kolegę. - Mówię tylko, że nie możemy konsultować niczego z księciem, jeśli nie będzie go w pobliżu. A nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się będzie działo, gdy złapiemy Maitlanda. Żołnierze mogą wpaść w panikę. Ktoś może wystrzelić. Kto potem powie, kto pierwszy strzelał? A skoro córka księcia wróci do niego bezpiecznie, kogo to będzie obchodziło?

- A jeśli coś jej się stanie?

- Zwalimy wszystko na Maitlanda. Przecież i tak nikt nie będzie go słuchał.

Rozmowa z księciem i jego synami była dla Digby'ego ogromnym poniżeniem, więc teraz całą złość wyładował na żołnierzach, którzy powrócili z pościgu bez jeńca. Maitland, myślał. Zawsze ten Maitland! Księżę i jego synowie powinni go znienawidzić, pragnąć jego krwi. Ale oni, zdaje się, raczej go podziwiają, choć z pewną ostrożnością. Digby czuł się przy księciu taki mały.

Cóż, ma już dosyć życia w cieniu Richarda Maitlanda. Udowodnił, że jest od niego lepszy. Maitland przyniósł Służbom Specjalnym tylko wstyd. Gdyby to on został szefem, jak miało być, Maitland zostałby oddelegowany do jakiejś

podrzędnej funkcji, gdzie nie mógłby nikomu wyrządzić żadnej szkody. Digby wiedział, że teraz wszyscy będą mu się przyglądali - premier, minister spraw wewnętrznych, koledzy - i patrzyli, jak sobie radzi ze sprawą Maitlanda. Niech ich diabli wezmą! Nie jest gorszy od niego i właśnie teraz to udowodni.

W izbie, gdzie został książę, panowała nieco mniej napięta atmosfera. Caspar i Justin siedzieli, a książę stał przed kominkiem i palił cygaro. Justin sięgnął do kieszeni, wyciągnął swoje cygaro i zapalił je od świecy stojącej pośrodku stołu. Książę mu się przyglądał, ale nie otwierał ust.

Justin, upominał się w duchu, jest już dorosły i sam za siebie odpowiada. Wiedział, że nie powinien zabraniać mu palić, skoro sam tak to lubi. Poza tym są gorsze rzeczy od palenia, pomyślał i przeniósł wzrok na Caspara.

Jest przystojny i to jest też jego przekleństwo. Za przystojny, za bogaty i ma za dużo kobiet. Kiedy wreszcie się ustatkuje?

Ale dlaczego martwi się teraz o takie bzdury, kiedy, być może, życie córki wisi na włosku?

Justin wypuścił smużkę dymu, dostrzegł spojrzenie ojca i zapytał:

- Mówiłeś coś, ojczy?

- Nie - odwarknął książę. - Tylko otwórz okno.

Caspar wyprostował nogi.

- Im dłużej słucham Digby'ego, tym bardziej podoba mi się ten Maitland - rzekł. - Zastanawiam się, czy Digby wie o tym, że za każdym razem, gdy otwiera usta, wyraźnie słyhać, jak jest zazdrosny. Zżera go zawodowa zazdrość.

- A także zarozumiałstwo - wtrącił Justin. - „On nie jest jednym z nas”. Wiecie, co to oznacza? Maitland nie chodził do odpowiednich szkół i nie był członkiem właściwych klubów.

- Cóż, uczęszczał za to na właściwy uniwersytet - zauważył Caspar. - Słyszałem, że dostał się do Cambridge, ale po roku, nie wiadomo dlaczego, zrezygnował. Może to wtedy rozpoczęła się jego degeneracja.

- I trzeba o tym pamiętać - rzekł książę. - A także o tym, że jest niebezpieczny. Mnie też, tak samo jak wam, nie podoba się ani Digby, ani Whorsley, ale żadnego z nich nie oskarżono o morderstwo i żaden nie porwał waszej siostry. - Po chwili zastanowienia dodał: - Mimo to nie sądzę, by dobrze było pozostawić sprawę w rękach tych dwóch. Nie zrobili na mnie wrażenia szczególnie inteligentnych, a przecież mamy do czynienia ze szczwanym lisem. Jego ucieczka z Newgate to był mistrzowski popis. Nie wpada w panikę, gdy coś psuje mu szyki; potrafi wykorzystać okoliczności na swoją korzyść. Mógł nie wiedzieć, że Rosamunda tam będzie, ale gdy został otoczony, wykorzystał ją.

Popatrzył na synów stanowczo, chcąc, by dobrze go zrozumieli.

- Nie wolno go nie doceniać. Pamiętajcie, że już raz zabił. Nie ma nic do stracenia, jeśli nawet zabije jeszcze raz.

- Ojczy, co mamy robić? - zapytał ponurym głosem Caspar.

- Potrzebujemy więcej informacji. Nie wierzę w to, że Maitland nie ma żadnych przyjaciół. To nonsens. Harper jest wobec niego lojalny, prawda? Musi być ktoś jeszcze, ktoś, kto zapewni mu schronienie i pieniądze. Przyjaciel z przeszłości, kolega z wojska.

- Może rozpocznę poszukiwania wśród kolegów ze Służb Specjalnych?

- Nie, ci z Whitehall niczego nam nie powiedzą. Zaczynjcie od Callie. Nadal nie rozumiem, co ona i Rosamunda robiły w Newgate. Może ona rzuci nam jakieś nowe światło na sprawę Maitlanda. - Książę zwrócił się do drugiego syna: - Justinie, chcę, żebyś pojechał do Twickenham. Jeśli Maitland chce okupu, może zostawił tam wiadomość. Powiedz mojemu sekretarzowi, gdzie jestem i że ma mnie o wszystkim natychmiast zawiadomić.

- Oczywiście.

- I będziemy potrzebowali naszych ludzi.

- Ilu?

- Dwunastu powinno wystarczyć.

- Z tym nie będzie problemu. Połowa naszych służących i robotników

ziemskich to byli żołnierze.

- Mam nadzieję, że okażą się lepszymi żołnierzami, niż są pracownikami - mruknął książę. - Tak, tak, wiem. Czasy są ciężkie i musieliśmy dać im zatrudnienie, kiedy wrócili do domu po wojnie.

Książę odprowadził synów do drzwi.

- Będę miał tu oko na wszystko, ale wracajcie jak najprędzej.

Caspar poklepał go po dłoni.

- Ojczy, Rosamunda jest bezpieczna. Jest kartą przetargową Maitlanda. Nie dopuści, żeby coś się jej stało.

- Wiem - zgodził się książę. - Wiem.

Ale kiedy został sam, zdał sobie sprawę, że wcale nie jest niczego pewien.

Książę miał rację, sądząc, że Callie może im powiedzieć coś ciekawego o Maitlandzie, choć Caspar musiał poświęcić trochę czasu, żeby wyciągnąć z niej cokolwiek. Była tak wściekła na zdradę Maitlanda, że przy co drugim słowie zaczynała go wyklinać. No i oczywiście nieustannie się obwiniała. To ją powinien porwać, a nie Rosamundę. To wszystko jej wina.

Caspar w duchu powtarzał sobie, że jeśli rozmówczyni oczekuje od niego współczucia, to się zawiedzie. Już jako dziecko Callie zawsze musiała być w centrum zainteresowania i często ją właśnie brano za córkę księcia. Caspar nie miał do niej cierpliwości w przeszłości i nie miał jej też teraz. Nie chciał wcale wiedzieć, jak się czuła, kiedy Maitland porwał Rosamundę. Chciał tylko poznać fakty. Chciał się dowiedzieć, jak Maitlandowi udało się uciec i kto jeszcze oprócz ochroniarza mógł mu pomagać. W końcu usłyszał to, co chciał. Nazwisko: Hugh Templar.

Znał to nazwisko. Spotykał majora Templara na przyjęciach w Lizbonie i Madrycie. Nazywano go uczonym żołnierzem ze względu na jego zainteresowanie rzymską historią. Potem ich drogi przecięły się w Londynie, gdzie wymienili przyjacielskie powitanie, ale nic więcej.

- Nie wiem, czy się przyjaźnili - tłumaczyła Callie. - Ale byli kolegami. Walczyli z Wellingtonem, wiesz, w Hiszpanii.

- Wielu mężczyzn walczyło z Wellingtonem - zauważył Caspar. - Ale to nie znaczy, że się przyjaźnili albo że po zakończeniu wojny utrzymują ze sobą kontakty.

- To oczywiste. Jednak widywano ich razem. Maitland był dość częstym gościem Templarów, tu, w Londynie, a także w ich posiadłości w Oxfordshire. I jest jeszcze coś. Ten pomocnik Maitlanda. Zanim został jego ochroniarzem, był wcześniej woźnicą u Templara, zresztą też walczył w Hiszpanii.

- Kto ci to wszystko powiedział?

- Nie pamiętam. Poza tym to żadna tajemnica. Rozmawiałam z kimś na jakimś balu albo gdzie indziej. Tak czy inaczej już się nie przyjaźnią. Templar nawet nie zjawił się na rozprawie Maitlanda. Och, żałuję, że nie poszłam w jego ślady!

- Tak - przyznał szorstko Caspar. - Wszyscy tego żałujemy! A teraz powiedz mi, gdzie mogę znaleźć pana Templara.

Dom Templara stał się przy Berkeley Square, kilka minut drogi od domu Callie. Na ulicach panował już spokój, choć nadal przemierzała je konna milicja. Caspar zajęty był rozmyślaniami o Templarze i Maitlandzie. O tym drugim nie wiedział nic, ale znał tego pierwszego i nie wyobrażał sobie, żeby ten człowiek opuścił kolegę w najczarniejszej godzinie.

Co też ten Templar knuje? Dlaczego nie pojawił się na procesie? I gdzie jest w tym wszystkim miejsce Harpera? Pośrednik? Między kim a kim?



Nadzieja na przepytanie Templara rozwiąła się, kiedy po zjawieniu się w jego domu Caspar stwierdził, że właściciel jest nieobecny. Zarządca domu powiedział, że pan zabrał żonę i dzieci do Stains na zwiedzanie rzymskich ruin.

Caspar nie potrzebował mapy, żeby się zorientować, jak daleko Stains położone jest od Chelsea. Była to mała wioska nad Tamizą po drodze do Windsoru.

- Kiedy wyjechali? - zapytał.

- Dwa dni temu, Wasza Wysokość.

Dwa dni temu uznano Richarda Maitlanda za winnego morderstwa i skazano na powieszenie, a mimo to Templar opuścił miasto.

Caspar uśmiechnął się do zarządcy.

- Panie...?

- Soames - dokończył zaskoczony służący.

- Może wejdziemy do środka, panie Soames, to wszystko mi pan wyjaśni.

## *Rozdział 7*

Powiedział, że się przenoszą, ale nie odeszli daleko. Zapakował dwa plecaki, kazał jej wsiąść do łodzi, a potem przepłynęli na drugą stronę rzeki, gdzie zatrzymali się pod opadającymi do ziemi gałęziami wierzby. Tutaj pozostali do zmroku.

Rosamunda zastanawiała się nad ucieczką. Myślała o wskoczeniu do wody, ale w końcu zrezygnowała z tego pomysłu, uznawszy, że jest zbyt niebezpieczny. Po pierwsze, miała skute ręce i nie mogłaby się utrzymać na powierzchni. Po drugie, Maitland dał jej płaszcz Harpera, więc było jej ciepło i sucho. Nie porzuciła zamiaru ucieczki, lecz wołała się na nią zdecydować, gdy znajdą się na lądzie.

Maitland znowu wpadł w przygnębienie, więc przez długi czas zamienili ze sobą tylko kilka słów. W końcu cisza zaczynała... jej ciążyć.

Odchrząknęła.

- Na co czekamy?

- Na Harpera, oczywiście.

Spojrzała na drugi brzeg, ale niczego nie zobaczyła.

- Skąd będzie wiedział, że tu jesteśmy?

- Będzie.

Przełknęła następne pytanie. To jasne, że Harper w tej ciemności ich nie zobaczy. Musieli się umówić wcześniej. Łódź czekała na brzegu w jakimś celu. Żeby mogli nią uciec, gdyby zdarzyło się coś niespodziewanego.

Ten człowiek niczego nie przeoczy. Kiedy opuszczali chatę, usunął z niej wszystko, co mogłoby zdradzić ich pobyt. Jej zniszczony but i guziki znajdowały się teraz w jego kieszeni. Kosz z resztkami jedzenia i mokre ubrania obciążył kamieniem i wrzucił do wody. Dopiero teraz Rosamunda zaczynała pojmować, że Maitland naprawdę jest doświadczonym agentem.

Skoro więc jest taki wspaniały, dlaczego popełnił morderstwo? W dodatku złapano go niemal na gorącym uczynku. Złapany, osądzony i skazany na powieszenie. Więc może wcale nie jest takim genialnym strategiem.

No, ale przecież uciekł z Newgate, czyż nie? Wiedziała, że wcześniej udało się to tylko jednemu więźniowi. Dawno temu, zanim się urodziła.

- Pułkownik Maitland...

- Cisza!

Zacisnęła usta. Nie chce z nią rozmawiać, to nie. Umiała zabawiać się własnymi myślami. Czasami nawet mówiła sama do siebie na głos, nawet w obecności innych ludzi. Zresztą i tak nikt tego nie zauważał. Ludzie nie rozmawiali z nią, tylko mówili do niej. Nie interesowały ich jej odpowiedzi, a jedynie fakt, że jest córką księcia. Gdyby zamieniła się w mechaniczną lalkę, i tak nie zauważyliby różnicy.

Więc dla zabawy często grała w pewną grę. W wyobraźni zamieniała ludzi w pionki szachowe, jednych w przyjaciół, innych we wrogów, którzy próbowali ją

zaszachować, gdy zbliżała się do wyjścia.

Oczywiście to nie były szachy, ale bawiło ją to. Gdyby pionki szachowe potrafiły mówić, kto wie, co by powiedziały? Mogłyby narzekać na to, że przez wieki muszą przemierzać tam i z powrotem tę samą starą szachownicę, wykonując ciągle te same ruchy. A gdyby tak któryś z nich się zbuntował i postanowił zawalczyć o wolność.

Co do Maitlanda, to nie była gra. To się działo naprawdę. Rozsiadła się wygodniej i zaczęła się zastanawiać nad całą sytuacją. Newgate. Sala dla odwiedzających.

Strażnicy i więźniowie to pionki. Chodzą pośrodku szachownicy, ale nie trwa to długo, bo pionki zazwyczaj pierwsze idą na stracenie.

Prawdziwi gracze ustawiają się na swoich pozycjach.

Maitland. Zabawiała się myślą, żeby zrobić z niego czarnego króla, ale to jej nie pasowało. Król szachowy jest zbyt pasywny i zawsze kryje się za pionkiem, gońcem lub królową. Harper jest jego prawą ręką, jego wieżą.

Ona była nagrodą, której chciał Maitland, białym królem. Kiedy ją zdobędzie, gra się skończy. Jej królowa miała jej bronić, ale w tej grze jej królowa - a kto jest bardziej agresywny niż Callie? - jeszcze nie zdecydowała, po czyjej jest stronie. Wreszcie jej wieża, pan Proudie. Straci ją w pierwszej rozgrywce. Między nią i Maitlandem stoją na koniec tylko jej pionki.

Strażnik spanikował. Więzień uciekł! Zamknijcie bramy! Pionki wpadają na siebie. Harper je zbiera. „Tam, tam ucieka”, krzyczał. I jej pionki zniknęły z planszy.

Gdzie jest goniec? Jej skoczek? Gdzie jest Charles? Stał w kącie z rękami w górze. A kiedy wreszcie jej królowa zdecydowała się na atak, było już za późno. Harper ją unieruchomił.

Teraz między nią i Maitlandem nie ma już nikogo. Szach mat.

Wtedy rozległ się starzał, a ona padła na szachownicę.

W tej kolejności jest jakiś błąd. To nie tak potoczyły się wydarzenia. Coś tu nie pasuje. Co? Gdzie? Jak? Rosamunda zaczęła to widzieć.

- Cholera! - zaklął Maitland.

Łódź się zakołysała, a ona wraz z nią.

- Cholera! - powtórzył.

Popatrzyła w stronę niewyraźnej sylwetki Maitlanda, a potem na drugi brzeg rzeki. Nie widziała ludzi, ale dostrzegła pobłyskujące światełka latarni. Ktoś szedł ścieżką przez krzaki w stronę chaty. To nie Harper, bo wtedy byłaby tylko jedna latarnia. To musi być pomoc, a między nimi może znajdować się jej ojciec i bracia. Nabrała powietrza, zamierzając krzyknąć, ale zamarła, czując na skroni zimny dotyk lufy.

- Krzyknij, a będzie to twój ostatni oddech. - Wolną ręką Maitland złapał ją silnie za szyję. - Nic na tym nie zyskasz, nic, zrozumiałaś? Nie dostaną się tutaj. Nie mają łodzi. Wystarczy, że wrzucę cię do wody, a utoniesz w kilka minut. Czy tego chcesz?

W oczach Rosamundy zebrały się łzy.

- Nie. - Uścisk na szyi zwiększył się, więc zaczęła się dusić. - Ale ty nie rozumiesz, przez co przechodzi mój ojciec.

Nie był to dobry moment na przeciwstawianie się Maitlandowi. Targał nim strach i frustracja i był przez to bardziej brutalny, niż zamierzał.

- Nic mnie to nie obchodzi! Kiedy wreszcie dotrze do twojej zakutej głowy, że zależy mi tylko na przetrwaniu? Gdy będę musiał wybierać między sobą a tobą, za każdym razem wybiorę siebie. Pamiętaj o tym!

Zmusił ją, żeby uklęknęła.

- Opuść głowę - rozkazał.

Zwinęła się w kłębek i wcisnęła twarz w plecak. Łzy już obeschły. Myślała tylko o tym, jak bardzo go nienawidzi.

Richard nie cenił swojego męstwa tak wysoko, jak oceniała je Rosamunda.

Widząc ją zwiniętą na dnie łodzi, przeklinał sam siebie za nieudolność. Pierwszy błąd to porwanie córki księcia. Drugi to fakt, iż zgodził się na propozycję Harpera i został z Rosamundą. Trzeci błąd miał związek z jego rodzicami. To oni nauczyli go, że do kobiet należy się odnosić z szacunkiem i poważaniem, bez względu na okoliczności. Tak więc teraz czuł się okropnie, zmuszony traktować zakładniczkę w ten sposób.

Ale, do diabła, ta kobieta nie jest delikatnym kwiatuszkiem i potrafi o siebie zadbać. Powinni byli zrobić zupełnie co innego: odpiąć dwa książęce konie, pognać na nich na spotkanie z Hugh, a lady Rosamundę Devere zostawić swojemu losowi. Co do hipotetycznych zbójców, o których wspominał Harper, to Richard nie chciałby znaleźć się w ich skórze, gdyby zadarli z Rosamundą.

Kiedy zdał sobie sprawę, że się uśmiecha, mruknął pod nosem przekleństwo. Przez tę kobietę traci rozum. Nie ma teraz czasu na podziwianie jej. Powinien się zastanawiać, jak zgubić pościg. Wszystko ułożyło się najgorzej, jak mogło. Bóg wie, gdzie jest Harper; Hugh pewnie obawia się najgorszego; a on nie ma sił wiosłować.

Za każdym razem, gdy podnosił wiosło, czuł po lewej stronie piersi przeszywający ból. Mógł się wykrwawić na śmierć. A ponieważ był na granicy załamania i nie mógł wiosłować, więc prąd ściągał go w dół, w przeciwnym kierunku, niż zamierzał płynąć.

Musi się pozbyć tej dziewczyny, ale powinien to zrobić tak, żeby sam miał jeszcze sporo czasu na ucieczkę. Musi też opatrzyć ranę. I potrzebuje konia, ale najbardziej potrzebuje odpoczynku.

Zostawili łódź przy opuszczonej przystani, a potem poszli piechotą do wioski o nazwie Kennington. Po drugiej stronie rzeki migają światła miasta. Kennington położone było w rolniczym obszarze i mogło się pochwalić jedną główną ulicą i jedną gospodą, Czarnym Księciem.

Zanim do niej weszli, Maitland uważnie przyjrzał się Rosamundzie, po czym poprawił jej kapelusz na głowie, choć ona nie rozumiała, po co to robi. Nadal miała związane włosy i nosiła płaszcz Harpera.

Maitland zapowiedział, że w gospodzie przedstawią się jako bracia

prawnicy, którzy przybyli w te okolice, by bronić jednego z klientów. Oczywiście, gdyby ktoś pytał. Jednak ona pod żadnym pozorem miała się nie odzywać. On będzie mówił za nich oboje, a dla podkreślenia powagi sytuacji przytknął jej broń do żeber.

Nikt ich o nic nie pytał. Nikt się nimi nie zainteresował i nie zwrócił uwagi na błagalny wyraz jej oczu. Nikt też nie zauważył, że wcale nie jest młodym mężczyzną, tylko dziewczyną przebraną za mężczyznę. I nikt nie zauważył, że pod plecakiem przewieszonym luźno przez ramię Maitland kryje pistolet. Właściciel, ciemny, niechlujny typ, rozpogodził się tylko na chwilę, gdy Richard położył na ladzie suwerena i zamówił kanapki, kawę i gorącą wodę, które kazał zanieść do ich pokoju. Właściciel nie pytał, jak się tu dostali, ale chyba sądził, że przybyli konno i zostawili wierzchowca na zewnątrz.

Choć Rosamunda wiele podróżowała, to w gospodzie znalazła się po raz pierwszy. Ojciec nie pozwoliłby jej nocować w takim miejscu. Clarendon, gdzie książę się zatrzymywał podczas pobytu w mieście, się nie liczył. Mieszkanie było na parterze i miało własne oddzielne wejście. Oczywiście nie wolno jej było kontaktować się z żadnym z hotelowych gości, uchowaj Boże. Natomiast w podróży zawsze znaleźli się przyjaciele lub znajomi księcia, którzy z radością gościli ich u siebie. Irytowały ją te ograniczenia, ponieważ zawsze otaczali ją starzy ludzie, a Callie nafaszerowała ją opowieściami o wspaniałych gospodach po drodze do Bath, gdzie wszyscy zachowują się swobodnie i gdzie można zasiąść do obiadu z zupełnie nieznanymi osobami i szybko się z nimi zaprzyjaźnić.

Jedno spojrzenie dokoła powiedziało jej, że nie taką gospodę Callie miała na myśli. Niski sufit, zniszczona posadzka, a na schodach z trudem mieściły się dwie osoby. Co do gości, to ci nieliczni, których zobaczyła, wyglądali raczej na złodziei koni i mówili dialektem, którego prawie nie rozumiała.

Gospodarz podniósł dzwoneczek i potrząsnął nim. Nikt się nie pojawił, więc wrzasnął:

- Becky! - I znowu potrząsnął dzwonkiem.

Po chwili z zaplecza nadeszła młoda kobieta w czepeczku, wycierając ręce w fartuch i mamrocząc coś pod nosem. Kiedy zobaczyła Maitlanda i Rosamundę, zatrzymała się jak wryta i szeroko otworzyła oczy.

Serce Rosamundy podskoczyło. No, w końcu zjawił się ratunek, pomyślała. Może Becky rozpoznała ją albo jej porywacza. Tak, chyba Maitlanda, bo nie odrywała od niego oczu.

Gospodarz powiedział coś, czego Rosamunda nie usłyszała. Czekwała, aż służąca zacznie krzyczeć; zastanawiała się, co wtedy zrobi. Czy powinna zerwać się do ucieczki? A może raczej zemdleć lub rzucić się na Maitlanda? Zerknęła na niego.

Dlaczego on się uśmiecha?

Becky nie krzyczała. Zamrugła i uśmiechnęła się głupkowato, po czym podniosła świecznik i kazała im iść za sobą.

Oni flirtują! Maitland i ta służąca flirtują! Maitland, który otwiera usta tylko po to, by rzucić jakieś ostrzeżenie, przymila się do służącej niczym jakiś paniczek.

Oczywiście, z nią nigdy by tak nie flirtował. Dla niej miał tylko lufę pistoletu, którą teraz wbijał jej w plecy.

Becky pierwsza weszła do pokoju i zapaliła świecę stojącą na kominku. Potem rozpałała ogień.

- To nasza najlepsza izba - zaćwierkała. Poklepała jedyne w pokoju łóżko. - Łóżka są czyste. W materacach nie ma robaków.

Robaki? Robaki w materacach? Rosamunda patrzyła z przerażeniem. Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszała. Nieważne. Ale jest tylko jedno łóżko. Niech Maitland na nim śpi. Jej wystarczy podłoga.

- I - ciągnęła Becky z zadowoloną miną, otwierając drzwi do garderoby - jest też garderoba z... no wiecie, wygodami. - Zachichotała.

- Wspaniale - zachwycił się Maitland, posyłając służącej promienny uśmiech. Odwrócił się do Rosamundy z resztkami tego uśmiechu na twarzy.

Ledwie go poznała. Był naprawdę przystojny, kiedy się uśmiechał. Teraz rozumiała, dlaczego dziewczyna tak się do niego wdzięczy. Dzięki Bogu, ona, Rosamunda, ma więcej rozumu i nie da się zwieść temu łajdackiemu uśmiechowi ani tym dziecięcym niebieskim oczątom. Tak samo nieczuła była na jego szerokie ramiona i muskularne ciało. Jej bracia z pewnością są od niego silniejsi, no i wyżsi.

Gdyby Caspar wszedł do tego pokoju, Becky na Maitlanda nawet by nie spojrzała.

Niemniej ten łajdak ma w sobie coś. Prezencję. To właśnie przyszło jej do głowy, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy. Prezencję. Męstwo. Siłę. Wygląda na człowieka, z którym należy się liczyć. A teraz okazuje się, że jest też flirciarzem.

Niesamowite.

Podsłoczyła, gdy dłoń Maitlanda nagle opadła na jej ramię i mocno się na nim zacisnęła.

- Brat ma chore gardło - powiedział - i stracił głos, więc ja za niego mówię. Jesteśmy prawnikami i przybyliśmy tu z dość delikatną sprawą. Obawiam się, że więcej nie mogę powiedzieć. - Wcisnął w dłoń dziewczyny monetę. - Za starania - rzekł.

- Och - jęknęła Becky, gdy pokłonił się przed nią przesadnie, po czym otworzył drzwi. Popatrzyła na niego z napięciem. - Kuchnia będzie czynna jeszcze przez godzinę. Gdyby mnie pan do czegoś potrzebował, do czegokolwiek, to tam mnie pan znajdzie.

Maitland westchnął.

- Niestety, mamy z bratem masę roboty przed jutrzejszym spotkaniem z klientem, ale jeśli możesz przynieść nam kanapki, kawę i ciepłą wodę, które zamówiłem, będę zobowiązany.

Becky rozpromieniła się.

- Już lecę.

Maitland zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Popatrzył na Rosamundę i uśmiech znikł z jego twarzy.

- Dlaczego jest pani taka nadęta? - zapytał.

- Nadęta! - Aż sapnęła i uniosła dumnie głowę. - Nie jestem nadęta. Jeszcze nigdy w życiu tak dobrze się nie bawiłam.

Przechylił głowę na bok i przyjrzał się jej ze zdumieniem.

- Czy krzywi pani ten swój arystokratyczny nosek dlatego, że to nie pani wpadła w oko pokojówce? W końcu nie mogła wiedzieć, że jest pani córką księcia.

Wszystko przekręcił. To nie Becky ją zezłościła, tylko on. Nie chciała mu jednak tego mówić.

- Nigdy nie zastanawiam się nad tym, że jestem córką księcia.

Maitland wybuchnął gromkim śmiechem.

- Ktoś inny może by w to i uwierzył, ale nie ja. Pamiętam panią z Lizbony.



Byłem na balu, w którym pani też uczestniczyła. Pięknie pani wyglądała, ale trzymała się pani cały czas z dala od innych kobiet. Wyglądała pani jak marmurowa rzeźba.

Miała ochotę się bronić, powiedzieć, że wcale nie była wyniosła i zimna, tylko zawstydzona i zmęczona nadskakiwaniem, lecz wiedząc, że jej nie uwierzy, po prostu odwróciła się plecami, rzuciła kapelusz na łóżko i zdjęła płaszcz. Potem podeszła do kominka.

Odwróciła głowę.

- Pułkownik Maitland - zaczęła, ale zaraz zamilkła.

Miał zaciśnięte usta i zamknięte oczy. Zdjął kapelusz, lecz nie ruszył się od drzwi. Twarz miał zupełnie szarą. Ta zmiana w jego wyglądzie przeraziła ją.

- Co się stało? - krzyknęła. Otworzył oczy.

- Usiądź - powiedział i wskazał na łóżko.

Zrobiła, jak kazał, ale nie spuszczała z niego wzroku. Wyglądał tak, jakby miał zaraz zemleć.

Rzucił plecak na stół i położył pistolet na wyciągnięcie ręki. Kiedy strącił z ramion płaszcz, a potem surdut, zobaczyła, że na przedzie koszuli widnieje plama zakrzepłej krwi. Wstrzymała oddech, kiedy ściągnął koszulę i rzucił ją na podłogę. Pierś miał przewiązaną białą szmatą, zaczerwienioną od świeżej krwi.

- Kto panu to zrobił?

Nie spojrzał na nią, tylko otworzył plecak i wyciągnął z niego kilka przedmiotów, które ostrożnie położył na stole: czyste bandaże, nożyczki, słoik z jakąś maścią i srebrną butelkę.

- A jak pani myśli? - odparł w końcu. - Ten, kto zamordował Lucy Rider.

Dopiero po chwili połączyła fakty. Nawiązywał do nocy, w której zginęła jego kochanka; wtedy to podobno zabójca jego także pchnął nożem.

- Myślałam, że ta rana nie jest prawdziwa - powiedziała.

Popatrzył na nią poważnie.

- Nie zagraża mojemu życiu, jeśli o to pani chodzi. Nie stoję nad grobem. Tylko że to świństwo nie chce się zagoić.

Rosamunda pamiętała, że oskarżyciel twierdził, iż Maitland po zabiciu kochanki sam ugodził się nożem, aby przekonać wszystkich, że ktoś inny zamordował Lucy. Zdaniem oskarżyciela, Maitland nie mógł wymknąć się z pokoju ofiary, ponieważ zbyt wiele osób widziało go wchodzącego do środka.

Dlatego musiał udąć, że jego też ktoś zaatakował. Tylko dlaczego nikt nie widział tych napastników - mężczyzny i chłopca?

Oskarżenie utrzymywało, że Maitland zabił kochankę, zaślepiony zazdrością. Rosamunda jakoś nie mogła w to uwierzyć. Odniosła wrażenie, że szef Służb Specjalnych nie bardzo zwraca uwagę na kobiety.

I jeszcze coś sobie przypominała. Maitland mógł uniknąć kary śmierci, gdyby zeznał, że to Lucy pierwsza go zaatakowała. Ale tego nie zrobił. Ani razu nie zmienił swojej wersji: twierdził, że przed drzwiami zabitej czekał na niego chłopiec i on pierwszy wszedł do jej pokoju i podszedł do łóżka. Lucy już nie żyła. Wtedy ktoś pchnął go nożem.

- Czy zamordował pan Lucy Rider? - zapytała spokojnie.

- Nie - odparł - ale nie oczekuję, że mi pani uwierzy.

Spojrzeli na siebie twardo, a Rosamunda tym samym spokojnym głosem zapytała ponownie:

- Czy zamordował pan Lucy Rider?

Wydawało się, że zaraz na nią krzyknie, ale przeczesał włosy palcami - gest, który już u niego widziała - po czym spokojnie i po prostu powiedział:

- Nie, nie zamordowałem.

Nie miała pojęcia, dlaczego mu uwierzyła. Prawie go nie знаła. Ale wiedziała, co czuje, i odnosiła wrażenie, że jakaś ciemna chmura, która unosiła się nad jej głową zniknęła.

Zamrugła, widząc, że zdjął stary bandaż i przemył ranę zawartością srebrnej butelki. Twarz skurczyła mu się z bólu. Przytknął butelkę do ust. To była brandy. Rozpoznała jej zapach. Po chwili Richard zrobił opatrunek, nasączył go alkoholem i przytknął do rany.

- Nie chce pan zmienić bandaża? - zapytała. - Trzyma się luźno i jest nasiąknięty krwią. W ten sposób nigdy nie zatamuje pan tak silnego krwawienia.

- Sam tego nie zrobię.

Wstała z łóżka.

- Ja panu pomogę - rzekła, lecz widząc, że sięga po pistolet, usiadła z powrotem. - Dobrze - rzuciła z gniewem. - Niech się pan wykrwawi na śmierć. Szczerze mówiąc, dziwię się, że jeszcze pan żyje. Nic dziwnego, że rana się otworzyła. Nie trzeba było nosić mnie po wyjściu z Newgate i z pewnością nie powinien pan być wiosłować. Czy pan nie ma rozumu? Z taką raną należy się oszczędzać.

Potał nos wskazującym palcem.

- Przecież nie mogłem prosić, żeby to pani wiosłowała - odparł. - Jeszcze walnęłaby mnie pani wiosłem w głowę.

- Mówię poważnie! - Zaczynała być naprawdę zła. Wyglądało na to, że Maitland mają za jakąś prostytutkę. - Powinien pan być na samym początku znaleźć sobie jakieś lokum blisko Newgate, gdzie mógłby pan odpocząć przez kilka dni, i rana by się zasklepiła. Całe to przemieszczanie się z miejsca na miejsce nic nie dało. Praktycznie wróciliśmy do punktu wyjścia.

- To się czasami zdarza, kiedy się ucieka. Zresztą wcale tak wiele nie podróżowaliśmy. Chelsea znajduje się tuż koło Londynu. Powiem coś pani, Rosamundo. Następnym razem, kiedy będę uciekał z więzienia, pani powierzę ułożenie planu.

Nie podzielała jego rozbawienia.

- Przypuszczam, że wypożyczy pan konie i jutro z rana stąd odjedziemy. Wspaniale. Nie mogę się już doczekać. Jak pan myśli, ile czasu minie, zanim rana znowu zacznie krwawić?

Przyjrzał się jej, mrużąc oczy.

- Niech pani tu podejdzie - powiedział w końcu.

Kiedy zbliżyła się do stołu, odsunął pistolet tak, żeby nie mogła go dosięgnąć. Użył nożyczek, żeby rozciąć bandaż, ale położył je daleko od Rosamundy.

Podał jej świeży bandaż.

- Proszę, niech pani to zrobi.

Spojrzała na stół.

- Co jest w tym słoiku?

- E... proszek z wyciągu z bazylii.

- Dobrze. Przynajmniej do tego się pan przygotował.

Patrzył, jak otwiera słoik i sypie sporą porcję proszku.

- Skąd tyle pani wie o opatrywaniu ran? - zapytał.

Prawdę mówiąc, do tej pory zdarzało jej się opatrywać tylko konie. Tak jak powołaniem jej ojca było projektowanie powozów, tak ona umiała opiekować się chorymi końmi.

- No więc - ponaglił ją.

- Wie pan, jak to jest, pułkowniku Maitland - odparła ironicznie. - Od dam oczekuje się, że zaopiekują się swoimi poddanymi.

Zagryzł wargę; następny nawyk, który zaczynała rozpoznawać.

Uśmiechnęła się i pochyliła się nad raną. Gdy ją zobaczyła, zmarszczyła czoło.

- Brzydko wygląda - stwierdziła krótko. Rana wyglądała gorzej niż brzydko. Boki rozeszły się i sączyła się z nich krew, ale brandy wykonała swoje zadanie: rozkleiła zakrzepłą krew. Rosamunda odstawiła słoiczek z proszkiem i wyjęła z ręki Maitlanda opatrunek. Pochyliła głowę i pociągnęła nosem. - Miał pan szczęście - powiedziała. - Rana jest całkiem czysta. Jeśli się pan położy, posypię ją proszkiem.

Maitland popatrzył na nią podejrzliwie.

- Proszę się położyć - powtórzyła.

W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

- A pani walnie mnie tym słoikiem w głowę? Raczej nie. Wystarczy, że mnie pani obandażuje, Rosamundo.

Wciągnęła powietrze przez zęby, ale to była jedyna oznaka poirytowania. Położyła opatrunek na ranie, kazała Maitlandowi go przytrzymać, potem sięgnęła po długi kawałek płótna, chcąc obwiązać pierś. I dopiero w tej chwili dotarło do niej, co się dzieje. Maitland jest w półnagi, a ona zaraz go obejmie. Dlaczego nagle jej oddech stał się taki nierówny?

- Musimy zatamować upływ krwi, pułkownika. Proszę mocno przycisnąć ręką opatrunek. Tak, wiem, że boli. Ale nie ma rady.

- Dobrze, proszę pani - zgodził się potulnie.

Ściągnęła brwi, jakby się zastanawiała, co powinna teraz zrobić. Nie tylko będzie musiała go objąć, ale na dodatek przycisnąć się do niego.

- Myślę, że będzie mi łatwiej pana zabandażować, jeśli się pan obróci.

- Rosamundo, nie pozwolę pani stanąć za moimi plecami.

Podniósł na nią oczy. Nie uśmiechał się wprawdzie, ale zdawało się jej, że w jego wzroku dostrzega rozbawienie.

To prawdziwa udręka. Ma prawie dwadzieścia siedem lat, a czuje się jak wstydliva uczennica.

Objęła Maitlanda, mocując się z bandażem. Gdy przysunęła się do jego pleców, drgnął.

- Przepraszam - rzuciła pospiesznie - ale muszę to zrobić ściśle.

Znowu zabrała się do pracy. Tym razem nie drgnął, choć jego oddech stał się nagle głośniejszy.

- Niech się pan nie rusza - nakazała i pociągając za końce płótna, związała je mocno w węzeł.

Nie odzywała się, więc spojrzał na nią. Znowu miał ten dziwny wyraz na twarzy, jakby go ktoś ugodził nożem.

- Nie chciałam sprawić panu bólu - mruknęła.

Nic na to nie powiedział, tylko wpatrywał się w nią. Cisza się przedłużała.

Nie mogła oderwać od niego oczu.

- Ja...? - zaczęła.

Maitland przysunął się do niej i położył dłonie na jej ramionach. Dotknęła jego gołej piersi. Miał ciepłą skórę, Rosamunda czuła mocne bicie jego serca. A może to jej serce tak waliło? Wydawało się rzeczą najbardziej naturalną na świecie podnieść głowę i...

Jednak on nagle mocno zacisnął ręce na jej ramionach, a potem ją od siebie

odepchnął.

Aż krzyknęła.

- Cholera jasna! - warknął Maitland. - Nie wie pani, że igra z ogniem? Czy nikt pani nie mówił, żeby nie flirtować z mężczyzną, dopóki nie jest pani przygotowana na konsekwencje? - Zmrużył nieprzyjemnie oczy. - A może ubzdurzyła sobie pani, że mnie uwiedzie, a ja puszcze panią wolno?

Zamieszanie, panujące w jej myślach, natychmiast się ulotniło. Maitland znowu był tym samym łajdakiem, patrzącym i krzyczącym na nią groźnie.

Wsparła ręce na biodrach.

- Czy tylko takie podziękowania dostanę za chęć pomocy? I myli się pan, pułkowniku Maitland. Nie przyszło mi do głowy, żeby pana uwieść, tak jak nie przyszłoby mi na myśl uciec z własnym lokajem. Czy zapomniał pan, z kim ma do czynienia?

W tym cały problem. Zapomniał. Coś zaczynało się między nimi dziać, coś, na co nie powinien był pozwolić. Wskazał na łóżko.

- Idź się położyć i trzymaj się ode mnie z daleka!

Potrafiła się wykrzywiać tak samo paskudnie jak on.

- Z przyjemnością - odwarknęła. - I bardzo proszę, by przestał pan zwracać się do mnie per ty. Dla takich jak pan jestem lady Rosamunda i niech pan o tym nie zapomina - zakończyła i rzuciła się na łóżko.

Wkrótce potem pojawiły się kanapki, kawa i ciepła woda do mycia. Maitland obmył tylko twarz i ręce. Rosamunda była bardziej drobiazgowa i spędziła sporo czasu w garderobie - z lekko uchylonymi drzwiami, by wpuścić do pomieszczenia nieco światła. Wymyła się ściereczką od stóp do głowy.

Gdy wreszcie mogli ułożyć się do snu, Richard z wściekłością stwierdził, że

nie ma miejsca, do którego mógłby przykuć Rosamundę. No, może nie do końca, ale musiałyby spać na stojąco albo kucając na podłodze. Kusiło go, żeby zamknąć ją w garderobie, ale było tam bardzo zimno. Poza tym wyglądałoby to na wielką niewdzięczność po tym, jak go opatrzyła. Potrzebowała się przespać tak samo jak on, nie pozostało mu nic innego, tylko przykuć ją do siebie.

Kiedy ciągnął ją do łóżka, nie robiła scen. Nie powiedziała jednego słowa. Właściwie nie odezwała się od momentu, gdy kazał jej trzymać się z daleka, co zresztą bardzo mu odpowiadało. To oczywiście nie znaczyło, że Rosamunda spokorniała, o nie, nie lady Rosamunda Devere, która pokazała mu jego miejsce - jakby musiała mu o tym przypominać. Ma go za kogoś gorszego nawet od lokaja. No i jak na prawdziwą damę przystało, teraz zachowywała się tak, jakby był niewidzialny.

Ta nieznośna arystokratka dziwnie na niego działa, raz go irytuje, a już po chwili napełnia podziwem. Teraz akurat jest irytująca, bo się nie przeciwstawia; zmusza go, żeby postępował jak potwór. Najbardziej jednak działała na niego jej niewinność. Ta dziewczyna zachowywała się tak, jakby w ogóle nie miała pojęcia, jakie wrażenie robi na mężczyznach. Odziana w modne suknie, była oszałamiająca; ale w męskim ubraniu jest nie do odparcia! Te długie, zgrabne nogi! Ten pięknie zaokrąglony tyłeczek, nie wspominając już o zabójczym ruchu bioder. Czy ona nie widzi, co z nim robi? Najwyraźniej nie.

I co najdziwniejsze, to, co go w niej irytowało, było zarazem tym, co w niej podziwiał. Bała się go, ale się nie poddawała.

Nic nie było w stanie jej złamać. A jej niewinność dotyczyła nie tylko spraw męsko-damskich. Oczyszczyła i opatrzyła jego ranę, choć w jej interesie byłoby, gdyby się wykrwawił na śmierć. Jak mógłby się tym nie wzruszyć?

Zmieniła zupełnie jego zdanie na temat kobiet z jej sfery. No, przynajmniej niektórych z nich. Może i wychowywano ją tak, by była jedynie ozdobą, ale gdy stawiała przed wyzwaniem, potrafiła mu sprostać. W tym względzie podobna była do Abbie Templar i Gwyneth Radley.

Tylko że on nigdy nie pożył Abbie ani Gwyneth.

Pożądanie. Czy to rzeczywiście jest pożądanie?

Z pożądaniem da sobie radę, ale nie wiedział, czy zniesie to dziwne rwanie duszy, które go nachodziło za każdym razem, gdy Rosamunda stawiała się wobec niego delikatna. Jej szare inteligentne oczy potrafiły go przeszyć na wskroś. Miał wtedy wrażenie, że czyta w nim jak w otwartej księdze.

„Czy zabił pan Lucy Rider?”

„Nie, nie zabiłem”.

Uwierzyła mu? Myślał, miał nadzieję, że tak, ponieważ... ponieważ...

Tam do diabła! Znowu to robi. Powinien zasnąć, a nie rozmyślać o kobiecie, którą zna zaledwie jeden dzień! Dobrze przecież wie, że Rosamunda jest sprytna i umie grać na męskiej słabości. Wcześniej się tego nie spodziewał, ale się pomylił. Już kiedyś zaufał kobiecie, a ona sprowadziła na niego nieszczęście. Nie wpadnie więcej w tę samą zasadzkę. Ma wiele do zrobienia, ma plany, a na górze listy zadań stoi pozbycie się tej dziewczyny.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią. Leżeli tak oddaleni od siebie, że między nimi mógłby przejechać powóz. Od tego nienaturalnego ułożenia bolało go ramię, a także bok. Cały zeszywniał. W tej pozycji nigdy nie zaśnie.

Sięgnął do kieszeni po kluczyki do kajdanek i rozpiął je.

Rosamunda westchnęła i odwróciła się do niego. Spała. Postanowił to sprawdzić, więc musnął palcem jej usta. Nie poruszyła się, ale jego ten dotyk niemal sparaliżował.

Klnąc pod nosem, odrzucił narzutę i wstał. Dorzucił kilka węgli do ognia, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Po drugiej stronie rzeki migwały światła Londynu.

Hugh pewnie już z niego zrezygnował, ale Maitland wiedział, że może ufać rozsądkowi przyjaciela. Hugh nie będzie próbował go szukać, wiedząc, że mógłby tym samym ściągnąć za sobą pościg. Będzie się zachowywał tak, jakby nic się nie stało.

Tylko jedna osoba wiedziała, dokąd zamierzał się udać. Harper.

Maitland uznał, że to zmęczenie tak go rozrzewnia, niemniej nie mógł pozbyć się przeświadczenia, że gdzieś jednak popełnił błąd. Miał tak niewielu przyjaciół, że nie mógł pozwolić sobie na utratę nawet jednego.

Po tej przygnębiającej refleksji pochwyił płaszcz z krzesła, zarzucił go sobie na ramiona i położył się na podłodze tuż pod drzwiami. Jeśli Rosamunda zechce wyjść, będzie musiała go ominąć, a to nigdy jej się nie uda.

Zapomniał o pistolecie. Znowu przeklinając sam siebie, wstał i poczłapał do łóżka. Podniósł pistolet i stanął, zapatrzony w śpiącą Rosamundę.



Kiedy zdał sobie sprawę, że się uśmiecha, skrzywił się. Cholerni przyjaciele i ta kłopotliwa dziewczyna, pomyślał z gniewem, po czym wrócił do posłania pod drzwiami. Teraz przypomniał sobie, w którym momencie popełnił błąd. To było wtedy, gdy postanowił porwać lady Devere.

Ułożył się na podłodze, zamknął oczy i zaczął liczyć owce. Po chwili usiadł i przeszukał płaszcz, bo w kieszeni było coś, co uwierało go w bok. Okazało się, że to but lady Rosamundy. Czy już nigdy nie uda mu się uciec od tej kobiety?

Ta myśl krążyła mu po głowie jeszcze przez długi, długi czas.

## *Rozdział 8*

Po wejściu do wynajętego domku położonego na końcu wsi Hugh Templar zdjął przemoczony płaszcz, podniósł ze stolika w holu świecznik i wspiał się po schodach, szukając żony. Było już bardzo późno, służba spała, ale Hugh wiedział, że Abbie na niego czeka. Znalazł ją w pokoju dziecięcym. Nie usłyszała jego wejścia, więc przez chwilę przyglądał się jej z przyjemnością. Kołysała w ramionach ich synka, nucąc pozbawioną melodii piosenkę. Abbie nie miała dobrego słuchu, ale małemu Thomasowi wcale to nie przeszkadzało. Popatrzył z napięciem na matkę i zakwilił wraz z nią.

- Hugh - powiedziała Abbie, kiedy mąż do niej podszedł. - Miałeś wrócić wiele godzin temu. - Położyła palec na ustach, po czym wskazała na lekko uchylone drzwi do sąsiedniego pokoju.

Hugh skinął głową na znak, że zrozumiał przesłanie. Opiekunka Thomasa może nie spać i podsłuchiwać.

- To przez Woodruffa - odparł. - Czekałem na niego tyle godzin, ale się nie pojawił. Potem koń okulał i musiałem większość drogi pokonać pieszo.

Abbie pokiwała głową. Nie było żadnego Woodruffa. Wymyślili tego fikcyjnego handlarza monet, żeby Hugh miał pretekst, by zniknąć z domu na wiele

godzin.

- Popatrz - odezwała się Abbie. - Zdaje się, że włosy Thomasa ciemnieją.

Hugh posłusznie przyjrzał się główce synka. Nie dostrzegł na niej żadnych włosów, tylko lekki meszek, tak samo jasny jak włosy matki.

- Hmmm - przytaknął.

- Wygląda zupełnie tak jak ty.

Fakt ten sprawiał Abbie tyle radości, że Hugh postanowił nie sprzeczać się z nią na ten temat. Jego zdaniem, wszystkie dzieci wyglądały tak samo. Jedyna różnica polegała na tym, że gdy brał na ręce to dziecko, tak jak to czynił w tej chwili, coś dziwnego zaczynało się dziać w jego sercu.

Kilka minut później, gdy Thomas zasnął i został ułożony w łóżeczku, oboje na palcach wycofali się do swojej sypialni, znajdującej się po przeciwnej stronie korytarza.

Kiedy tylko Hugh zamknął za sobą drzwi, Abbie zapytała:

- Zrobić ci coś do picia? Whisky? Kawy?

- Nie, wypilem swoją porcję w Falconie, czekając na naszych przyjaciół.

- O co chodzi, Hugh? Coś się nie udało?

- Wszystko jest w porządku, Abbie. Uciekli z Newgate i nie schwytano ich. Przynajmniej tyle się dowiedziałem. - Zdjął surdut i padł na fotel stojący naprzeciwko kominka. - Ale ucieczka nie przebiegła zgodnie z planem.

Abbie usadowiła się na stołeczku u stóp męża i popatrzyła na niego. Jego twarz była skurczona zmęczeniem, ale to jej nie zaskoczyło. Wyszedł z domu koło południa i udał się do gospody o nazwie Falcon, znajdującej się w pobliskiej wsi Latham. Miał ze sobą świeże konie dla Richarda i Harpera i następną pełną sakiewkę. Oczekiwała jego powrotu wiele godzin temu.

- Opowiedz mi, co się wydarzyło - poprosiła spokojnie.

Hugh westchnął przeciągle.

- Jak było umówione, czekałem na nich w Falconie, ale ponieważ się nie zjawiali, postanowiłem pojechać do miasta, żeby dowiedzieć się, co się stało. Kiedy dotarłem do granic Chelsea, dołączyłem do długiej kolejki podróżnych, których zatrzymywała milicja. Wszystkich przepytawali. Szukali naszych

przyjaciół i - uśmiechnął się słabo - kogoś, kogo porwali.

Abbie wyprostowała się.

- Porwali? Richard i Harper kogoś porwali? Kogo?

- Lady Rosamundę Devere.

Abbie najpierw szeroko otworzyła usta, a potem powiedziała:

- Córkę Romseya?

- Właśnie. Wszystkiego dowiedziałem się od milicjanta. Dzisiaj w Londynie doszło do rozruchów. Tłum ruszył na Newgate, przez co przemieszczanie się ulicami stało się niemożliwe. Podejrzewam, że Richard i Harper nie mogli dotrzeć do koni, więc uprowadzili powóz lady Rosamundy. Problem polega na tym, i naprawdę jest to duży problem, że ona była w tym powozie.

Widząc zaszokowaną minę żony, Hugh o mało się nie zakrztusił, próbując powstrzymać śmiech. Zresztą, pomyślał, sytuacja rzeczywiście nie jest śmieszna i powinien martwić się o przyjaciół. A miał jeszcze więcej do opowiedzenia.

Spojrzał na żonę. Wiedział, że mężowie zazwyczaj oszczędzają swoim połowicom takich rewelacji, zakładając, że trudno im będzie je znieść. Ale tamci nie znają Abbie. Kiedyś pracował z nią przy jednym zadaniu i dzisiaj żyje tylko dlatego, że wtedy nie straciła głowy.

- Abbie, jest jeszcze coś. Znaleźli ten powóz. Został porzucony po drugiej stronie Chelsea. Powoził nim Harper, ale uciekł. Richarda i lady Rosamundy nie widziano, lecz żołnierze już przeszukują okolicę.

- Myślisz, że znajdą chatę?

- To możliwe.

Abbie przyjrzała się mężowi z niepokojem.

- Och, Hugh, co możemy zrobić?

- Musimy zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Zwiedzimy te rzymskie ruiny i okoliczne ciekawe miejsca, a po kilku dniach wrócimy do miasta.

- Widząc, że żona kręci głową, podniósł się gwałtownie i podszedł do okna. Dalej mówił, stojąc do niej plecami. - Mnie też się to nie podoba, ale taki był plan i musimy się go trzymać. Tego chciał Richard, nie tylko ze względu na nasze dobro, ale także na swoje. - Odwrócił się do żony. - Richard upierał się, że jeśli coś

pójdzie źle, każdy ma zadbać o siebie. To znaczy...

- Wiem, co to oznacza! I to jest okrutne!

Hugh drgnął.

- To nie jest okrutne. To jest zasada, według której działaliśmy jako agenci. Jeszcze nie wyszliśmy z ukrycia. Jestem pierwszą osobą, którą władze będą podejrzewać o udzielenie Richardowi pomocy. Myślałem, że to rozumiesz. Mogą się tu zjawić w każdej chwili. Mogą nas teraz obserwować. Nie zaryzykuję i nie zaprowadzę ich do Richarda.

- Wiem, wiem, przepraszam. - Abbie bezradnie wzruszyła ramionami. - Po prostu chciałabym, żebyśmy mogli coś zrobić.

Hugh podszedł do żony i podniósł ją.

- Posłuchaj mnie, Abbie. Richard był pierwszorzędnym agentem. W Hiszpanii pracował z partyzantami. Za jego głowę wyznaczona była nagroda, ale zawsze udawało mu się uciec. Tym razem też mu się powiedzie.

Abbie próbowała się uśmiechnąć.

- To samo powiedział mi kiedyś o tobie.

- Nie uda im się go złapać, przyrzekam ci.

- W takim razie dokąd on pójdzie? Co zrobi? I co z Harperem?

- Nie wiem. Ale założę się, że Richard zaplanował wszystko jeszcze przed wydostaniem się z Newgate. Gdzieś w Berkshire jest pewien dom. Ktoś mu go zostawił w spadku. Nie wiem kto. Może tam właśnie pojedzie.

- Pierwszy raz o tym słyszę! Myślałam, że Richard ma tylko to mieszkanie przy Jeremy Street. Więc gdzie jest ten dom?

- Dokładnie nie wiem. Nie mówił mi o nim, ale kiedyś podsłuchałem jego rozmowę z prawnikiem. Gdy zdał sobie sprawę, że go słyszę, zamknął drzwi do biura. Mam nadzieję, że tam właśnie pojedzie, a Harper dołączy do niego, kiedy tylko będzie mógł.

- Cóż jest tak tajemniczego - zapytała z pewnym zagniewaniem Abbie - w tym domu w Berkshire, że nie mógł o nim powiedzieć swoim przyjaciółom? A przecież nie ma ich tak wielu. Tylko Harpera i nas.

- I jeszcze Jasona Radleya i jego żonę.

- Richard nie zna ich zbyt długo, a poza tym podróżują teraz po Francji. Zrobili sobie chyba spóźniony miesiąc miodowy.

- Tak słyszałem. Ale wiem, że Jason natychmiast by wrócił, gdyby tylko Richard dał mu znać, że ma kłopoty.

- Więc dlaczego Richard tego nie zrobi? - gniewnie dopytywała się Abbie.

- Ponieważ jest samotnym wilkiem. Niełatwo nawiązuje przyjaźnie. Jest taki jak ja kiedyś. - Złożył na ustach żony krótki pocałunek. - Zanim spotkałem ciebie.

Abbie zadrżała.

- Właśnie to mnie przeraża - rzuciła. - To samo mogło spotkać ciebie, kogokolwiek. Władze powinny wiedzieć, że ktoś taki jak Richard nigdy nie zamordowałby tej biednej dziewczyny.

- Pewnie by go nie oskarżyli, gdyby nie to, że wszystko było tak doskonale zaaranżowane, wszystkie fakty go obciążały. Poza tym Richard sam jest swoim największym wrogiem. Ta jego powściągliwość i małomówność. Źle się zaprezentował w sądzie. Nawet nam, przyjaciółom, powiedział tylko tyle, żebyśmy nie włączali się w rozprawę.

- Cóż, dzięki Bogu przyjaciele go nie posłuchali. Chciałabym móc zrobić dla niego coś więcej.

- Wiem.

- Jest taki samotny.

- Wiem.

- Żał mi jego rodziców. Mieszkają tak daleko i nie wiedzą, co się dzieje.

Hugh poklepał żonę po ramieniu.

- Wiem.

- Gdyby był żonaty...

- Nie sądzę, żeby Richard kiedykolwiek się ożenił. To samotnik.

- To mogłoby się zmienić, gdyby spotkał odpowiednią kobietę.

- Zaraz, poczekaj! Trochę za wcześnie, żeby o tym rozprawiać. Na razie ma już na głowie jedną, o którą musi się martwić.

Abbie popatrzyła na męża ze zdumieniem.

- O tak, Richard wszystko wcześniej zaplanował, tak? A gdzie w tym planie miejsce na lady Rosamundę? Co?

Hugh skrzywił się.

- Tej komplikacji nie mógł przewidzieć, ale dziewczyna już niedługo przestanie być mu ciężarem. Założę się, że przy najbliższej okazji Richard zostawi ją w jakiejś odosobnionej gospodzie, a potem zniknie.

- Gdybym przyjmowała wszystkie zakłady, które mi proponujesz - burknęła ze złością Abbie - byłabym bogata. Co cię tak cieszy?

- Myśl o Richardzie i lady Rosamundzie. Są jak oliwa i woda. Richard jest zagorzałym republikaninem i chciałby zmieść arystokrację z powierzchni ziemi. Ona jest córką księcia. Ma wszystkie cechy charakteru, których Richard nie znosi: jest uprzywilejowana, wyniosła... - Hugh zamilkł, bo zauważył, że żona kręci głową z dezaprobatą. - Nie uważasz, że jest wyniosła?

- Nie, ani uprzywilejowana.

- Abbie, ci ludzie żyją w innym świecie niż reszta śmiertelników.

- Właśnie o tym mówię. - Opadła na łóżko, po czym poklepała materac, zapraszając męża, żeby usiadł obok niej. Kiedy to zrobił, dokończyła myśl. - Nigdy nie rozmawiałam z lady Rosamundą, jednak przyglądałam się jej podczas tych dziwnych przyjęć, w których uczestniczyliśmy, i wydała mi się... cóż, osobą bardzo samotną. Nie wolno jej było zadawać się ze zwykłymi ludźmi, tylko z dygnitarzami i osobami z jej sfery. Zawsze się uśmiechała, zawsze była uprzejma, ale czasami miała taki wyraz twarzy... och, nie wiem, jak to wytłumaczyć! Sprawiała wrażenie więźnia, a otaczający ją ludzie byli dla niej bardziej jak strażnicy niż przyjaciele.

Hugh zaczął się głośno śmiać, ale zamilkł, kiedy zobaczył minę żony.

- No cóż, przypuszczam, że wszystko jest możliwe - stwierdził.

- Ty sam często mówisz, że potrafisz ocenić charakter człowieka.

- Nie, mówiłem, że bardzo szybko oceniasz ludzi pozytywnie. I gdybyś inaczej patrzyła na świat, nie bylibyśmy dzisiaj małżeństwem. Nadal byłbym samotnym wilkiem.

Abbie obruszyła się.

- A kto wiedział, że taki jesteś? Nie ja! Nie przy tych wszystkich pięknych kobietach zalecających się do ciebie, co tobie, należy dodać, bardzo odpowiadało.

- Abbie, to stare dzieje!

- Przypominam je tylko po to, żeby uzasadnić swoje zdanie. Twierdzisz, że Richard i Rosamunda są jak oliwa i woda. A ja mówię, że są do siebie podobni. Ciekawa jestem, ilu przyjaciół ma lady Rosamunda. Domyślam się, że nie więcej niż Richard. - Przyszła jej do głowy nagła myśl. - Hugh?

- Słucham?

- Mam nadzieję, że on nie traktuje źle tej biednej dziewczyny. To znaczy, obydwójce wiemy, że jest honorowy, ale potrafi być bezwzględny, jeśli chce.

- Nie martw się, Abbie. Richard nie jest głupcem. Ma już wystarczająco dużo wrogów i niepotrzebny mu następny w osobie dostojnego ojca lady Rosamundy i jej porywczych braci. Ich można się bać bardziej niż każdego agenta Służb Specjalnych. Richard o tym wie, dlatego też jestem przekonany, że już wkrótce lady Rosamunda wróci do swojej rodziny i nie będzie się mogła na nic poskarżyć, może oprócz pobrudzonych piórek.

- Biedny Romsey - mruknęła miękko Abbie. - Co on musi teraz przeżywać! Nie zna Richarda tak jak my i zapewne obawia się najgorszego. - Nagle uniosła głowę. - Hugh, sądzisz, że po nas przyjdą?

- Możesz na to liczyć. Ale nie ludzie ze Służb Specjalnych, tylko Romsey z synami.

- Wielki Boże!

Po chwili otrzeźwiającej refleksji, Hugh powiedział:

- Nie dojdzie do tego. Nie przyjdą po nas, jeśli wcześniej lady Rosamunda wróci do domu. A jestem pewien, że Richard wypuści ją, kiedy tylko będzie miał okazję.

Abbie skinęła głową.

Nagle obydwójce zamarli, bo odezwała się kołatka u drzwi wejściowych.

- Czy to może być Richard? - wyszeptała Abbie. - A może Harper?

- Przy głównym wejściu? To raczej wykluczone. Zaczekaj tu.

Hugh szybko narzucił surdut i wyszedł z pokoju. Gość zaczynał się

niecierpliwie i głośniejsze walić kołatką. Jednak gdy Hugh otworzył drzwi, nie zobaczył za nimi ani Richarda, ani Harpera.

- Lord Caspar - rzucił ze zdumieniem, ale szybko wziął się w garść. - No, no! O wilku mowa! Proszę wejść.

## *Rozdział 9*

Rosamunda budziła się powoli. Kiedy pociągnęła nosem i wciągnęła aromat świeżo zaparzonej kawy, zmarszczyła czoło. To dziwne. Nan chyba zapomniała, że ona nigdy rano nie pije kawy, tylko czekoladę posłodzoną małą łyżeczką miodu. I dlaczego świece się pałą? Nan powinna rozsunąć zasłony i wpuścić do pokoju słońce. Rosamunda odwróciła głowę i popatrzyła na okno - na horyzoncie dopiero budził się dzień. A więc to wczesny poranek. Poranek? Przecież nigdy nie budzi się przed dziesiątą.

Następna myśl, która przysła jej do głowy, sprawiła, że jęknęła. Maitland.

Siedział przy stole, spokojnie pijąc kawę, i wyglądał tak świeżo i zdrowo jak nigdy. Pomyślała, że to dzięki niej. Opatrzyła mu ranę i zatamowała krwawienie, i teraz był gotowy na wszystko.

Czy ona zwariowała?

- Kawa ci stygnie - zauważył Maitland.

Podciągnęła się do siedzącej pozycji i niezbyt uprzejmie zapytała:

- Co?

- Twoja kawa. - Wskazał na stojącą na stole filiżankę. - Wstań, Rosamundo. Chcę ci coś powiedzieć. Widzisz, wymyśliłem, jak się pozbyć... jak mogę zwrócić cię rodzinie bez żadnego ryzyka dla mnie.

Wpatrywała się w niego z napięciem. Czy to jakaś nowa sztuczka? Czy może



mu wierzyć? Zresztą jaki ma wybór?

Nie marnowała czasu na poprawianie włosów i ubrania. Usiadła przy stole, podniosła do ust filiżankę, a Maitland wyjaśnił jej swój plan.

- To proste. Wynajmę powóz i każę woźnicy zawieźć cię do twojego domu w Twickenham. Dla siebie, oczywiście, zaplanowałem coś innego.

Był tego poranka w wyraźnie dobrym nastroju, a ona nie przeoczyła tego niedokończonego niesympatycznego zdania - „Widzisz, wymyśliłem, jak się pozbyć...” Naturalnie chodziło mu o nią. Bała się mu uwierzyć, bała się, że znowu ją oszuka. W tym, co mówił, musiał tkwić jakiś podstęp.

Maitland wyprostował się.

- Sądziłem, że się ucieszysz.

- Hm - rzuciła z zamyśleniem. - Martwi mnie ta część o wysłaniu mnie do domu bez ryzyka dla pana. - Objęła filiżankę obydwoma dłońmi i mówiła dalej z zastanowieniem: - Co mnie powstrzyma, kiedy już powóz zniknie panu z oczu, przed zawróceniem i udaniem się do najbliższego sędziego? Wyślą za panem pościg, nim zdąży pan powiedzieć słowo. To nie znaczy, że zamierzam to zrobić - dodała pośpiesznie. - Staram się tylko spojrzeć na sytuację z pańskiego punktu widzenia.

- Zaknebluję cię i zwiążę. - Uniósł brwi, widząc, że z trwogą wciąga powietrze. - Posłuchaj, Rosamundo. Potrzebuję czasu na ucieczkę, a woźnica nie zwróci na ciebie uwagi aż do dotarcia do celu. To mi daje jakieś dwie godziny. Tyle mi wystarczy.

A więc to prawda. On naprawdę chce ją wypuścić. Nie przejmowała się tak bardzo, że ją zaknebluje i zwiąże. Z jego punktu widzenia miało to sens. Mogły się jej przydarzyć gorsze rzeczy.

Chciała mu podziękować i powiedzieć, że nie przysporzy mu kłopotów, że nie powie nikomu, gdzie jest, nawet po powrocie do domu. Chciała mu też powiedzieć, że wierzy w jego niewinność i że kiedy będzie wolna, uczyni wszystko, co w jej mocy, aby go uniewinniono, ale milczała, ponieważ wiedziała, że Maitland i tak jej nie uwierzy.

Wstał.

- Masz pięć minut na przygotowanie się, i proszę, bez żadnych sztuczek.

Siedziała w tym samym miejscu, słysząc, że zamyka drzwi na klucz od zewnątrz. Przyszło jej na myśl, żeby mu się jednak sprzeciwić, ale tylko dlatego, że to zasugerował. Nie chciała go zdradzić, bo wtedy z pewnością by zawisnął, a ona, mimo wszystko, wierzyła w jego niewinność.

Powiedział, że ma pięć minut. Najpierw poszła do garderoby.

W stajni, gdzie zamierzał wynająć powóz, Richard otrzymał niepomysłne wieści.

- Będziecie szybciej pieszo - stwierdził właściciel gospody, który pełnił też rolę stajennego. - Nie słyszeliście? Porwali córkę jakiegoś księcia i milicja zabarykadowała wszystkie mosty. Nikt i nic nie wyjedzie ani nie wjedzie do Londynu, dopóki milicjanci na to nie pozwolą.

A więc plan odesłania Rosamundy do domu jest nierealny. Powóz zatrzymano by już na moście Westminster, a to stanowczo za blisko. Milicja natychmiast by go doścignęła. Nie może zmieniać swoich planów, nie, jeśli chce się spotkać z Harperem. Będzie musiał odesłać ją gdzieś indziej.

Pomyślał o Brighton. Woźnica za kilka godzin zatrzyma się, by napić konie, i wtedy zobaczy związaną Rosamundę. Ale wtedy będzie już za późno na pościg. Tak, Brighton to dobry pomysł.

- Chcę wynająć powóz. Natychmiast - powiedział. - Dopilnujcie tego - dodał, a żeby nieco osłodzić oschłe polecenie, rzucił w powietrze szylinga, którego gospodarz zręcznie złapał w locie. - Jeśli będzie gotowy do czasu, aż pojawię się tu z bratem, dostaniecie jeszcze jednego.

Stajenny wykrzywił się w uśmiechu.

- Będzie gotowy.

Odwracając się, Richard prawie wpadł na młodego chłopaka, który pędem wbiegł do stajni.

Chłopak stanął w miejscu i krzyknął:

- Panie Bleecher! Jedzie tu milicja! Widziałem ich. Płyną łodziami. Znaleźli coś przy porcie, jakąś łódź, a teraz chodzą od drzwi do drzwi i przeszukują domy.

Richard starał się zachować obojętną minę, ale w środku aż się zagotował.

- Milicja? - zapytał z zaciekawieniem. - Tutaj? W Kennington?

Chłopak skinął głową.

- Tak.

Pan Bleecher splunął na ziemię.

- Milicja - powtórzył. - Zawsze zwiastuje kłopoty. - Potem rzucił do chłopaka: - Zabieraj się do pracy, Danny. I nie zawracaj sobie głowy milicją. Stary Bleecher wie, jak sobie z nią radzić.

Richard zamyślił się, potem powiedział z wahaniem:

- Chyba wraz z bratem wstrzymamy się z podróżą.

- A niby po co?

- No, milicja... - Richard spojrzał na niego znacząco. Nie pomylił się co do niego.

- Wygląda mi pan na szacownego dżentelmena - rzekł gospodarz. - A co do tych prostaków z milicji, to oni nie wiedzą, co to prawdziwe wojsko. Im się marzy tylko szkarłatny mundur i sława, ale nie potrafią odróżnić własnej głowy od tyłka.

Dobry Boże, pomyślał Richard, czyżbym spotkał następnego Harpera?

Popatrzył na właściciela gospody, dokładnie mu się przyjrzał i tym razem nie zobaczył niechlujnego małego człowieczka w zaplamionym skórzanym fartuchu i z brudem pod paznokciami. Dostrzegł twarz pooraną zmarszczkami, których nabywa się pod gorącym niebem Hiszpanii; zobaczył weterana wojennego, człowieka, który zasługuje na największy szacunek.

Wyciągnął rękę.

- Który regiment? - zapytał.

Bleecher popatrzył na wyciągniętą dłoń, lecz zanim ją przyjął, wytarł rękę w fartuch. Wyprostował przy tym plecy i ramiona.

- Dziewięćdziesiąty piąty karabinierów - zameldował.

- Jeden z najlepszych - stwierdził Richard, bo tak naprawdę uważał. Potem dodał: - Życzę szczęścia, sierżancie Bleecher.

Mężczyzna skinął głową.

- Tak, czasami sierżant Bleecher. Ja też życzę panu szczęścia, sir.

Po wyjściu ze stajni Richard spojrział w stronę rzeki. Niebo stawało się coraz jaśniejsze, ale nie dostrzegł nigdzie czerwonych mundurów. Niemniej należało się spieszyć. Tylko dokąd? Droga do Twickenham jest zablokowana, a teraz, gdy w Kennington pojawiła się milicja, nie przedrze się także do Brighton. Pozostała jedna droga ucieczki, na zachód, ta, którą planował pokonać sam.

Pomyślał o Rosamundzie i przeklął siarczyście. Co jej teraz powie? Że nadchodzi milicja i że jest zmuszony zmienić plany? O tak, już widzi, jak na to zareaguje. Będzie próbowała uciec, aż w końcu on będzie zmuszony zostawić ją gdzieś, a wtedy milicja natychmiast wpadnie na jego ślad.

Nie może jej zostawić. Powie jej o zmianie planów, kiedy już opuszczą Kennington. A może wcześniej, gdy znajdą się w powozie. Nie spodoba jej się to, ale jest inteligentna. Zmusi ją, by go zrozumiała.

Z tymi ponurymi myślami powlókł się do gospody.

Kiedy wszedł do izby, Rosamunda była już gotowa i czekała na niego. Zauważyła jego skrzywioną minę, ale to jej nie zdziwiło. Nic nowego. W rzeczywistości zaczynała się już przyzwyczajać do ponurej fizjonomii Maitlanda i nie robiła ona na niej takiego wrażenia jak wcześniej. Poza tym teraz, gdy uwierzyła w jego niewinność, nie bała się już jego złych min ani gróźb czy też perspektywy, że ją zaknebluje i zwiąże.

Prawda była taka, że ona mu wierzyła, tylko on nie ufał jej.

Pomyślała o ojcu i o braciach, i o tym, że wkrótce ich zobaczy, i do oczu napłynęły jej łzy. Przebywała poza domem od dwudziestu czterech godzin i już wiedziała, że dla ojca były to najdłuższe dwadzieścia cztery godziny w życiu.

Powóz czekał już na nich na podwórku, a na prowadzącego konia wspinał się

chłopak stajenny. Rosamunda z chęcią by wyruszyła natychmiast, ale Maitland zamienił jeszcze kilka słów z właścicielem gospody, a potem rzucił mu monetę.

Weszła do powozu pierwsza i zobaczyła plecaki leżące na podłodze. Trochę ją to zdziwiło, lecz jeszcze nic nie rozumiała. Maitland wszedł za nią, nie odzywając się słowem, po czym zakneblował ją i skulił jej ręce na plecach. Nie odezwał się nawet po to, by rzucić choćby krótkie słowa na pożegnanie. Trochę ją to wzburzyło, ale perspektywa powrotu do domu i rodziny ostudziła jej złość. Kiedy jednak Maitland usiadł obok niej, zatrzasnął za sobą drzwi i nakazał woźnicy ruszać, popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

Powóz ruszył i Maitland podniósł dłoń w geście uspokojenia.

- Posłuchaj, Rosamundo - zaczął. - Nastąpiła zmiana planów. Nie mogę cię jeszcze puścić. Widzisz...

Przestała go słuchać. Wyjeżdżali z Kennington i kierowali się w złą stronę. Nie musiała się nad tym długo zastanawiać. Od razu wiedziała, że to jego następne oszustwo, i sądziła, że jeśli nie zareaguje już teraz, to potem będzie za późno. Spróbowała podnieść się na nogi, ale Maitland pchnął ją na podłogę, nakazując, by była rozsądna. Przyrzekał, że jeśli będzie mu posłuszna, wszystko dobrze się ułoży.

Patrzyła na niego ze zdumieniem - a potem rzuciła się na niego jak spanikowane dzikie zwierzę. Kopała na oślep, starając się zarazem uwolnić ręce; nacierała na niego, waliła głową.

Przygniótł ją swoim ciężarem, aż w końcu opadła z sił.

Kiedy wreszcie znieruchomiła w jego ramionach, powiedział pojednawczo:

- Chcę tylko, żebyś mi przyrzekła, że będziesz spokojna, a wtedy usunę knebel i kajdanki.

Rzuciła na niego tak wściekłe spojrzenie, że się od niej odsunął. Powoli pokiwał głową.

- Możesz mnie nienawidzić, ale dopóki nie złożysz mi przyrzeczenia, nie zdejmę knebla i kajdanek. Przyrzeknij, Rosamundo. Wystarczy, że kiwniesz głową.

W odpowiedzi podciągnęła się do siedzącej pozycji, uniosła dumnie podbródek i umyślnie zapatrzyła się w krajobraz za oknem.

- Niech więc będzie tak, jak chcesz - odpowiedział na to.

Nie odjechali daleko, gdy po drugiej stronie rzeki zobaczyła zabudowania

Chelsea. Jeśli dalej będą jechali w tym kierunku, wyjadą przy Richmond, a za mostem jest już Twickenham i dom.

Niestety, mimo nadziei bryczka zatrzymała się na skrzyżowaniu, po czym skręciła. Kierowali się na południowy zachód, w stronę miasteczka o nazwie Morton.

Rosamunda oparła się o siedzenie i zamknęła oczy, żeby ukryć łzy. Byli tak blisko, tak blisko. Chciała zwinąć się w kłębek i umrzeć. Usłyszała westchnienie Maitlanda, który po chwili wyjął jej knebel z ust i zdjął kajdanki.

- Tylko niczego nie próbuj - przestrzegł - bo nie zawaham się użyć siły.

Zacisnął dłonie, jakby chciał tym gestem przekonać ją, że mówi prawdę. Niepotrzebnie. Dobrze wiedziała, jakie brutalne potrafią być te ręce.

Za nic nie mogła mu odpowiedzieć, a nawet pokazać, że go zauważa. Cała wrzała i spalał ją wstyd z powodu tego, że była taka naiwna i dała się nabrać. Pomogła mu opatrzyć ranę! Zamierzała walczyć o uniewinnienie go! A on za to składał jej przyrzeczenia, których nie zamierzał dotrzymać.

- Posłuchaj - zaczął. - Zmieniły się okoliczności. Milicja mogła w każdej chwili otoczyć gospodę. Gdybym cię tam zostawił, szybko by się dowiedzieli, jeśli nie od ciebie, to od właściciela albo od służącej, że nie odjechałem daleko. Rosamundo, musisz zrozumieć, w jakiej trudnej jestem sytuacji. Nie dopuszczę, żeby znowu mnie pojмали i odwieźli do Newgate. Ale przyrzekam ci, że kiedy tylko nadarzy się sposobna chwila, puszcę cię wolno.

Posłała mu spojrzenie, które miało go zmieść z powierzchni ziemi. Próbował ją udobruchać, omamić. Cóż, marnuje czas. Od tej chwili nie pozwoli sobie na cieplejsze uczucia i będzie tak samo twarda jak on.

Rozsiadła się i postanowiła nie myśleć o niczym, tylko zająć się swoją ulubioną rozrywką: rozgrywała w myślach partię szachów. Przynajmniej w wyobraźni mogła od niego uciec.

W tym czasie Richard nadal rozważał, co z nią zrobić.

Podobnie jak Harper, porzucił już pomysł, by zostawić ją na jakiejś opuszczonej drodze, gdzie wszystko mogło się zdarzyć. Zastanawiał się, czy nie przeczekać do zapadnięcia zmroku, a potem zostawić ją w Morton. Nocą trudniej będzie go śledzić. Ale w Morton zapewne roi się już od milicji. Nie może sobie pozwolić na taką zwłokę. Muszą jechać dalej.

Z pewnością między Morton i wzgórzami Berkshire, miejscem, do którego zmierzał, znajduje się jakaś wioska albo osada. Będzie mógł zostawić tam dziewczynę, niczego nie ryzykując. A jeśli nie? Co wtedy z nią zrobi?

Po przyjeździe do Morton odesłał powóz z powrotem do Kennington, po czym na następny etap podróży wynajął konie. Morton było ostatnią wioską, którą mieli mijać. Maitland zdawał się mieć obsesję na punkcie milicji, więc porzucili drogi i poruszali się lasami albo pastwiskami. Podróż była powolna, męcząca, a stała się prawie nie do zniesienia, kiedy zaczęło padać.

Dwa razy zatrzymali się na odpoczynek i żeby napoić konie. Sami jedli tylko chleb z serem, popijając zwykłą wodą. Rosamunda była zdumiona wytrzymałością Maitlanda. Sama padała z wycieńczenia, ale on, nie zważając na nic, parł przed siebie.

Dopiero kiedy zapadła kompletna ciemność, zgodził się na przystanek. Schowali się na noc w opuszczonej szopie. Następnego dnia wstali z samego rana i od razu ruszyli w dalszą drogę.

Raz, gdy ukryli się przed wściekłym deszczem pod mostem, do Rosamundy dotarło, że jej porywacz jest w gorszym stanie niż ona. Miał twarz zupełnie szarą. W jego oddechu słychać było ciche rżenie. Pomyślała, że może rana znowu się otworzyła.

Miała już zamiar go ostrzec, że jeśli nie odpocznie, wykrwawi się na śmierć, ale wtedy właśnie się podniósł, mówiąc, że czas ruszać, a ona była zbyt zmęczona, żeby się z nim o cokolwiek wykłócać.

Początkowo starała się obserwować, gdzie się znajdują, jednak po zapadnięciu zmroku zupełnie straciła orientację, a jeszcze później nie myślała już o niczym innym, tylko o ciepłym łóżku i miękkiej poduszce, na której mogłaby złożyć głowę.

Nagle poczuła, że zsuwa się z konia, i krzyknęła przerażona, jednak Maitland był obok i pochwycił ją w porę.

- Dotarliśmy na miejsce - powiedział bezbarwnym głosem, całkowicie wyczerpany.

Starła się trzymać prosto i mruganiem odegnąć zmęczenie. Nie wiedziała, gdzie jest ani jak długo podróżowali.

- Na miejsce? - Wyteżając wzrok, dostrzegła ciemne kształty otoczone jaśniejszymi. Nigdzie nie widziała ani jednego światła. - To znaczy gdzie?

Nie usłyszała odpowiedzi.

Richard odszedł dokądś z końmi, była jednak zbyt zmęczona, by się tym przejmować. Nie obchodziło jej, czy dotarli do starej chaty, czy do pałacu.

Marzyła tylko o jednym: o łóżku.

Maitlanda nie było dość długo, ale ona przez ten czas nie poruszyła się nawet o centymetr. Brakowało jej sił na wykonanie choćby jednego kroku. Już nie zależało jej na łóżku i miękkiej poduszce. Mogła zwinąć się choćby tu, na ziemi.

Wtedy pojawił się Maitland. Pochwycił ją za łokieć i pociągnął za sobą. Pozwoliła, by po omacku, niczym ociemniała, prowadził ją po ścieżce wyłożonej chodnikowymi płytami i po niewysokich schodach. Potem znaleźli się w jakimś domu. Chociaż było tu ciemno jak w grobie, jej porywacz najwyraźniej znał otoczenie.

Do Rosamundy dźwięki i odgłosy dochodziły jakby z oddali: kroki na posadzce, chyba marmurowej; lekki zapach pasty do podłóg; zgrzyt krzesiwa; i cud nad cudami - ciepło ognia. To nie był dom, to była rezydencja. Potem dostrzegła eleganckie łoże, więc tylko ściągnęła płaszcz i natychmiast na nie padła.

## *Rozdział 10*



Tym razem po przebudzeniu jej umysł był czysty jak źródłana woda. Dokładnie wiedziała, gdzie się znajduje i kim jest mężczyzna leżący obok niej na łóżku. Nie była skuta; nic jej nie zniewalało. Nie było też Harpera ani służby, tylko ona i Maitland.

Wstrzymując oddech, odwróciła głowę, aby na niego popatrzeć. Przez jedno z wysokich okien do pokoju wpadły promienie słońca, które odbiły się od włosów śpiącego. We śnie wyglądał młodziej, niemal chłopięco. Podobnie jak ona, przed rzuceniem się na posłanie ściągnął z siebie jedynie płaszcz.

Dostrzegła też inne rzeczy. Na przedzie jego koszuli pojawiła się świeża plama krwi. Miał spocone czoło i ciężko oddychał.

Musiała pohamować pragnienie, by wyskoczyć z łóżka i zająć się opatrywaniem rany. To jest Maitland! Ona jest jego więźniem! Nie może zaprzepaścić swojej najlepszej okazji do ucieczki.

Kiedy zsuwała się z łóżka, jęknął, ale się nie obudził. Aż złożyła dłonie, żeby tylko nie dotknąć jego czoła. Coś jej mówiło, że ciężki stan Maitlanda nie jest wynikiem jedynie zmęczenia. Miał gorączkę. Powinna sprawdzić opatrunek. Powinna przynieść mu coś do picia. Powinna...

Przezań, nakazała sobie z irytacją. Pomyślała, że pojedzie do najbliższej wioski i przyśle mu lekarza. Oczywiście będzie musiała opowiedzieć jakąś wiarygodną historię, żeby nikt się nie domyślił, że to Maitland. Nie chciała, żeby go zamknęli. Po prostu chciała uciec. I nigdy nikomu nie powie o tym domu, nawet ojcu.

Po podjęciu decyzji odwróciła się do wyjścia i wtedy zobaczyła swoje odbicie w stojącym lustrze. Po raz pierwszy miała okazję zobaczyć się w całej okazałości w męskim odzieniu. Przeżyła wstrząs. Prawie siebie nie rozpoznała i to pod wieloma względami.

Czy to niecałe trzy dni temu miała na sobie najmodniejszą suknię i pachniała delikatną gardenią? Teraz wyglądała jak straszdyło.

Na swój widok powinna poczuć odrazę, ale tak się nie stało. Było odwrotnie.

Rosamunda przełknęła ślinę, zastanawiając się, co właściwie czuje. Jest tą samą dziewczyną co przed trzema dniami, a jednak inną. Nie chodziło tylko o wygląd; rzecz tkwiła w czymś ważniejszym. Na zewnątrz wyglądała strasznie, ale w środku czuła się... czuła...

Ciekawe, co pomyślałaby jej matka, gdyby ją teraz zobaczyła.

Maitland się poruszył. Czas znikać.

Oczywiście, ciekawa była domu. Było wiele mniejszy od Twickenham, ale urządzony w podobnym stylu. W innych okolicznościach z chęcią by go zwiedziła, lecz nie teraz, kiedy wolność była na wyciągnięcie ręki. Niemniej, gdy na palcach skradała się po marmurowej posadzce do wyjścia, rozglądała się z uwagą - przyglądała się misternym stiukom na suficie, niszom w ścianie i stojącym w nich marmurowym rzeźbom; wielkim schodom i wiszącym przy nich oliwnym lampkom. Ten dom należy do kogoś bogatego.

Co go łączy z Maitlandem?

Wyszła na zewnątrz i rozejrzała się. Po lewej miała stajnie. Konie stały w swoich przegrodach, jak je tam zostawił Maitland, zaopatrzone w świeżą wodę i karmę.

Na myśl o tym, że zatroszczył się o te biedne zmęczone zwierzęta, poczuła ucisk w sercu. Jej ojciec zawsze utrzymywał, że o człowieku można wiele powiedzieć, patrząc na to, jak traktuje zwierzęta. A zeszłej nocy, gdy ona zupełnie zapomniała o koniach, Maitland rozsiadł je, nakarmił, napoił i prawdopodobnie jeszcze wyszczotkował.

To nie jest zły człowiek.

Przeraziła się, zdając sobie sprawę, jaki kierunek przybierają jej myśli. Nie wolno jej mięknąć! Prawda jest taka, że lepiej traktował konie niż ją.

Siodłając jedno ze zwierząt, starała się nie myśleć o Maitlandzie, ale wszystko jej go przypominało. Uważał, że jest bezużyteczna, i może częściowo miał rację, ale o koniach wiedziała dużo więcej niż inni. Nie potrafiłaby zastąpić pokojówki, lecz w ostateczności mogłaby zająć miejsce stajennego, a ojciec nawet nie zauważyłby różnicy w opiece nad końmi.

Jednak zeszłej nocy to Maitland się nimi zajął, a przecież sam też musiał być wykończony.

- Odejdź - powiedziała gniewnie do swoich myśli, a raczej do Maitlanda.

Wyprowadziła konia na podwórko, wskoczyła na niego i wbiła pięty w boki zwierzęcia. Po chwili już jej nie było.

Zostawiła mu przecież wierzchowca. Czy mógł żądać od niej więcej?

Jestem wolna, jestem wolna, śpiewało jej w głowie. Jak wspaniale jest jechać

konno w męskim ubraniu. Maitland nie wie, ile ma szczęścia! Gdyby musiał ubierać się w jej stroje, tak samo jak ona nie potrafiłby sam się ubrać lub rozebrać.

Znowu myślała o nim! Co jej się stało?

Na szczycie wzgórza zatrzymała się i odwróciła. Dom otaczały drzewa, teraz płonące kolorami jesieni. Za nim zobaczyła ostre wzniesienie, porośnięte trawą, i pasące się owce.

Teraz już wiedziała, gdzie jest. To muszą być wzgórza Berkshire. W okolicy znajduje się tylko kilka zagród. Najbliższa wioska z pewnością oddalona jest stąd o wiele mil.

Odwróciła się, śledząc horyzont. Nie było widać żadnych gospodarstw ani pól dojrzewającej kukurydzy, tylko dzikie wzgórza i daleko w oddali wieżę kościoła, znak, że tam jest wioska.

Kiedy do niej dotrze, nie będzie już mogła wrócić. Będzie musiała wymyślić jakąś historię, dzięki której sprowadzi pomoc dla Maitlanda i nie wyda go zarazem. Jednak nie umiała sobie wyobrazić niczego, co nie skończyłoby się dla niego katastrofą.

To niemożliwe.

Spojrzała znowu na dom. Nawet teraz może się wykrwawiać na śmierć. Ma gorączkę.

Ktoś musi się nim zaopiekować.

Powinna do niego wrócić.

W maszerowała do domu, kierując się wprost do sypialni krokiem, który jej ojcu mówiłby, że lepiej trzymać się od niej z daleka. Zobaczyła Maitlanda i zatrzymała się. Zdjął surdut i zwinął się z bólu w kulkę.

Podeszła do niego i nie zwracając uwagi na jego pojękiwania i stękania, z trudem przewróciła go na plecy. Wiedziała, że nie zdoła zdjąć z niego koszuli, więc rozerwała ją na piersiach i rozchyliła. Opatrunek się obsunął, a rana krwawiła na nowo, ale nie bardzo obficie. Jednak była zaogniona na brzegach i to zmartwiło Rosamundę. Tak jak wcześniej, pochyliła się i pociągnęła nosem. Na szczęście nie poczuła zapachu zgorzeli.

Odetchnęła i rozejrzała się, szukając plecaków. Leżały na podłodze, kolo łóżka, gdzie Maitland je zostawił, zanim rzucił się na posłanie. Znalazła to, czego

szukała, wróciła do pacjenta i bezzwłocznie zabrała się do pracy, usuwając stary bandaż i zmywając zakrzepłą krew szmatką umaczaną w brandy. Starła się robić to delikatnie, ale chory nagle się poruszył, potrącił jej rękę i brandy rozlała się na ranę. Wrzasnął; spróbował usiąść, ale zaraz padł na poduszki.

- Pułkowniku - upomniała go napiętym głosem.

Bez odpowiedzi.

Odstawiła butelkę i poszukała pulsu. Był przyspieszony, ale dość mocny. Przyłożyła dłoń do czoła Maitlanda. Gorące. To coś więcej niż omdlenie, jednak nie wstrząs mózgu. Wiedziałaaby przecież, gdyby upadł i uderzył się w głowę. Nie, nieprawda. Zeszłej nocy była tak zajęta sobą, że w ogóle nie zwracała na niego uwagi.

Przesunęła dłonią między włosami Maitlanda, szukając rozcięcia na głowie. Poczwała lepkość na palcach. Krew.

To dopiero problem. Nigdy nie miała do czynienia z wstrząsem mózgu, jednak to rozcięcie nie wyglądało na bardzo poważne. Powiedziała sobie, że nie będzie się nim teraz przejmować. Ten człowiek jest wytrzymały jak wół. Uderzenie w głowę nie unieruchomi go na długo. Najważniejsza jest rana po nożu.

W pokoju nie dostrzegła umywalki, ale drzwi po drugiej stronie łóżka były otwarte. Tak jak przypuszczała, prowadziły do łazienki wyposażonej w miedzianą wannę i wielką komodę oraz zgrabny mahoniowy stojak na miskę. Taka sama łazienka znajdowała się przy jej sypialni w Twickenham. Jednak elegancję tego pomieszczenia psuł rzucony na podłogę pognieciony męski surdut i ręcznik poplamiony krwią. Najwyraźniej Maitland, kiedy jej nie było, próbował sam sobie pomóc. A więc miała rację. Wstrząs nie jest groźny, bo inaczej nie zdołałby wstać z łóżka.

Pochwyciła dwa ręczniki i wróciła do chorego. Nigdy jeszcze nie straciła żadnego konia i nie zamierzała stracić tego mężczyzny, choć jego stan wydawał się rozpaczliwy.

Położyła ręcznik na ranie i obłożyła bandażem. To tylko na razie, póki nie przygotuje gorącego okładu, aby zapobiec zakażeniu. Teraz musi zająć się rozcięciem na głowie. W końcu zaczęła zdejmować z chorego ubranie, które nadal jeszcze było wilgotne. Nagle jej ręce zamarły. Dlaczego jego ubranie nadal jest mokre, skoro jej było suche? Odpowiedź przyszła szybko. Kiedy Maitland znalazł dla niej schronienie przed deszczem, sam zajął się końmi i nie wiadomo czym jeszcze. Zawsze ostatni schodził z deszczu, ostatni jadł, ostatni odpoczywał, a

pierwszy był na nogach i brał się do pracy. I tak było na każdym przystanku tej wyczerpującej podróży.

Myliła się, twierdząc, że lepiej dbał o konie niż o nią. Przede wszystkim nie dbał o siebie.

Pokręciwszy głową, wróciła do swojego zajęcia, postępując i dysząc, mocując się z ciężarem chorego. Musiała sprawiać mu ból, bo zaczął się opierać. Jeśli on nie przestanie się ruszać, rana znowu się otworzy, a wtedy on już na pewno się wykrwawi, pomyślała i położyła się na nim, żeby go powstrzymać.

Przestał się szamotać.

- Harper? - wymamrotał. Potem powtórzył, ale już z niepokojem, bo nie usłyszał odpowiedzi: - Harper?

- Taaa...

To jedno słowo chyba go uspokoiło. Nie walczył już, kiedy ściągała mu buty, a potem spodnie. Przez chwilę wahała się przy kalesonach, ale w końcu uznała, że jeśli ma zbić gorączkę, musi natrzeć go zimną wodą. Kalesony tylko by przeszkadzały, więc trzeba się ich pozbyć.

Gdy sobie uświadomiła, że pałają jej policzki, zaczęła być zła na siebie. Nie po raz pierwszy ma do czynienia z widokiem nagiego mężczyzny. Wielokrotnie widziała braci podczas kąpieli w jeziorze przy domu i nigdy nie budziło to w niej skrępowania. Teraz też nie będzie udawała świętoszki.

Zresztą to nie w jego męskość się wpatrywała, ale w srebrzyste blizny przecinające brzuch i schodzące do podbrzusza.

Miała przed sobą wojownika, wprawdzie w tej chwili powalonego i bezbronnego, ale wojownika. Między nim a jego wrogami stała tylko ona, a przecież nie była wojownikiem tak jak Maitland.

Może i nie, lecz podjęła decyzję, że go nie opuści, dopóki nie stanie na własnych nogach.

Kiedy opatuliła go pościelą, odsunęła się wreszcie od łóżka. Nie starała się zrozumieć, co czuje. Miała wiele do zrobienia i skupiła się tylko na tym. Musi przygotować ciepły opatrunek; musi zbić gorączkę i dopilnować, żeby dostawał dużo napojów; musi opatrzyć mu głowę; musi uważać, żeby się nie ruszał, bo inaczej rana znowu zacznie krwawić.

Najpierw okład, postanowiła.

Kuchnię znalazła bez trudu. Jedne drzwi w sypialni prowadziły na schody dla służby. Na parterze znajdowały się pomieszczenia gospodarskie. Kuchnia była zaraz obok spiżarni. Nawet się nie zdziwiła, gdy okazało się, że jest dobrze zaopatrzona. Choć w domu nie było poza nimi nikogo, wyglądał na zadbany. W takim razie gdzie jest służba?

Zastanowi się nad tym później. Skoncentrowała się na niewinnie wyglądającym krzesiwie leżącym na gzymsie nad wielkim, poczerniałym kamiennym piecem.

Podeszła do niego zdecydowanym krokiem. To była walka, której nie mogła przegrać.

## *Rozdział 11*

Potrafił zjednywać sobie kobiety. Nie uczył się tego, po prostu się z tym urodził. Już w dzieciństwie wystarczyło, żeby udał przygnębionego, a matka robiła wszystko, co chciał. Nie zdziwił się więc, gdy właścicielka domu, w którym Richard Maitland wynajmował mieszkanie, zgodziła się pokazać mu pokoje, sądząc, że będzie chciał je wynająć.

- Pan Withers, tak?

- George Withers - powtórzył.

Nie widział potrzeby ukrywania prawdziwego nazwiska. Gdyby przyłapano go na kłamstwie, ludzie zaczęliby zwracać na niego baczniejszą uwagę i zadawać dociekliwe pytania. Nauczył się, że trzeba się trzymać prawdy, chyba że sytuacja, rzeczywiście wymaga kłamstwa. W tym przypadku miał dość sensowny powód, by się tu pojawić. Mieszkanie przy Bond Street zaczynało być już dla niego za małe. Szukał czegoś większego.

Pani Everet poprawiła czepek, uśmiechnęła się nieśmiało i poprowadziła gościa po schodach na górę.

- Nie wiem, czy powinnam pokazywać panu mieszkanie - stwierdziła z wahaniem. - Pan Maitland zapłacił do końca września. Płacił co kwartał, rozumie pan. Taki spokojny dżentelmen. Ale to właśnie na tych spokojnych trzeba uważać, prawda? Wie pan, miał w sobie coś, co od początku mi się nie podobało. Taki zimny i wyniosły. Nie można było go nazwać przyjaznym. No, ale morderstwo! Nigdy bym nie pomyślała, że do tego dojdzie.

Kobieta zbliżała się do pięćdziesiątki, była pulchna i niezbyt urodziwa. Mimo to Withers traktował ją z taką galanterią, jakby miał do czynienia z największą pięknoscią.

Głupia krowa nie domyśla się, że przyszedł tu tylko po informacje. Gdy okazało się, że kobieta nie wie nic, co mogłoby mu się przydać, nakłonił ją, aby zostawiła go samego w mieszkaniu Maitlanda, obiecując, że wychodząc, wpadnie do niej na filiżankę herbaty i domowe ciasteczka.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, przestał się uśmiechać. Wiedział, że władze zabrały już z mieszkania wszystko, co było interesujące, ale założyłyby się, że Maitland nie należy do osób, które zostawiają interesujące przedmioty byle gdzie. Jednak, ponieważ były to tylko jego spekulacje, pamiętał o ostrożności. Był pewien, że w odwrotnej sytuacji Maitland też odwiedziłby jego mieszkanie.

Po czterech dniach poszukiwania praktycznie utknęły w martwym punkcie. Konne patrole reagowały na każdą wzmiankę o pojawianiu się nowych śladów zostawionych przez zbiega lub jego kompana, ale z tych informacji nic nie wynikało i nikt nie miał pojęcia, w jakim kierunku Maitland się udał. Wiadomo już było, że ukrywał się w starej chacie blisko Chelsea, a potem uciekł łodzią. Dopiero wczoraj znaleziono łódź przy porcie w Vauxhall i na tym ślad się urywał.

Rozniosła się plotka, zdaniem Withersa prawdziwa, że lord Caspar zwerbował do poszukiwań Maitlanda Hugh Templara. To dawało cień nadziei. Jednak nic z tego nie wynikło, bo inaczej znaleźliby już lady Rosamundę, o czym wiedziałby cały świat.

Withers zastanawiał się, czy nie pomylił się w ocenie Templara. Może ten wcale nie opuścił przyjaciela? Może gra na zwłokę, dając tamtemu czas na zatarcie śladów? A potem Maitland wróci i zemści się.

Takie myśli budziły niepokój Withersa. Tylko on naprawdę pragnął odnaleźć zbiega i musiał to zrobić, ponieważ on miał najwięcej do stracenia. Nie dlatego, że

sądził, iż Maitland wszystkiego się domyśli i będzie go próbował znaleźć. Mimo to jednak, po ich ostatnim spotkaniu, Withers nie chciał ryzykować.

Przez kilka minut chodził po mieszkaniu, przyglądając się wszystkiemu. Był zdumiony tym, co zobaczył. Spodziewał się bardziej spartańskiego otoczenia, zgodnego z charakterem Maitlanda, ale mieszkanie było bardzo wygodnie urządzone i eleganckimi meblami z orzecha i mahoni, a ściany obite błękitnym jedwabiem. Tylko biblioteka potwierdziła jego oczekiwania: półki z książkami, stary wytarty fotel przed kominkiem, biurko i niewiele więcej.

Następnie przeszedł się po każdym pokoju, przeszukując je systematycznie, szafa po szafie, szuflada po szufladzie. Było tak, jak myślał - kilka listów i rachunków do niczego mu nieprzydatnych. Jedyny przedmiot, który wzbudził w nim zaniepokojenie, to mały obrazek wiszący w bibliotecznej alkoce. Był namalowany farbami olejnymi, dość ładny, ale wykonany niewprawną ręką, a przedstawiał piękny dom otoczony wiejskim krajobrazem. Artystą był Richard Maitland.

W pozostałych pokojach wisiały inne obrazy, same pejzaże, ukazujące surowe masywy górskie, jeziora i pokryte wrzosami wzgórza - obrazki ze Szkocji, ojczyzny Maitlanda.

Withers ponownie przeszedł pokoje, tym razem jednak zwracał uwagę tylko na obrazy. Były o wiele bardziej profesjonalnie wykonane niż ten w bibliotece i na żadnym nie znalazł podpisu Maitlanda.

Wyglądało na to, że dom na obrazie ma dla niego jakieś sentymentalne znaczenie, bo inaczej po co by go trzymał? Jeszcze coś uderzyło Withersa: wiejski krajobraz na obrazie był typowo angielski, a nie szkocki.

Coś sobie przypomniał. W czasie świąt wszyscy udawali się do swoich domów, ale nie Maitland. On jeździł do wuja, który miał dom na wzgórzach Berkshire.

Jak on się nazywał? Jak nazywał się ten majątek?

Tyle że to raczej nie ma większego znaczenia, bo kiedy Maitland opuścił Chelsea, popłynął łodzią w dół rzeki, a do Berkshire droga prowadzi w przeciwnym kierunku.

Na moment Withers pogрузił się w rozmyślaniach, dotykając nosa kciukiem i palcem wskazującym. Może Maitland specjalnie zmylił pościg, naprowadzając go na błędny trop, myślał. Co innego mógł zrobić, żeby zmylić ślady?



Withers otworzył oczy i zapatrzył się w obrazek. Gdyby tylko przypomniał sobie nazwę posiadłości. Po chwili zdjął obrazek ze ściany i podszedł z nim do okna, gdzie było lepsze światło.

Nazwa widniała tuż przed nim, namalowana na kamiennej tablicy nad frontowym portykiem.

Dunsmoor.

A w Dunsmoor Rosamunda siedziała, a raczej na wpół leżała w fotelu stojącym naprzeciwko kominka. Udało jej się w nocy przespać kilka godzin, ale wstała wcześniej rano, żeby opiekować się pacjentem i dopilnować ognia. Zmęczenie to za słabe określenie na to, jak się czuła. Bolał ją każdy miesiąc. Nie wiedziała, czy starczy jej sił, by podnieść się z fotela po tym, jak pozwoliła sobie na tę krótką chwilę wytchnienia.

Spojrzała na zegar, potem na łóżko. Maitland był pogrążony w głębokim śnie. Jednak za kilka minut rozpocznie się rytuał, powtarzający się co godzinę, który miał na celu zabicie gorączki i utrzymanie rany w czystości: zmiana gorącego okładu; nacieranie całego ciała zimną wodą; pojenie słabym naparem herbaty; oględziny rany na głowie; sprawdzenie pulsu.

Ostatnim razem dodała coś do rytuału, a raczej do herbaty. W nocy pacjent spał tak niespokojnie, że zerwał okład, a maść z otrębów spłynęła z rany. Gdyby była przy nim, nie doszłoby do tego, ale akurat poszła do kuchni, przygotować herbatę. Zanim wróciła, maść zdążyła wyschnąć i zamienić się w skorupę. Całe wieki zajęło Rosamundzie uprzątnięcie bałaganu. Tak więc następnym razem do herbaty dodała kilka kropli laudanum, żeby ranny już się tak nie kręcił, i podziałało. Tylko że nie była pewna, czy dobrze zrobiła.

Bardzo pragnęła mieć obok siebie kogoś, z kim mogłaby podzielić się obawami. Nawet Harpera. Wydawało jej się, że gorączka nieco spadła, ale nie była

pewna. Tak samo rzecz się miała z raną. No i nic nie wiedziała o wstrząśnieniu mózgu. Czyjaś rada byłaby bardzo mile widziana.

Przynajmniej jedno mogła powiedzieć z przekonaniem: stan pacjenta się nie pogorszył.

Nagle podskoczyła na nogi, bo usłyszała skrzypienie podłogi lub kroki na schodach. Kiedy się powtórzyły, serce jej zabiło. Ktoś wspinał się po schodach dla służby, ktoś, kto nie chciał, by wiadano o jego obecności. To ani Harper, ani żołnierze. Oni by się nie kryli. Może złodziej, który myśli, że dom jest opustoszały? A może to śmiertelny wróg Maitlanda, ten, który zaaranżował przypisywane mu morderstwo?

Zmęczenie, które jeszcze przed sekundą nie pozwalało jej się podnieść, znikło pod wpływem czystego zwierzęcego instynktu. Nie miała szansy ukryć Maitlanda ani wynieść go w bezpieczne miejsce, ale była gotowa na starcie. Pistolet Maitlanda, załadowany i gotowy do użytku, leżał na komodzie.

Kiedy brała go do ręki, czuła drżenie każdego mięśnia.

Następnie, tak samo cicho jak intruz, przeszła do drzwi i stanęła z boku. Kiedy się otworzą, ten człowiek jej nie zobaczy.

Widząc, że gałka się przekręca, wstrzymała oddech. Drzwi uchylały się wolno. Rozległ się okrzyk zdumienia i jakiś mężczyzna wszedł do pokoju i ruszył w stronę łóżka.

Rosamunda uniosła pistolet.

- Dotknij go, a odstrzelę ci głowę! Mówię poważnie! A teraz rzuć broń na ziemię. Tylko powoli. Ręce do góry i obróć się.

Harper zdążył rzucić na szefa krótkie spojrzenie, które zresztą wystarczyło, by stwierdzić, że wszystko z nim w porządku, gdy rozległ się czyjś piskliwy głos.

Zrobił dokładnie to, co mu kazano, ale obracając się, gotował się do skoku. Kiedy jednak zobaczył przeciwnika, zdumienie zamurowało go.

Przed nim stał pozbawiony zarostu młodzieniec, wyglądający tak, jakby przed chwilą zszedł z pola walki. Koszulę i twarz miał obryzgane krwią i chyba błotem. Pod jego oczami rysowały się czerwone obwódki; twarz wykrzywiał mu strach. Ale dłoń trzymająca pistolet wycelowany wprost w Harpera była nieruchoma jak ręka marmurowej rzeźby.

- Popelniasz błąd - zaczął Harper, ale zamilkł, widząc, że chłopak opuszcza pistolet i pociąga nosem.

- Nie spieszyłeś się z przyjazdem - powiedział głosem, który nie pasował do mężczyzny. Brzmiał jak głos kobiety, a co więcej, kobiety na skraju wyczerpania nerwowego.

Rosamunda zaczęła mówić szybko i z wyrzutem:

- Przyda mi się druga para rąk. Moje życie stało się nieustannym zmienianiem opatrunków, robieniem kąpieli i pilnowaniem ognia, gotowaniem herbaty i opróżnianiem nocnika. - Pomachała pistoletem w powietrzu. - Nie wspominając o doglądaniu koni. Trzeba je poić i karmić trzy razy dziennie, nie wiedziałeś?

Harper poważnie zaczynał podejrzewać, że ma do czynienia z wariatką, i pewnie rzuciłby się na dziewczynę, gdyby nie| że nadal celowała w niego z pistoletu.

- Nie chciał spokojnie leżeć - ciągnęła uzalenie się - i zerwał opatrunek, więc dałam mu laudanum. Boję się, że bardziej mu zaszkodziłam, niż pomogłam. Ale musisz zrozumieć, że nigdy do tej pory nie zajmowałam się koniem ze wstrząsem mózgu.

Harper czuł się tak, jakby zgubił się we mgle. Ta dziewczyna to chyba jest lady Rosamunda Devere. Odtworzył pospiesznie jej nieskładne słowa. Spojrzał na szefa, potem popatrzył po pokoju, w którym panował straszliwy bałagan.

Na komodzie leżały zakrwawione bandaże i opatrunki, na podłodze miednice z wodą; na małym stoliku różne buteleczki i słoiki; na krześle piętrzyła się góra brudnych ubrań, a na drugim zobaczył czajnik, dzbanek, filiżanki i nadgryzione jabłko. Koło łóżka stał porcelanowy nocnik, zakryty złożonym ręcznikiem.

- Jaki koń, panienko? - zapytał z wahaniem, nie odrywając oczu od nocnika.

Potrząsnęła głową, zakaszła i w końcu wykrztusiła płaczliwie:

- Och, Harper, tak się cieszę, że jesteś.

Była późna noc, gdy Richard obudził się ze snu i zobaczył nad sobą Harpera. Choć wstrząsały nim dreszcze, głowę przeszywał straszliwy ból, uparł się, że musi wstać. Uniósł brwi, kiedy stwierdził, że jest nagi, ale nie skomentował tego faktu.

- Rosamunda? - To było pierwsze słowo, które wypowiedział.

- Jest w pokoju naprzeciwko - powiedział Harper. - Śpi snem sprawiedliwego. Obawiam się, że nie obudzi się szybko.

Pomagając Maitlandowi włożyć koszulę nocną i ciepły wełniany szlafrok, Harper opowiedział o tym, co się z nim działo od czasu, gdy porzucił powóz księcia. Opowiedział o nagrodzie, którą książę przyrzekł każdemu, kto pomoże w odzyskaniu córki, o Digbym i Whorsleyu, i w końcu wyjaśnił, dlaczego tak długo się nie zjawiał. Cała okolica pełna jest milicji i to utrudniało mu podróż. Pierwsze dwie noce spędził w stogach siana, następną w jakiejś szopie, a ostatnią w kamiennym schronisku owczarzy na wzgórzach. Przyjechał dwie godziny temu i znalazł nagiego szefa i Rosamundę na granicy szaleństwa.

W tym momencie zamilkł, bo odniósł wrażenie, że Maitland go nie słucha. Rozglądał się po pokoju. Paliły się świece, zasłony były zsunięte i nie było śladu po bałaganie, jaki Harper zastał tu po przyjeździe.

- Usiądź - powiedział, wskazując fotel przed kominkiem.

Gdy szef usiadł, dostał do rąk miskę.

- Nie jestem głodny - rzucił.

- No i dobrze, bo nie dam ci niczego do jedzenia. To wywar, wywar z wołowiny. To powinno zapełnić ci żołądek. A musisz coś przełknąć. Lady Rosamunda powiedziała, że przez ostatnie dwa dni prawie niczego nie tknąłeś.

Richard zapatrzył się na miszkę, a potem spojrzął na drzwi, prowadzące na korytarz, gdzie znajdował się pokój, w którym spała Rosamunda. Harper mówił tak, jakby dziewczyna była ich sprzymierzeńcem, a to przecież nie miało sensu.

Harper usiadł na pobliskim krześle i sięgnął po swoją miszkę: gulasz wołowy, gęsty i aromatyczny, taki, jak lubił.

Widząc, że Richard odstawia swoją miszkę, powiedział:

- Chyba nie wiesz, jakie miałeś szczęście. - Łyżką wskazał na drzwi. - Ta dziewczyna zatryła się na śmierć, żeby cię uratować. Zrobiła to, co zrobiłbym ja, gdybym tu był, albo i więcej, a obaj wiemy, że mam spore doświadczenie, zdobyte na polach bitew w Hiszpanii. Zbiła ci gorączkę. Nie dopuściła do zakażenia rany. Wmuszała w ciebie całe dzbanki słabej herbaty i robiła wiele innych rzeczy, o których nie będziemy wspominać, ponieważ tylko byśmy ją zawstydzali. A ty tak się jej odwdzięczasz? Jeszcze nie stoisz na nogach, więc zachowaj się jak mężczyzna i wypij ten wywar. Jeśli go nie zwrócisz, zastanowimy się nad kolacją.

Richard wpatrywał się w Harpera.

Ten, widząc twarz szefa, rysujące się na niej niedowierzanie i zarazem przerażenie, pomyślał z rozbawieniem, że jest to nawet wzruszający widok.

- Cóż - rzucił z błyskiem w oku - ponieważ nie było tu nikogo innego, lady Rosamunda robiła to, co było konieczne, jak powiedziała, traktując cię tak, jakbyś był jej bratem.

- A ty gdzie byłeś, do diabła? - zapytał Richard, wykrzywiając usta. Przez głowę przelatywały mu różne obrazki. Wiedział, że ktoś się nim zajmuje, ale sądził, że to Harper. Rosamunda? W gardle stanęła mu jakaś dziwna gula.

- Już ci mówiłem, że musiałem się kryć przed milicją.

Richard popatrzył na wywar z wołowiny, po czym podniósł łyżkę do ust. Słowa Harpera i własne wspomnienia nadal krążyły mu po głowie. Po przełknięciu kilku łyżek spojrzął na przyjaciela.

- Skoro ciebie tu nie było, dlaczego nie odeszła, mając wolną drogę? Dlaczego została i opiekowała się mną?

- Zostawiła cię, ale wróciła. - Harper podał szefowi grubą kromkę chleba, którą ten odruchowo przyjął. - Widzisz, ona uważa, że jesteś niewinny, i nie chce, żebyś skończył na stryczku.

Richard zerknął na niego z niedowierzaniem.

- Uważa, że jestem niewinny?

- Tak mi powiedziała - odparł Harper, krztusząc się śmiechem. - Jestem tak samo zdumiony jak ty. Ale nikt nie potrafi zrozumieć kobiet.

- Ja jestem niewinny.

- Zgadza się, ja jednak zastanawiam się, co takiego powiedziałaś albo zrobiłaś, żeby przekonać o tym lady Rosamundę.

- Nic, zupełnie nic.

- Cóż, wiemy, że to nie twój urok, ponieważ go nie posiadasz. Więc jest tak, jak powiedziałem. Kobietom czasami coś przychodzi do głowy i nikt nie wie, skąd to się wzięło.

Richard żuł chleb i popijał wywarem, nie wiedząc, co robi. Czuł, że musi być bardzo chory, bo znowu zaczynał się rozklejać.

- Chcesz jeszcze? - zapytał Harper, zabierając mu z rąk pustą miszkę.

Jego szef pokręcił głową.

- Czy gulasz także zrobiła Rosamunda?

Harper popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Wątpię. Nie zapominaj, że to córka księcia. Umie tylko zagotować wodę.

- Więc skąd tyle wie o opiece nad chorym?

- Konie - rzucił krótko Harper.

Richard uniósł brwi.

- Konie?

- Ze stajni księcia. Tak mi powiedziała. Wygląda na to, że dla niej to wstyd nie zaopiekować się chorym zwierzęciem. Miałaś szczęście, że nie złamałaś nogi, bo mogłaby chcieć wybawić cię z opresji. Na zawsze.

Richard zaczął się trząść ze śmiechu, ale musiał przy tym, przytknąć dłoń do piersi, by zmniejszyć ból.

- Nie, nie Rosamunda - rzucił. - Ona nikogo nie potrafiłaby skrzywdzić.

Wyraz twarzy szefa, ton głosu i fakt, że mówił o lady Devere per Rosamunda, sprawiły, że Harper miał mętlik w głowie. Gdyby nie znał tak dobrze Maitlanda, powiedziała, że zdarzył się mały romans, ale go znał, więc wiedział, że to niemożliwe.

Choć pułkownik nie wyrzuciłby pięknej kobiety ze swojego łóżka, to nigdy do żadnej się nie przywiązał. Kobiety były mu obojętne. Harper już dawno doszedł do wniosku, że Maitland musiał się kiedyś porządnie sparzyć i nie chce tego powtarzać. Nikt nie rozumiał go lepiej niż on. Harper sparzył się już tyle razy, że postanowił raz na zawsze zapomnieć o kobietach.

Jednak marzył, by szefa spotkało coś lepszego niż przeistoczenie się w zrzędlivego starego kawalera, takiego jak on. Pragnął, by Maitland spotkał odpowiednią partnerkę, jednak nawet w najśmielszych snach nie pomyślałby, że tą kobietą mógłby być ktoś taki jak lady Rosamunda Devere.

- Dlaczego tak długo spałem? - zapytał nagle Richard.

Harper wzruszył ramionami.

- Zmęczenie. Utrata krwi. Wstrząs mózgu. No i lady Rosamunda dała ci laudanum, żebyś się tak nie rzucał. - Nagle przez głowę przemknęło mu pytanie. - Skąd masz to paskudne rozcięcie na głowie? Lady Rosamunda nie potrafiła tego wyjaśnić.

Richard uśmiechnął się z zawstydzeniem.

- Zasnąłem w siodle, spadłem i rozbiłem sobie głowę. Kiedy się podnosiłem, Rosamunda też zsunęła się z siodła, ale zdążyłem ją złapać.

Znowu Rosamunda, pomyślał Harper z niezadowoleniem. Może przez ten upadek szef postradał zdolność logicznego rozumowania, a może to laudanum jeszcze na niego działa. Za dwie, trzy godziny wróci do siebie - znowu będzie zimny, niedostępny i cyniczny, taki, jakiego Harper lubił.

- Dlaczego ją tu przywiozłeś? - zapytał.

Richard wzruszył ramionami.

- Gonila nas milicja, a kiedy już się ich pozbyłem, byłem tak zmęczony i chory, że myślałem tylko o tym, żeby tu dotrzeć. Nie wiedziałem, czy mi się to uda.

Harper skinął głową.

- Więc co teraz zamierzasz z nią zrobić?

- Zrobić? - powtórzył Maitland. Wpatrywał się w ogień z lekkim, prawie niedostrzegalnym uśmiechem na ustach. - Wyślemy ją do domu i zapomnimy o niej. - Pokręcił się na krześle i spojrzał na Harpera. - Nie powie nikomu, gdzie jesteśmy. Gdyby chciała to zrobić, miała już ku temu okazję. Poza tym, kiedy wróci do domu, książkę odwoła nagrodę, więc nikt nie będzie zainteresowany szukaniem mnie. Po jakimś czasie całe zamieszanie ucichnie. To najlepsze rozwiązanie.

Harper zgadzał się z szefem, zwłaszcza biorąc pod uwagę okoliczności.

Po chwili Richard wyprostował się i zapytał:

- Jest tu coś do picia?

Gdy Harper znalazł karafkę, rozlał alkohol do kieliszków i znowu usiadł, chory upił spory łyk i poprosił:

- Opowiedz mi wszystko jeszcze raz. Wyjaśnij, dlaczego tak długo tu jechałeś, tylko niczego nie pomijaj.

No, to jest szef, którego znam, pomyślał z radością Harper i przystąpił posłusznie do opowieści.

## ***Rozdział 12***

Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, gdy Harper wprowadził ją do sypialni Maitlanda i szybko wyszedł. Chory wyglądał świeżo i elegancko. Miał na sobie niebieski surdut i ciemne spodnie. A sądziła, że zastanie go w łóżku.

Jej suknia, którą Harper skądś wyszperał, mogła należeć do guwernantki. Była uszyta z szarego kaszmiru i ku jej wielkiej uldze, zapinała się z przodu.



Sięgała do podłogi i zakrywała buty Harpera. Nie znaleźli żadnych damskich trzewików. Umyła włosy, ale ponieważ nie wiedziała, co z nimi zrobić, spływały swobodnie na ramiona. Odsunęła je nerwowo na plecy. Maitland wydawał się mniej skrępowany.

- Lady Rosamundo - zaczął - proszę usiąść. Proszę mi wybaczyć otoczenie. - Uśmiechnął się kwaśno, wskazując zasłane łóżko. - Ale po tym, co razem przeszliśmy... cóż, to najcieplejszy pokój w domu. Gdybyśmy chcieli rozpalić ogień w bawialni, zajęłoby to nam wieczność i ktoś musiałby go pilnować.

Wiedziała, o czym mówił. Harper wyjaśnił jej całą sytuację. Służba z okolicy opiekowała się domem, który zawsze był gotowy na przyjazd właściciela, ale teraz niebezpiecznie byłoby ich wzywać. Harper opowiedział w okolicy, że jego pan zachorował na płuca i przyjechał na wieś wydobrzeć, a służbę przywiózł ze sobą. Ale nie było żadnej służby. Sami musieli wykonywać wszystkie prace.

Przysiadając na brzeżku krzesła, które wskazał jej Maitland, przyglądała mu się uważnie. Był bardzo blady i siadając, chyba się skrzywił.

- Lady Rosamundo - zaczął ponownie oficjalnym tonem. - Muszę pani podziękować za...

Przerwała mu obcesowo.

- Powinien pan leżeć. Cała moja praca pójdzie na marne, jeśli będzie miał pan nawrót. Znam pana zbyt dobrze, żeby dać się zwieść pana słodkim przemowom. Nie czuje pan tego, co pan mi tu wygaduje.

Odetchnął ciężko i rzucił jej gniewne spojrzenie, ale zaraz na jego ustach pojawił się ciepły uśmiech.

- Czy pozwoli mi pani skończyć? Postanowiłem odesłać panią do domu, lady Rosamundo. Wyruszy pani jutro z samego rana. Harper pojedzie z panią aż do Windsoru, a potem wynajmie powóz, który zawiezie panią do Twickenham.

Znowu zawracał się do niej per lady Rosamundo, co ją raniło, choć nie powinno. Podejrzewała, że w ten sposób chce jej dać do zrozumienia, iż stali się sobie zbyt bliscy. Uśmiechnęła się.

- Cóż, już to kiedyś słyszałam, prawda?

Miał tyle przyzwoitości, by zrobić minę winowajcy.

- Wiem, że to wygląda tak, jakbym złamał dane słowo - rzekł. - Ale nie

miałem wyboru. Otaczała nas milicja. Co innego mogłem zrobić?

Nie miała pojęcia, dlaczego jest tak wrogo do niego nastawiona. Już dotarło do niej, że Maitland i Harper uważają ją za przyjaciela. Nie pilnowali jej, mogła chodzić, gdzie chciała. Zaczynała pojmować, że to koniec jej straszliwej przygody.

Nagle zapragnęła, by dało się cofnąć czas, by nigdy nie wybrała się do Callie, a potem do Newgate, i by nigdy nie poznała Richarda Maitlanda. Przyglądał się jej z powagą.

- Mówię poważnie. Odsyłam panią do domu - powtórzył, marszcząc czoło.

- Wierzę panu.

- Myślałem, że się pani ucieszy.

- Cieszę się.

- W takim razie o co chodzi? O czym pani myśli?

Myślała o tym, że już nigdy go nie zobaczy.

- A pan, dokąd pan pójdzie, co będzie robił?

Posłał jej dziwny, tajemniczy uśmiech.

- Lepiej, żeby pani nie wiedziała.

Zesztywniała.

- Sądzi pan, że go wydam? Przecież wie pan, że tak się nie stanie.

Maitland, milcząc, wpatrywał się w ogień.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy. Nie istnieje nikt, komu ufałbym bardziej niż pani. Nie po tym, co się wydarzyło. - Wyraz jego twarzy zmienił się. - Zamierzam przywrócić swoje dobre imię. To właśnie chcę zrobić.

Odpowiedziała mu bez zastanowienia i ostro:

- Raczej powinien pan myśleć o miejscu, w którym nikt by pana nie znał i gdzie rozpocząłby pan nowe życie.

Odparł tak samo szorstko:

- Zamordowano Lucy Rider. Nie pozwolę, żeby jej zabójca pozostał na wolności. To jest coś, co muszę zrobić.

- Wiem, wiem - rzuciła miękko.

Spojrzeni na siebie i w tej chwili oboje poczuli się tak, jakby widzieli się po raz pierwszy. Wszystko stało się nieważne - jej pozycja, jego uprzedzenia. Zegar ciągle tykał, okiennice stukwały na wietrze, ogień syczał. Jednak oni widzieli tylko siebie, nic więcej.

Richard otrząsnął się pierwszy. Odwracając wzrok, odezwał się dziwnie ochryplym głosem:

- Harper z pewnością zostawił nam karafkę z sherry. O, jest. - Dotknął dłonią piersi i skrzywił się. - Może pani nalać, lady Rosamundo?

- Oczywiście. - Jej głos brzmiał naturalnie, uśmiech był naturalny, ale gdy nalewała sherry, ręce jej drżały. Nie mogła uwierzyć w to, co się z nią dzieje. Wilki Boże, nie on, modliła się w duchu. Każdy, tylko nie Richard Maitland. Każdy inny!

W końcu powiedziała sobie, że to z powodu niecodziennych okoliczności. Najpierw ją sterroryzował, potem rozbudził w niej współczucie, a teraz traktuje jak sprzymierzeńca. Nic dziwnego, że się pogubiła. Kiedy wróci do domu, do rodziny, odzyska równowagę.

Czując, że cisza zaczyna jej ciążyć, powiedziała pospiesznie:

- Więc kim są twoi wrogowie, Richardzie? - Wypowiedziała jego imię tak swobodnie, że aż się cofnęła. Zerknąwszy na Maitlanda, zorientowała się, że nie zwrócił na to uwagi. Był pogrążony we własnych myślach. - Czy już do tego doszedłeś?

Przyjął od niej kieliszek i powiedział:

- Tak. Jest ich co najmniej tuzin.

- Kto by pomyślał, że jesteś taki popularny.

Spojrzał na nią spod ściągniętych brwi, dostrzegł jej chytry uśmiech i zakaszłał.

- To jest liczba spraw, które prowadziłem, odkąd zacząłem pracę w Służbach Specjalnych. - Wypił łyk sherry. - Ale sięgając pamięcią dalej, do kampanii w Hiszpanii... no cóż, agenci nie są ekspertami w nawiązywaniu przyjaźni.

- A więc motywem może być zemsta?

- Albo wiem o czymś, czego nie wiem, że wiem, i ktoś się obawia, że

pewnego dnia sobie to uświadomię i tajemnica się wyda. Ale nie sądzę, żeby to był powód.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ zabójca Lucy mógł mnie zabić w każdej innej chwili. Dlaczego więc czekał? Po co wymyślił tak skomplikowany plan. Żeby mnie ośmieszyć. Sądzę, że morderca zaplanował wszystko, aż do mojej egzekucji.

Rosamunda pokręciła głową.

- Co?

- Ta rana od noża. Mogłeś od niej zginąć.

- To prawda. - Zaciśnął usta. - To właśnie mnie dziwi. Ale gdyby morderca chciał mnie zabić, dlaczego nie ugodził mnie w plecy albo nie wałnął czymś w głowę?

- Ponieważ - odpowiedziała z zastanowieniem - milicja domyśliłaby się wtedy, że oprócz ciebie w pokoju Lucy był ktoś jeszcze.

- To samo by się stało, gdyby rana była śmiertelna. - Posłał jej uśmiech. - Może chciał, żebym wykrwawił się na śmierć. A może przypisuję mordercy za dużo wyobraźni, ale nie sądzę. Tak czy inaczej, chyba nie chciał mnie poważnie zranić, lecz poruszyłem się i nóż się obsunął. No, ale pij sherry, bo cię prześcignę.

Pełen kieliszek tkwił w dłoni Rosamundy. Wypiła łyk, potem drugi, jednak tylko po to, by sprawić Maitlandowi przyjemność. Przyszło jej do głowy, że w przeciągu kilku dni jej pogląd na całą sprawę całkowicie się zmienił i że teraz, gdy wierzy już w niewinność swego porywacza, wszystko nabrało sensu.

- Skąd ten tajemniczy uśmieszek? - zapytał Maitland, wrywając ją z rozmyślań.

Popatrzyła na niego.

- Pamiętam, że kiedy czytałam o tobie w gazetach, uważałam, że jesteś winny.

Kąciki jego ust lekko się uniosły.

- Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

- Dbaleś o konie - odrzekła lekko.

- To rzeczywiście pochwała.

- I - uśmiechnęła się z zawstydzeniem - nie skrzywdziłeś mnie. Przypominasz mi mojego ojca. Często krzyczy, co przeraża osoby, które go nie znają.

- Zapamiętam to - odparł oschle.

- Co się stało, Richardzie? - zapytała po chwili. - To znaczy, czytałam o rozprawie w gazetach, ale chciałabym usłyszeć twoją wersję. Co się stało z tą Lucy?

- Wiesz, co się stało. W gazetach zamieszczono też moją wersję. Kłopot w tym, że nikt w nią nie uwierzył.

- Cóż, ja ci wierzę i słucham cię, więc opowiedz mi ją jeszcze raz. - Widząc, że Maitland patrzy na nią ze zdziwieniem, wzruszyła lekko ramionami. - Nigdy nie wiadomo. Może usłyszę w twojej opowieści coś, co przeoczyłeś.

Zdaje się, że zamierzał się tylko uśmiechnąć, ale wyraz jej twarzy zmusił go do zmiany zdania. Powiedział więc po prostu:

- Dobrze, ale najpierw dolej mi, proszę, sherry. - Kiedy spełniła prośbę, usiadł wygodniej i zaczął opowieść:

Powiedział, że porucznik Alex Rider był ojcem Lucy i służył wraz z nim w Hiszpanii. Ich ścieżki na jakiś czas się rozeszły, a potem znowu się zbiegły pod Waterloo.

- Tam Rider zginął. Jako jego przełożony napisałem do Lucy, informując ją o śmierci ojca. Po zakończeniu wojny wróciłem do Anglii i spotkałem ją, przez przypadek, w George'u i Dragonie, gdzie pracowała. Było to ponad rok temu. Często jadałem w tej gospodzie, ponieważ znajdowała się tylko pięć minut drogi od mojego mieszkania. Zawsze zostawiałem jej sowity napiwek, przez wzgląd na ojca i dlatego, że było jej wtedy ciężko. I na tym kończyła się nasza znajomość.

Spojrzał na Rosamundę wyzywająco, ale widząc, że nie przyjmuje wyzwania, zebrał myśli i wrócił do opowieści. Gdy opisywał wydarzenia prowadzące do nocy, kiedy Lucy została zamordowana, Rosamunda przypomniała sobie kilka szczegółów, które umknęły jej pamięci.

Maitland twierdził, że pod koniec ich znajomości Lucy się zmieniła. To prosiła go o jakąś poradę, to znowu chciała pożyczyć pieniądze. Wymyślała różne powody, żeby częściej się z nim widywać.

- Tej nocy, gdy zginęła, byłem z nią umówiony. Chciała, żebym pomógł jej napisać list do jakiejś damy, która dała ogłoszenie, że poszukuje pokojówki. Z chęcią się zgodziłem. Ta praca bardzo poprawiłaby jej sytuację. Tak więc, niczego się nie spodziewając, poszedłem do George'a i Dragona.

- A chłopiec? - zagadnęła Rosamunda, gdy Maitland ucichł.

Nim odpowiedział, porządnie pociągnął z kieliszka.

- Chłopiec. To właśnie jego osoba, bardziej niż cokolwiek innego w całej tej historii, wywołuje moje dreszcze. Wiedział, co robi. Tkwił w tym po szyję. Nigdy nie zapomnę, jak się śmiał, kiedy się zorientowałem, że Lucy nie żyje. - Znowu pociągnął z kieliszka. - Czekał na mnie na szczycie schodów. Myślałem, że to chłopak od czyszczenia butów albo chłopiec hotelowy. Właściwie nie zastanawiałem się, co tam robi. Powiedział, że Lucy na mnie czeka, więc poszedłem za nim do jej pokoju. Teraz wiem, że miał odwrócić moją uwagę.

Poruszył się, a Rosamunda zobaczyła, że napięcie rysuje mu na czole i policzkach głębokie bruzdy.

- Na kredensie stała lampa. Lucy leżała na łóżku. Myślałem, że śpi. Chłopak stanął w nogach łóżka i wpatrywał się w nią. - Maitland potrząsnął głową. - Nie wiem, dlaczego sięgnąłem po broń, ale to zrobiłem. Potem zdarzyło się wszystko naraz. - Zamknął oczy. - Zobaczyłem krew. Spojrzałem na chłopca. Ktoś zarzucił mi od tyłu ramię na szyję. Zacząłem walczyć i zostałem pchnięty nożem w pierś. Upuściłem pistolet. Wtedy pchnęli mnie na fotel i mój napastnik i ten chłopiec wyszli. - Otworzył szeroko oczy. - Nie wiem, jak długo tam siedziałem, ale w końcu zrozumiałem, że jeśli nie sprowadzę pomocy, wykrwawię się na śmierć.

- Twój pistolet - zauważyła Rosamunda, przypomniawszy sobie, że padł jeden wystrzał.

- Tak. Wpadł między materac a ramę łóżka. Udało mi się go wyciągnąć i wystrzelić. Wtedy zbiegli się ludzie. Następnego dnia, kiedy znaleziono nóż pod oknem w pokoju Lucy, ten, którym ją zamordowano, zostałem aresztowany. Resztę już znasz.

Reszta sprowadzała się do tego, że morderca i chłopiec rozplłynęli się i nikt nie chciał uwierzyć, że w ogóle istnieli. Potem zaczął się koszmarny proces: rozprawa sądowa, zeznania świadków i wyrok, a w końcu oczekiwanie na śmierć. Rosamundę przeszył lodowaty dreszcz. Nie widziała większych szans na uniewinnienie Maitlanda.

- No więc - rzucił z płonącymi oczyma - powiedz, co usłyszałaś, mając świeżą perspektywę. Kto stara się mnie zniszczyć, Rosamundo?

Odpowiedziała mu bardzo poważnie.

- Ktoś, kto chce wyrównać z tobą porachunki, oko za oko, ząb za ząb; ktoś, kto chce, żebyś cierpiał tak jak on, i kto będzie zadowolony dopiero wtedy, kiedy stracisz wszystko, co jest ci cenne: dobre imię, pracę, przyjaciół, i kiedy zawisniesz. A może nie. Może nie chce, żebyś zawisnął, tylko żebyś tułał się po świecie jako wieczny uciekinier. Ta osoba ma na twoim punkcie obsesję. Pragnie twojej śmierci, ale dopiero, kiedy się zemści. - Spojrzała Maitlandowi prosto w oczy. - Zdaje się, że jeszcze tego nie dokonała.

- Mogę się zgodzić, że chodzi tu o zemstę, ale raczej nie upiększajmy faktów.

- Czy grasz w szachy?

- Czy ja co?

- Czy grasz w szachy?

- Trochę.

- Trochę? Co to znaczy? Albo grasz, albo nie.

- W porządku! Gram w szachy! Ale co to ma do rzeczy?

- Morderca gra w szachy, a jeśli nie, to powinien. Nie myśli tylko o następnym ruchu. On rozkłada szachownicę, wysuwa pionka i wyobraża sobie wszystkie możliwe ruchy przeciwnika oraz swoje własne, aż do wygranej.

- Zdaje się - przerwał jej Maitland - że sherry uderzyła ci do głowy.

Rosamunda była zbyt zajęta myślami, żeby odpowiedzieć na tę uszczypliwość. Oczami wyobraźni widziała całą rozgrywkę.

- Twoje kontakty z Lucy Rider były niewinne, dopóki na scenie nie pojawił się pan Groźny. Gra naprawdę zaczęła się dopiero w zeszłym miesiącu. Najpierw pan Groźny uczynił Lucy swoim pionkiem. Nie. Królową. Od tej chwili kazała ci skakać z miejsca na miejsce, a ty nawet nie zdawałeś sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Ale Lucy była przeznaczona na stratę, więc gdy nadszedł czas, pan Groźny nie zawahał się, by ją poświęcić. W rzeczywistości zaplanował ten ruch już przed rozpoczęciem gry. A teraz zastanówmy się nad rozprawą. Znalazłeś się w miejscu, w którym chciał, żebyś się znalazł. Rozejrzyj się. Stoisz sam, bez

konia, wieży, gońca, którzy mogliby ci pomóc, nie masz nawet pionków.

Oczy Maitlanda migotały rozbawieniem.

- Zapominasz o Harperze i Hugh Templarze.
- Hugh Templar? Myślałam, że cię porzucił, kiedy rozpoczęła się rozprawa?
- Nie, pomagał Harperowi przygotować moją ucieczkę.

Oczy Rosamundy zapłonęły.

- W takim razie było to twoje wspaniałe posunięcie.
- No i ty - dodał miękko.

Potraktowała jego uwagę poważnie.

- Tak, ale to był łut szczęścia. W tej grze nie wolno polegać na szczęściu.
- Ja bardzo w nie wierzę.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Maitland się śmieje, więc także się uśmiechnęła.

- Możesz sobie ze mnie kpić, ale szachy to gra logiczna i jeśli spojrzysz wystarczająco daleko przed siebie, możesz zobaczyć, dokąd zmierza twój przeciwnik.

- Kto tu kpi? Mówiąc prawdę, jestem zafascynowany. Mów dalej. Stoję sam na szachownicy. Co z panem Groźnym?

- Och, on zbiera wszystkie siły, jakie ma, żeby cię zbić, świadków, którzy zeznają przeciwko tobie, oskarżyciela, dziennikarzy i, stwierdzam to ze smutkiem, także opinię publiczną. Ale gra zakończy się dopiero wtedy, gdy zostaniesz powieszony.

Rosamundzie przyszła do głowy pewna myśl i jej szare oczy zamigotały z podekscytowania.

- Och, chciałabym wiedzieć, co teraz myśli! Zapewne się zżyma, bo uciekając z Newgate, przechytrzyłeś go. Tego posunięcia nie mógł przewidzieć. Nikomu jeszcze nie udało się uciec z tego więzienia.

- Czy ja dobrze słyszę? - Maitland przyłożył dłoń do ucha. - Ty naprawdę wreszcie za coś mnie chwalisz?



Odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem.

- Przypuszczam, że pan Groźny zaczyna rozumieć, iż spotkał równego sobie. Ale nie wolno ci go nie doceniać. Ma po swojej stronie prawo oraz innych sprzymierzeńców. Oczywiście, nie ma już Lucy, ale tego chłopca nie znaleziono. Mogą być jeszcze inni.

Maitland dopił sherry.

- Nie mogę tylko zrozumieć, jak mu się udało wciągnąć w to wszystko Lucy - rzekł.

- Lubieś ją, prawda?

- Bardzo. To była jeszcze dziewczyna, nie kobieta. Była sierotą, a jednak nigdy nie skarżyła się na swój los. Nadal trudno mi uwierzyć, że brała udział w spisku przeciwko mnie, ale nie ma innego wytłumaczenia na kłamstwa, jakie mi opowiadała.

- Przypuszczam, że zakochała się w panu Groźnym. - Widząc, że jej słowa wywołały u Maitlanda skrzywienie ust, uśmiechnęła się. - Domyślam się, że to brzmi niewiarygodnie, ale niektóre kobiety zrobią wszystko dla ukochanego. A przecież nie wiemy, co pan Groźny jej naopowiadał, wiemy jedynie, że Lucy dała się złapać na przynętę. - Poważnie popatrzyła na Maitlanda. - Gdybyśmy potrafili dojść do tego, kto z twojej przeszłości uważa, że niesprawiedliwie go potraktowałeś, wiedzielibyśmy, kim jest pan Groźny. Musiał stracić wszystko, co miało dla niego znaczenie, tak jak ty to miałeś stracić.

- Nie ma nikogo takiego. Nigdy nikogo nie posłałem za kratki, nie dysponując niepodważalnymi dowodami winy. - Zamilkł. - O cholera!

- Właśnie. Czy nie to właśnie cię spotkało?

- To nie pomaga. Nie wiem, kim jest ten człowiek.

- Ale przecież ktoś to był - rzuciła z rozpaczą.

- Nie widzę nikogo takiego.

- Nie spiesz się! Pomyśl. Naprawdę się zastanów.

Milczał przez długą chwilę. Potem pokręcił głową, jakby nie mógł przyjąć odpowiedzi, która mu się nasunęła.

- Co? - zapytała.

- Jedyna osoba, która pasuje mi do tego opisu, to ja sam. Kiedyś, dawno temu, to mnie o mały włos nie zniszczono. Ale to przecież nie ma związku z tą sprawą.

- Opowiedz mi o tym wydarzeniu.

- Ono nie ma znaczenia.

Ten jego brak zaufania, po tym, jak pokazała mu, że w niego wierzy, odebrała prawie jak uderzenie w policzek. Zaczerwieniła się i uniosła się lekko na krześle.

- Usiądź, Rosamundo - nakazał.

Usiadła, ale nie patrzyła na niego, tylko w ogień. Maitland westchnął, a po chwili zaczął mówić cicho i powoli:

- To się wydarzyło w czasie trzeciego trymestru na pierwszym roku studiów. Studiowałem w Cambridge. Miałem wtedy siedemnaście lat i chciałem brać z życia wszystko, co najlepsze. Cambridge, najlepszy uniwersytet w Brytanii, było spełnieniem moich snów. Ojca nigdy nie byłoby stać na posłanie mnie tam, ale miałem dobroczyńców, Andrew Dunsmoora i jego żonę. Co roku jakiś czas spędzali w Szkocji u rodziny żony Dunsmoora. Byliśmy ich dalekimi krewnymi. To byli wyjątkowo mili, szczerzy ludzie, którzy zawsze bardzo się mną interesowali. Nie mieli własnych dzieci.

Milczał przez chwilę.

- Kiedy ukończyłem szesnaście lat, zaprosili mnie do siebie. Chcieli, żebym z nimi zamieszkał w Dunsmoor. Tak się stało, za pozwoleniem moich rodziców. Rodzice widzieli w tym szansę dla mnie i mojej przyszłości. Tak czy inaczej, następnego roku, kiedy Dunsmoor zapisał mnie do Cambridge, mój ojciec był zachwycony. I ja także.

Roześmiał się oschle.

- Cambridge okazało się zupełnie inne, niż oczekiwałem. Całe życie uczono mnie, żebym dążył do doskonałości. Ojciec tłumaczył mi, że wiedza to jedyna droga do rozwoju dla ludzi takich jak my. Uważałem, że muszę się starać, dla rodziców i dla Dunsmoorów. Jednak koledzy, których poznałem w Cambridge, żyli według innych standardów. Znaleźli się na uczelni, żeby się bawić, i robili to: wino, kobiety, hazard i wszystkie te zabawy. Nie przejmowali się, że mogą zostać wyrzuceni, co zresztą wielu się przytrafiało. Byli bogaci, mieli koneksje i tak dalej. Ja nie należałem do ich świata. Mówiąc szczerze, byłem swoim największym

wrogiem. Zachowywałem się jak monumentalny zarozumialec.

W swoim opowiadaniu Maitland pozostawiał niedopowiedzenia, których łatwo się było domyślić. Młody chłopak z biednej rodziny rzucony między salonowców, którzy mogli polegać na bogactwie i pozycji. Musiał się czuć obco od samego początku, a gdy odmawiał udziału w zabawach, o których opowiadał, z pewnością został wyrzucony poza nawias koleżeński, odgradzony od reszty swoją dumą. Ci młodzi chłopcy, o których opowiadał, byli tacy jak jej bracia. Może nie byli specjalnie okrutni, ale wystarczyła ich obojętność, która też może być nie do zniesienia.

Maitland wpatrywał się w kieliszek, jakby to była kryształowa kula, ale nie szukał w niej przyszłości, tylko zaglądał w przeszłość.

- Ci chłopcy byli dzicy, bo tacy są chłopcy, ale byli też bardzo honorowi. Każdy, kto łamał ich zasady, zasługiwał na pogardę i tak go traktowano.

- A ty je złamałeś, tak? - zapytała miękko.

- Nie, choć oni sądzili, że tak. Ginęły różne rzeczy, małe sumy pieniędzy, spinka wybijana drogocennymi kamieniami. Nie pamiętam, co jeszcze. Jeden z chłopców, Middler, nie mówiąc nic nikomu, postanowił na własną rękę zastawić pułapkę, w którą złapałem się ja i jeszcze jeden chłopak. Obydwaj byliśmy w pokoju Middlera, jeden po drugim, i obaj wiedzieliśmy, że dostał właśnie od ojca przekaz pieniężny.

Naturalnie pieniądze zginęły i oczywiście złodziejem musiałem być albo ja, albo tamten drugi.

- Co robiłeś w pokoju tego Middlera?

- Na początku trymestru pożyczyłem mu książkę i chciałem ją odzyskać. Co do tego drugiego chłopca, Franka Stapletona, to on i Middler odwiedzali swoje pokoje bez uprzedzenia, bo się przyjaźnili.

Rosamunda wydała z siebie cichy okrzyk grozy, domyślając się, co zaraz usłyszy.

- Nie muszę ci pewnie mówić - ciągnął Maitland - czyjemu słowu uwierzyli. Jak mówiłem, byłem tam obcy. Tak więc to mnie należało ukarać.

- Pobili cię?

- Och, nie, nic z tych rzeczy. Kazali mi natychmiast opuścić Cambridge i

nigdy tam nie wracać. Odpowiedziałem, że opuszczę uczelnię wtedy, gdy nadejdzie na to czas i nie wcześniej. Więc ukarali mnie w ten sposób, że przestali się do mnie odzywać.

- Och, Boże.

- To nie trwało długo. Wiedziałem, że złodziejem jest Frank Stapleton, więc postanowiłem znaleźć dowody. Można by rzec, że to było moje pierwsze dochodzenie. - Uśmiechnął się, ale widząc, że Rosamunda nie odpowiada mu uśmiechem, wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, ten chłopak zastawił skradzione przedmioty. Krótko mówiąc, właściciel lombardu go rozpoznał i tym samym przywrócił mi dobre imię.

- A pieniądze?

- Kiedy już było wiadomo, że to Stapleton jest złodziejem, koledzy zmusili go do przyznania się. Kradzione sumy przeznaczał na spłacenie dłużników. Na ironię zakrawa fakt, że zapożyczał się u kolegów.

- Musieli go ukarać o wiele surowiej niż ciebie.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Maitland.

- Ponieważ jego występki były o wiele poważniejsze. Pozwolił, by zamiast niego ukarano niewinną osobę. To tchórzostwo. Co mu zrobili?

Oczy Maitlanda pociemniały.

- Porwali na nim ubranie i zostawili na noc przywiązane do drzewa na środku dziedzińca, tak żeby rano cały uniwersytet mógł go zobaczyć. Przypuszczam, że wtedy uważałem, że mu się to należy, ale nie minęło wiele czasu, a żałowałem tego, co się zdarzyło. Stapleton natychmiast opuścił Cambridge. Ja niedługo potem i już nigdy tam nie wróciłem. Zapisalem się na Uniwersytet Aberdeen, gdzie studiowali koledzy z mojej klasy.

- W twoim głosie słyszę rozgoryczenie.

- To przez te wspomnienia. Nawet jeśli byłem wtedy przygnębiony, to nie trwało to długo. - Zamilkł nagle. - Zresztą to bez znaczenia. Chciałaś wiedzieć, czy kiedykolwiek zawstydziłem kogoś, i oto moja odpowiedź. Ale Stapleton nie był niewinny; był winny. Więc widzisz, że to nie taka sama sytuacja.

Rosamunda spuściła ramiona.

- Zawiedziona?

- Chyba tak. Myślałam, że dokądś zmierzamy. Co się stało z tym Stapletonem?

- Nie mam pojęcia.

- A z tymi chłopcami, którzy go rozebrali i przywiązali do drzewa?

- Czasami spotykam jednego z nich, ale w przelocie. Traktujemy się uprzejmie, lecz z dystansem. Rozumiesz, nie czujemy się swojsko w swoim towarzystwie. Zresztą to się zdarzyło przed siedemnastu laty. Sądzisz, że to może mieć jakiś związek z tym, co dzieje się obecnie?

Rosamunda ciężko westchnęła.

- Nie, a szkoda.

Po tej opowieści roztrząsali przeszłość Maitlanda, rozpatrując każde wydarzenie w poszukiwaniu jakiegoś śladu, lecz bez skutku. Przerwał im Harper, który pojawił się z obiadem. Gdy uprzątnęli mały stolik, postawił na nim tacę.

- Gulasz wołowy - zapowiedział. - Z kluseczkami. - Nim wyszedł, mrugnął do Rosamundy i wyjaśnił: - Idę dojrzeć koni.

- Opowiedz mi o tym domu i o tym, co się stało z Dunsmoorami - poprosiła Rosamunda po posiłku.

- Obydwoje nie żyją, a ja odziedziczyłem dom.

- Uważasz, że jesteś tu bezpieczny? To znaczy, czy milicja może się tu zjawić?

- Oprócz mnie o istnieniu tego domu wiesz tylko ty i Harper.

- Ale skoro tu mieszkałeś...

- Nie mieszkałem. Po opuszczeniu Cambridge nie wróciłem do Dunsmoor. Pozwól, że sam się będę o to martwił, dobrze?

Szorstka uwaga ponownie ją zaskoczyła. Rosamunda natychmiast ukryła się w swojej skorupie, niczym żółw uderzony po nosie. Po chwili spojrzęła na zegar, okrzykiem dała wyraz zdziwieniu, że jest tak późno, po czym tłumacząc się zmęczeniem, wstała i odeszła. Maitland odprowadził ją do drzwi.

Nagle westchnął, a potem dotknął ramienia Rosamundy i odwrócił ją do siebie.

- Niech pani wraca do domu, lady Rosamundo - powiedział. - I zapomni o mnie. - Zacisnął dłonie, opierające się na jej ramionach, ale to trwało bardzo krótko, potem ją puścił i odsunął się. - Zapomnij o mnie, Rosamundo.

Popatrzyła mu w oczy. Nie chciał jej obrazić. Mówił bardzo poważnie, i szczerze.

Jej serce skurczyło się z bólu. Nie mogła dać mu odpowiedzi, której oczekiwał, ponieważ wiedziała, że nigdy go nie zapomni, nie przestanie też myśleć o grożącym mu śmiertelnym niebezpieczeństwie. To by było tak, jakby go opuszczala w biedzie, a tego nigdy by nie zrobiła.

Ukryła ból pod maską uśmiechu.

- Uważaj na siebie, Richardzie Maitlandzie - rzekła. - Masz groźnego wroga, który jeszcze z ciebie nie zrezygnował.

I bojąc się, że się rozpłacze, uciekła z pokoju.

## *Rozdział 13*

Było nadal ciemno, kiedy Harper przyszedł po Rosamundę, mówiąc, że czas się zbierać. Przyniósł herbatę i tosty na tacy oraz świeżą zmianę odzieży.

- Męska - rzucił, uśmiechając się. - Bo mamy przed sobą ciężką drogę, a na dwóch mężczyzn nikt nie zwróci uwagi. Kobiety sprowadzają same kłopoty, za przeproszeniem panienki.

- A pułkownik Maitland? - zapytała natychmiast, zanim Harper zdążył wymknąć się z pokoju. Wydawało się, że bardzo, mu zależy, żeby przed nią uciec. - Jak on się czuje?

- Nie można lepiej! Pierwsza klasa! Jak młode źrebię! - odparł i nim padło

następne pytanie, znikł.

Rosamunda wyskoczyła z łóżka. Ubieranie zajęło jej tylko chwilkę i dziesięć minut później weszła do sypialni Richarda, gdzie stanęła jak wryta. Łóżko było zasłane, ogień palił się żywym płomieniem, na małym stoliku pod oknem leżały resztki po śniadaniu. Ale Richarda nie było.

- Musimy już jechać, panienko - zauważył Harper, stając w otwartych drzwiach.

Odwróciła się do niego.

- Gdzie on jest?

Sierżant spojrział w dół na buty.

- Ja... hm... myślę, że poszedł na spacer.

- Przecież jest jeszcze ciemno?

Harper zmarszczył czoło, westchnął, a potem popatrzył na Rosamundę z lekkim przestraszonym wyrazem twarzy.

- Nie wiem, gdzie on się podział, panienko, to prawda, ale kazał mi stąd zniknąć, zanim wzejdzie słońce.

Rosamunda minęła Harpera i pomaszzerowała korytarzem do następnego pokoju, drugiej sypialni. Tutaj wszystkie meble były przykryte pokrowcami. Tak samo w następnym pokoju i w kolejnym. Harper szedł krok za nią, prosząc, by była rozsądna; tłumacząc, że tracą czas; a na koniec, że tak jest lepiej.

- Niech się pani zastanowi, panienko, co mógłby powiedzieć, co jeszcze nie zostało powiedziane?

- Wiele. - Nie spała przez całą noc, rozmyślając o tym, co powie Richardowi Maitlandowi. Chciała mu powiedzieć, że wie, iż uda jej się przekonać ojca i braci o jego niewinności, i że wszyscy razem będą starali się tego dowieść. Chciała powiedzieć, że nic i nikt na świecie nie zachwieje jej wiary w niego.

To było najważniejsze: żeby wiedział, że nigdy nie przestanie mu ufać.

To ta myśl nie dawała jej zasnąć całą noc, nie szczegóły zbrodni, o których jej opowiadał, ale wszystkie niedopowiedzenia w jego opowieści. Wstępując do Cambridge, czuł się jak obcy. Nie był jednym z nich - dlatego zrobili z niego kozła ofiarnego. Takie są prawa dżungli.

„Ukarali mnie milczeniem”.

Wiedziała, co to znaczy. Kiedy wchodził do jakiegoś pomieszczenia, wszyscy obecni wychodzili. Gdy siadał przy stole, wstawali i przesiadali się do innego. Dzień i noc był sam, mając za towarzystwo tylko swoje myśli.

Straszni, okrutni chłopcy!

Ale żeby pozbyć się Richarda, trzeba było czegoś więcej.

Jednak wkrótce potem opuścił Cambridge i nigdy do niego nie wrócił. Tak samo jak opuścił ten dom, a to znaczy, że pan Dunsmoor odwrócił się od niego. Na koniec musiał zmienić zdanie, bo zostawił mu dom, ale Richard nie daje ludziom drugiej szansy. To jego największa wada. Przerwała Harperowi w pół słowa.

- Przysięgasz, że nic mu nie jest?

- Tak, dzięki panience.

Szła dalej. Po drugiej stronie domu znajdowały się następne schody, ale zaczynała pojmować, że jej działania są beznadziejne. Jeśli Richard nie chce, by go znalazła, nie uda jej się to.

- Panienko - upomniał ją Harper - czas ruszać.

Współczucie widoczne na jego twarzy sprawiło, że poczuła napływające do oczu łzy.

- Nie akceptujesz mnie, Harper, prawda?

Wiedział, o co jej chodzi.

- Panienska nie jest dla pułkownika, bo panienska jest córką księcia.

Czekała, aż będzie się mogła odezwać bez drżenia w głosie

- Przekażesz mu ode mnie wiadomość? Powiedz mu, że nie poddam się łatwo. - I obawiając się, że za chwilę kompletnie się rozklei na oczach starego wojaka, dodała szybko: - W porządku, Harper, wygrałeś. Jedziemy.



Kiedy Richard usłyszał, że odjechali, odrzucił na bok kartkę, na której robił notatki. Znajdował się na ostatnim piętrze domu, w małym gabinecie, który niegdyś, gdy praktycznie był członkiem rodziny, był przeznaczony dla niego. Ale to było wieki temu, przed Cambridge, przed rozstaniem z człowiekiem, którego wcześniej nazywał wujem Andrew.

Odepchnął krzesło i wstał, ale zatrzymał się w miejscu, bo zawirowało mu w głowie. Wiedział, że to przez osłabienie, zresztą oszołomienie zaraz minęło, więc mógł podejść do okna i wyjrzeć przez nie.

Miał nadzieję, że zobaczy jeszcze przynajmniej zarys sylwetki Rosamundy, ale ciemności były nieprzeniknione. Dzień wstawał gdzieś daleko na horyzoncie i nie zapowiadał się na najpiękniejszy, tylko na ponurą powtórkę takich samych jak poprzednie. Wszystko jedno, czy będzie padało, czy nie, wilgoć i tak przeniknie każdy zakamarek domu i nic jej nie powstrzyma.

Nie tak jak Rosamundę.

Uśmiechnął się przelotnie. Miał nadzieję, że zrozumiała jego przesłanie. Czuł, że stają się sobie zbyt bliscy, zbyt mili dla siebie. Nie chciał, by coś odrywało go od tego, co miał do zrobienia. Poza tym znajomość z nim była niebezpieczna. Jeśli trzymał z daleka od tej całej ponurej historii przyjaciół, to tym bardziej nie mógł wciągać w nią naiwnej i zbyt ufnej amatorki.

„Czy zamordował pan Lucy Rider?”

„Nie”.

A ona ot tak po prostu mu uwierzyła.

Taka kobieta jest niebezpieczna. Nie dlatego, że szybko podejmuje decyzje, ale z powodu wpływu, jaki wywiera na swoje ofiary. Gdyby nie to, że jego serce pokrywa skorupa lodu, mógłby wylać przed nią wszystkie swoje żale.

Przypomniał sobie inny głos, zadający podobne pytanie. Głos wuja Andrew.

„Czy ukradłeś te pieniądze?”

„Nie, sir”.

„Nie kłam! Znam tych chłopców! Znam ich ojców! Nie oskarżyliby cię, gdybyś był niewinny. Więc pytam ponownie. Czy ukradłeś te pieniądze?”

„Nie, sir”.

„Nie wierzę ci!”

Później doszło do pewnego rodzaju pojednania, ale już nie potrafił czuć się z Dunsmoorami tak jak kiedyś. Więc powrócił do Szkocji i zaraz po ukończeniu studiów wstąpił do wojska. Pisali do siebie sporadycznie, ale Richard nigdy nie przepadał za pisaniem listów. Kiedy był w Hiszpanii, zmarła pani Dunsmoor, a potem jej mąż i dom przeszedł na Richarda. Nie spodziewał się tego. Napisał do swojego prawnika, żeby wynajął dom i ziemię, ale nawet po powrocie do Anglii nie próbował wrócić do Dunsmoor.

Konieczność zmusiła go do przyjazdu tutaj i teraz zastanawiał się, dlaczego wcześniej się tu nie zjawił. Jako agent widział i robił rzeczy, wobec których sprzeczka z Dunsmoorem była tylko trywialną kłótnią. Czas najwyższy przepędzić duchy przeszłości. Gdyby było na odwrót, gdyby to on był wujem Andrew, zapewne doszedłby do tego samego wniosku.

Nie każdy jest tak wspaniałomyślny jak Rosamunda.

Znowu ona! Marszcząc czoło, spojrzął na kartkę z notatkami, leżącą na biurku. Powinien je przejrzeć, zastanowić się, kto pasuje do profilu zaproponowanego przez Rosamundę, poszukać kogoś, kto chciał sprawić mu takie cierpienie, jakie sam przeszedł. Oko za oko. Ząb za ząb.

Usiadł za biurkiem i zabrał się do robienia dalszych notatek. Pół godziny później, gdy nadal na nic nie wpadł, wstał, wyszedł z gabinetu i zszedł na dół do sypialni. Łóżko wyglądało bardzo zachęcająco, ale nie dał się skusić. Wiedział, że Harper nie wróci wcześniej niż za kilka godzin, więc sam musiał zająć się ogniem i w ogóle wszystkim.

Choć był przekonany, że nikt nie skojarzy go z tym domem i nie spodziewał się kłopotów, to, nauczony doświadczeniem, wiedział, że nie może pozwolić sobie na niepotrzebne ryzyko. Zdusił więc ogień w sypialni, a potem w kuchni, zarzucił na ramiona pelerynę i wyszedł na zewnątrz rozejrzeć się.

Dzień był pochmurny. Z przemoczonej ziemi unosiła się gęsta mgła, okrywając budynki i drzewa białym całunem.

Ignorując przechodzące go dreszcze, z opuszczoną głową ruszył w stronę stajni. Stał w niej tylko jeden koń, ale Maitland po napełnieniu koryta wodą i otrębami i tak czuł się tak, jakby nakarmił całe stado.

Ostrożność ostrożnością, lecz wiedział, że jeśli zaraz nie wróci do łóżka,

padnie tu, gdzie stoi.

Odgłos kopyt końskich dobiegi go w chwili, gdy wspinał się po frontowych schodach. Stanął za filarem i sięgnął po pistolet. Nic nie widział, więc wyteżył słuch. Jeden koń i jeden jeździec, uznał, i bardzo się spieszą, żeby dotrzeć do domu. Wróg zachowywałby się ciszej. Pomyślawszy to, wyszedł zza filaru. W tej samej chwili jeździec wypadł zza drzew.

- Richard!

Rosamunda! Poganiając konia, gnała, krzycząc z całych sił, z włosami rozwianymi na wietrze. Nigdzie nie było ani śladu Harpera. Gdy się zatrzymała, Richard zbiegł po schodach.

- Musisz natychmiast uciekać - mówiła, łapiąc oddech. - Zauważyli nas. Nie, nie ma czasu siodłać konia. Wskakuj za mną.

- Harper? - zapytał.

- Próbuje ich odciągnąć. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Wskakuj za mną.

Uniósł głowę i chwilę nasłuchiwał. Tak, coś usłyszał, a więc nie kłamała. Wydawało się, że galopuje cała kawaleria. Maitland zaklął cicho i wskoczył na konia.

- Kieruj się na wzgórze! - krzyknął Rosamundzie do ucha i złapał się jej, bo rumak rzucił się do przodu.

Zatrzymali się, gdy minęli drzewa i znaleźli się na trawiastym wzniesieniu na tyłach domu. Prawie nic nie było widać. Dom tonął we mgle. Widzieli jedynie cienie.

- Opowiadaj - poprosił.

Rosamunda oddychała ciężko.

- Zdążyliśmy dojechać tylko do wioski. Była straszna mgła. Nie wiem, co się tam działo, wiem tylko, że ktoś wyszedł z gospody i zawołał Harpera. Wtedy on powiedział, że to Digby, kazał mi wracać i ostrzec cię. Sam pojechał w przeciwną stronę, żeby odciągnąć pościg.

Okręciła konia, z napięciem wypatrując jakiejś przerwy w białej zawieszynie zasłaniającej wzgórze. Nic. Mogli równie dobrze stać na skraju urwiska.

- Nie możemy poruszać się w takiej mgle - zauważyła z rozpaczą.

- Niedaleko stąd jest pasterski szałas - poinformował Richard. - Możemy się tam ukryć. Zamieńmy się miejscami, to poprowadzę konia.

Zsiadając, Rosamunda potknęła się i upadła na ziemię. Koń drgnął i ruszył do przodu; Richard zatrzymał go, ale przystanął w pewnej odległości.

- Posłuchaj mnie, Rosamundo - powiedział. - Wróc do domu. Tam będziesz bezpieczna. Jeśli pojedziesz ze mną, wszystko może się zdarzyć. Może dojść do strzelaniny. To mnie ścigają, nie ciebie. Wracaj do domu. Słyszysz mnie?

Nim odzyskała oddech, odwrócił konia i znikł we mgle. Poderwała się na nogi i pobięła za nim.

- Ty skończony idioto!- krzyknęła z całych sił. Była naprawdę bardzo zła. Zła i przerażona. - Tylko we mnie nadzieja, że unikniesz stryczka! Wiedziałbyś to, gdybyś nie był taki tępy! - Biegła i darła się jak oszalała. - Przystawisz mi pistolet do głowy i powiesz, że mnie zabijesz, jeśli cię dotkną. Tak jak zrobiłeś w Newgate!

Zalała się łzami. Myśl, że złapią Richarda, całkowicie ją obezwładniła. W tej mgle daleko nie odjedzie, a kiedy pościg go doścignie, nie będzie miał szans. Potrzebuje jej, choćby tylko jako karty przetargowej.

Przedzierała się przez mgłę, krzykiem zdzierając sobie płuca.

- Nie pozbedziesz się mnie! Pójdę za tobą wszędzie! I będziesz żałował, kiedy się pomylą i w tej mgle, zamiast ciebie, zabiją mnie. Nie będą wiedzieli, że jestem córką Romseya. Mam na sobie męskie ubranie, pamiętasz? Słyszysz mnie, Richardzie? Będziesz żałował! Zawisniesz na stryczku, mając moje życie na...

Urwała, bo potknęła się o kamień i upadła na twarz. Choć ciężko dyszała, szybko podciągnęła się na kolana. Tuż przed nosem zobaczyła czyjaś rękę. Podniosła wzrok. Richard.

- Dziękuję - wyjąkała, chwytając dłoń.

Bez słowa poderwał ją na nogi i wciągnął na konia. Wbił pięty w boki zwierzęcia i ruszyli.

Rosamunda miała rację, że daleko nie zajadą, ale to nie mgła okazała się przeszkodą. Koń potknął się i obydwójce spadli na ziemię. Rosamunda podniosła się pierwsza, starając się pochwycić cugle, ale zwierzę odbiegło we mgłę. Kiedy się odwróciła, Richard klęczał.

Przestraszyło ją, że jest taki słaby. Miał za mało czasu na zebranie sił, a teraz jeszcze i to. Ukrywając strach, zapytała:

- Gdzie jest ten szałas?

Obejrzała się przez ramię, wpatrując się w mgłę i nasłuchując odgłosów pościgu, ale nic nie widziała i nie słyszała. Mgła była ich tarczą, ciekawe tylko jak długo.

- Resztę drogi przejdziemy na piechotę - stwierdziła, dławiąc strach. - Zarzucić mi rękę na ramię.

Zrobił, jak powiedziała.

- Poczuję się lepiej, kiedy dojdziemy do szałasu - zapewnił. - I wtedy masz odejść.

Nie sprzeczała się z nim, ale nie mogła go zostawić, nawet gdyby chciała. Mgła była tak gęsta, że nie wiedziałyby, gdzie iść. Ponieważ wspinaczka pod górę bardzo ich męczyła, nie rozmawiali, oszczędzając siły. Rosamunda nie wiedziała, jakim sposobem odnajdą szałas, ale Richard zdawał się wiedzieć, dokąd się kieruje. Raz czy dwa, gdy mgła lekko się przerzedziła, przystanął i przez chwilę się rozglądał. Ona widziała tylko cienie, lecz dla niego były to punkty orientacyjne, szli więc dalej. Sądziła, że to ona użycza mu siły, lecz po jakimś czasie poczuła takie zmęczenie, że w końcu to Richard delikatnie ją popędzał.

- Już niedaleko - mówił. - Nie poddawaj się. Odpocznijemy i zdecydujemy, co zrobić.

Nie miała pojęcia, co mogliby zrobić. Richard nie miał sił, by iść gdzieś dalej, ale wierzyła w jego pomysłowość. Udało mu się uciec z Newgate. Stąd też ucieknie.

Dotarli do szałasu w chwili, gdy Rosamunda czuła, że nie zrobi kroku dalej. Ściany były kamienne, dach pokryty strzechą, a posadzka brukowana, tak jak ulice

Londynu, ale chata była tak mała, że dwoje ludzi, wyciągnąwszy ramiona, wypełniło ją całkowicie.

- Do kogo ona należy? - zapytała.

- Do wszystkich i do nikogo. Pasterze używają tych chat w wyjątkowych sytuacjach, kiedy złapie ich nagła mgła lub burza.

Stała tam wąska prycza wyłożona sianem i stołek przed poczerniałym paleniskiem. Po drugiej stronie dojrzeli kosz drewnem na rozpałkę.

Rosamunda zamknęła drzwi i pomogła Richardowi położyć się na pryczy.

- Nie możemy rozpalić ognia - powiedział. - Zdradzi nas zapach dymu. - Zamilkł, potrząsnął głową, i sucho się roześmiał. - I tak nas znajdą. Mgła się podnosi. Zapal ogień, jeśli chcesz.

Jeszcze przed chwilą pragnęła tylko paść na ziemię, ale słysząc, że mgła się podnosi, rzuciła się do okna.

- Moim zdaniem, jest taka sama - odparła, zatroskana. Odwróciła się do Richarda, który padł na posłanie.

- Chodź tu - powiedział, wyciągając do niej rękę. Przyklękła przy nim i podała mu dłonie. Zajrzała mu w oczy.

- Masz gorączkę?

- Nie.

- Czy boli cię rana?

- Nie. Posłuchaj mnie, Rosamundo. Nic mi nie jest, tylko jestem zmęczony. Przez całą noc zastanawiałem się, co z tobą zrobić.

- I - rzekła głosem pełnym wyrzutu - postanowiłeś mnie odesłać bez słowa pożegnania.

Spojrzał na jej dłonie, potem uniósł je do ust i pocałował najpierw jedną, potem drugą.

- Uważałem, że tak będzie najlepiej.

Serce ścisnęło jej się ze strachu. Musiał utracić całą nadzieję, skoro tak się przed nią otwierał. W gardle miała tak wielką gulę, że nie mogła się odezwać. Kiedy się do niej uśmiechnął, wpadła w przerażenie.

- Ze względu na mnie musisz być odważna - powiedział. - Kiedy tylko usłyszemy, że się zbliżają, wyjdiesz na zewnątrz i powiesz im, kim jesteś. Wejdą po mnie, ale cokolwiek wtedy usłyszysz, masz zostać na dworze. Nie oglądaj się za siebie. Wracaj do swojej rodziny i zapomnij o mnie.

- A jeśli tego nie zrobię? - zapytała drżącym głosem. - A jeśli zostanę z tobą? Richardzie, oni nie odważą się ciebie tknąć, kiedy tu będę.

Mówił powoli i z wielką cierpliwością, jakby tłumaczył coś dziecku.

- Zabiorą mnie do Newgate i powieszą. Czy tego chcesz? Rosamundo, chcę umrzeć jak żołnierz. Pozwól mi opuścić ten świat z godnością.

Poczuła idący od serca jęk rozpacz. Otworzyła usta, ale wydobył się z nich tylko słaby skowyt. W oczach pojawiły się łzy.

- Nie mogę... nie...

- Rosamundo, Rosamundo.

Przyciągnął ją do siebie i objął. Pocałował delikatnie, a gdy mu odpowiedziała, przycisnął ją mocniej. Zarzuciła mu rękę na szyję. Odsunął się na chwilę, ale tylko po to, by rozsunąć poły płaszcza. Potem znowu wziął ją w ramiona.

- Pierwszy raz ktoś mnie pocałował - powiedziała, wtulając twarz pod jego brodę.

Spojrzał jej w oczy.

- Trudno w to uwierzyć.

Zdołała odwzajemnić jego uśmiech.

- Tak to jest, kiedy się jest córką księcia. Mężczyźni boją się do mnie podejść. A może to moja wina. Może ich nie pociągam? Sam tak powiedziałeś, pamiętasz, w tej chacie w Chelsea?

Przesunął dłonią po jej włosach, a potem przyciągnął ją do siebie. Mówił ochryple.

- Skłamałem. Bez wątplenia jesteś najpiękniejszą i najbardziej ponętą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

Mimo że słowa były gorące, zimny strach zacisnął jej serce. Nie mówiłby tak, gdyby uważał, że wyjdzie z tej operacji żywy. A więc została im tylko ta chwila.

Postanowiła, że nie zepsuje jej łzami i rozpaczą.

Tłumiąc strach i ból, rzekła z uśmiechem:

- Gdybym tak była zwykłą dziewczyną, a nie córką księcia...
- Tak - zgodził się ponuro. - Gdybyś była zwykłą dziewczyną...

Zamrugnęła, by strząsnąć z rzęs łzy.

- Gdyby tylko... - zaczęła, ale głos się jej załamał.
- Szaaa. - Znowu ją pocałował. - Nie dręcz się w ten sposób.

Żałowała, że jest tak ciemno. Tak bardzo pragnęła zachować jego wizerunek w sercu i w oczach, by zapamiętać go na zawsze. Ale Richarda Maitlanda cechowało coś więcej niż tylko przystojna twarz. Wiedziała, że nigdy go nie zapomni.

- Jesteś najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam - powiedziała.

Uśmiechnął się, słysząc te słowa.

- Opowiedz mi o sobie, Rosamundo. Tak mało o tobie wiem.

Naprawdę ciekaw był jej życia, ale też chciał, by oderwała się od bolesnej sytuacji, krótko mówiąc, od liczenia sekund do pojawienia się pościgu.

- Od czego mam zacząć? - zapytała.

- Oczywiście, od początku. Jaka byłaś w dzieciństwie? Szczęśliwa? Smutna? Naprawdę chcę wiedzieć.

- Szczęśliwa - odparła natychmiast. - Ale po śmierci matki już nie tak bardzo.

Zaczęła opowiadać, najpierw urywanie, lecz z każdym słowem coraz płynniej, gdy powracały wspomnienia. Choć matka zmarła, kiedy Rosamunda miała zaledwie pięć lat, dla Richarda było oczywiste, że księżna miała ogromny wpływ na córkę. W wyobraźni zobaczył kobietę, która umiała cieszyć się dziećmi i życiem, osobę niekonwencjonalną, którą męczyły wszelkie zakazy i nakazy, obowiązujące w towarzystwie. A księżę, który uwielbiał żonę, pobłażał jej we wszystkim.

- Gdy odeszła - rzekła w pewnej chwili Rosamunda - miałam wrażenie, że świat stracił wszystkie kolory. Nie myślałam, że ojciec mnie zaniedbywał lub coś



podobnego - dodała szybko. - Wręcz przeciwnie. Właśnie przez to, jak zginęła moja matka, stał się taki nadopiekuńczy. Obwinił się, że na tak wiele jej pozwalał.

- I pilnował, żeby córka trzymała się blisko domu - dokończył za nią Richard.

- Tak - przyznała z westchnieniem.

Śluchając wspomnień Rosamundy, Richard zaczął korygować swoje zdanie o niej. Zobaczył teraz, że nigdy nie była wyniosła ani zimna, tylko niepewna siebie. I kto by ją za to winił? Ludzie, którzy ją kochali i którym ona była niezaprzeczalnie oddana, delikatnie, lecz konsekwentnie zabijali w niej każde pragnienie stanowienia o sobie samej. Guwernantki, konie i szachy - do tego sprowadzało się jej życie. Ojciec na szczęście miał tyle zdrowego rozsądku, aby zapewnić jej obecność przyjaciółki, Callie.

Rosamunda popatrzyła na niego z rozbawieniem.

- To Callie wymyśliła tę wizytę w Newgate. Przypuszczam, że byłeś dla niej bohaterem. Twoja historia przemówiła jej do wyobraźni, a że ma bardzo ostry języczek, więc w jej obecności nikt nie mógł powiedzieć o Richardzie Maitlandzie złego słowa.

- Jestem jej wdzięczny.

Rosamunda uśmiechnęła się.

- A co z tobą, Rosamundo? Po co ty poszłaś do Newgate? Już mówiłaś, że, twoim zdaniem, byłem winny.

Z jej twarzy znikło rozbawienie.

- Z mojej strony była to czysta brawura. Callie rzuciła mi wyzwanie, a ja je przyjąłem. Ale chcę, żebyś wiedział, że tej akurat decyzji nigdy nie będę żałowała.

Oczywiście wzruszyła go tym wyznaniem. Przycisnął ją mocniej do siebie i pocałował w czubek głowy.

- Gdyby twoja matka cię teraz widziała, byłaby z ciebie dumna - rzekł.

Popatrzyła na niego z namysłem.

- Tak myślisz?

- Na pewno. Jesteś nieodrodną córką swojej matki i nikt nie wie tego lepiej niż ja.

Na twarzy Rosamundy pojawił się uśmiech szczęścia, ale zaraz znikł, bo poczuła, że Richard sztywnieje.

- Co się dzieje? - spytała.

- Słuchaj!

Wtedy usłyszała stukot kopyt końskich na poszyciu. Do chaty zbliżała się grupa jeźdźców.

- Mgła musiała się rozwiać - powiedział. - Już czas.

Twarz Rosamundy skurczyła się.

- Nie! Richardzie, nie! Muszę ci jeszcze tyle opowiedzieć.

- Nie panikuj - nakazał, chwytając ją za rękę. - Zrób, jak ci powiedziałem. Przez wzgląd na mnie. - Potem dodał już łagodniej: - Uczyniłbym wszystko, żeby ci tego oszczędzić, ale nie mogę. Jeśli teraz stracisz odwagę, zrobisz mi... pomyśl, czym to się skończy. Ukochana, wszystko przemija, nawet ta chwila. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Zapomnij o mnie. A teraz idź!

Z pobladłą twarzą, na miękkich nogach, podeszła do drzwi. Na progu odwróciła się.

- W porządku, Richardzie. Wiem, co chcesz zrobić, ale to ci się nie uda. Nigdy cię nie zapomnę. I nie straciłam nadziei, więc nie rób niczego głupiego.

- Rosamundo...

Ale ona już wyszła.

Ty idioto, pomyślał o sobie z wściekłością. Co go naszło, żeby odgrywać romantycznego bohatera? Gdyby naprawdę chciał, żeby o nim zapomniała, nie powinien był jej całować, nie powinien był jej pokazać, jak bardzo mu na niej zależy, nie powinien był namawiać jej do zwierzeń.

Ale jak miał się powstrzymać? Człowiekowi na progu śmierci można wybaczyć, że pragnie czegoś dla siebie, zwłaszcza od jedynej kobiety, która coś dla niego znaczyła. Nawet gdyby miał żyć sto lat, i tak nigdy jej nie zapomni.

Uśmiechnął się ponuro do tych swoich myśli. Słyszając dzwoniące ostróg zsiadających z koni jeźdźców, wstał i sprawdził broń, po czym ustawił się tak, by w chwili, gdy napastnicy otworzą drzwi, wpływające przez nie światło padło prosto na niego. Miał nadzieję, że jego prześladowcy potrafią celnie strzelać.

Lepiej by było, gdyby zostawił Rosamundę w chacie, a sam wyszedł im na spotkanie. Lepiej dla niego, ale nie dla niej. Nie chciał, żeby widziała jego koniec.

Wtem usłyszał jej głos, ostry, rozkazujący, pasujący do książęcej córki, a może raczej córki księżnej. Nadal próbowała go ocalić. Przełknął ślinę, czekając na to, co się wydarzy.

Minęło wiele minut i nagle drzwi powoli zaczęły się otwierać.

- Proszę nie strzelać, sir! - rozległ się głos, który natychmiast rozpoznał.

Richard opuścił broń.

- Harper? - zapytał z niedowierzaniem.

Harper zakaszłał, dławiąc się radosnym śmiechem.

- Ma pan diabelne szczęście, pułkowniku Maitland! Jest tu pan Templar. I lord Caspar. Przyjechali pana uratować. Czy to nie jest cud?

## *Rozdział 14*

Ludzie, których ujrzał, nie wyglądali na przychodzących mu z pomocą. Kiedy opuścił szopę, otoczyła go horda groźnie wyglądających sługusów. Sprawiali wrażenie, jakby chcieli go zabić.

- Nie skrzywdzą cię, Richardzie! - krzyknęła Rosamunda. - Są lojalni księciu.

Lojalni księciu? Czy ona sądzi, że znajdują się w średniowieczu? Po przyjrzeniu się mężczyznom stwierdził, że wszyscy mają na sobie niebieskie kurtki ze złotymi wyłogami; liberia księcia. To służący, ale liberia wprowadzała w błąd.

Umiał rozpoznać weteranów wojennych i wiedział, że ci ludzie na pewno widzieli niejedną bitwę.

Wtem odezwał się Hugh Templar.

- Rób, co ci każą, Richardzie, a nic ci się nie stanie.

- No, nie bądź taki spięty, pułkowniku - dodał Harper. - Oni są po naszej stronie. Mają nastroszone piórka, bo porwałś lady Rosamundę, ale nie zrobią ci nic złego. - Zakaszlał ze śmiechu. - Albo będą mieli z nią do czynienia i wiedzą o tym.

Ponieważ trzy osoby, którym ufał, mówiły to samo, Richard nieco się rozluźnił.

- Zabierzcie mu pistolet i inną broń, wszystko, co ma przy sobie.

Człowiek, który wydał ten rozkaz, stał przy Rosamundzie i Richard bez wahania rozpoznał w nim jej brata. Lord Caspar - wysoki, przystojny, poważny i wyniosły. Richard od razu poczuł, że go nie lubi.

Rozpoczęła się przepychanka, kiedy dwóch służących księcia zaczęło go przeszukiwać. Któryś nadepnął mu na stopę, ale gdy Harper wyszczekał rozkaz, natychmiast odsunęli się od Maitlanda, jak przystało na wytrenowanych żołnierzy.

Rosamunda chciała do niego podejść, ale gdy tylko zrobiła i krok, brat chwycił ją za ramię i kazał jej zostać przy sobie.

Do Maitlanda podszedł Hugh i klepnął go w ramię. Richard poczuł ostry ból, ale zniósł go ze stoickim spokojem. Nie miał chęci mówić teraz o swoich obrażeniach, chciał natomiast jak najszybciej dowiedzieć się, co się dzieje.

- Richard - odezwał się Hugh. - Dzięki Bogu, jesteś cały. Wiem, że pragniesz poznać przyczynę, dla której cię ścigam, ale teraz nie ma na to czasu. Za nami jedzie oddział milicji. Nie sądzę, żeby o nas wiedzieli, lecz nie możemy być tego pewni. Musimy natychmiast stąd odjechać.

Po tych słowach rozległ się krzyk Rosamundy:

- Przecież on nie może jechać konno! Nie widzicie, że zaraz się przewróci?

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Przyprawiono konia dla Maitlanda, tego samego, na którym uciekał. Nie wiedział, czy zbierze siły, żeby się na niego wspiąć.

Rosamunda powiedziała coś gorączkowo do brata, na co Caspar wzruszył tylko ramionami. Hugh zmarszczył czoło.

Harper pochylił się, złożył dłonie, by pomóc szefowi wspiąć się na siodło.

- No, pułkowniku - szepnął. - Da pan radę to zrobić.

Rozległ się znudzony głos lorda Caspara:

- Wsiadaj albo zawiśnij. Mnie to obojętne, Maitland.

Mężczyźni w niebieskiej liberii wybuchnęli śmiechem.

Richard zacisnął zęby, postawił stopę na złączonych dłoniach Harpera i dosiadł konia.

Jakiś czas później przed frontowe drzwi Dunsmoor przygalopował oddział milicji z majorem Digbym na czele. Jego twarz wykrzywiła furia. Mocno zaciągnął wodze, aż koń zarżał i wierzgnął przednimi kopytami.

Digby był wściekły, bo dotarło do niego, że Harper zawiódł ich w ślepią uliczkę, a Maitlandowi zapewne udało się uciec. Co teraz? Przeszukać dom czy pognać za uciekinierem, zakładając, że uda im się w tej mgle odnaleźć jakieś ślady? Przynajmniej wiedzieli, że są na dobrym tropie, bo spotkali Harpera. Informacja otrzymana od Geroge'a Withersa okazała się prawdziwa.

Zsiadł z konia, a zaraz za nim Whorsley i kilku żołnierzy z przygotowaną bronią. Wbiegli po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Digby kilka razy walnął w drzwi, a gdy nie usłyszał odzewu, kazał je wyważyć.

Po wejściu do środka wrzasnął, żeby żołnierze przeszukali dom.

- On tu może nadal być. I uważajcie na jego kompana. On też może tu być. A jeśli natkniecie się na lady Rosamundę, obchodźcie się z nią jak z dzieckiem.

Szybko się przekonali, że dom jest pusty, ale jeszcze niedawno ktoś w nim przebywał. Ogień w kominku nadal płonął, a po znalezieniu w gabinecie zapisków Maitlanda Digby nie miał już żadnych wątpliwości, że zbieg tu był.

- To dziwne - zauważył Whorsley, przeglądając notatki Richarda. - To notatki dotyczące dochodzeń, które prowadził. Jakby starał się znaleźć powiązanie między nimi i morderstwem Lucy Rider. - Popatrzył na Digby'ego. - Jak myślisz, czy to możliwe, że on jej nie zabił?

Digby wyrwał mu notatki z ręki i wepchnął do kieszeni.

- To nieistotne - wycedził przez zęby. - Mamy obowiązek dopaść go i doprowadzić do więzienia.

- Ale jeśli jest niewinny, czy nie powinniśmy pokazać tego...

- Nie! Po co robić zamieszanie? Przecież sąd uznał go za winnego. To koniec całej sprawy, przynajmniej w oczach prawa. Naprawdę chcesz, żeby znowu wrócił na swoje stanowisko? Uwierz mi, wyrzadzamy Służbom Specjalnym przysługę, robiąc to, co robimy.

- No więc co teraz zamierzasz?

Digby podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Równie dobrze mogli się znajdować na opuszczonej wyspie. Nie mogą ścigać Maitlanda po wzgórzach w takiej mgle.

Z wściekłości poczuł ucisk w gardle. Dlaczego pojechał za tym Harperem, zamiast udać się prosto tutaj? Nie mógł znieść myśli, że Maitland jeszcze raz okazał się lepszy. Ale nie będzie się mógł szybko poruszać, mając ze sobą lady Rosamundę.

On, Digby, znajdzie go i sprowadzi skutego do więzienia. A potem dostanie odznaczenie od premiera. Szef personelu. Podobało mu się to.

- Poczekamy, aż mgła się podniesie, a potem udamy się w dalszy pościg - zawyrokował.

Więcej nie padło ani jedno słowo na temat znalezionych notatek. Digby uważał, że nie wniosą nic ważnego do sprawy Maitlanda, ale na wszelki wypadek, kiedy nikt go nie widział, wrzucił je do ognia.

Poruszali się powoli, ale nie dlatego, że Richard nie mógł dotrzymać im kroku. Żółwie tempo zawdzięczali mgłę, a także - niech będzie błogosławiona - Rosamundzie. Kiedy Richard myślał, że już dłużej nie utrzyma się w siodle, żądała przystanku, twierdząc, że musi rozprostować nogi. Robiła to dla niego, żeby mógł odetchnąć. Chciał jej w jakiś sposób dać znać, że jest jej wdzięczny, ale kiedy tylko stawiała stopę na ziemi, okrażali ją słudzy księcia. Brat bardzo pilnował, żeby Maitland i Rosamunda nie mogli wymienić ze sobą nawet jednego słowa.

Tak jak przypuszczał, rzeczywistość złapała ich w swoje szpony. Nie zamierzał walczyć z rzeczywistością, wiedząc, że to bez sensu. Pragnął tylko oszczędzić bólu tej kobiecie.

Przy okazji przystanków zbierał skrawki różnych informacji. Dowiedział się, że Hugh dobił z księciem jakiegoś targu, korzystnego targu, ale wszystko okaże się, gdy dotrą na miejsce. Digby i Whorsley z Wydziału C depczą im po piętach. Hugh twierdził, że muszą się spieszyć.

Harper był bardziej rozmowny. Powiedział, że wpadł na Digby'ego i Whorsleya, którzy zatrzymali się w pobliskiej tawernie, wysłał więc Rosamundę z powrotem do Dunsmoor, żeby ostrzegła Richarda. Potem starał się wywieść ich w pole i wtedy natknął się na lorda Caspara i Hugh.

- Nie wiedziałem, że to oni - stwierdził. - Myślałem, że wszyscy są przeciwko mnie. Żołnierze za mną, żołnierze przede mną. Potem usłyszałem głos pana Templara, wołającego do mnie z mgły, i wiedziałem już, że jestem wśród przyjaciół.

- A potem co się stało?

Harper uśmiechnął się.

- Potem pokazałem im skrót do domu, podczas gdy Digby i jego kompania pojechali okrężną drogą.

- Ale skąd lord Caspar i Hugh wiedzieli o istnieniu Dunsmoor?

Harper wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Będziesz musiał zapytać o to pana Templara.

Tego jednak Richard nie mógł uczynić, ponieważ Hugh trzymał tylną straż, wystawioną na wypadek najazdu nieprzyjaciół. Także na przedzie jechała taka straż. Maitland miał wrażenie, że nie jest w Anglii, tylko w Hiszpanii, gdzie współdziałał z partyzantami na tyłach Francuzów.

Powiódł wzrokiem w stronę lorda Caspara, nie kryjąc uznania. Brat Rosamundy wiedział, co robi. Richard rozumiał nawet wrogość młodego arystokraty - w końcu porwał mu siostrę. Nie mógł tylko znieść jego pozy. Niektórzy ludzie naprawdę myślą, że urodzili się, by rządzić, a Jego Lordowska Mość każdym gestem dawał odczuć, że uważa, iż jest właśnie kimś takim.

Wlekli się godzina za godziną, co jakiś czas mijając pasterza albo farmera pilnującego trzody. Po jakimś czasie Richard zorientował się, że zmierzają na północny wschód. Spodziewał się, że pojedą na południe, w stronę Londynu, ale oni pozostawiali za sobą wsie i osady i wdzierali się w coraz bardziej opustoszałe okolice.

Im wyżej się wspinali, tym mgła wyżej się unosiła, ale mrok zaczynał przepędzać dzień, więc i tak widoczność wcale się nie poprawiała. Nagle za smugą dymu ukazała się surowa forteca z obronnymi wieżami.

Spodziewano się ich tutaj. Gdy podjechali do bram, stróże zjawili się biegiem, by otworzyć żelazne podwoje. Maitland zauważył, że są ubrani w te same niebieskie liberie co eskortujący go mężczyźni.

Zamek Devere przywodził na myśl średniowiecze.

Pragnął tylko jednego, położyć się spać. Zamiast tego usłyszał wykład od Hugh, który ostrzegał go, że od tej chwili ma reagować wyłącznie na nazwisko Harris, Richard Harris, i że został podniesiony do rangi jednego z ratowników lady Rosamundy.

Potem zjawił się lekarz z dłońmi jak kleszcze, a na koniec lokaj, który kazał mu wejść do wanny z gorącą wodą. Potem Richard już zasnął.



Spał niespokojnie. Śniła mu się szachownica, a na niej pionki w niebieskich i złotych liberiach, żadne jego krwi. Wiedział, że gdyby udało mu się pochwycić ich królową, wtedy miałby też króla, a jego koszmar wreszcie by się skończył. Ale królowa była sprytna, ulotna. Gdy już myślał, że jama, zmieniała nagle kształt i przybierała postać pionka.

Obudził go szcęk zasuw w drzwiach i natychmiast pochwycił pistolet leżący przy łóżku.

To był tylko lokaj; przyniósł jego odświeżone i porządnie złożone ubranie i teraz stał, gapiąc się w wycelowaną w niego broń.

Richard wetknął pistolet pod poduszkę i bez słowa wyjaśnienia wstał.

- Gdzie są wszyscy? - zapytał.

Lokaj zamrugnął, jednak odpowiedział tak, jakby nic dziwnego się nie wydarzyło.

- Miałem panu powiedzieć, panie Harris, gdyby pan nie spał, że jest pan proszony do żółtego salonu.

Richard zaczął się ubierać.

- A co z księciem? Czy też tam jest?

- Nie. Księżę pozostał w Twickenham.

To była pierwsza dobra wiadomość, jaką usłyszał.

Dziesięć minut później, wzmocniony kieliszkiem doskonałej madery, uprzejmie podanej mu przez rozpromienionego lokaja, Richard został odprowadzony na dół przez następnego rozpromienionego lokaja. Każdy służący, który go mijał, obdarzał go podobnym radosnym uśmiechem. To nie byli ci sami ludzie, którzy eskortowali go z Duns Moor. Kiedy zapytał lokaja, gdzie są tamci, odparł, że śpią po wspaniałej uczcie, którą wyprawił dla nich lord Caspar.

Idąc korytarzem, mijali wypchane konie, na grzbietach których siedzieli rycerze w pióropuszech. Wielkiego kamiennego kominka strzegła skóra lwa, z głową i łapami o ostrych pazurach. Ściany dekorowały gobeliny przedstawiające historyczne bitwy. Srebro, kryształy, rzeźbione meble - wiele o sobie mówiły, a Richard zrozumiał, że wszedł w świat dumnej i uprzywilejowanej dynastii.

Tak jakby trzeba mu było o tym przypominać.

Żółty salon znajdował się na końcu długiego zimnego korytarza.

Kiedy obwieszczono jego przyjście, Richard wyprostował ramiona i wszedł do środka.

## *Rozdział 15*

Ponieważ reszta panów była już po posiłku, lord Caspar kazał służącemu przynieść specjalnie dla Richarda dzbanek kawy i talerz kanapek, która to uprzejmość była przez niego bardzo mile widziana, gdyż już od wielu godzin nie miał nic w ustach. W przytulnym gabinecie siedzieli tylko we czwórkę: lord Caspar, Hugh, Harper i Richard. W czasie kiedy jadł, przyjaciele wytłumaczyli mu, jak to się stało, że się tu znaleźli.

Otóż lord Caspar nie zasypiał gruszek w popiele i pojawił się u drzwi Hugh niecałe dwadzieścia cztery godziny po tym, jak Richard uciekł z Newgate. Richard dowiedział się także, że powinien być wdzięczny Abbie, która przekonała męża, aby powiedział lordowi Casparowi o istnieniu Dunsmoor.

- Wiesz, jaka ona jest - stwierdził Hugh. - Chociaż wiedziała, że lady Rosamundzie nic przy tobie nie grozi, nie potrafiła spokojnie myśleć o katuszach, jakie przeżywa jej rodzina. Więc dobiłem targu z lordem Casparem. Gdybyś w ciągu doby nie wypuścił lady Rosamundy, miałem mu pomóc cię wysledzić. Szczerze mówiąc, byłem pewien, że puścisz dziewczynę przy pierwszej nadarzającej się okazji i że to będzie koniec całej historii, ale kiedy się okazało, że nie uczyniłeś tak, jak oczekiwałem, pomyślałem, że stało się coś złego. Tak więc, zarówno ze względu na lady Rosamundę, jak i z troski o ciebie, postanowiłem dołączyć do poszukiwań. Harper wyjaśnił nam już, dlaczego nie puściliście wolno lady Rosamundy, ale biorąc pod uwagę okoliczności, lepiej było dla ciebie, byś znalazł się pod ochroną księcia, niż radził sobie sam.

- Przypuszczam, że to oczywiste - rzucił oschle lord Caspar. Trzymał w ręku kieliszek porto. Nalał tego trunku Richardowi i uzupełnił kieliszki pozostałych mężczyzn. - Maitland, oprócz uniewinnienia, co leży poza możliwościami mojego

ojca, może pan wybrać, co pan chce.

- Czy to dotyczy także Harpera? - zapytał Richard.

Ten był zadowolony z obrotu sytuacji i było to po nim widać.

- Nie musisz się o mnie martwić, pułkowniku. Zostanę bohaterem. Świat usłyszy, że przekabaciłeś mnie na swoją stronę, przekonując, że masz do wykonania jakąś ważną misję, i dlatego właśnie pomogłem ci uciec z Newgate. Ale kiedy okazało się, że nie zamierzasz wypuścić lady Rosamundy, ogarnęły mnie wątpliwości, wykorzystałem więc twoją nieuwagę i uciekłem do pana Templara z prośbą o pomoc.

W tym momencie opowieść przejął Hugh.

- A ja powiem, że natychmiast udałem się do lorda Caspara i tak oto znaleźliśmy się tutaj.

- A władzom - ciągnął Caspar, zwracając się do Richarda - powie się, że uciekłeś pan bez śladu, rozwiąłeś się we mgle.

Richard kończył kanapkę, popijając ją sporym łykiem porto. W tej chwili nie tylko słuchał relacji z przebiegu wydarzeń, ale także przyglądał się rozmówcom, wsłuchiwał w ton ich głosu, widział to, co nie było powiedziane. Jedno wydawało się całkowicie jasne: Hugh i Harper, których osądowi wierzył, żywili pełne zaufanie do lorda Caspara. To nieco rozwiąło jego obawy, że brat Rosamundy może odstąpić od umowy, którą zawarł z Hugh. Byłoby to z jego strony bardzo nierozsądne posunięcie, ale przecież lord Caspar nie wie jeszcze, jak niebezpiecznie jest narazić się Hugh Templarowi, byłemu najlepszemu szpiegowi Służb Specjalnych Jego Królewskiej Mości.

Richard popatrzył na Templara, który przesłał mu bezsłowną wiadomość. Spojrzenie przyjaciela mówiło, że lord Caspar nie jest głupi.

- Musisz mi wyjaśnić, Hugh - odezwał się nagle Richard - jak mnie znalazłeś. Kto ci powiedział o Dunsmoor?

- Och... - Hugh uśmiechnął się smutno. - Podśluchiwałem twoją rozmowę z prawnikiem, więc wiedziałem o domu na wzgórzach Berkshire. Wraz z lordem Casparem odnaleźliśmy pana Harleya, a ten uprzejmie opowiedział nam o Dunsmoor. Uznaliśmy, że tam się właśnie udałeś. Po prostu prześledziłem trasę, którą podążałeś, i Dunsmoor samo nasunęło się na myśl. Newgate, Chelsea, Lavenham, żeby się ze mną zobaczyć, a potem Berkshire.

- Gdybym wiedział, nie... - zaczął Richard. Zastanowił się przez chwilę nad tym, co chciał powiedzieć, westchnął, a potem z wyrzutem dokończył: - Nie mogę uwierzyć, że podsłuchiwałeś moją prywatną rozmowę z adwokatem. Czy nie ma już dla ciebie żadnych świętości?

Hugh roześmiał się.

- Świętości nie są dla takich wyg jak my, Richardzie, a już z pewnością nie zalicza się do nich podsłuchiwanie. Poza tym powinieneś być mi wdzięczny. Gdybyśmy się nie pojawili na czas, Digby by cię aresztował, a coś mi mówi, że ponowna ucieczka z Newgate mogłaby się okazać niemożliwa. - Hugh obserwował twarz przyjaciela i dostrzegł zachodzącą na niej zmianę. Pokręcił głową. - Nie, to nie my doprowadziliśmy do ciebie Digby'ego. To raczej myśmy szli za nim. Był pierwszy, a nam udało się go doścignąć tylko dlatego, że postanowił przeczekać mgłę w tawernie.

- Musiał pan zostawić po sobie jakiś ślad, za którym poszedł Digby - wtrącił się lord Caspar.

- Albo Digby wiedział o Dunsmoor - zasugerował Hugh.

Richard nie sądził, żeby zostawił za sobą jakikolwiek ślad, ale z drugiej strony był w czasie podróży bardzo osłabiony. Możliwe, że zapomniał w którymś momencie o ostrożności. Draga ewentualność, ta że Digby wiedział o Dunsmoor, bardziej by go zaniepokoiła.

Spojrzał na lorda Caspara i stwierdził, że ten mu się przygląda szacującym, trochę zaciekawionym spojrzeniem. Zaraz jednak odwrócił wzrok.

- A więc - zaczął Richard - dokąd się stąd udamy?

Lord Caspar uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Do Twickenham - poinformował. - Mój ojciec, chyba pan to rozumie, bardzo pragnie pana poznać.

- Będziemy tam występować w roli lokajów księcia - dodał Harper, wyraźnie zadowolony z tej perspektywy. - I nic się nie martw, pułkowniku. Nikt cię nie rozpozna, ponieważ tam nikt nie przygląda się służbie.

- W jakiej roli tam będziemy? - wycodził przez zęby Richard.

- To tylko na krótko - zapewnił dyplomatycznie Hugh. - Odetchniesz, Richardzie, staniesz na nogi, a potem postanowisz, dokąd chcesz się udać i co dalej

zamierzasz robić.

Richard przez chwilę przyglądał się przyjacielowi, po czym odwrócił wzrok. Nie chodziło mu o to, że musi udawać lokaja, ale o to, że będzie na każde wezwanie księcia, co wyraźnie przypadło do gustu lordowi Casparowi.

Gdy do Richarda dotarło, że zachowuje się jak nadąsany uczeń, omal się nie roześmiał. Musiał przyznać, że gdyby byli w odwrotnej sytuacji i gdyby to lord Caspar porwał Rosamundę, Jego Lordowska Mość zapewne już dawno nie dawałby znaku życia.

Cóż, może księżę naprawi błąd syna.

Jednak następna uwaga lorda raczej rozwiała podejrzenia Richarda.

- Oczywiście, może pan liczyć na wsparcie mojego ojca. Devere zawsze dotrzymują raz danego słowa i ojciec nie wycofa się z umowy, którą zawarł z panem Templarem. Jeśli zechce pan opuścić Anglię, pomożemy panu wyjechać. Jeśli postanowi pan zmienić tożsamość, aby rozpocząć gdzieś nowe życie, w tym także panu pomożemy. Ale o tym zadecydujemy dopiero wtedy, gdy spotka się pan z moim ojcem.

Rozmowa trwała dalej, ale Richard nie przysłuchiwał się jej już tak uważnie. Pograżył się w rozmyślaniach. Pomysł, że ukryje się w Twickenham do chwili, aż wróci do pełnego zdrowia, uznał za bardzo trafiony. Im dłużej się nad nim zastanawiał, tym bardziej mu się on podobał. Nikomu nie wpadnie do głowy, żeby szukać go w Twickenham, a on przynajmniej przez jakiś czas nie będzie musiał mieć się na baczności. Poza tym, jak stwierdził Hugh, jego pobyt u księcia nie będzie trwał długo. Tydzień powinien wystarczyć. Potem zrobi to, co planował: znajdzie człowieka, który go do tego wszystkiego doprowadził.

Pozostawał jeden mały problem. Rosamunda.

Podczas gdy reszta panów prowadziła ożywioną konwersację, on zaczął dumać o dziewczynie. Musi z nią porozmawiać i przekonać, że to, co wydarzyło się w szafasie, było bez znaczenia. Obydwoje znajdowali się pod wpływem silnych emocji i strach zbliżył ich do siebie. On pocieszał ją, ona jego. To wszystko.

Przynajmniej do tego chciał ją przekonać. Prawda zaś była taka, że nie mieli przed sobą przyszłości. Przyszłość Rosamundy to zamek Devere i jej brat, lord Caspar. Maitland nigdy nie zdoła dopasować się do jej świata, tak jak ona nie dopasuje się do niego.

Służby Specjalne - to jest jego życie, i choć teraz było dla niego stracone, pragnął je odzyskać. A jeśli nawet nie wróci do dawnej pracy, poświęci się czemuś podobnemu. To prawda, że w Dunsmoor ma spory kawałek ziemi i mógłby tam wygodnie żyć, ale nie był to jednak luksus, do jakiego przywykła Rosamunda.

Choć ona wcale nie dbała o luksus i marzyła o własnym życiu.

„Gdybym tak była zwyczajną dziewczyną...”

Te słowa bardzo go zabolowały, bo czuł się bezradny. Pragnął ją uwolnić, ale nie wiedział, jak tego dokonać. Mógł się z nią ożenić, co nie wchodziło w grę. Nie tylko jej bogactwo oddzielało ich od siebie. Devere to potężna rodzina, posiadająca rozliczne koneksje. Gdyby chcieli, mogliby dosłownie go zgnieść. Nawet w tej chwili jego los znajdował się w ich rękach. Poza tym znał Rosamundę dopiero tydzień i wcale nie ufał tym ciepłym uczuciom, które w nim rozbudziła.

Najchętniej poprosiłby księcia na bok i porozmawiał z nim jak mężczyzna z mężczyzną. Powiedziała mu, że nie zna do końca córki. I na dowód prawdziwości tych słów opisała jej dzielne zachowanie podczas tych kilku dni, gdy była jego więźniem.

Zakaszła, dusząc śmiech, na wspomnienie chwili w powozie, gdy wystrzelił jej pistolet i o mało nie pozbawiła Harpera męskości. Albo wtedy, gdy nasłała na niego potężnie zbudowanego buntownika, chcąc zapewnić sobie spokojną ucieczkę. Albo gdy mu tłumaczyła, co powinien być zrobić po ucieczce z Newgate, i jak zaatakowała go przed domkiem w Chelsea, przez co wylądował w krzakach jeżyn.

Rosamundo, pomyślał. Kochana Rosamundo. Gdybyś tak...

Do rzeczywistości przywołał go głos lorda Caspara.

- Czy powiedziałem coś, co pana rozbawiło, Maitland?

Richard przestał się uśmiechać.

- To porto - odrzekł poważnie. - Zaszumiało mi w głowie. - Wstał, pożegnał się i ruszył do wyjścia.

Lord Caspar wyszedł za nim i zamknął drzwi. Nie marnował czasu na uprzejmości.

- Ile chcesz? - zapytał. - Ile chcesz za to, żebyś nie ożenił się z moją siostrą?

Richard poczuł się tak, jakby przyłożono mu w twarz żelaznym drągiem.

Gdy już zdołał rozewrzeć szczęki, odrzekł:

- Chyba myli mnie pan z kimś innym.

Lord Caspar zrobił krok w jego kierunku i popatrzył na niego przez zmrużone powieki.

- Porzućmy te gry, Maitland. Ile?

Richard odetchnął głęboko, żeby się uspokoić.

- Gdyby znał mnie pan lepiej, wiedziałby pan, że taka taktyka na mnie nie działa - ostrzegł. - Jeśli postanowię ożenić się z lady Rosamundą, nie dam się przekupić ani odstraszyć. Wystarczy, że ona powie: nie.

- A jeśli ona tego nie powie?

Postanowił zaoszczędzić lordowi Casparowi cierpienia.

- Między mną a pana siostrą do niczego nie doszło. Kwestia małżeństwa nigdy nie była podnoszona, i nie będzie.

I odszedł.

Ne było jednak ucieczki od Devere. Kiedy wszedł do swojego pokoju, zastał w nim lokaja czekającego na niego z wiadomością od Rosamundy. Powiedział, że panią chce z nim porozmawiać.

I dobrze się składało, bo on także miał kilka przemyśleń do przekazania panią.

- Gdzie ona jest?

Jej pokoje znajdowały się na końcu korytarza. Pchnął drzwi do małego saloniku i stanął jak wryty.

- Richardzie. - Rosamundą z westchnieniem wymówiła jego imię.

- Rosamundo?

Prawie nie poznał kobiety, która się do niego zbliżała, tak inaczej wyglądała po zmianie męskich ubrań na kobiece.

Różowawa suknia opływała jej kształty, ujawniając więcej, niż chciał zobaczyć. Dziewczyna umyła włosy, które teraz okalały głowę niczym puszysty welon. Ani śladu po zadziornym chłopaku, który mu się przeciwstawiał na każdym kroku. Stała przed nim syrena, potrafiąca łamać męskie serca.

Chwyliła go za rękę i uśmiechnęła się promiennie.

- Czy Caspar był bardzo nieprzyjemny? - zapytała.

Wzmianka o bracie wyrwała go z odrętwienia jak wylany na głowę kubek zimnej wody. Richard odsunął się od Rosamundy.

- Co mu o nas powiedziałaś? - zapytał, starając się zachować spokój, choć zacisnął szczęki i zmarszczył czoło, co nie umknęło jej uwagi.

- Powiedziałam, że się kochamy - zaczęła z wahaniem - i że zamierzamy się pobrać. No, nie patrz tak na mnie. Przecież musiałam mu coś powiedzieć. Kiedy Caspar już się upewnił, że jestem cała i zdrowa, wpadł w paskudny nastrój. Bałam się, że zrobi ci coś złego, więc powiedziałam... - Zamilkła, widząc, że odwraca się do niej plecami i odchodzi w stronę kominka.

Oparł rękę na gzymsie i dopiero wtedy na nią spojrzął.

- Małżeństwo nie jest mi pisane - oświadczył. - Ani z tobą, ani z żadną inną kobietą. Co do miłości, to może i zachowałem się jak bawidamek, ale sądziłem, iż to moje ostatnie minuty. Mimo to nie pamiętam, żebym się oświadczył, a przecież bym pamiętał.

- Nic nie rozumiem - wpadła mu w słowo. - Widzisz...

Uniósł dłoń, przerywając jej, a dalej mówił już bardziej gorączkowo:

- Posłuchaj mnie, Rosamundo. To, co się między nami wydarzyło, było jak najbardziej naturalne. Znaleźliśmy się w krytycznej sytuacji. Przez ten krótki czas, który ze sobą spędziliśmy, przeżyliśmy wiele emocji, musieliśmy na sobie polegać. To wszystko. Teraz sytuacja się zmieniła. Za tydzień nie będziesz pamiętała mojego imienia. Wrócisz do swojego dawnego życia, a ja także mam wiele do zrobienia. Proponuję, żebyśmy rozstali się w przyjaźni.

Na początku to przemówienie zdumiało ją, ale gdy skończył, jej serce



szarpała udranka i wściekłość. Richard mylnie zrozumiał całą sytuację. Małżeństwo z nim nawet nie przyszło jej na myśl. Najbardziej jednak zabolęło ją to, że potraktował ją jak zadurzonego podlotka. Ból oblewał ją falami, aż zdała sobie sprawę, że nie cierpiałaby tak bardzo, gdyby go nie kochała.

Zresztą ból to zbyt słabe określenie na to, co czuła. Była załamana. Wszystko, co powiedział jej w szafasie, było kłamstwem. Zachowywał się tak, ponieważ sądził, że to ostatnie chwile jego życia.

Nie będzie płakała. Nie pokaże po sobie, jak bardzo ją zranił. Dumnie uniosła głowę.

- Małżeństwo! Z tobą! - Roześmiała się. - Nawet przez moment o tym nie myślałam. A teraz ty mnie posłuchaj, Richardzie Maitlandzie. Kiedy wyszłam z chaty, Caspar pragnął tylko jednego: dać ci porządną nauczkę. Chciał cię zabić, ale ze względu na umowę zawartą przez ojca z panem Templarem uznał, że poprzestanie na tym, iż sprawi ci porządne lanie, i nie ustępował pomimo sprzeciwów pana Templara i Harpera. Postanowiłam więc wziąć sprawę w swoje ręce. Wiedziałam, w jakim jesteś stanie i że nie mógłbyś się bronić, więc powiedziałam bratu, że cię kocham i że zamierzamy się pobrać. Zagroziłam mu, że jeśli cię dotknie, nigdy więcej się do niego nie odezwę. Dzięki temu właśnie ominęły cię cięgi. - Uśmiechnęła się na siłę. - Biedny Richard. Nie sądziłam, że zwiedzie cię ten podstęp.

Widząc, że Maitland spogląda na nią z niedowierzaniem, cicho się roześmiała i podeszła do niego.

- Nie chcę kończyć naszej znajomości kłótnią - rzekła z wesołością, która wiele ją kosztowała. - Wręcz przeciwnie, na zawsze zapamiętam ciebie i przygodę, którą z tobą przeżyłam, i będę opowiadała o niej moim dzieciom. - Wyciągnęła rękę. - To jest nasze pożegnanie, Richardzie. W Twickenham nie będziemy mieli okazji się widywać.

Niedbała odpowiedź, a także chyba wzmianka o dzieciach, wyprowadziła go z równowagi. O czyich dzieciach ona mówi? Chyba nie księcia Michaela. Uważa go przecież nie tylko za dandysa, lecz także libertyna. Czy w kolejce czeka jeszcze jakiś inny konkurent? Najbardziej jednak ubodło go, że jego osoba zostanie zredukowana do anegdoty, którą będzie opowiadała dzieciom. Diabła tam, jeśli myśli, że tak się stanie!

Spojrzał na wyciągniętą dłoń Rosamundy.

- Dlaczego tak oficjalnie? - zapytał. - Czy po tym, co razem przeszliśmy, nie

zasługuję na pożegnalny pocałunek?

Z niezrozumiałym nawet dla niego samego pragnieniem, by wyrzucić na niej wrażenie, z którego nie będzie mogła się wyśmiewać, przyciągnął Rosamundę do siebie i pocałował.

Przez chwilę stała sztywna jak marmurowa statuetka, tak przynajmniej wyglądało to na zewnątrz. W środku jej ciało trawił ogień. Pocałunek nie przypominał słodkich pieszczot z chaty. Kryła się za nim desperacja, namiętność i coś jeszcze, coś przemożnie prymitywnego.

Wspięła się na palce i zarzuciła ramiona na szyję Richarda. W odpowiedzi zacisnął dłonie w włosach dziewczyny i odciągnął jej głowę tak, by móc dosięgnąć szyi i piersi. Zapach gardenii owiał go jak miękka grzeszna mgiełka. Nie myślał, nie pozwalał sobie myśleć, bo wtedy ta chwila musiałaby się zakończyć, a on niczego nie pragnął tak bardzo, jak dotykać Rosamundy i czuć jej smak.

To nie jej zmysłowość ani nawet własna namiętność tak go zaszokowała. Namiętność nie była mu obca, zaskoczyła go natomiast potrzeba, o której istnieniu nie miał pojęcia i której nie potrafił nazwać, działająca na niego jak narkotyk.

Rosamunda przyłgnęła do niego i poczuł dokładnie zarys jej piersi. Jej dłonie były wszędzie -przecheszywały jego włosy, gładziły kark, zsuwały się po ramionach.

Czy to ona drży, czy on? To nie ma znaczenia. Całował jej włosy, oczy, usta. Mamrotał przy tym, sam nie wiedząc co. Potem wessał się w jej usta, zagłuszając ciche jęki dziewczyny.

Była taka miękka, taka otwarta, taka cała dla niego. Zsunął dłonie na jej pośladki, przycisnął jej łono do siebie.

To mu nie wystarczało, zupełnie nie wystarczało. Chciał, by była naga, pod nim, a on w niej. Pragnął, by owinęła wokół niego długie, kształtne nogi i by razem pograżyli się w namiętności.

Powinna go powstrzymać. On powinien powstrzymać ją. Dlaczego więc nie mogli tego uczynić?

Ta scena nie powinna się zdarzyć. Rosamunda go sprowokowała, a on, jak prawdziwy samiec, odpowiedział na zew. To się musi skończyć. To musi...

Zbierając resztki przytomności, odsunął się od Rosamundy. Wyciągnęła rękę, ale się cofnął. Jej oczy nadal jeszcze były pociemniałe z pożądania, usta

rozchylały się w oczekiwaniu.

- Richardzie, co się stało?

Nie chciał jej zranić. Boże, nie chciał sprawiać jej bólu, ale nie miał wyboru. Jeśli między nimi rodzi się jakieś uczucie, muszą to przerwać. W tej chwili. I skończyłoby się to, gdyby nie stracił głowy. Zdziwiła go moc, jaką ta kobieta nad nim posiada. Cóż takiego w niej jest, co odróżnia ją od innych? Nigdy jeszcze dla żadnej nie stracił głowy.

Gdy tylko jego oddech nieco się wyrównał, podrapał się po brodzie, udając obojętność.

- Co się stało? - powtórzył pytanie. - Ano to, że nasz pożegnalny pocałunek wymknął nam się spod kontroli. To się czasami zdarza między kobietą i mężczyzną. Powinienem był to przewidzieć. - Starał się, by w jego głosie brzmiało zarówno rozbawienie, jak i prośba o wybaczenie. - Nie zrozum tego niewłaściwie. To nic nie oznacza.

Chciał, żeby w odpowiedzi dała mu w twarz, rzuciła się na niego z pięściami, splunęła - na to przecież zasługiwał. Ale nic takiego nie uczyniła, tylko po chwili lodowatej ciszy uniosła dumnie głowę i powiedziała cicho:

- Życzę ci szczęścia, Richardzie. Mam nadzieję, że twoje kłopoty wkrótce się skończą. - I wyszła drzwiami prowadzącymi do garderoby.

Czuł się jak świnia.

W korytarzu natknął się na Hugh Templara. Ten spojrzał na przyjaciela, zobaczył jego kwaśną minę i roześmiał się.

- Wielkie nieba, Richardzie, co ta amazonka ci powiedziała?

- To, co mi się należało - odparł. - I nie nazywaj jej amazonką.

Hugh ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Więc coś takiego zrobiłeś, że zasłużyłeś na jej niezadowolenie?

- A jak myślisz? - sarknął Richard. - Zachowałem się tak jak tylko ja potrafię: czarująco.

- A ona w zamian potraktowała cię swoim ostrym języczkiem?

- Nie, wręcz przeciwnie.

Hugh wydawał się zmieszany. Ruszyli korytarzem i zatrzymali się dopiero przy drzwiach pokoju Richarda. Wtedy Hugh położył dłoń na ramieniu przyjaciela i powiedział:

- W moim pokoju czeka na nas Harper z butelką twojego ulubionego koniaku i whisky dla mnie. Mamy co świętować. Wygląda na to, że wszystko pomyślnie się ułożyło - rzekł, a po chwili dodał ostrożnie: - Słyszałem, że księżę Michael nadal jest głównym kandydatem do ręki lady Rosamundy. Cóż, to nawet rozsądne, prawda? Pochodzi z odpowiedniej rodziny i klasy społecznej. Mają ze sobą wiele wspólnego i...

Richard zatrzymał się.

- Skończ z tym wykładem, Hugh - burknął. - Znam tę dziewczynę dopiero od tygodnia. Zaufaj mi. Niepotrzebnie się martwisz. Między nami nic się nie dzieje.

Hugh spuścił z tonu.

- Oczywiście - zgodził się.

- Jednak - kontynuował Richard, gdy znowu ruszyli - mylisz się w kwestii księcia Michaela. Ona za niego nie wyjdzie. Uważa go za tępaka.

- Tak ci powiedziała?

- Po prostu on się jej nie podoba - odparł Richard, unikając bezpośredniej odpowiedzi.

Hugh wyglądał na wielce rozbawionego.

- To bez znaczenia w jej sytuacji. Wyjdzie za męża za tego, kogo jej wskażą, dla tytułu i pozycji. Ich świat rządzi się innymi zasadami niż nasz, zwykłych śmiertelników.

Richard znowu się zatrzymał i spojrzał na przyjaciela.

- Mam nadzieję, Hugh, że się mylisz - rzucił spokojnie. - Nie czułbym się dobrze, gdybym wiedział, że rodzina Rosamundy sprawiła jej ból. Musiałbym wtedy wtrącić się i jakoś temu zaradzić.

Po tych słowach ruszył ponownie przed siebie, zostawiając w tyle zdumionego przyjaciela.

## Rozdział 16

Karawana powozów - było ich trzy - dotarła do Twickenham późnym wieczorem następnego dnia po dość męczącej podróży. Ale to była najmniejsza z udręk Richarda. Spodziewał się, że będzie musiał włożyć liberię, lecz nie wiedział, że także upudrowaną perukę.

- Nawet po śmierci nikt nie zobaczy mnie w takim przebraniu - oświadczył Harperowi, który zjawił się z rana, żeby pomóc szefowi przebrać się do podróży. Tuż przedtem od Richarda wyszedł lekarz.

Jednak narzekania Maitlanda nie padły na żyzną glebę.

- Posłuchaj mnie - rzucił sierżant. - Zaczynam mieć dosyć twojej ponurej miny i gderania. Los sprawił, że miałeś szczęście i zyskałeś przychylność księcia Romseya. Musisz za to podziękować panu Templarowi. Ale ja słyszę wyłącznie narzekania. - Machnął ręką, wskazując na swoją liberię. - To jest tylko przebranie. Potraktuj je jak mundur. Oprócz nas będzie jeszcze szesnastu woźniców i forysiów ubranych tak samo jak my, po to, by nikt nie mógł nas rozpoznać, jeśli zatrzyma nas milicja - tłumaczył z coraz większą złością. - Więc ruszaj tyłek!

A po chwili, ubierając Richarda, ciągnął:

- Pamiętaj, że jesteśmy służącymi, więc nie zwracaj na siebie uwagi, odzywając się bez pytania lub rzucając wzrokiem gromy. Służba nie ma uczuć. Pamiętaj, gdzie jest twoje miejsce.

- Tak jest, sir - odparł potulnie Richard.

Zajęli miejsce w ostatnim powozie wraz z wszystkimi bagażami i pomimo jaskrawych strojów mieli śmiertelnie poważne zadanie: musieli uważać na przydrożnych rabusiów. Zdaniem Richarda, które dla świętego spokoju przemilczał, mniej by ryzykowali, gdyby podróżowali nie z taką pompą i rozmachem. Jednak im byli bliżej celu, tym bardziej do niego docierało, dlaczego lord Caspar wybrał taki właśnie styl podróżowania. Napotykanii po drodze mundurowi rozpoznawali liberię księcia i jego herb, widniejący na każdym

zdobionym złotymi wyłogami powozie, i pozwalali im przejeżdżać bez kontroli. Przeważnie tylko salutowali, a niektórzy nawet wiwatowali.

Kiedy wjechali na długi, wijący się podjazd, Harper przekazał Richardowi ostatnie instrukcje.

- Pamiętaj, że nazywasz się Patrick Doyle. To ze względu na twój akcent.

- Doyle to irlandzkie nazwisko, a ja jestem Szkotem.

- To to samo.

- Poza tym wcale nie mówię z akcentem - oświadczył bardzo poważnie Richard.

Harper westchnął przeciągle.

- Czy ty mnie słuchasz? - Kiedy szef skinął głową, mówił dalej: - Mamy pomóc wnosić bagaże do domu. Jeśli ktoś się do ciebie przyczepi, nie odzywaj się. Ja będę mówił za ciebie.

- Kto miałby się do mnie przyczepić?

- Lokaj, służący. Pokojówka. Skąd mogę wiedzieć? Ale bądź pełen szacunku. Pamiętaj, tu jest podobnie jak w wojsku, jesteśmy szeregowcami, na dole drabiny, chyba że ktoś powie, że jest inaczej. No i nie nadymaj się tak. Sam najlepiej wiesz, co to znaczy dyscyplina. Jesteś pułkownikiem. W tym domu lokaj to dowodzący oficer. Lepiej nawet, żebyś uważał, że każda napotkana osoba jest twoim przełożonym.

- Chcesz powiedzieć, że mam odbierać rozkazy od każdego?

- Tak, dokładnie tak. I lepiej zmień wyraz twarzy, bo i tak nikogo tu nie przestraszysz.

Gdy powozy zatrzymały się, z domu wybiegli służący, by pomóc przy wypakowywaniu.

Harper wepchnął w rękę szefa małą paczkę.

- Jest pusta - powiedział. - Żebyś się nie przeciążył.

Richard skrzywił usta w kwaśnym uśmiechu.

- To pomysł Rosamundy? - Podejrzewał, że także jej zawdzięcza to, że jechał w środku powozu, zamiast sterczeć na koźle.

- Nie, pana Templara - odwarknął Harper. - I trzymaj się z daleka od lady Rosamundy, bo inaczej obydwaj wylądujemy w Tamizie z kamieniami u szyi.

- Nawet kot może spoglądać na królową.

- Nie, jeśli u niej służy. A teraz chodź za mną.

Zdążyli zsiąść, gdy na marmurowych stopniach domu pojawiła się jakaś postać. Richard nie miał wątpliwości, że patrzy na ojca Rosamundy i na stojącego za nim jej młodszego brata. Podobieństwo rodzinne było uderzające.

Nikt się nie poruszył. Przez jedną krótką chwilę wyglądali jak postaci z obrazu, a potem z drugiego powozu wysiadła Rosamunda i wszyscy nagle ożyli. Z lordem Casparem i Hugh Templarem u boku Rosamunda wspięła się po schodach. Richard sam nie wiedział, czego oczekuje, ale chyba czegoś więcej niż tylko zimnego pocałunku, który księżę złożył na policzku córki, zanim objął ją ramieniem i wprowadził do domu.

- To dopiero przywitanie - mruknął pod nosem.

- Tak się zachowują arystokraci - odparł Harper, ale w jego głosie również brzmiało rozczarowanie.

Przed nimi stanął lokaj. On także miał na sobie niebieską liberię ozdobioną złotymi galonami, ale włosy, co Richard zauważył z aprobatą, miał nieupudrowane.

- Chodźcie ze mną - powiedział dokładnie takim tonem, jakim mógłby się do nich zwrócić lord Caspar.

Richard kontrolował minę, czując wbity w siebie wzrok Harpera, który widząc, że szef panuje nad sobą, posłusznie podążył za służącym.

Kazano im czekać w małym przedpokoju, tuż przy głównym wejściu. Pół godziny później ten sam nadęty lokaj, który ich wprowadził, pojawił się, by zaprowadzić ich do biblioteki księcia, znajdującej się po drugiej stronie domu.

- Zostawcie bagaże - nakazał. - Kapelusze włożcie pod lewe ramię.

Gdy dotarli do biblioteki, kazał im czekać przy drzwiach, które zostawił uchylone, dzięki czemu usłyszeli głos Hugh Templara.

- Robinson i Cook z Mount Street - powiedział Hugh.

- Znam ich - odparł książę. - Dobry zespół, zapewniam. Ale wolę Sharpa i Blanda z South Audley. Są bardzo staranni. Jestem pewny, że moja stara Lizzy będzie dobrze chodziła i za sto lat, a dzisiaj ma już trzydzieści.

Harper rozjaśnił się.

- O czym oni rozmawiają? - zapytał Richard.

- O powozach - odparł sierżant. - Mówią o konstruktorach powozów. No, może teraz pan Templar wreszcie mi uwierzy.

Rozmowa w bibliotece urwała się. Po chwili wprowadzono do niej Richarda i Harpera. Przy kominku siedział książę z synami i Hugh Templar. Rosamundy nie było. Richard utkwiał wzrok w ojcu Rosamundy, który baczenie mu się przyglądał.

- Więc - odezwał się miękko książę - to jest człowiek, który porwał moją córkę.

Lord Caspar pokręcił się na krześle, ale nie wstał.

- Wasza Wysokość - odezwał się - proszę pozwolić przedstawić sobie pułkownika Maitlanda, byłego szefa personelu Służb Specjalnych.

- Proszę zbliżyć się do światła - nakazał książę, zwracając <sup>TM</sup> się do Richarda. - Nieczęsto przedstawia mi się skazańca.

- Wasza Wysokość - zaczął Hugh, ale zamilkł, widząc, że książę unosi rękę.

Richard zbliżył się, a za nim Harper. Książę jego także objął wzrokiem.

- A wy kim jesteście?

- Sierżant Harper, Wasza Wysokość - odparł Harper z groźną miną. - Ochraniam pułkownika Maitlanda.

Brwi księcia podskoczyły w górę.

- I, jak widzę, nadal jesteście na służbie - mruknął. Przcisnął dłoń do ust, milcząc przez chwilę, po czym wolno i spokojnie przyjrzał się obu mężczyznom.



W końcu, spoglądając na Harpera, powiedział: - Nie skrzywdzę waszego pułkownika, sierzancie. Dałem słowo. Usiądźcie więc obydwaj.

A gdy usiedli, zapytał:

- Czego pan ode mnie oczekuje, pułkowniku? Proszę się nie krępować. Moja córka wróciła cała i zdrowa, więc jestem w dobrym nastroju.

Richard zdołał już zwalczyć niechęć do korzystania z pomocy Devere'a, toteż bez ogródek przeszedł do rzeczy.

- Potrzebuję jakiejś bezpiecznej kryjówki, gdzie zaczekam, aż sprawy ucichną.

- To było oczywiste od samego początku. Może pan pozostać tutaj, jak długo pan zechce. Co jeszcze mogę dla pana zrobić?

- Po wyjeździe stąd będę potrzebował pieniędzy na przeżycie. Poza tym jest Dunsmoor. Dom nie powinien stać pusty. Kiedy sprawy się rozwiążą, zwrócę każdego pensa, którego mi pan pożyczy.

Księżę skinął głową.

- Rozumiem. Zamierza pan kontynuować swój szczytny cel, to znaczy przywrócić swoje dobre imię?

- Tak.

- To nie jest konieczne. Proszę tę sprawę zostawić w moich rękach, a przyrzekam, że w przeciągu tygodnia będzie pan całkowicie oczyszczony z oskarżenia o zamordowanie panny Rider. Niech pan tylko nie myśli, że robię to dla pana. Jednakże czuję się zobowiązany wobec pana Templara, który pomógł mi pana wyśledzić, dzięki czemu odzyskałem córkę.

- Wasza Wysokość - wtrącił się Hugh, nie pozwalając tym razem, by go uciszono. - Śledziłem pułkownika Maitlanda, ponieważ martwiłem się o niego, a nie o lady Rosamundę. Wiedziałem, że jej nie stanie się żadna krzywda.

Księżę zignorował jego protest.

- No więc jak, Maitland? Jak będzie?

Richard popatrzył na niego przez zwężone powieki. Po chwili potrząsnął głową.

- Pan mówi o przekupieniu świadków, majstrowaniu przy dowodach,

fabrykowaniu nowych.

- A nawet jeśli?

Richard z trudem krył odrazę.

- Bardzo dziękuję, ale nie skorzystam. Wolę własne metody. Poza tym w grę wchodzi nie tylko moja reputacja. Zamordowano Lucy Rider. Zamierzam znaleźć jej zabójcę.

Od tej chwili pytania księcia dotyczyły wyłącznie zbrodni i sposobu, w jaki Richard został w nią wplątany. Richard uważał, że księżę przyjął rolę oskarżyciela, więc jego odpowiedzi stawały się coraz bardziej lakonicznie i nie zawsze uprzejme.

Nagle księżę wstał, co zmusiło do powstania także resztę mężczyzn. Zwrócił się do Richarda:

- Zostanie pan pod opieką mojego syna, lorda Justina. Lord potrzebuje służącego i to na razie powinno mu wystarczyć. Pańskie obowiązki nie będą uciążliwe, a poza tym będzie pan odizolowany od reszty służby. Tak czy inaczej, proszę chodzić w liberii, w której, jak sądzę, nie rozpoznałaby pana własna matka.

Następnie zwrócił się do Harpera.

- Córka powiedziała mi, że w pojedynkę powoził pan moim powozem.

- Tak jest, Wasza Wysokość - odparł z wahaniem Harper.

- Pan Templar twierdzi, że potraficie jak nikt rozebrać powóz na części i na nowo go złożyć.

- Tak jest - potwierdził Harper, potem dopiero przypominając sobie, że należy dodać: - Wasza Wysokość.

- Wspaniale! Tak więc mam dla was wymarzone zajęcie. Brakuje nam pracowników w powozowni, ponieważ... cóż, muszę wyrzucić kilka osób, które bardzo mnie zawiodły. Czy chcielibyście zostać głównym woźnicą, Harper?

- Głównym woźnicą? - wysapał sierżant. Na twarz nagle wypłynął mu uśmiech, który jednak zaraz zbladł. - Ja już mam zajęcie, Wasza Wysokość. Ochroniarz pułkownika Maitlanda. Tam gdzie on, tam i ja.

- Nie bądź głupi, Harper - wtrącił się Richard. - Nie pracujemy już dla rządu. Jesteś teraz wolnym agentem, tak jak ja.

- Skoro jestem wolnym agentem, będę cię chronił do czasu, aż zdecyduję

inaczej.

- Może więc pułkownik Maitland zgodzi się na zmianę zajęcia ze służącego na pomocnika woźnicy?

- Dla mnie to obojętne - zgodził się Richard, sycząc przez zęby. W rzeczywistości uważał, że przerzucanie odchodów to praca bardziej godna mężczyzny niż usługiwanie dandysowi, który sam nie włoży własnego surdutu. Harper bezwiednie uratował Richarda przed piekłem.

- W takim razie ustalone - stwierdził książę. - Przypisuję was obu do powozowni. Justin, dopilnuj tego.

Lord Justin gestem dał znać, żeby Harper i Maitland poszli za nim. Razem z nimi do drzwi podążył też Hugh Templar.

- Chciałbym móc zrobić więcej - powiedział - ale będzie lepiej dla ciebie, jeśli przez jakiś czas będę trzymał się od ciebie z daleka. Życzę ci szczęścia, Richardzie. I tobie też, Harper.

Richard doskonale rozumiał, dlaczego przyjaciel proponuje zerwanie kontaktów. To z obawy, że wrogowie mogliby go śledzić i dotrzeć w ten sposób do Richarda.

W korytarzu Turner, wyniosły lokaj, zawiadujący służbą, czekał na instrukcje od księcia. Był po pięćdziesiątce, miał posiwiałe włosy, sprytny wyraz oczu i spiczasty rzymski nos. Ubrany był nie w liberię, a w elegancki szary surdut, co kazało Richardowi domyślać się, iż Turner stoi wysoko w hierarchii.

- Doyle i Harper, dwóch nowych rekrutów z Devere - oświadczył lord Justin beztrząsco. - Pan Harper ma zostać głównym woźnicą, a pan Doyle... cóż, niech o tym, co z nim zrobić zadecyduje pan Harper. Proszę zapoznać panów z domem i dopilnować, żeby niczego im nie brakowało. Och, i proszę nie zlecać Doyle'owi ciężkich prac. Jeszcze nie może ich wykonywać.

Turner przyjrzał się nowym pracownikom tak samo uważnie, jak niedawno przyglądał im się książę, jednak z wygłoszeniem opinii zaczekał, aż lord Justin zniknie w bibliotece.

- Nic nie mówcie - zaczął. - Jesteście bezrobotnymi weteranami wojennymi, szukającymi łatwego chleba w domu Jego Wysokości, bo słyszeliście, że książę ma miękkie serce. Cóż, pamiętajcie tylko, że odpowiadacie nie przed księciem, lecz przede mną, Alfredem Turnerem, zarządcą lokajów. I jeśli się okaże, że jesteście tacy jak tamta banda, która moczyła mordy w Magpie i Stump, kiedy powinni byli

pilnować lady Rosamundy, wyrzucę was na zbity pysk. Zrozumiano?

- Tak, sir. Dziękujemy, sir - odparł Harper, posyłając szefowi ostrzegawcze spojrzenie.

Ale Richrad był tak szczęśliwy, że ostatecznie nie będzie musiał usługiwać lordowi Justinowi, że nic mu już nie przeszkadzało.

- Dziękuję, panie Turner - powiedział.

Jeden za drugim poszli za lokajem.

Hugh wyjechał prawie natychmiast, Księżę z synami odprowadzili go do powozu, po czym powrócili do biblioteki, aby przedyskutować sytuację.

Księżę był ciekaw, co wydarzyło się między Maitlandem i jego córką. Bardzo się obawiał, że powróci załamana, wystraszona, cień Rosamundy z przeszłości. Ale ona wysiadła z powozu i weszła do domu, jakby wracała z tygodniowych wakacji u ciotki Sophy w Hampshire. Jej pogoda oraz fakt, iż twierdziła, że Maitland cały czas zachowywał się jak dżentelmen, złagodziły wściekłość księcia.

Maitland dżentelmen? Trochę w to wątpił.

- No cóż, ojczu, co o tym myślisz? - zapytał lord Caspar.

- O Maitlandzie? Niezbyt czarujący, ale tym bardziej mi się spodobał.

- Ma nieskazitelne referencje - zauważył lord Justin. - Hugh Templar i Harper, a ich słowo szanuję bardziej niż kogokolwiek innego.

- Zgadzam się - potwierdził księżę. - Fakt, że ma przyjaciół tego kalibru, przemawia za Maitlandem. Harper też mi wygląda na porządnego człowieka, choć, naturalnie, moja opinia może być subiektywna, bo przecież to on odwoził Rosamundę do domu, gdy natknął się na Caspara. Jest coś pociągającego w jego oddaniu Maitlandowi, nieprawdaż? I zna się na powozach. Byłem pod niemałym

wrażeniem.

Po ostatniej uwadze ojca synowie ukradkiem wymienili znaczące spojrzenia.

Książę zakaszłał, dusząc śmiech.

- Radziłbym traktować Maitlanda łagodnie w obecności Harpera.

- I przy Templarze - dodał lord Justin.

- Tak - zgodził się książę. - Jak powiedziałem, Maitland dobrze dobrał sobie przyjaciół.

Zamilkli, ponieważ zjawił się służący z kubłem węgla, by dołożyć go do ognia. Kiedy znowu zostali sami, lord Caspar wznowił rozmowę w miejscu, w którym ją przerwali.

- Czy jesteś, ojcze, zadowolony z faktu, że Maitland okazał się niewinny?

- Och, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Kiedy odrzucił moją ofertę pomocy przy udowadnianiu niewinności, zdał test. Ale powiedzcie mi o Rosamundzie. Co zaszło między nią i Maitlandem? Jak on ją zdobył?

- A zdobył ją? - zapytał ze zdziwieniem lord Caspar.

- Och, mówi tylko o tym, że musimy udowodnić jego niewinność.

Lord Caspar wzruszył ramionami.

- Musiałbyś, ojcze, zapytać o to Rosamundę. Ale pamiętaj, że Harper, odwożąc ją, działał z rozkazu Maitlanda. Może więc po prostu jest mu wdzięczna?

- Hm - mruknął książę.

Lord Justin popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Ojcze, chyba nie myślisz tego, co ja myślę, że myślisz. Przecież poznałeś tego człowieka. Niezbyt czarujący to delikatnie powiedziane. Potrafi wzrokiem zamienić wodę w lód. Poza tym, porównując go z księciem Michael'em... cóż, nawet nie ma co porównywać, a przecież Rosamunda go odrzuciła.

Wzrok księcia przez dłuższą chwilę spoczywał na młodszym z synów.

- Justinie - powiedział w końcu - musisz się jeszcze wiele nauczyć na temat kobiet. Maitland jest inny. Rosamunda nigdy nie spotkała takiego mężczyzny jak on.

- Niepotrzebnie się martwisz - odezwał się lord Caspar. - Wiem skądinąd, że Maitland nie zechce Rosamundy za żadną cenę. A wierzę, że potrafi dochować danego słowa.

Księżę nic na to nie odpowiedział, ale dopiero teraz naprawdę zaczął się martwić.

Prudence Dryden była mniej więcej o rok starsza od Rosamundy. Gdy zaczynała u niej pracę, Rosamunda uważała ją za wprost wymarzoną towarzyszkę i przyzwoitkę. Prudence pochodziła z dobrej rodziny - zarówno ojciec, jak i brat byli wikarymi - i nie przerażała jej wizja obcowania na co dzień z mieszkańcami domu księcia. Rosamunda uważała ją za dobrze urodzoną, towarzyską dziewczynę. Żywiła nadzieję, że się zaprzyjaźnią, ale teraz zaczynała myśleć, że mylnie oceniła charakter panny Dryden. Dziewczyna była albo w złym nastroju, albo też Rosamunda uczyniła coś, czym ją obraziła.

Znajdowały się w małym saloniku, zaraz obok sypialni Rosamundy, a ciemna główka panny Dryden pochylała się nad tamborkiem z haftem. Prudence miała na sobie suknię Rosamundy, zieloną, której ta nigdy nie nosiła, ponieważ wyglądała w niej za blado. Z jakiegoś powodu, mimo że panna Dryden miała karnację podobną do Rosamundy, suknia wspaniale do niej pasowała, podkreślając zieleń jej oczu. Rosamunda miała jeszcze wiele sukien, które z chęcią podarowałyby swojej towarzyszce, a które wymagałyby najwyżej niewielkich przeróbek, ponieważ obie panny miały zbliżoną budowę i wzrost, ale obawiała się, że takim darem może Prudence urazić.

Panna Dryden podniosła głowę znad robótki i zapytała:

- I wtedy, kiedy zamknął cię w tym pokoju w Dunsmoor, widziałas go po raz ostatni?

Rozmawiały o Richardzie i o tym, jak na ratunek przybył Caspar i Hugh

Templar.

- Tak - potwierdziła Rosamunda. Musiała uważać, co mówi, ze względu na Richarda. - Caspar stwierdził, że spóźnili się dosłownie o kilka minut.

Panna Dryden przechyliła głowę na bok.

- Cieszysz się, że udało mu się uciec, prawda?

Rosamunda chętnie zwierzyłaby się ze wszystkiego, ale oczywiście nic nikomu nie mogła powiedzieć. Stąpała po cienkim lodzie. Gdyby powiedziała za wiele, mogłaby narazić Richarda. Z drugiej strony nie potrafiła się zmusić, by przedstawić go jako niebezpiecznego przestępcę, jak wszyscy o nim myśleli.

- Traktował mnie z szacunkiem - odparła. - Nie wierzę, że kogoś zabił. - W obawie, że powie za dużo, szybko zmieniła temat. - Ale opowiedz mi, co tu się działo podczas mojej nieobecności.

Nie było wiele do opowiadania oprócz tego, że do zamku codziennie zaglądał książę Michael, pytając o wieści od porwanej.

Rosamunda skrzywiła się.

- Mam nadzieję, że to nie znaczy, iż nadal się o mnie ubiega. - Spojrzała pytająco na pannę Dryden. - Chyba ojciec go nie zachęca?

Panna Dryden bez słowa wpatrywała się w drzwi i jej policzki z wolna pokrywały się rumieńcem. Rosamunda odwróciła głowę i zobaczyła, że do pokoju wchodzi Caspar.

- Rosamundo, ojciec chce z tobą porozmawiać - oznajmił.

Och nie, pomyślała Rosamunda, widząc, że Prudence chyba zakochała się w jej bracie. Biedaczka. Nic dziwnego, że była taka przygnębiona.

Po powrocie do saloniku stwierdziła bez żalu, że Prudence już wyszła. Tym lepiej, bo Rosamunda nie była już w stanie ciągle się uśmiechać. Nie sądziła, by udało jej się kogokolwiek zwieść. Ojciec i bracia byli tacy opiekuńczy i tak przesadnie mili, że z pewnością wiedzieli, że serce jej pęka.

Ojciec rzadko mówił o matce, bo wspomnianie jej sprawiało mu wielki ból. Zresztą rzadko afiszował się ze swoimi uczuciami. A jednak dzisiaj mówił z córką o żonie. Miał przy tym zduszony głos i łzy w oczach.

- Byłaby z ciebie dumna, gdyby cię teraz widziała - stwierdził. - Ogromnie dumna! Ja też jestem z ciebie dumny.

Rosamunda często wspominała matkę i były to miłe wspomnienia, ale najchętniej rozmyślała o tym, że matka i ojciec darzyli się uczuciem, o którym inni ludzie mogą tylko marzyć. Prawda, że i Richard potrafił doprowadzić ją do łez, ale zazwyczaj były to łzy irytacji.

Niemniej cieszyła się, że ojciec potraktował go, jak należy, że pozwolił mu zostać w zamku, jak długo zechce. Ona jednak nie mogła z nim rozmawiać, nie wolno jej było zrobić nic, co zwróciłoby na niego czyjąś uwagę. Potem, za tydzień lub dwa, Maitland stanie na nogi i wyjedzie, a ona już nigdy więcej go nie zobaczy.

I zniesie to, ponieważ jest Devere. Właśnie dlatego ojciec powiedział, że jest z niej dumny.

Z lekkim westchnieniem zaczęła krążyć po pokoju. Ojciec przypomniał jej, że w przyszłym tygodniu są jej urodziny i że, jego zdaniem, planowany bal powinien się odbyć. Po pierwsze dlatego, że rozesłano już zaproszenia; po drugie, uważał, że bal dobrze jej zrobi, na co zgodziła się z uśmiechem. Co innego mogła uczynić? Nie może przecież przestać żyć tylko z tego powodu, że ma złamane serce.

Musi wziąć się w garść.

Znowu westchnęła. Miała nadzieję, że kiedy wróci do domu, do rodziny, znajdzie się w swoim otoczeniu, spojrzy na miniony tydzień z właściwej perspektywy. Ale nic takiego się nie stało i teraz dawny świat wydawał jej się o wiele mniejszy niż kiedyś.

Podniosła tamborek i popatrzyła na haft. Miał to być szal, którego brzegi haftowała białą satynową nicią. Była w tym dobra, co potwierdzał każdy pokój w domu ojca - haftowane poduszki, obrusy, prześcieradła, monogramy na chusteczkach braci, makatki na ścianach. Jeśli nie haftowała, to czytała lub



przycinała i układała kwiaty.

Jakim cudem zdołała pozostać przy zdrowych zmysłach przez te wszystkie lata?

Znała jeszcze dwie doskonałe hafciarki, Prudence i ciotkę Fran, i co tu się dziwić - nie mają nic innego, czym mogłyby zająć czas. Ale też czym właściwie miała się zajmować niezamężna kobieta? Stare panny zazwyczaj kończą jako zarządczynie domów swoich braci. Właśnie dlatego Prudence postanowiła się uniezależnić i przyjęła posadę przyzwoitki Rosamundy, która tak straszliwie ją zawiodła. Czeka je los ciotki Fran: będą tolerowane, ale pozbawione własnego życia.

W takim razie co robić?

Rosamunda знаła już odpowiedź. Przygoda z Maitlandem wywołała w niej chęć przyjrzenia się swojemu życiu. Już wcześniej odczuwała irytację na myśl o roli, którą jej przypisano. Była zmęczona tym, że postrzega się ją jedynie jako córkę księcia. Pragnęła stać się prawdziwą kobietą z krwi i kości, poznawać świat i robić rzeczy, których do tej pory nie widziała i nie robiła. Chciała wieść prawdziwe życie.

Westchnęła ciężko. Wiedziała, że następnym krokiem powinno być stworzenie własnego domu, w którym mogłaby robić to, na co miała ochotę.

## *Rozdział 17*

Richard podniósł głowę znad księgi rachunkowej i wyjrzał przez okno biura. Stajnie znajdowały się po wschodniej stronie domu, a z biura na piętrze miał doskonały widok na podjazd i dziedziniec. Zobaczył lorda Caspara, Rosamundę i jej przyzwoitkę, pannę Dryden; zmierzali po schodach do czekającej na nich kariolki, a po chwili wyruszyli na poranną przejażdżkę.

Był to rytuał, który obserwował od tygodnia: Rosamunda wybierająca się na

spacer kariołką brata. Po południu odbywał się drugi rytuał. Pod dom zjeżdżała się procesja powozów, a wraz z nią pojawiali się możni Londynu, by złożyć uszanowanie córce księcia. Najbardziej możliwym z możliwych był oczywiście książę Michael z Kolnbourg.

Tego jednak popołudnia nie będzie żadnego księcia Michaela i żadnych procesji powozów. Goście zjawią się dopiero wieczorem. Przyjadą na bal, którym książę chce uczcić urodziny córki. Tymczasem w domu panowało wielkie zamieszanie związane z przygotowaniami do przyjęcia. Ze swojego miejsca Richard widział ogrodników i ich pomocników, zawieszających lampki na drzewach. Lokaje przynosili rośliny z oszklonej werandy do altanki, stojącej nad sztucznym jeziorem.

Mylił się, sądząc, że Twickenham jest takie jak Dunsmoor, tylko większe. To miejsce było prawdziwym pałacem. Jednak co do ludzi tu żyjących... Potrząsnął głową. Czasami zastanawiał się, czy nie urodzili się na innej planecie.

Miał być pomocnikiem woźnicy, ale do tej pory jego usługi nikomu nie były potrzebne, bo ilekroć książę zapragnął wyruszyć na przejażdżkę którymś ze swoich powozów, zawsze siadał na koźle obok Harpera, a jemu kazał podróżować w środku. Same przejażdżki trudno byłoby opisać, bo książę i Harper zachowywali się przy powożeniu jak para maniaków.

A gdy nie wypróbowywali powozów, najczęściej można ich było spotkać w starej powozowni, nazywanej „szpitalem”. Tutaj okoliczni mieszkańcy zwozili popsute pojazdy, które książę przywracał do zdrowia.

Harper był w swoim żywiole.

Richard umoczył pióro w kałamarzu i zanotował coś w księdze. Tylko do tego się nadaje! Kazano mu prowadzić rachunki związane ze stajniami i powozownią, ale tylko dlatego, że nie mógł robić niczego innego. Kiedy nie notował, obserwował księcia Michaela, który z pompą podjeżdżał pod dom elegancką kariołką, zaprzęgniętą w piękne kasztany, by zabrać Rosamundę na przejażdżkę.

Zdaniem Richarda, dwie przejażdżki dziennie to zwyczajna przesada, ale Rosamundzie jakoś to nie przeszkadzało, a nawet chyba lubiła te wyprawy.

Z zawieszanej nad kartką stalówki skapnął atrament i na kolumnie cyfr pojawił się wielki kleks. Richard popatrzył na niego z wściekłością, a potem przeklął szańście. Osuszył kleks bibułą, odłożył pióro i wstał.

Już nie odczuwał bólu przy chodzeniu. Przez tydzień jego zdrowie znacznie się poprawiło i czuł się prawie jak nowo narodzony. Lekarz, który się nim zajmował, bardzo dobry specjalista, nawet nie mrugnął, kiedy badał go po raz pierwszy. Potrząsnął tylko głową i wymamrotał, że czas już, aby ludzie księcia zrozumieli wreszcie, iż wojna się skończyła, i żeby trzymali się z dala od pijackich bijatyk.

Richard zastanawiał się, czy nie pójść do stajni, by pomóc Harperowi czyścić uprząż. Ostatnim razem został zbesztany, bo użył złej pasty i sierżant kazał mu nie zabierać się więcej za tę robotę. Zresztą Richard nie tyle szukał zajęcia, co kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Był już zmęczony swoim towarzystwem.

Powędrował myślami do Digby'ego i Whorsleya. Wyruszyli z miasta z nadzieją natknięcia się na jego ślad, a przynajmniej na pojmanie Harpera. Z relacji sierżanta wiedział, że przesłuchiwali Rosamundę, ale nie zdołali zmusić jej do powiedzenia choćby jednego słowa obciążającego Richarda. Harper przy zeznaniu powtórzył słowa Rosamundy: że szef wywiódł go w pole, przez co sądził, iż pomaga mu przy nowej sprawie, i że nigdy nie pomógłby mu uciec z Newgate, gdyby wiedział, że szef go oszukuje.

Wprawdzie to zeznanie też mu pomogło, ale uratowała go dopiero rozmowa księcia z premierem. Harper miał nawet otrzymać nagrodę za ocalenie Rosamundy! Tak więc biedni Digby i Whorsley opuścili Twickenham, zgrzytając zębami.

Sierżant relacjonował te wydarzenia z radością, ale Richard nadal był pełen obaw. Coś mu mówiło, że jeszcze zobaczy się z Digbym. Gdyby ten człowiek był tak inteligentny, jak jest uparty, Richard nie objąłby się po Twickenham.

Bardzo też chciał się dowiedzieć, skąd Digby wiedział o istnieniu Dansmoor.

Teraz już nic nie trzymało go w Twickenham. Czas ruszać, czas rozpocząć walkę o swoje uniewinnienie, ale nie chciał się ulotnić bez pożegnania z Rosamundą. W końcu po tym, co dla niego zrobiła, należy jej się przyzwoite potraktowanie. Zasłużyła na to.

Z zamyślenia wyrwały go czyjeś kroki. Ktoś wspinał się po metalowych schodkach. Automatycznie sięgnął po kapelusz, w którym ukrył pistolet.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Doyle, jesteś tam?

To Turner. Richard odłożył kapelusz i poszedł otworzyć.

- Tak, panie Turner - odpowiedział z szacunkiem. - Co mogę dla pana zrobić?

Szacunek, z jakim zwracał się do zarządcy lokajów, przychodził mu coraz łatwiej. Harper nie przesadzał, mówiąc, że życie służącego przypomina służbę w wojsku, a w tym wojsku generałem był Turner. Bardzo niewiele umykało jego spostrzegawczym oczom, które, od jakiegoś czasu, skierowane były na Richarda.

Jednak tego dnia Turner wydawał się jakiś odmieniony. W sokolim wzroku czaiła się pewna miękkość, a wąskie usta drgały, jakby lokaj hamował wielkie podniecenie.

- Podejdz do światła, żebym mógł ci się lepiej przyjrzeć - polecił.

Ciekaw, o co chodzi, i zaniepokojony zarazem, Richard uczynił, jak mu kazano. Turner obejrzał go od stóp do głów, kazał mu się obrócić i przyjrzał się ze wszystkich stron.

- Nie jesteś taki przystojny jak niektórzy, ale ujdiesz w tłoku - ocenił.

- Ujdiesz gdzie? - zapytał zdumiony Richard.

- Jako lokaj. Mamy za mało ludzi do obsługi balu, więc staw się o piątej w pokoju dla służby, to się przebierzesz.

- Przebiorę się? Co to ma znaczyć?

- Służba wkłada na dzisiejszy wieczór nową liberię - poinformował Turner. - Księżę powiadomił mnie o tym niecałą godzinę temu. Trzymamy tę liberię od bardzo dawna i wygląda na to, że wreszcie przyszedł na nią czas.

Ponieważ Richard wpatrywał się w niego pytająco, Turner wyjaśnił:

- Dzisiaj zostaną ogłoszone zaręczyny lady Rosamundy.

Richard poczuł się tak, jakby ktoś niespodziewanie rąbnął go w splot słoneczny. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że musi oddychać.

- To nie może być prawda - rzekł.

Cienkie usta Turnera rozciągnęły się w uśmiechu.

- Nie słyszałaś? Lady Rosamunda wynajęła dom przy Bloomsbury. Po co miałyby to robić, gdyby nie zamierzała wyjść za mąż? - Po tych słowach Turner znowu spoważniał i powrócił do omawiania obowiązków. - Pamiętaj o piątej w służbówce i ani minuty wcześniej lub później.

Wyszedł rażnym krokiem, odprowadzany spojrzeniem Richarda, który z hukiem zatrzasnął za nim drzwi.

Lord Caspar dowiózł swoich pasażerów do domu Callie przy Manchester Square, przyrzekł, że wróci za godzinę lub dwie, i odjechał. Rosamunda cieszyła się, że brat odjeżdża, bo gdy Caspar znajdował się w pobliżu, jej towarzyszka, panna Dryden, popadała w milczenie. Dla Rosamundy było jasne, że biedna Prudence zadurzyła się w jej bracie, ale ten związek nie miał szans. Caspar wprawdzie interesował się kobietami, lecz zupełnie nie myślał o małżeństwie. Nie interesowały go dziewczęta miłe, tylko szybkie.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego cieszyła się z nieobecności brata. Miała coś bardzo ważnego do powiedzenia, coś, czego mężczyzna nie powinien słuchać. Otóż w końcu podjęła decyzję i oto zaczyna nowe życie w domu, który wynajęła przy Bloomsbury.

Choć bracia popierali jej pomysł zamieszkania osobno, to straszliwie jej z tego powodu dokuczali. Oczywiście spodziewała się tego po nich, w końcu to jej bracia, ale i tak już dawno uznała, że mężczyźni nie czują się dobrze, kiedy kobieta postanawia sama zająć się swoimi sprawami.

Jedynym wyjątkiem był naturalnie Richard Maitland.

Jak to czyniła tysiące razy w ciągu ostatniego tygodnia, gdy Maitland przychodził jej na myśl - a praktycznie działało się to nieustannie - spychała wspomnienia o nim gdzieś na dno serca i starała się skupić na czymkolwiek innym.

Przed domem Callie zobaczyła kariolkę zaprzężoną do czterech koni; pilnował jej chłopiec ubrany w czarno-srebrną liberię. Nie rozpoznała jej, choć musiała przyznać, że młody chłopak bardzo elegancko się w niej prezentuje. W gruncie rzeczy to on, a nie kariolka czy cztery przestępujące z nogi na nogę białe konie, przykuł jej uwagę.

Chłopak miał na głowie zgrabną czapeczkę. Wymykały się spod niej czarne loki otaczające twarz, w której wyróżniały się szczególnie ciemne oczy i klasycznie wyrzeźbione kości policzkowe. Przypominał Rosamundzie greckie rzeźby, które oglądała wśród zbiorów lorda Elgina. Nie dawała mu więcej niż czternaście lat. Tych chłopców nazywano tygrysami - choć nie miała pojęcia dlaczego - wszyscy byli przystojni i w jakiś sposób się wyróżniali. Mieli tylko jedno zadanie: ozdabiać ekwipaż modnego dżentelmena.

- Wygląda na Włocha - szepnęła Prudence.

- Przekonajmy się.

Kiedy stanęły naprzeciwko chłopca, Rosamunda powiedziała:

- Podziwialiśmyy wasze konie. Ja twierdzą, że pochodzą z Anglii, ale moja przyjaciółka upiera się, że to czystej krwi araby.

Chłopiec z uszanowaniem dotknął czapki.

- Nie mam o tym pojęcia - odparł z najgorszym francuskim akcentem. - Musiałybyście panie zapytać o to mojego pana, monsieur Withersa.

- Dziękujemy - odrzekła Rosamunda.

Odeszły kilka kroków i wymieniły rozbawione spojrzenia.

- Uważam, że to przesada - rzekła Prudence.

Rosamunda nie była zainteresowana właścicielem kariolki.

Przypuszczała, że to jeden ze znajomych Traceya, a może nawet gość Callie. Szkoda, bo tak bardzo chciała z nią porozmawiać sam na sam. Od jej „uratowania” widziały się już dwukrotnie, ale za każdym razem w Twickenham, otoczone ludźmi, więc nie mogły swobodnie poplotkować. Przyrzekły sobie, że przy pierwszej okazji porozmawiają od serca, i właśnie taka teraz się nadarzała.

Zgodnie z obawami Rosamundy, gdy obwieszczono ich przybycie i wprowadzono do salonu, okazało się, że nie są jedynymi gośćmi Callie. Na ich widok podniosło się dwóch panów siedzących pod oknem. W salonie była też ciotka Frań, ale zdaje się, że drzemała w swoim fotelu przy kominku.

Naprzeciw gościom wyszła Callie.

- Rosamundo! - wykrzyknęła. - Czy to nie dzisiaj są twoje urodziny? Powinnaś szykować się do balu.

- Nie mam tam nic do roboty - odparła Rosamunda, kryjąc rozczarowanie za maską uśmiechu. Tak bardzo liczyła na to, że Callie będzie sama. - Przejżdżaliśmy obok i wpadliśmy z Prudence na pomysł, żeby do ciebie zajrzeć. I oto jesteśmy.

Callie roześmiała się.

- I bardzo mnie to cieszy. A teraz pozwólcie, że przedstawię wam moich gości. Nie sądzę, żebyś poznała wcześniej pana Withersa.

- Lady Rosamundo - odezwał się dżentelmen z ukłonem. - Czy ja także mogę życzyć pani wielu szczęśliwych powrotów?

Rosamunda poczuła niespodziewany skurcz serca. Po chwili uznała, że zapewne nieznamy wywiera takie wrażenie na wielu paniach. Wprawdzie zbliżał się do czterdziestki, a może nawet już ją przekroczył, ale emanowała z niego jakaś młodzieńcza energia. Pomyślała, że ma piękny uśmiech.

- Dziękuję. A oto moja przyjaciółka, panna Dryden.

- Jestem zaszczycony - odparł pan Withers i Rosamunda wiedziała, że mówi prawdę. Sądząc po minie Prudence, ona też była pod wrażeniem. Zapomniała nawet się uklonąć.

- A drugi pan - kończyła prezentację Callie - to major Digby z milicji konnej. Ale przypuszczam, że państwo już się poznali.

Serce Rosamundy znowu podskoczyło, tym razem jednak z innego powodu. Major Digby przesłuchiwał ją długo, nie starając się o delikatność. Uważała go za niebezpiecznego osobnika.

Po prezentacji potoczyła się zwykła w takich okolicznościach towarzyska rozmowa, choć przede wszystkim mówił pan Withers. Twierdził, że urodził się w Anglii, ale większość życia spędził w okolicach Charles Town w Karolinie Południowej i tam też zamierza wrócić, gdy tylko załatwi swoje interesy. Przyjechał do ojczyzny, by zakupić konie czystej krwi do swoich stajni i odwiedzić starych znajomych.

- Opuszczam Anglię z ciężkim sercem - wyznał. - Zapomniałem, jaka jest piękna, nie mówiąc o Angielkach.

Za często się uśmiecha, myślała Rosamunda, porównując go z Richardem i oczywiście złościąc się na siebie, że znowu o nim myśli.

- Co zrobisz ze swoim tygrysem po wyjeździe? - zapytał Digby. - Pytam, bo znam kilku panów, którzy dużo by dali, żeby go mieć.

- Och, zabieram Rolanda ze sobą. Można by rzec, że przywiązaliśmy się do siebie.

Rosamunda sądziła, że rozmowa potoczy się dalej w tym samym tonie, ale Callie nagle podskoczyła, jak to miała w zwyczaju, i poruszyła wszystkich.

- Właśnie o tobie rozmawialiśmy, Rosamundo - stwierdziła - tuż przed twoim przyjściem. Major Digby powiedział mi, że jesteś przekonana, iż Maitland jest niewinny, ale ja nie chciałam mu wierzyć.

Ojciec ostrzegł Rosamundę, żeby była bardzo ostrożna, kiedy rozmowa zejdzie na Richarda. Nie chciał, by ktokolwiek pomyślał, że Devere'owie popierają zbiega. Jeszcze komuś przyjdzie na myśl przyjrzeć się Twickenham House. Tak więc teraz starannie dobierała słowa.

- Nie przypominam sobie, żebym coś takiego mówiła.

Digby uśmiechnął się ponuro.

- Nie dosłownie - zauważył. - Lecz było oczywiste, że jest pani, że jest pani... po jego stronie.

Withers zakaszłał.

- Czarujący brutal, tak? Znam takich mężczyzn. Masz ich za oddanych przyjaciół, a oni po cichu ograbiają cię ze wszystkiego.

Uwaga ta tak wzburzyła Rosamundę, że zapomniała się i powiedziała:

- Nigdy nie nazwałabym pana Maitlanda czarującym. Natomiast, moim zdaniem, sąd z góry uznał go za winnego, choć nikt nie postarał się o uważne przejrzenie obciążających go dowodów.

Digby najeżył się.

- I jak pani sądzi, z jakiego powodu tak się stało, lady Rosamundo?

- Prawdopodobnie chodzi o to, że Maitland ma potężnych wrogów, którym na rękę był jego upadek.

- Bzdura - odparował major, wyraźnie tłumiąc wściekłość. - Dowody obciążające były niepodważalne. Zresztą w tamtym momencie wojsko nie miało ze sprawą nic wspólnego. Jeśli chce pani zgłosić skargę, proszę ją złożyć do władz



cywilnych. Rozprawę prowadził sędzia pokoju z Bow Street. Moi ludzie włączyli się dopiero wtedy, gdy Maitland uciekł z Newgate.

Jego szyderczy uśmiech i arogancja tak zirytowały Rosamundę, że znowu zapomniała o ostrożności.

- Moja skarga nic nie zmieni. Trzeba rozpocząć nowe dochodzenie, ale z założeniem, że pułkownik Maitland jest niewinny. Gdybyście tak podeszli do sprawy, wówczas zadalibyście sobie wiele interesujących pytań.

- Na przykład jakich?

- Na przykład takich: kto mógł nienawidzić Maitlanda aż tak bardzo, by pragnąć jego zguby? Z kim zadawała się Lucy Rider oprócz osób, z którymi pracowała? Jak dwie osoby, mężczyzna i chłopiec, mogły zniknąć bez śladu z miejsca zbrodni, kiedy wokół było tyle ludzi?

Twarz Digby'ego wykrzywiła furia.

- Pytanie, jakie sobie zadaje, brzmi: dlaczego udała się pani do Newgate, lady Rosamundo? Czy był to przypadek, a może z góry to pani zaplanowała? Hm?

Na te słowa Callie podskoczyła na równe nogi.

- Majorze Digby, pan się zapomina! Lady Rosamunda poszła do Newgate, bo ja ją do tego namówiłam. Proszę zapytać Charlesa. On potwierdzi moje słowa, podobnie jak ciotka Fran. To był mój pomysł. Skąd mieliśmy wiedzieć, że Maitland planuje ucieczkę?

Niespodziewanie w sukurs przyszła jej Prudence - właśnie ona, nieśmiała Prudence.

- Mój brat także jest zdania, że pan Maitland jest niewinny.

Digby odwrócił się i spojrzał na mówiącą tak, jakby dopiero teraz stała się widzialna.

- A kimże jest panienki brat? - zapytał szyderczo.

- Peter Dryden - odparła uprzejmie dziewczyna.

W tym momencie do rozmowy wtrącił się pan Withers.

- Czy to ten Peter Dryden, bankier?

- Nie, brat jest pastorem.

- Ach, no to go nie znam.

Rosamundę ucieszyła zmiana tematu. Dzięki niej temperatura nastrojów opadła o kilka stopni. Obawiała się tylko, że powiedziała za dużo i że Digby może pomyśleć, iż pomaga Richardowi.

Postanowiła, że dalej będzie rozmawiać o wiele spokojniej.

- Jeśli Maitland jest mordercą, dlaczego mnie nie zabił? Nie miał nic do stracenia. To jest właśnie powód, który każe mi wątpić w to, czy zamordował pannę Rider.

Digby potrząsnął głową. On także już się nieco uspokoił.

- Jest pani córką Romseya, lady Rosamundo - zauważył. - Lucy Rider była nikim. Maitland nie jest głupcem. Pani ojciec nie spocząłby, dopóki nie pomściłby pani śmierci. Kto przejmuje się pomszczeniem śmierci Lucy Rider?

Chciała krzyknąć na całe gardło, że tym kimś jest Richard. To on pomści śmierć Lucy. Ale tylko opuściła wzrok i poprzestała na westchnieniu.

- To samo mówi mój ojciec.

Major Digby rozluźnił się nieco.

- Pani ojciec ma rację.

Po chwili pan Withers podniósł się, mówiąc, że konie już zbyt długo na niego czekają i że czas na niego. Spojrzał na Digby'ego.

- Jeśli wybierasz się do swojej kwatery, to mogę cię podwieźć. Będę tamtędy przejeżdżał.

Wyszli więc razem. Rosamunda była przekonana, że Withers zaoferował Digby'emu podwiezienie, aby oszczędzić jej dalszego wiercenia dziury w brzuchu. Spodobało jej się to zachowanie.

Callie obserwowała odjazd kariolki przez okno.

- Przykro mi, że byłam nieuprzejma dla twojego gościa, ale nie podoba mi się ten człowiek - odezwała się Rosamunda.

Callie roześmiała się.

- Możesz być tak nieuprzejma, jak tylko chcesz. Zresztą nie tylko ciebie oskarżano o pomoc Maitlandowi w ucieczce z Newgate. On ma na jego punkcie

obsesję. Nie rozumiem, z jakiego powodu.

- Ale w tej całej sprawie z Newgate coś było, prawda? - zapytała z zastanowieniem Rosamunda.

- To znaczy co? - zdumiała się Callie, odwracając się od okna.

Rosamunda potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Może to do mnie dotrze, a może nie. Callie, wyjrzyj przez okno i powiedz, co widzisz.

Callie posłusznie wykonała prośbę przyjaciółki.

- Nic, ale poczekaj. Powiem ci, czego nie widzę. Nie widzę powozu twojego ojca ani jego służących.

Na to właśnie czekała Rosamunda.

- Bo należą już do przeszłości - oświadczyła. - Od teraz będę podróżowała własnym powozem, tak jak inne damy. Naturalnie, jeszcze go nie posiadam, ale to kwestia najbliższej przyszłości. I nie zgodzę się, by wszędzie łąził za mną lokaj. Zamierzam żyć jak zwyczajna dziewczyna.

Callie pokręciła głową.

- Już kiedyś prowadziłyśmy podobne rozmowy. Nic nigdy z nich nie wynikło.

- Tym razem mówię poważnie. Widzisz, w końcu zdobyłam się na poczynienie pierwszego kroku. Wynajęłam dom przy Bloomsbury. Podoba mi się i mam możliwość kupienia go przed upływem roku.

Nie zauważyły, kiedy ciotka Frań się obudziła, ale usłyszały jej nagły okrzyk:

- Brawo, Rosamundo. To prawdziwe osiągnięcie. Bloomsbury, mówisz? To niedaleko. Może wybierzemy się tam teraz i obejrzymy dom?

- Ciociu Fran, wyjęłaś mi te słowa z ust - ucieszyła się Rosamunda.

George Withers wpadł do swojego gabinetu, kierując się prosto do stolika z karafkami i kieliszkami. Pierwszy przełknął jednym haustem, po czym natychmiast nalał sobie następny, a potem przeszedł do okna i wyrztał na Bond Street, choć prawdę mówiąc, niczego nie widział. Trzęsły mu się ręce, ale nie ze strachu, lecz z wściekłości.

Digby jest tak straszliwie nieudolny! Chyba zwariował, jeśli myśli, że kiedykolwiek uda mu się wskoczyć na miejsce Maitlanda. Bo Digby, zamiast kreować swoje życie, czeka tylko, aż coś się wydarzy.

Popijając brandy, Withers jeszcze raz w myślach odtworzył przebieg rozmowy w domu pani Tracey. Peter Dryden, pastor. Był jedyną w Anglii zagrażającą mu osobą, a to dlatego, że Dryden znał prawdziwego Withersa. Po chwili zastanowienia Withers uspokoił się. Przecież nie spotka się z pastorem, bo nie obracają się w tym samym towarzystwie. A jednak spotkał jego siostrę. Cóż, takie rzeczy się zdarzają.

Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, Maitland już by wisiał, a on dawno opuściłby Anglię.

Może czas zwijać żagle.

Rozwój wypadków budził w nim ogromny gniew, podobnie jak ta lady Rosamunda. Mogła stać się źródłem poważnych kłopotów.

Wziął spory łyk, zastanawiając się, co powinien zrobić.

W przeciwieństwie do Digby'ego nie czekał z decyzją na zrządzenie losu. Postanowił najpierw zająć się lady Rosamundą, a potem Peterem Drydenem.

Wbiły się we trzy do dorożki. Było tłoczno, ale na szczęście podróż nie trwała długo.

- Powiedziałaś Bloomsbury - zauważyła Callie. - To jest w Somers Town. Nie najlepsze miejsce na zakupy i przyjmowanie gości.

- Nonsens - sprzeciwiła się ciotka Frań. - Bloomsbury jest blisko stąd. Poza tym przy Bloomsbury także są sklepy, czyż nie? I postoje dorożek. Mijałyśmy je przecież po drodze.

- Tak czy inaczej - upierała się Callie - miejsce wydaje się trochę odosobnione. Lubię widzieć, co robią moi sąsiedzi i vice versa. Tak jest bezpieczniej.

Rosamunda zapłaciła dorożkarzowi i odesłała go, wiedząc, że postój znajduje się niecałe pięć minut drogi od domu. Dołączyła do pań stojących przy bramie z kutego żelaza.

- Nie mam jeszcze kluczy - wyjaśniła. - Dlatego dom jest zamknięty. Ale mieszka tu zarządca, Fenton. Wpuści nas do środka.

Minęły żelazną bramę i weszły na podjazd. Dom miał dwa piętra, był zbudowany w stylu króla Jerzego, z wysokimi oknami wychodzącymi na południe, z rozległymi połaciami trawnika pod nimi. Rosamunda zaczęła wyliczać różne przymioty posiadłości: pastwisko dla koni, stajnię, laszek zamieszkanym przez dziką zwierzynę.

- To stąd nazwa domu - tłumaczyła. - Leśniczówka.

Zarządca okazał się miłym, uprzejmym człowiekiem, który natychmiast zaoferował, że przyrządzi herbatę i podają w różnym salonie. I tam właśnie pół godziny później popijały herbatę, planując wyprawę po zakup materiałów na zasłony i obicia.

Po jakimś czasie Callie i ciotka Frań wyszły przed dom przez małą werandę. Rosamunda i panna Dryden zostały same.

- Chcę, byś wiedziała, że bardzo podziwiam odwagę, z jaką broniłaś pana Maitlanda! - odezwała się przyzwoitka ze zwykłą sobie powściągliwością. - To, jak przeciwstawiłaś się panu Digby'emu, było wspaniałe! Żałuję, że sama nie powiedziałam tego co ty.

Rosamunda popatrzyła na towarzyszkę z zainteresowaniem.

- Wierysz, że Maitland jest niewinny?

Panna Dryden skinęła głową.

- Nigdy o tym nie wspomniałaś w czasie trwania rozprawy - przypomniała jej Rosamunda.

- Nie, ale to dlatego, że twierdziłaś, iż na pewno jest winny, i nie chciałam ci się sprzeciwiać.

Tak to jest, gdy jest się córką księcia.

- Od tej chwili masz moją zgodę na sprzeciwianie mi się, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota!

Panna Dryden uśmiechnęła się nieśmiało.

- Dziękuję. Ale, jak powiedziałam, ja także uważam, że Maitland jest niewinny.

Rosamunda westchnęła.

- Niewiele osób by się z nami zgodziło.

- Mój brat jest tego samego zdania. Pamięta pana Maitlanda z Cambridge.

Rosamunda wyprostowała się na krześle.

- Twój brat zna pana Maitlanda?

- Studiowali razem w Cambridge. Peter mówi, że choć trudno było nawiązać z nim bliższą znajomość, to był to szczerzy i uczciwy chłopak. Pan Maitland nie potrafiłby zamordować tej dziewczyny. Widzisz - dodała z wahaniem Prudence - w Cambridge zdarzyła się niemiła historia, która miała z nim związek. - Spojrzała Rosamundzie prosto w oczy. - W końcu oczyszczono go z oskarżeń, a Peter bardzo żałował, że nie wierzył w Maitlanda przez cały czas. Przyrzekł sobie, że już nigdy nie popełni tego błędu.

Rosamunda czuła, jak rośnie jej ekscytacja.

- Czy twój brat wspominał chłopca o nazwisku Stapleton? Frank Stapleton?

Panna Dryden odpowiedziała z wahaniem.

- To ten drugi chłopiec.

- Gdzie on teraz jest? Czy wiesz?

- Wyjechał do Kanady zaraz po opuszczeniu Cambridge. Peter słyszał, że tam umarł.

A więc na tym koniec, pomyślała Rosamunda. A może jednak nie? Nie zaszkodzi porozmawiać z bratem Prudence. Może Frank Stapleton miał przyjaciela, który postanowił pomścić jego hańbę? Może Peter Dryden nie jest taki niewinny, jak twierdzi jego siostra? Nie każdy pastor jest święty.

A może to ona chwyta się ostatniej deski ratunku?

- Gdybyśmy tylko mogli w jakiś sposób pomóc panu Maitlandowi - rzekła panna Dryden. - To straszne, prawda, zostać oskarżonym o zbrodnię, której się nie popełniło?

Rosamunda przypomniła sobie w tej chwili swoje przyrzeczenie. Miała przecież pomóc Richardowi w przywróceniu mu dobrego imienia. Wprawdzie po ostrzeżeniach ojca, który twierdził, że Maitland nie życzy sobie, żeby mieszała się w jego sprawy, jej zapał nieco ostygł, ale teraz znowu zapłonął mocniej.

- Być może jest coś, co możemy zrobić - powiedziała. Panna Dryden była zdumiona.

- Co takiego?

- Możemy zrobić to, co sugerowałam. Zacząć od początku i jeszcze raz przesłuchać świadków, tym razem jednak z założeniem, że Maitland jest niewinny.

W tej chwili do salonu wróciła Callie.

- Uważam, że twoje poczynania mają jakiś związek z Richardem Maitlandem. Myślę, że coś się między wami wydarzyło i że to właśnie zmusiło cię do szukania samodzielnego mieszkania.

Rosamunda udała, że słowa przyjaciółki ją rozbawiły.

- Naturalnie masz rację. Nic bardziej nie zmusza człowieka do refleksji nad swoim życiem niż wizja jego utraty.

Callie wybuchnęła śmiechem.

- No, no, jaka poważna uwaga. Gdyby to mnie porwał Maitland, byłabym zachwycona!

Rosamunda nie miała ochoty wysłuchiwać pieśni pochwalnej na temat Richarda, więc zauważyła, że zrobiło się strasznie późno i że muszą wracać na

Manchester Square, gdzie miał po nią przyjechać Caspar.

## *Rozdział 18*

Było to najdziwniejsze przyjęcie urodzinowe, w jakim Richard uczestniczył. Wprawdzie goście przybyli z prezentami, ale żaden nie był przeznaczony dla Rosamundy, tylko dla okolicznej biedoty. Zdaje się, że w tym domu panowała tradycja, iż zamiast prezentów dla któregoś z członków rodziny przynoszono pieniądze, a sam książę podwajał kwotę, która została zebrana.

Tak postępują bogacze.

Pogoda, jak zawsze, była zaskakująco zmienna. Choć dzień zaczął się pięknie, to pod wieczór wichura znad Morza Północnego przyniosła ze sobą deszcz. Damy okrywały gołe ramiona szalami.

Lokaje wybiegali do przybywających gości z parasolami. Ogrodnicy musieli trzymać rozstawione w ogrodzie namioty, by nie odfrunęły, a wszystko to w strugach deszczu. Powoli całej służbie puszczały nerwy.

Richard już wcześniej był wściekły. Zmuszono go, by wyglądał jak fircyk z poprzedniego stulecia, a od upudrowanej peruki swędziała go głowa. Zaczynał się zastanawiać, czy nie ma w niej wszy, ale nawet gdyby tak było to i tak nic nie mógł na to poradzić. Wmawiał sobie, że jest w wojsku i stoi na straży. Dano mu posterunek na końcu długiej sali balowej, tuż przy wejściu na oszklony taras, gdzie pod koniec wieczoru miał być podany poczęstunek. Jego zadaniem było niewpuszczanie na taras gości, dopóki wszystko nie zostanie przygotowane.

Książę miał rację - nawet gdyby na balu pojawiła się matka Richarda, nigdy by go nie poznała. Nikt go nie rozpoznał, ani książę, ani lord Caspar, ani lord Justin, ani panna Dryden czy przyjaciółka Rosamundy, pani Tracey. Wszyscy oni znajdowali się na sali balowej, przemykali po nim wzrokiem, ale żadne go nie rozpoznało. Nawet Rosamunda.



On natomiast szybko odnalazł ją wzrokiem w tłumie, choć wszystkie młode panny ubrane były podobnie, w suknie tak delikatne jak mgielka. Nie był ciekaw, ile pokojówek brało udział w ubieraniu i fryzowaniu Rosamundy, w ozdabianiu jej ciemnych loków kwiatami. Wiedział tylko, że warto było. Nigdy nie wyglądała tak pięknie.

Nie po raz pierwszy uderzyła go jej uroda, jednak tego wieczoru wydała mu się jakaś inna, bardziej ożywiona. Nie odrywał od niej wzroku. To ona otworzyła bal walcem z księciem Michaeliem, a goście przyglądali się im tak, jakby nigdy wcześniej nie widzieli pary tańczącej walca. Teraz stała z boku w towarzystwie panny Dryden i pani Tracey.

Richard miał nadzieję, że zmiana w Rosamundzie nie jest w żaden sposób związana z osobą fircykowatego księcia Michaela. Ciekaw był, o czym myślała.

A Rosamunda myślała o znalezieniu partnera dla Prudence Dryden. Nie chodziło jej o znalezienie jej męża, tylko o pokazanie, że na świecie istnieją też inni mężczyźni oprócz Caspara. Mając to na względzie, ostatnio każdego wolnego pana, który pojawił się u niej z wizytą, zachęcała, aby ponownie ją odwiedził, i zarazem starała się zainteresować go osobą Prudence. Tyle że ta była swoim największym wrogiem. Nie rozczułała się nad sobą, nie wzdychała, była miła i uprzejma, ale okazywała wielką rezerwę i nikomu nie pozwalała się do siebie zbliżyć.

Nawet Rosamunda nie potrafiła do niej dotrzeć, co ją bardzo zdumiewało. Tego dnia powróciły do domu bliższe sobie niż kiedykolwiek, ale ich stosunki szybko oziębły, choć panny były dla siebie nad wyraz uprzejme.

Może chodzi o Caspara? Może to ból nieodwzajemnionej miłości powoduje, że Prudence zachowuje się tak chłodno? Pewnie nie chce, by ktokolwiek, a zwłaszcza mężczyzna, który ją odtrącił, dostrzegł jej cierpienie.

Podobnymi pobudkami kierowała się Rosamunda, godząc się na urządzenie balu, choć najchętniej przecież zamknęłaby się w swoim pokoju i pograżyła w rozpacz. Nie chciała jednak martwić ani rodziny, ani przyjaciół, a przede wszystkim nie chciała wzbudzać współczucia w Richardzie.

To nie znaczy, że między nimi dochodziło do czegoś więcej niż tylko wymiany pozdrowień, dopuszczalnych między służącym i panią domu. Ojciec uczulił ją, by nie poświęcała Maitlandowi większej uwagi niż innym służącym, bo to mogło wydać się podejrzanym. Bezpieczeństwo Richarda zależało od jego całkowitej anonimowości, starała się więc go ignorować, ale nocą wpatrywała się w jego okna i nigdy nie kładła się spać, dopóki nie zobaczyła, że pogasły w nich

światła.

Z rozmyślań wyrwał ją Justin. Pojawił się w samą porę, by zaprosić do tańca Prudence. Rosamunda wcześniej już poprosiła brata, by zatańczył z jej przyzwoitką, a nawet zrobiła obydwu braciom wykład na temat ich obowiązków w czasie balu - przestrzegła, że nie wolno im zniknąć w pokoju karcianym, grać w bilard ani palić tych cuchnących cygar. Życzyła sobie, żeby na jej balu żadna panna nie podpierała ścian.

- Cóż, Ros, oto jestem - rzekł Justin. - Kłopot w tym, że zapomniałem, z którą...

Słowa zamarty mu na ustach, gdy zobaczył wyraz cierpienia w oczach siostry. W tym momencie dostrzegł pannę Dryden; to na nią wzrokiem wskazywała siostra, dokończył więc nieprzekonująco:

- Gdzie zostawiłem rękawiczki.

- Zajrzyj może do kieszeni - zasugerowała Rosamunda, zmuszając się do uśmiechu.

Justin wsunął dłoń do kieszeni, wyciągnął białe rękawiczki, włożył je, po czym skłonił się przed Prudence.

- Panno Dryden, czy mogę mieć zaszczyt prosić panią do tańca.

Ta dygnęła, mruknęła, że zaszczyt jest po jej stronie, i dała się powieść na parkiet.

Callie, która obserwowała, jak na twarzy Rosamundy odbijają się sprzeczne emocje, rzekła:

- To bardzo wzruszające, ale się nie uda. Ta twoja panna Dryden nigdy nie zostanie gwiazdą balu.

- Wcale mi na tym nie zależy - mruknęła nieprzytomnie Rosamunda, odprowadzając wzrokiem tańczącą parę. - Chciałabym tylko zrozumieć te jej nagłe zmiany nastroju.

Callie jednak nie interesowała się ani panną Dryden, ani jej nastrojami.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że wszyscy oczekują, iż twój ojciec ogłosi dzisiaj twoje zaręczyny z księciem Michaellem? - zapytała.

Rosamunda spojrzała na nią ze zdumieniem.

- W takim razie zawiodą się.

- Więc co on tutaj robi?

- Nie mogłam odebrać mu zaproszenia, a zresztą wcale nie chciałam. To, że nie chcę za niego wyjść, nie znaczy, że muszę być dla niego nieuprzejma.

- Uważaj, Ros, bo czy ci się to podoba, czy nie, pewnego dnia okaże się, że wychodzisz za niego za męża.

Rosamunda odwróciła się do przyjaciółki.

- Dlaczego tak mówisz?

Callie wzruszyła ramionami.

- Należysz do tego rodzaju dziewcząt, którym takie rzeczy się przydarzają. Nawet gdy byłyśmy dziewczynkami, robiłaś to, czego od ciebie oczekiwano.

Rosamunda już miała się obrazić, ale kątem oka dostrzegła stojącego z boku księcia Michaela. Rozglądał się, jakby szukał partnerki do tańca.

- Przejdźmy się - zaproponowała.

Wraz z Callie wymknęły się do dużego wyłożonego marmurem holu. Prawie nikogo tu nie było, bo orkiestra właśnie zaczęła grać i wszyscy podążali na parkiet.

Przeszły do wysokiego okna, wychodzącego na park. W ciemności niewiele mogły zobaczyć, ale słyszały wycie wiatru między filarami przy wyjściu na dziedziniec.

Przed oknem pojawili się dozorczy, którzy wyszli zapalić latarenki, gaszone przez wichurę. Callie coś mówiła, ale przyjaciółka nie słuchała jej uważnie. Przyglądała się dozorcóm, zastanawiając się, czy jest wśród nich Richard.

- Rosamundo, słyszałaś, co powiedziałam?

- Słucham?

- Powiedziałam - powtórzyła Callie - że nie byłabym zdziwiona, gdybyś wiedziała o Maitlandzie więcej, niż mówisz.

Serce Rosamundy zaczęło bić mocniej.

- Na przykład co?

Callie uśmiechnęła się.

- Nie wiem, ale kiedy o nim mówisz, odnoszę wrażenie, że przez ten tydzień spędzony razem bardzo zbliżyliście się do siebie. Czy on się tobie zwierzał?

- Nie bądź śmieszna! - odparła Rosamunda, skutecznie udając, że jest zdumiona pytaniem.

Usłyszała czyjeś kroki, odwróciła się i wstrzymała oddech.

Postać czająca się w oddali wyglądała bardzo złowieszczo. Kiedy się zbliżyła, okazało się, że to Charles Tracey.

- Charles, przestraszyłeś nas! - wykrzyknęła Callie. - Czy nie wiesz, że podsłuchując, można usłyszeć coś niemiłego na swój temat? - Spojrzała na szwagra gniewnie, a potem ze znużeniem dodała: - Żartowałam. Powinieneś się roześmiać i odpowiedzieć równie dowcipnie.

Roześmiał się krótko, po czym zwrócił się do Rosamundy:

- Zdaję się, że ten taniec przyrzekałeś mnie. Nie jest jeszcze za późno. Dopiero się zaczął.

By wynagrodzić Charlesowi nieuprzejmość przyjaciółki, Rosamunda uśmiechnęła się do niego ciepło. Przypominał jej chorego szczeniaka. Ponieważ też cierpiała na tę samą chorobę, stała się ekspertem w rozpoznawaniu nieodwzajemnionej miłości.

Gdybyż tak znała na nią lekarstwo.

Dopiero po zakończeniu tańca zdała sobie sprawę, że nie przyrzekała tego tańca, ani żadnego innego, Charlesowi Traceyowi. Odnosiła wrażenie, że wokół niej dzieją się dziwne rzeczy - Prudence, Callie, Charles - ale nie umiała powiedzieć, co ją tak niepokoi.

Otrząsnąwszy się z tych myśli, poszła szukać ciotki Fran, wiedząc, że najpewniej znajdzie ją w pokoju karcianym. Znowu pomyłka. Ciotka Fran wsiąkła gdzieś jak kamfora.

O północy drzwi na taras zostały otwarte, po czym ogłoszono rozpoczęcie poczęstunku. Jedzenie rozstawiono na długich stołach, a goście mieli sami się obsłużyć. Początkowo planowano, że po nałożeniu potraw wyjdą z talerzami pod namioty, po czym każdy, kto będzie miał ochotę, wybierze się na spacer licznymi ścieżkami, przejdzie się nad jezioro lub do altanki. Ale pogoda nie zachęcała do takich eskapad i tylko kilka odważniejszych osób opuściło taras.

Rosamunda wiedziała, że niczego nie przełknie. Brak apetytu to jeden z objawów chorowania na nieodwzajemnioną miłość, ale przynajmniej opuścił ją niepokój. Znowu wszystko toczyło się, jak należy. Znalazła się nawet ciotka Frań i wraz z innymi starszymi paniami krążyła koło stołów. Przypominały kwilące jaskółki, pikujące co jakiś czas po co smaczniejszy kąsek. Callie nie jadła, ale za to rozmawiała, wprowadzając swoich słuchaczy w osłupienie, między innymi Charlesa Traceya. A Prudence? Cóż, może jednak Prudence została królową balu. Towarzyszyli jej Justin i księżę Michael, i obydwaj zabiegali o jej uwagę.

Co do Rosamundy, to przechadzała się od stołu do stołu, zatrzymując się choć na chwilę przy każdym gościu. Próbowwała nie tylko gawędzić, ale naprawdę poznać rozmówcę. Wzięła sobie do serca słowa Richarda, który zarzucił jej wyniosłość i niechęć do kontaktowania się z innymi damami na balu w Lizbonie. Teraz przekonała się, że rzeczywiście do tej pory więcej myślała o sobie niż o uczuciach innych ludzi. Pogawędki bardzo ją zmęczyły. Niektóre osoby widziały w niej tylko córkę księcia i ich mdłe oraz przymilne zachowanie sprawiało, że pragnęła wziąć nogi za pas i ukryć się w swoim prywatnym świecie.

W pewnej chwili, gdy przechodziła do następnego stołu, tuż przed nią pojawił się lokaj i zatarasował jej drogę.

- Kieliszek wina, lady Rosamundo? - zapytał grzecznie.

Spojrzała na srebrną tacę z szeregiem kieliszków.

- Dziękuję, nie.

Gdy starała się go ominąć, znowu zagroził jej drogę.

- Weź kieliszek, Rosamundo - nakazał gorączkowo.

Skądś znała ten głos.

Podniosła oczy na twarz śmiałka. To był Richard, ale bardzo odmieniony. Miał na sobie szmaragdowy surdut z koronkowymi wyłogami pod szyją i przy mankietach, no i białą perukę na głowie, która wygładzała ostre rysy twarzy.

Wyglądał przepięknie.

Rosamunda podniosła z tacy kieliszek, przytknęła go do ust i upiła spory łyk.

- W altance za pięć minut - rzucił Richard i odszedł.

Przez chwilę podziwiała jego białe satynowe bryczesy i pończochy, potem upiła następny łyk, rozejrzała się i poszła po szal.

Altanka znajdowała się blisko domu, ale minął jakiś czas, zanim udało jej się przeniknąć niepostrzeżenie koło panów, którzy wyszli do ogrodu, by tam wypalić cygaro. Ogrodnicy zrezygnowali już z zapalania latarenek, ponieważ i tak ciągle gasły, i zajęli się składaniem namiotów. Słyszała ich wyklinanie na deszcz i uszczypliwe uwagi dotyczące służących pracujących w domu.

Biegając do altanki, żałowała, że oprócz szala nie wzięła parasolki. Deszcz nie był silny, ale jedwabny szal wcale jej przed nim nie chronił.

Richard już na nią czekał. Zgasiwszy wszystkie świece oprócz jednej, ściągnął perukę oraz koronki z nadgarstków i spod szyi. Kiedy miękko wypowiedział jej imię, serce podskoczyło jej do gardła.

- Nie mogę wyjechać bez słowa pożegnania - oświadczył.

Spodziewała się usłyszeć wszystko, tylko nie to. Kiedyś pewnie tak, ale jeszcze nie teraz. Był w Twickenham dopiero tydzień, a miał zostać co najmniej dwa, do czasu, aż przestaną go szukać i wszystko przycichnie. Harper, ojciec albo bracia powinni byli jej coś powiedzieć, aby miała czas się przygotować.

Popatrzyła na Richarda ze ściśniętym sercem. Czy nie widzi, co jej robi? Oczywiście, że nie. Nie wie, co to jest miłość. To nie jego wina. Tak to już po prostu jest.

Nie zamieniaj się w Charlesa Traceya, powiedziała do siebie w duchu i przełknęła gulę w gardle.

- Czy mój ojciec o tym wie?

- Jeszcze nie. Najpierw chciałem porozmawiać z tobą.

Skinęła głową, choć nie rozumiała dlaczego. Może jedynie z tego powodu, że ona wiedziała, iż nie ma co wyklócać się z Richardem Maitlandem, kiedy już coś sobie postanowi.

- Dokąd się udasz?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Jakimś cudem zdołała opanować drżenie głosu.

- Już kiedyś o tym rozmawialiśmy. Te same pytania, te same odpowiedzi. Zauważ jednak, że tym razem nie czuję się obrażona.

Uśmiechając się lekko, odparł:

- Jeśli cię obrażałem, to tylko dlatego, że nie wiedziałem, jaka jesteś. Teraz podziwiam cię i szanuję. Uważam, że przynosisz zaszczyt nazwisku, które nosisz.

Była zawiedziona. Zaczynał mówić tak jak ci wszyscy ludzie, podziwiający ją tylko za to, że jest córką księcia. Czy to mówi ten sam Richard Maitland, którego znała?

Po prostu stara się być miły i uprzejmy, a ona musi dostosować się do jego tonu.

- A więc tym razem to prawdziwe pożegnanie? - spytała.

- Tak.

Ktoś musiał odejść pierwszy, ale ona nie mogła ruszyć nawet palcem u nogi.

- Powinam już iść... - zaczęła z nadzieją, że na tym się nie skończy.

Nie skończyło się. Richard zrobił krok w jej stronę.

- Zanim odejdiesz, chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Nadzieja w niej umarła. W jego głosie nie słyszała żadnej cieplejszej nuty. Podobnie dobroduszny wyraz twarzy ma ojciec, gdy zamierza zrobić jej jakiś wykład.

- Tak?

Uśmiechnął się.

- Chodzi o księcia Michaela.

Nie zdołała się uśmiechnąć.

- Nie rozumiem?

Nie było delikatnego sposobu na wyrażenie tego, co zamierzał powiedzieć, więc postanowił niczego nie owijać w bawełnę.

- Nie wychodź za niego, Rosamundo. To nie jest mężczyzna dla ciebie. Mówię to dla twojego dobra. To samo tyczy się reszty tych szczeniaków, obwąchujących skraj twojej sukni przez cały zeszły tydzień. Oni także nie są dla ciebie. Po co spieszyć się z małżeństwem? Daj sobie trochę czasu. Jestem pewny, że któregoś dnia spotkasz właściwego mężczyznę.

- A po czym poznam, że to jest ten właściwy? - zapytała, uśmiechając się słodko.

Richard złożył ręce na piersi i przyjrzał się jej z namysłem. Miała poczerwieniałe policzki, jej pierś ciężko falowała, oczy rzucały błyskawice. Stała w przejściu, tak żeby nie mógł wyjść, nie odpychając jej. Powinna uważać, bo miał już dosyć przyglądania się przez cały tydzień, jak sobie poczyna z tymi szczeniakami. Próbował być rozsądny. Przecież chciał tylko, żeby była szczęśliwa. Czy ona tego nie widzi?

Nie był jeszcze gotowy, by się poddać.

- To nie będzie książę Michael - stwierdził. - Po pierwsze, w roli księżnej będziesz tak samo niezadowolona, jak jesteś w roli córki księcia. Potrzebujesz mężczyzny, który zachęci cię, byś sama zajęła się swoim losem, i doda ci odwagi.

- Wielkie dzięki - odparła. - Ale i tak zamierzam sama zająć się swoim życiem, bez względu na to, czy wyjdę za księcia Michaela, czy nie.

- Z nim nigdy nie będziesz szczęśliwa. Zgadzam się, że na parkiecie nie ma sobie równych, ale małżeństwo to coś więcej niż taniec. Będzie co noc przychodził do twojego pokoju. Do twojego łóżka. Jesteś na to gotowa?

Wchodząc do altanki, była przemarznięta do szpiku kości, lecz teraz buchało od niej gorąco. Rzuciła szal na oparcie krzesła i odwróciła się do Richarda.

- Och tak, łóżko - rzekła, wykrzywiając usta. - Z mojego dość ograniczonego doświadczenia wynika, że to, co robią mężczyzna i kobieta w łóżku wielce się przecenia. Za to że świecą szukać mężczyzny, który potrafi dobrze tańczyć. Czy ty tańczysz, Richardzie?

- Nie, nie tańczę!

- Jaka szkoda.

Oczy mu pociemniały.

- Mówiąc o swoim ograniczonym doświadczeniu, rozumiem, że masz na



myśli siebie i mnie?

- Chyba nie sądzisz, że jesteś jedynym mężczyzną, z którym się całowałam?

- W szafasie tak właśnie mówiłaś.

- To było tydzień temu - odparła wyniośle. - Zmyślałam ze względu na sytuację. - Ucieszyła się, widząc błysk złości w jego oczach, i szybko dołała oliwy do ognia. - Szczerze mówiąc, nie rozumiem, o co to całe zamieszanie. Pocałunki jednego mężczyzny niczym się nie różnią od pocałunków drugiego.

Trafiła w czuły punkt. Nigdy nie twierdził, że jest najlepszym kochankiem na świecie, ale nie zasługiwał, do diabła, na taki komentarz. Miał przecież za sobą kilka związków z kobietami. Najbardziej jednak bolało go to, że on, całując się z Rosamundą, był poruszony jak nigdy. A tu proszę, jego pocałunki są tak samo dobre, jak pocałunki każdego innego. Z kim ona się całowała za jego plecami?

Był wściekły. Kiedy kładł dłonie na jej ramionach, czuł, że całe jego ciało sztywnieje. Przyciągnął Rosamundę do siebie z postanowieniem, że tego pocałunku nigdy nie zapomni.

Skuliła się, spodziewając się, że chce nią potrząsnąć. Wiedziała, że go sprowokowała, ale przecież nie tylko on miał prawo być wściekły. Kocha go. Może on na to nie zasługuje, ale go kocha. Musi mu to powiedzieć. A on sprowadził jej miłość do najniższego poziomu. Łóżko. Czy tylko o tym myślą mężczyźni?

- Chwileczkę, poczekaj...

Cokolwiek chciała powiedzieć, przerwał to, przywierając do jej ust w pocałunku tak namiętnym, że przypominało to furie. Rosamundę owładnęło podobne uczucie i oddała mu tak samo wściekły pocałunek. Kiedy przycisnął ją mocniej, nie odsunęła się, tylko mocno się w niego wbiła. Spojrzeli sobie w oczy i jego gniew zmierzył się z gniewem w jej wzroku.

Obydwoje ciężko dyszeli, walcząc o każdy oddech. Wpatrzeni w siebie, czuli, że ich wściekłość gdzieś się ulatnia. Rosamunda jęknęła, Richard także.

Znowu pochylił się do niej. Tym razem krew rozpałało mu coś innego niż gniew. Ciało drżało od pożądania. Rosamunda nagle pojęła, że do tej pory nigdy tak naprawdę nie rozumiała, jak to jest między mężczyzną i kobietą. To nie jest przyjemne. Nie jest miłe i słodkie. Jest gorące. To zlewanie się w jedno niesie ze sobą ból, tęsknotę za idealnym połączeniem. Cierpienie.

Richard wyczuwał, co dzieje się z Rosamundą. Bał się, że straci panowanie

nad sobą. Tylko pocałunek, nakazał sobie w duchu, ale wiedział, że się oszukuje. Tak, pocałunek, lecz składany na każdym centymetrze jej ciała. Jego dłonie były zajęte tak samo jak usta. Gładziły, pieściły, muskały zakazane terytorium, które w tej chwili należało do niego. To mu jednak nie wystarczało.

Sięgnął do spódnicy, podciągnął ją i wsunął dłoń pomiędzy uda dziewczyny. Nagle dotarł do niego jakiś odgłos. Ktoś wzywał Rosamundę. Richard podniósł głowę i nasłuchiwał.

Znowu. Znał ten głos.

- Książę Michael - powiedział, prawie sycząc przez zęby.

- Co? - zapytała Rosamunda, która jeszcze nie wróciła do rzeczywistości. Starła się utrzymać równowagę, opierając dłonie na jego piersi.

- Książę Michael - powtórzył. - Szuka cię.

Wzmianka o księciu podziałała na nią jak kubeł zimnej wody. Richard poprawił jej suknię, potem swoje ubranie, po czym cofnął się.

- Namietność, Rosamundo - rzucił. - Wychodząc za księcia Michaela, z tego właśnie będziesz musiała zrezygnować. Jesteś gorącą kobietą. Nie zgadzaj się na zimną rybę.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł.

Nogi miała jak z waty, ale udało jej się dotrzeć do najbliższego krzesła. Usiadła i dotknęła rozpalonych ust, potem piersi i ud.

I to wszystko po jednym pocałunku?

Zamierzała już wyjść, gdy nagle Richard ponownie wszedł do altanki.

- Zapomniałem życzyć ci wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - rzucił. - I dać ci prezent.

Automatycznie wysunęła rękę, sięgając po przedmiot, który jej podawał.

- Noszę go przy sobie od dzieciństwa, na szczęście. - I wyszedł.

Rosamunda rozwarła dłoń i spojrzała na leżący w niej przedmiot. Była to figura szachowa, król wyrzeźbiony w hebanie, przypalony na rogach. Miał bardzo ponurą minę.

Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

Richard docierał już do domu, gdy nagle za plecami usłyszał krzyk. Pomyślał, że doszło do bójki. Kiedy zakręcił za róg domu, zwolnił kroku. Zobaczył namiot, który urwał się z zaczepów i wyglądał tak, jakby za chwilę miał pęknąć. Dozorca krzykiem kierował ludźmi, którzy starali się przyszpilić namiot do ziemi.

Wezwano do pomocy kilku służących z domu i w tym był cały kłopot. Służba domowa i ogrodnicy nie darzyli się miłością. Jeśli dozorca zaraz nie weźmie w karby swoich ludzi, dojdzie do prawdziwego buntu. Przydałby się tu Harper, ale on zajmował się teraz woźnicami gości i ich powozami.

Richard nie miał ochoty wracać na swój posterunek na sali balowej, a sądząc, że nikomu już nie będzie potrzebny, skierował się w stronę swojej kwatery. Na ścieżkach, wcześniej oświetlonych, teraz panowała ciemność, bo latarenki pogasły na wietrze. Kierował się świecą dochodzącym od stajni.

Widział też światła latarni przy powozach, czekających na swoich właścicieli, oraz przy tych, które już odjeżdżały.

Przyjęcie najwyraźniej dobiegało końca, co znaczy, że Ro-samunda zapewne jest już w domu i żegna się z gośćmi. Pewnie zaraz ogłosi swoje zaręczyny. To dlatego księżę Michael jej szukał.

No cóż, Richard miał nadzieję, że dał jej jakąś nauczkę.

Skrzywił usta w smutnym uśmiechu. Sam też dostał nauczkę. Zawsze miał się za rozsądnego, ale przez ostatnie pół godziny zachowywał się jak nadąsany uczeń. Wcale nie myślał o szczęściu Rosamundy, przestrzegając ją przed księciem Michaeliem. Myślał o sobie. Nie chciał, żeby w ogóle wychodziła za mąż, jeśli on nie może jej mieć. Ale też nie chciał, żeby została starą panną

Nic go nie zadowalało.

Szedł przed siebie z zaciśniętymi szczękami, kopiąc mokre liście leżące na drodze. Był już prawie pod własnymi drzwiami, gdy usłyszał odgłos przypominający wystrzał z pistoletu. Nie pomylił się; ktoś naprawdę strzelał. I to gdzieś w pobliżu domu.

Odwrócił się i biegiem ruszył z powrotem. Miał nadzieję, że strzelał dozorca, chcąc uspokoić swoich ludzi, ale doświadczenie kazało mu nie ufać pierwszym domysłom. Jeśli na terenie posiadłości znajdował się zabójca, to jego celem z pewnością był on.

Ciężko oddychając, zatrzymał się przy robotnikach składających namioty. Nie zwrócili na niego uwagi. Przyglądali się grupce gości stłoczonych na tarasie.

- Co się stało? - zapytał jednego z nich.

- Postrzelono kogoś w altance - odparł. - Chyba lady Rosamundę.

Richard zamarł. I wtedy ich zobaczył: księcia Michaela w białym płaszczu, niosącego w ramionach ciemnowłosą dziewczynę. Rosamundę.

Z bijącym sercem i sparaliżowanym umysłem, rzucił się w tamtą stronę.

## *Rozdział 19*

Zdołał zrobić tylko kilka kroków, kiedy nagle zbliżył się do niego jakiś cień, potem ktoś się na niego rzucił, nieomal powalając na ziemię. Usłyszał czyjś przepełniony złością głos, który przestrzegł go, żeby nie robił z siebie głupca. To był Harper.

- Muszę do niej iść! - wystękał z rozpaczą Richard.

Chciał odepchnąć od siebie Harpera, ale ten na to nie pozwolił. Pociągnął swego szefa w mrok, starając się zejść z oczu służbie.

- To może być pułapka - powiedział. - Pomyślałeś o tym? Nawet teraz ktoś

może czekać, aż się ujawnisz. Wtedy dokończy dzieło. Zresztą oni cię do niej nie dopuszczą. Co miałeś zamiar zrobić? Wejść tam i powiedzieć, że chcesz ją zobaczyć? Prędzej by cię zamknęli, a potem przekazali w ręce milicji. A teraz schowaj ten pistolet, zanim ktoś go zauważy.

Richard nawet nie wiedział, że trzyma w ręku broń. Automatycznie wetknął ją za pasek spodni. W Służbach Specjalnych uchodził za człowieka ze stalowymi nerwami. Nigdy nie wpadał w panikę, nigdy nie tracił głowy. Jednak teraz był tego bliski.

- Czy jest ranna? - zapytał.

- Rana nie jest śmiertelna, jeśli o to ci chodzi. Posłali po lekarza, a to dobry znak.

Richard skinął głową, choć słowa Harpera wcale nie przyczyniły się do zmniejszenia szarpiącego nim strachu. Pojęcie „nie jest śmiertelna” może wiele oznaczać. Rozdzierał go ból. Gdyby zdecydował się wejść do domu, nic by go nie powstrzymało, ale musiałby użyć broni, a nie chciał pojawiać się w pokoju Rosamundy, trzymając jej rodzinę na muszce.

- Mówię prawdę - zapewnił Harper. - Nie jest poważnie ranna.

- Jak to się stało?

- Nie wiem nic oprócz tego, że ktoś do niej strzelił. Chyba nie mamy szans na złapanie łajdaka.

Richard zadumał się.

- Rzeczywiście, w tym tłumie to raczej niemożliwe - powiedział po chwili. - To jak szukanie igły w stogu siana.

W ogrodzie kręciło się około czterdziestu ogrodników. Na tarasie stała podobna liczba gości i służących. Mijały ich powozy podjeżdżające pod dom po gości. Znalezienie osoby, która strzelała do Rosamundy, w tych warunkach graniczyło z cudem.

- Co mam robić? - zapytał Harper.

Richard wypuścił powietrze.

- Po pierwsze, przepytaj ogrodników. Sprawdź, czy kogoś nie brakuje. Potem, jeśli nic nie wskórasz, zorganizuj przeszukiwanie terenu. Jeśli ktoś się sprzeciwi, powiedz, że działasz z rozkazu księcia. Kiedy coś znajdziesz, daj sygnał

wystrzałem. Ja zrobię to samo.

- No, teraz wreszcie, mówisz jak należy - zauważył Harper, uradowany, że szef zaczął znowu przypominać siebie. - A ty gdzie będziesz?

- Ja zacznę od altanki. Odczekaj kilka minut, zanim za mną pójdziesz.

W altance nie było żywej duszy, nikt jej nie pilnował, nikt nie szukał śladów. Richard uniósł latarnię i dokładnie obejrzał całe wnętrze. Było podobne do greckich świątyń, przy wejściu stały nawet greckie kolumny.

Wszystko było tak, jak pamiętał: mały stolik, kilka prostych krzeseł i palmy w donicach, stojące przy kolumnach. Pamiętał, że Rosamunda ściągnęła szal i przewiesiła go przez oparcie krzesła, ale zdaje się, że wychodząc, znowu go narzuciła, a jeśli nie, to może książe Michael owinął ją nim przed wyniesieniem jej z altanki. Na marmurowej posadzce nie dostrzegł krwi, tylko błoto, które nanieśli on i Rosamunda, no i może książe.

Znalazł ją natomiast na żwirowej ścieżce na zewnątrz - choć nie był pewien, czy to na pewno jest krew. Nie było jej wiele, a na dodatek rozmył ją deszcz. Ukląkł, zdjął rękawiczkę i dotknął ostrożnie ziemi. W tej chwili przelała się przez niego fala wściekłości. Starał się ją zdławić, wiedząc, że to nie pomoże mu w poszukiwaniach. Musi postępować tak, jakby brał udział w zwykłym dochodzeniu. Musi przestać wracać myślami do domu i wyobrażać sobie najgorsze. Musi się skoncentrować, skupić. Później dopuści do siebie gniew.

Przeszukał teren obok świątyni, ale nie znalazł niczego, co naprowadziłoby go na jakiś ślad. Trawa była pognieciona, niższe gałązki drzew połamane, ale to go nie zdziwiło, bo przecież wcześniej krążyli tu goście oglądający miejsce wypadku. Niemniej nie porzucił poszukiwań. Zszedł ze ścieżki i spróbował myśleć tak, jak mogła myśleć osoba, która strzelała. Najpierw zadał sobie pytanie, do kogo wymierzony był strzał: do księcia Michaela czy do Rosamundy? Następne pytanie brzmiało: w jaki sposób potencjalny zabójca zamierzał uciec z miejsca zbrodni? W normalnych okolicznościach dozorca patrolowałiby teren. Gdyby usłyszeli wystrzał, natychmiast by się tu zbiegli. Jednak wszyscy ogrodnicy musieli pilnować namiotów. Czy zabójca o tym wiedział? A może po prostu liczył na łut szczęścia?

Możliwe. Jednak Richard wyczuwał, że ma do czynienia ze sprytnym przestępcą, sprytnym i podejmującym szybkie decyzje, pozwalające mu wykorzystać nadarżające się okazje. Drań nie mógł liczyć na to, że w altance zastanie Rosamundę i księcia Michaela. Musiał ich śledzić, co zresztą ułatwiał strój księcia, który miał na sobie biały pułkowy mundur i głośno wołał Rosamundę. Ale

jaki był motyw zabójcy? To nie ma sensu. Ta dziewczyna nie ma wrogów, a księżę jest dopiero trzeci w kolejce do tronu. Richard nic z tego nie rozumiał. Co innego, gdyby ktoś strzelał do niego.

Skończył oględziny. Gdy zastanawiał się, co powinien zrobić w dalszej kolejności, dostrzegł między drzewami migotanie światła. Zbliżał się Harper z ogrodnikami. Biedacy nie mieli szczęścia. Deszcz na dobre się rozpadł, wiatr zamienił się w prawdziwą wichurę. Zanosiło się na porządną burzę, taką, co to wyrывa drzewa z korzeniami i zrywa kominy z dachów.

Nadciągająca burza znalazła odzew we wrzającej gniewem krwi Richarda. Gdy dowie się, kto skrzywdził Rosamundę, wtedy zagrożone będą nie tylko kominy.

Znowu powędrował myślami do domu. Nie pozwalaj sobie na roztargnienie, powtarzał w duchu. Oni i tak nie dadzą ci jej zobaczyć! Myśl!

Na teren otaczający Twickenham można było się dostać tylko dwiema drogami: rzeką i przez bramę, której zawsze pilnują strażnicy. Po chwili zastanowienia Richard podjął decyzję i ruszył w stronę brzegu rzeki.

Gdy wreszcie porzucił poszukiwania, był wyczerpany i zmarznięty. Praktycznie przecesał brzeg rzeki, przepytał też strażników przy bramie. Nikt niczego nie zauważył, nic nie wskazywało na to, że między służbą znajduje się ktoś obcy. Nie miał już sił, by się zastanawiać, co to może oznaczać.

Parter domu tonął w ciemności, jak zawsze o tak późnej godzinie, ale piętra były rozświetlone. Richard ukrył się przed wichurą między grupką sosen i z tego miejsca wpatrywał się w dom, przeklinając los za to, że nie może być teraz z Rosamundą. Najbardziej złościło go to, że jego wściekłość była bezzasadna. Dla Devere'ów jest tylko uciekinierem. Gdyby był na miejscu ojca lub braci Rosamundy, także nie dopuszczałyby do niej ludzi takich jak on.

Rozejrzał się i stwierdził ze zniechęceniem, że nie tylko on zrezygnował z poszukiwań. Ogrodnicy nie krążyli już z latarniami między drzewami. Podjazdem nie przemieszczały się żadne powozy. Wokół panowała cisza i deszcz. Dziki krajobraz odzwierciedlał to, co działo się w duszy Richarda.

Opuścił swoją kryjówkę i ciężkim krokiem udał się w stronę stajni. Skoro poszukiwania się zakończyły, Harper musi być u siebie. Jeśli pojawiły się jakieś nowe wieści o Rosamundzie, będzie je znał.

Richard nie musiał się już zmuszać do parcia przed siebie, nogi same go

niosły w górę strome go wzniesienia, na którego szczycie stał rząd domków przeznaczonych dla ogrodników. Zauważył, że u Harpera się nie świeci, paliło się natomiast w jego kwaterze. Rękawem otarł z twarzy krople deszczu, nacisnął na klamkę i wszedł.

Spodziewał się ujrzeć Harpera, ale to nie on klęczał przed ogniem buchającym z paleniska. To była kobieta. Podniosła się i odwróciła do niego. Wiatr, który wpadł przez otwarte drzwi, rozniecił ogień i czerwone iskry poszybowały do komina. Richard zatrzaskał drzwi.

- Richard! Gdzie byłeś? Zamartwialiśmy się o ciebie z Harperem.

- Rosamunda - wyszeptał.

Nie jest ranna, przynajmniej nie widać tego gołym okiem. Zmieniła suknię na cieplejszą, ciemną, z koronkami pod szyją i przy mankietach. W oczach miała łzy.

- To nie byłem ja - wyrzuciła z siebie, podchodząc do niego. - Harper powiedział mi, co myśleliście, ale się myliliście. To Prudence przechadzała się z księciem Michaeliem. Wydaje nam się, że to do niego strzelano, ale ktoś przez pomyłkę trafił Prudence. Jest tylko lekko ranna. Teraz śpi... - Zamilkła. - Richardzie, nic mi nie jest, naprawdę.

Oszołomiony, wyciągnął do niej rękę. Była ciepła i żyła. Zamknął oczy, przytulił ją do siebie i trzymał mocno w objęciach. Ona także otoczyła go ramionami. Nie odzywali się; nie potrzebowali słów.

Ona pierwsza się odsunęła.

- Jesteś przemoczony i zziębnięty. Pomogę ci zdjąć płaszcz.

Ściągnęła z niego okrycie i przewiesiła przez oparcie krzesła.

Richard przyglądał się jej, stojąc w miejscu, więc pociągnęła go w stronę łóżka.

- Zdejmij te mokre rzeczy - nakazała. Zaczynała się bać. Nigdy go takiego nie widziała. - Masz brandy?

- W komodzie. Ale nie chcę.

Usiadł na brzegu łóżka i wyciągnął rękę. Podeszła do niego natychmiast.

- Och, mój kochany, myślałam, że stało ci się coś złego - powiedziała



drżącym głosem. - Myślałam, że cię straciłam.

- Byłem takim głupcem - odparł i pocałował ją.

Cholernym głupcem, pomyślał, kładąc się obok Rosamundy na łóżku. Całe życie - w szkole, na uniwersytecie, w wojsku - wszędzie otaczało go mnóstwo ludzi, ale zawsze czuł się samotny. Aż nagle, niczym meteor, pojawiła się Rosamunda. Nie chciał już nigdy odczuwać samotności.

Przytulił ją. Nie liczył na to, że będzie łatwo. Nie wiedział, czy jest w stanie zapewnić jej szczęście. Ale już nigdy więcej, nigdy więcej nie będzie stał za zamkniętymi drzwiami, jak jakiś dostawca, nie wiedząc, czy ona żyje, czy nie. Między nimi już nigdy nie będzie zamkniętych drzwi.

Rosamunda widziała, że targają nim silne emocje, podobnie jak nią. Kiedy się dowiedziała o postrzeleniu Prudence, przeraziła się, że zabójca nadal krąży gdzieś w pobliżu, czyhając na niego, więc przy pierwszej okazji wymknęła się, by sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Harper znalazł ją w kwaterze Richarda i obydwójce zaczęli się martwić. Mijały godziny, a wyobrażenia podsuwała jej przerażające obrazki, aż w końcu Rosamunda wpadła w panikę. Dzięki Bogu wrócił cały i zdrowy, ona jednak nadal była roztrzęsiona.

Nauczyła się, że czas nie rozciąga się na wieczność. Wszystkie te mądre książki w bibliotece ojca mówiły nieprawdę. Czas może się wyczerpać w każdej chwili. Wszystko, co mieli, na co mogli liczyć, to tylko ta chwila, więc nie zamierzała jej zmarnować.

Przywarli do siebie i pozostali tak przez bardzo, bardzo długo, aż w końcu Richard, nadal lekko drżącymi dłońmi, ujął twarz Rosamundy i przyjrzał się jej.

W jego wzroku dojrzała pytanie.

- Tak - odparła.

Zaczął ją rozbierać.

Nie pragnęła słodkich słówek ani obietnic. Nie myślała o przyjemności ani o skromności. Pragnęła bliskości, dotyku jego gołego gorącego ciała, bycia z nim tak blisko, żeby nic nie mogło ich rozdzielić, nawet cień.

Jego usta i dłonie nie były delikatne, ale rozumiała to. Tak emocjonujący wieczór nie sprzyjał delikatności. Zbliżenie trwało krótko, było namiętne i bolesne, takie właśnie, jakiego potrzebowała.

Richard zsunął się na bok i przyciągnął ją do siebie.

- Nie zostawiaj mnie - wymamrotał i jakby dla upewnienia się, że mu nie ucieknie, mocno chwycił ją za nadgarstek, i pogrążył się w ciężkim śnie.

Obudził się nagle i w oszołomieniu przez chwilę myślał, że wichura zdarła z domu dach. Uniósł się i stwierdził, że zimno dolatuje do niego od otwartych drzwi. Stała w nich Rosamunda. Usłyszał, że mówi coś do kogoś, ale było zbyt ciemno, żeby mógł dojrzeć jej rozmówcę. Była owinięta w pelerynę, ale miała gołe stopy i ramiona.

- Czy to był Harper? - zapytał Richard miękko, kiedy zamknęła drzwi.

Odwróciła się powoli.

- Tak - odparła. - Sądziłam, że będzie zaszokowany, kiedy mnie tu zobaczy. - Odsunęła włosy z twarzy.

Richard uśmiechnął się.

- I był?

- Nie, raczej zrezygnowany.

- Czy przekazał ci jakąś wiadomość dla mnie?

- Cóż, niech no się zastanowię. - Spojrzała na sufit, jakby tam widniały słowa Harpera. - Jeżeli dobrze go zrozumiałam, powiedział, że jeśli jeszcze raz sam się gdzieś urwiesz, nie powiadamiając go o tym, zrobi ci krzywdę. - Uśmiechnęła się. - Był bardzo zły, ale oczywiście ulżyło mu.

- Czy to wszystko? - zapytał wesoło Richard.

- Nie, zaproponował, że odprowadzi mnie do domu, ale powiedziałam, że jeszcze nie chcę wracać.

Jej słowa sprawiły mu ulgę. W oczach Rosamundy nie widział zniechęcenia czy odrazy. Każda inna kobieta... ale nie ma sensu porównywać jej z innymi kobietami. Rosamunda jest jedyna...

- Nastawiłam czajnik - rzekła. - Może się ubierzemy i porozmawiamy przy herbacie.

- Nie chcę, żebyś się ubierała.

Patrzył na nią tak intensywnie, że zaszumiało jej w głowie,

- Och!

- A porozmawiamy później. Wracaj do łóżka, Rosamundo.

Wyciągnął rękę, a ona podeszła do niego bez namysłu. Ta oznaka zaufania bardzo go wzruszyła.

Nagle nad ich głowami rozległ się trzask. To wiatr szarpał gałęziami drzew. Usłyszeli łomot, tak jakby urwała się wielka gałąź, bądź całe drzewo zostało wyrwane z ziemi wraz z korzeniami. Potem wycie wiatru przeszło w jęk.

Rosamunda zadrżała, więc pociągnął ją do łóżka i objął. Poruszyło się w nim coś ognistego, coś, co graniczyło ze strachem. Patrzyła na niego z takim zaufaniem. Chciał chronić ją przed złem i brzydotą świata, ale nigdy bardziej niż teraz nie uświadamiał sobie faktu, że nie jest nieśmiertelny, tak jak i ona.

Całował ją długo i wolno.

- Co uczyniłoby cię szczęśliwą? - zapytał.

- Bycie z tobą. To jest moje szczęście. - Spojrzała mu w oczy i usta jej zadrżały. - Richardzie, zabierz mnie ze sobą. Nie mogę znieść myśli, że nie będę wiedziała, gdzie jesteś lub co się z tobą dzieje. Moglibyśmy zacząć od nowa, gdzieś indziej. Wtedy byłabym szczęśliwa.

- I tak zrobimy, ale najpierw porozmawiam z twoim ojcem.

Patrzyła mu w oczy przez dłuższy czas. Wiedziała, że mówi poważnie.

- A co ciebie uczyniłoby szczęśliwym, Richardzie?

- Ty - odparł gwałtownie. - Tylko ty.

Uścisnął ją, całując czoło, oczy, policzki, uszy i w końcu usta. Gdy usłyszał jej urywany oddech, zdjął z niej pelerynę. Pod spodem nie miała nic. Jej ciało było

gładkie, giętkie i gorące. Chciał jej pokazać, że seks może oznaczać coś więcej niż tylko szalony zryw namiętności, że można się kochać powoli, spokojnie, a równie pięknie. Że taka miłość też jest przyjemna.

Rosamunda była zachwycona, miała wrażenie, że unosi się na falach, ale ponieważ nie była już nowicjuską, wiedziała, dokąd zabierze ją prąd. Naśladując Richarda, odpowiadała mu podobnymi pieszczotami. Serce jej biło jak oszalałe. Oddech utykał w gardle. Ciepłe fale stawały się coraz większe i bardziej wzburzone.

Richard, próbując się opanować, zacisnął usta na jej szyi, owiała go jednak woń perfum, które podziały na niego jak narkotyk. Spokojnie, powtarzał sobie w duchu, spokojnie, ale nie umiał zmusić rąk i ust, by go posłuchały. Musiał dotykać, musiał smakować.

Rosamunda jęknęła cicho, gdy zamknął usta na jej piersi. Rozkosz rozplywała się po całym jej ciele aż do łona. Nie mogła oddychać.

Richard uniósł jej kolana i delikatnie dotknął miejsca między udami. Jęknęła, co sprawiło, że przeszył go dreszcz, za wszelką cenę starał się jednak nad sobą panować. Za pierwszym razem był zbyt niecierpliwy, by doprowadzić ją do orgazmu. Tym razem myślał tylko o niej.

Chciała dotykać go tak jak on ją, ale nie pozwolił jej na to. Wierciła się, drżała, walczyła z rosnącą falą.

- Richardzie! - zawołała.

Na ten bezradny okrzyk poruszyło się w nim coś na wskroś prymitywnego. Jeszcze nikt nie wprowadził jej w taki stan i nikt, tego nigdy nie robi. Należała tylko do niego. Jeszcze nigdy nie odczuwał takiego pragnienia i pożądania.

Ciężko oddychając, objął ją i powoli w nią wszedł.

- Rosamundo... - W gardle znowu czuł ten dziwny ucisk, który nie pozwalał mu mówić.

Spojrzała na niego, wbijając mu palce w plecy.

- Dlaczego przestałeś?

Uśmiechnął się. Jest taka rozkoszna. Ale uśmiech znikł, gdy się poruszyła. Richard uniósł się, a potem powoli wsunął się w nią, sięgając tak daleko, jak tylko mógł.

Nigdy jeszcze Rosamunda nie była tak świadoma swojego ciała ani przyjemności, której doznawała i którą dawała. W tej chwili wydawało jej się, że pojmuje, co tak zdumiewa filozofów od zarania dziejów. Wiedziała, dlaczego istnieje wszechświat. Właśnie dla tej chwili.

Wtedy Richard poruszył się, a ona już nie mogła myśleć. Całowała go, poddając się narzucanemu rytmowi, aż przyjemność zamieniła się w ból, nieznośne drżenie, które zakończył wybuch.

Richard, zmęczony i senny, lecz zadowolony, leżał na plecach z dłońmi podłożonymi pod głowę. Wiedział, że na jego twarzy gości uśmiech samozadowolenia. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, jakim jest kochankiem. Zakładał, że dość dobrym, i nie odczuwał potrzeby podniesienia swoich umiejętności. Ale tak było, zanim poznał Rosamundę. Z właściwą partnerką osiągnął wyżyny, o których istnieniu nie miał pojęcia.

Z westchnieniem satysfakcji przekręcił się na bok, aby popatrzeć na kobietę swojego życia. Rosamunda, jak przyrzekła, przygotowywała mu herbatę. Tydzień, dwa tygodnie wcześniej nie wiedziała, jak rozpalić ogień i zagotować wodę w czajniku. A teraz, proszę. Był naprawdę pod wrażeniem. Z drugiej strony teraz nie miało dla niego znaczenia, czy ta dziewczyna potrafi rozpalić ogień, czy nie. Te dwa tygodnie zmieniły i jego, i ją.

Była już ubrana. Przygotowała dla niego świeżą koszulę i spodnie, więc postanowił je włożyć, ale tylko po to, by sprawić jej przyjemność. Sprawdził godzinę i uznał, że mają wystarczająco dużo czasu, żeby przeżyć jeszcze jedną chwilę uniesienia, zanim odprowadzi ją do domu.

No i oczywiście muszą porozmawiać.

Ale gdy już się ubrał i usiadł przy stole, przekonał się, że nie jest to takie

proste. Musiał jej dotykać, musiał ją przytulać. Musiał ją całować. Nie tylko on. Rosamunda umiała uwodzić. Jej ciche pojękiwania doprowadzały go do szaleństwa. Była taka ciepła, taka pociągająca.

Odsunął się i zapytał:

- Herbata czy łóżko?

- Łóżko! - odparła bez wahania i ze śmiechem pociągnęła go za sobą.

## *Rozdział 20*

W końcu zasiedli do herbaty.

- A więc - zaczął Richard - powiedz mi, co się wydarzyło po tym, jak cię zostawiłem.

Odstawiła kubek.

- Jestem zdumiona, ale okazało się, że nie tylko my umówiliśmy się na spotkanie w świątyni. Prudence, moja słodka, niewinna, cicha Prudence umówiła się tam z księciem Michaeliem. Jeszcze nigdy w życiu nikt mnie tak nie zwiódł. Sądziłam, że zadurzyła się w Casparze, a tymczasem cały czas chodziło o księcia Michaela. To dlatego tak oschle traktowała mnie i Caspara, że ani on, ani ja nie wypowiedaliśmy się zbyt pochlebnie o księciu. Przykro to przyznać, ale czasami bywałam zjadliwa, a jej to sprawiało ból. I wygląda na to, że on także ją kocha. Przynajmniej, że zrezygnuje z kandydowania do tronu, by móc się z nią ożenić. Nie opuścił jej od chwili wypadku. Tak to wydarzenie nazywamy w domu, wypadek, żeby nie wywoływać większej paniki.

- Dlaczego jesteś taka zła?

- Nie jestem zła, tylko zawiedziona. Księżę Michael jest nawet miły, ale Prudence to inteligentna dziewczyna. Mogłaby trafić lepiej.

Richard zadumał się, po czym powiedział:

- Nie rozumiem dlaczego, skoro kocha inną, chciał zaręczyć się z tobą.

Przez twarz Rosamundy przemknął cień bólu.

- To ty sobie to wymyśliłeś. Jak mogłeś uwierzyć, że wyjdę za tego... nie, nie, nie nazwę go nudziarzem, ponieważ on naprawdę jest miły. Chodzi po prostu o to, że nie mamy ze sobą nic wspólnego.

Richard nie zamierzał się sprzeczać. Księżę nie stanowił już zagrożenia, a to najważniejsze. Podniósł kubek, a Rosamunda go napełniła.

- A więc zostałeś sama w altance, i co dalej?

- Byłam w takim stanie, że nie chciałam się nikomu pokazywać, więc kiedy usłyszałam, że księżę mnie woła, wyszłam z altanki i obeszłam ją dokoła, po czym skierowałam się do wejścia dla służby na tyłach domu. Szłam do sypialni uczesać się, bo byłam potargana. Wtedy chyba Prudence dotarła do altanki i tam czekała na księcia. A on, nie znalazłszy mnie, udał się do Prudence.

- Po co księżę cię szukał?

- Chciał, żebyśmy wróciła do gości, którzy już się zbierali. Miałam ich pożegnać. To ojciec poprosił go, żeby mnie zawołał. Ponieważ nie znalazł mnie na sali balowej ani w jadalni, wyszedł na zewnątrz. No a poza tym miał przecież zjawić się w altance, gdzie czekała na niego Prudence. Byli tam krótko, a kiedy wyszli, ktoś strzelił i trafił Prudence. Księżę rzucił się na nią, chcąc osłonić ją własnym ciałem. Tyle tylko wiem.

- Osłonił ją własnym ciałem? No, no, zdaje się, że muszę zmienić o nim zdanie.

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś zobaczył siniaki Prudence. Wyrządził więcej szkód niż ta kula.

Richard roześmiał się.

- Domyślam się, że nie widział człowieka, który strzelał?

- Niestety nie. Nikt go nie widział, ani służba, ani goście, którzy pobiegli po wystrzale do altanki.

- A co z twoim szalem? - przypomniał sobie Richard. - Zostawiłaś go tam? Pamiętam, że wisiał na krześle.

- Dlaczego pytasz?

Wzruszył ramionami.

- Panna Dryden ma włosy ciemne tak samo jak ty i jest podobnego wzrostu. Przyszło mi do głowy, że jeśli zarzuciła na siebie twój szal, ktoś mógł ją wziąć za ciebie.

Rosamunda była zaszokowana.

- Dlaczego ktoś miałby do mnie strzelać?

- Nie wiem. Tak jak nie wiem, po co ktoś strzelał do panny Dryden. - Widząc, że Rosamunda zmienia się na twarzy, dodał: - O co chodzi?

Potrząsnęła głową.

- Wydaje mi się, że to nie ma większego znaczenia, ale Prudence powiedziała mi dzisiaj, że jej brat, Peter Dryden, studiował z tobą w Cambridge. Teraz jest pastorem w kościele pod wezwaniem Marii Panny w Chelsea. Pamiętasz go?

- Peter Dryden? - powtórzył Richard z namysłem. Nazwisko brzmiało znajomo, ale nie potrafił dopasować do niego twarzy. To znaczyło, że Peter Dryden nie znajdował się w gronie chłopców, którzy go wtedy osądzili. Ich imiona zapisały się w jego pamięci na zawsze.

Spojrzał na Rosamundę.

- A co on ma z tym wszystkim wspólnego?

- Prudence twierdzi, że jej brat jest absolutnie przekonany, iż nie mógł zamordować Lucy Rider. Opowiadał jej o Franku Stapletonie i o tym, że to ciebie oskarżono, a nie jego. Powiedział także, choć Prudence nie mówiła tego z przekonaniem, że Stapleton wyjechał do Kanady i tam zmarł.

- Warto to sprawdzić, prawda? Zwłaszcza po wczorajszych wydarzeniach.

- O tak, warto.

Nie myślał tylko o Franku Stapletonie. Dunsmoor było ściśle związane z Cambridge, a ostatnio coraz więcej o nim myślał. Na pewno warto odwiedzić Petera Drydena.

Znowu zaczął wypytywać Rosamundę. Dowiedział się, że książe Michael był przekonany, iż kula była przeznaczona dla niego. Kolnbourg pełne jest



podżegaczy, którym zależy na wszczęciu zamieszek. Jeden książę mniej to dla nich powód do radości.

- Tak dokładnie powiedział - potwierdziła Rosamunda, a Richard znów się roześmiał.

- A co o tym myśli twój ojciec?

Upiła łyk herbaty.

- Nie mówił wiele. Wiem, że chce z tobą porozmawiać. Posłał po ciebie Justina, ale ten wrócił i powiedział, że pracownicy przeczesują teren i nigdzie nie mógł cię znaleźć. Ojciec postanowił porozmawiać z tobą z samego rana.

Richard skinął głową.

- To dobrze. Ja też chcę z nim porozmawiać.

- O mnie?

- Przede wszystkim o tobie.

Przez chwilę skubała koronkę u rękawa, potem sprawdziła, czy w dzbanku jest jeszcze herbata, ale w końcu, straciwszy cierpliwość, zapytała:

- No więc, co chcesz mu powiedzieć? Zaskoczyła go tym pytaniem.

- Zamierzam go poinformować, że się pobieramy.

Wyprostowała się.

- Poinformować, a nie prosić o pozwolenie?

- Poinformować - potwierdził gwałtownie. - Jeśli zapytam o zgodę, może mi odmówić. Nie dam mu wyboru.

- Czy nie wypada, aby dżentelmen, zanim zwróci się do ojca, najpierw poprosił o zgodę swoją wybranek?

Rosamunda żartowała, ale Richard odpowiedział bez uśmiechu.

- Tobie także nie dam wyboru.

Spojrzała mu prosto w oczy. Patrzył na nią tak intensywnie, że od tego spojrzenia zabrakło jej tchu i serce zaczęło mocno walić. Chciała odwrócić wzrok, ale jej na to nie pozwolił. W jego spojrzeniu było coś prymitywnego, coś bardzo męskiego i władczego.

Zamrugnęła, spuściła wzrok i głęboko odetchnęła.

- Zaszokowalibyśmy Harpera, gdybyśmy się nie pobrali, a tego chyba nie chcemy, prawda? - powiedział.

Pragnęła dostosować się do jego żartobliwego tonu, ale serce nadal mocno jej waliło.

- Obawiam się, że Harper i tak jest już w szoku. Kiedyś mówił mi, że cierpisz po stracie ukochanej.

Richard wydawał się zdumiony.

- Jakiej znowu ukochanej?

- Nie ma nikogo takiego?

- Nie.

Rosamunda skinęła głową.

- Tak myślałam. Widzisz, on był przekonany, że twoje serce jest już zajęte i dlatego właśnie żadna kobieta ci nie odpowiada, nawet tak wspaniała jak pani Templar czy piękna żona Jasona Ridleya, ale ja od razu zrozumiałam, że to nie o to chodzi. Harper jest romantykiem. Znam się na tym.

Richard uśmiechnął się.

- Harper lubi mieszać. Powiedział to dla twojego dobra, żebyś o mnie zapomniała i wróciła do swojego życia. Cóż, miałaś szansę, ale z niej nie skorzystałaś. Teraz jest już za późno.

Oparła brodę na splecionych dłoniach.

- Richardzie, nie chcesz wiedzieć, dlaczego uważam, że nigdy nie podobała ci się żadna kobieta?

Bardzo nie lubił, kiedy ktoś przeprowadzał szczegółową analizę jego kontaktów z płcią przeciwną. Za to kobiety chyba to uwielbiają i są ekspertami w tej dziedzinie. Nie rozumiał, co mogło z tego wynikać dobrego.

- Nieszczególnie - odrzekł. Rosamunda zasznurowała usta. Widząc to, westchnął. - No dobrze, dlaczego?

- Dlatego, że nie spotkałeś właściwej kobiety do chwili, gdy poznałeś mnie.

Uśmiechnął się.

- Jesteś tego zupełnie pewna, prawda?

- Oczywiście. I rzecz nie w tym, że tobie one się nie podobały. Bądźmy szczerzy. Która by z tobą wytrzymała? Z tymi twoimi nastrojami, brakiem galanterii i obcesowym sposobem wyrażania się? Tylko ja. - Oczy jej błyszczały. - I wiesz dlaczego?

- Zamieniam się w słuch - rzucił twardo.

- Ponieważ przez całe życie otaczali mnie ludzie, którzy mi schlebiali. Ty tego nie robisz. Nie próbujesz mnie oczarować. Nie szepczesz mi do ucha słodkich słówek. Mówisz to, co myślisz.

Popatrzył na nią z powagą.

- Masz rację. Mówię to, co myślę. Nie oddam cię, Rosamundo, więc kiedy twoja rodzina każe ci wybierać, pojedziesz ze mną.

Krzyknęła, bo sięgnął po nią z nienacką i porwał w ramiona. Pocałował ją mocno. Czuła w tym pocałunku namiętność, ale też desperację. Pocałunkiem mówił jej, że bardzo pragnie, by wszystko było tak proste i jasne jak jego miłość do niej.

Ale nie było. Nad nimi wisiała czarna, złowieszczą chmura. Być może czeka ich wspólna przyszłość, a może mają tylko tę chwilę. Rosamunda poczuła w gardle dławiącą gulę i nagle jej pocałunki stały się tak samo szalone jak jego.

Tym razem kochali się powoli. Na tę chwilę odcięli się od świata i myśleli tylko o sobie.

Długo po tym, jak odprowadził ją do domu, Richard rzucał się niespokojnie na łóżku. Powtarzał sobie, że niczego nie żałuje, że chciał porzucić Rosamundę, ale

z góry skazany był na przegraną. Wcześniej czy później i tak doszłoby do tego, co się wydarzyło. Szok, którego doznał, myśląc, że ją stracił, tylko przyspieszył rozwój nieuniknionych wypadków.

Teraz jednak, gdy Rosamunda mu się oddała, ogarnęły go wątpliwości i obawy. A jeśli nie zdoła oczyścić się z zarzutów? Wtedy do końca życia zostanie zbiegiem. I co wówczas stanie się z nią?

Nie miał zwyczaju zamartwiać się tym, co się może zdarzyć. Najważniejsza jest chwila obecna. Nie było drogi odwrotu, więc musiał w jakiś sposób udowodnić swoją niewinność.

Postanowiwszy to, jeszcze raz przyjrzał się swojej przeszłości. Pomyślał o Cambridge, potem o mordercy Lucy Rider i na koniec o postrzeleniu Prudence Dryden.

Coś nie dawało mu spokoju, jakieś podobieństwo między morderstwem Lucy i strzałem do Prudence. Co to jest? Zapadł w niespokojny sen, a jego umysł zabrał się za rozwiązywanie problemu.

## *Rozdział 21*

Richard musiał nieco poczekać na rozmowę z księciem z powodu przyjazdu milicji, która przebywała w zamku aż do obiadu, przesłuchując świadków i robiąc notatki. Od służby dowiedział się, że milicjanci przyjęli wersję księcia Michaela i uznali, że to on był celem ataku, a strzelał zapewne jakiś fanatyk z jego kraju, który miał pretensje do królewskiej rodziny z Kolnbourga.

Czas oczekiwania na spotkanie z księciem Richard wykorzystał na rozmyślanie i szukanie odpowiedzi na krążące mu po głowie pytania. W pewnej chwili pojął, na czym polega podobieństwo między zabójstwem Lucy Rider a atakiem na pannę Dryden. W obu przypadkach przestępca zniknął bez śladu, mimo że wokół znajdowało się mnóstwo ludzi.

Richard uświadomił sobie, że przestępca wcale nie musiał zbiec z miejsca zbrodni. Mógł znajdować się wśród obserwatorów, być może nawet stał w pierwszym rzędzie. Nikt nie zwracał na niego uwagi, ponieważ wszyscy go znali.

Nie było to epokowe odkrycie, a tylko teoria, którą należało wziąć pod uwagę. Richard postanowił, że jedną rzecz musi sprawdzić na pewno. Major Digby wiedział o istnieniu Dunsmoor. Kto mu o nim powiedział? Kto znał takie szczegóły z jego życia? Ktoś dobrze się napracował, żeby je poznać.

Nie było to wiele, ale nic innego nie przyszło mu do głowy.

Resztę dnia spędził, pomagając ogrodnikom zaprowadzić porządek po burzy. Towarzyszył mu Harper, który był w naprawdę ponurym nastroju. Atak na pannę Dryden zaniepokoił go, a wersja przyjęta przez milicję, że strzelano do księcia Michaela, wcale do niego nie przemawiała. Instykt podpowiadał mu, że w Twickenham nie jest już bezpiecznie i że czas stąd ruszać.

Lord Justin przyszedł po Richarda, kiedy ten wraz z Harperem uprzątał stół po wieczornym posiłku. Richard postanowił nie wkładać na tę okazję liberii. Ubrał się w ciemne spodnie i ciemny surdut. Chciał, żeby jego spotkanie z księciem było spotkaniem dwóch mężczyzn, a nie służącego z panem. Poza tym nawet służba miewa wychodne. Uznał, że nadszedł na to czas.

Obecność Harpera nie była wymagana, ale Richard chciał, by przyjaciel mu towarzyszył. Sierżant chętnie się na to zgodził. Znowu wrócił do roli ochroniarza, co lord Justin uznał za śmieszne i zupełnie niepotrzebne, lecz Richard był innego zdania. Podobnie jak Harper, trzymał dłoń w kieszeni, w której skrył pistolet. Ufał instyktowi Harpera tak samo jak swojemu.

Księżę czekał na niego w bibliotece. Sam. Wskazał dłonią krzesło. Richard przypomniał sobie, że Jego Wysokość jest osobą małomówną, a więc należy cenić każde jego słowo. Usiadł.

- Napije się pan brandy? - spytał księżę.

- Dziękuję.

Richard przygotował się na to, że będzie traktowany wyniośle. Wiedział, że Rosamunda powiadomi rodzinę o ich zamiarze pobrania się. Chyba nakazała ojcu uprzejmość, bo księżę, choć nie był wylewny, to zwracał się do rozmówcy całkiem grzecznie, a przynajmniej się starał.

Podał Richardowi kieliszek, po czym usiadł naprzeciwko.

- Chciałbym, byśmy rozmawiali jak ludzie równi sobie - zaczął. - Nie zawsze muszę odwoływać się do swojej pozycji.

To są słowa Rosamundy, pomyślał Richard i byłby nimi rozbawiony, gdyby nie fakt, że sytuacja, w której się znajdował, była bardzo dziwaczna. Nie jest przecież wymarzoną kandydatką na męża, co księżę z pewnością za chwilę mu wypomni. Starał się też nie zapomnieć o prośbie Rosamundy, która przed rozstaniem poradziła, by się nie zapominał i pokazał się z najlepszej strony.

- Po pierwsze - zaczął księżę - powiedz mi pan, co sądzisz na temat wczorajszych straszliwych wypadków. Zapewne słyszałeś, że milicja uważa, iż celem miał być księżę Michael.

- Słyszałem - potwierdził Richard i potrząsnął głową. - Ale za wcześnie na wyciąganie wniosków, tym bardziej że księżę Michael nie jest przecież pierwszym kandydatem do tronu, więc po co ktoś miałby go usuwać. Chciałbym, za pana zgodą, przesłuchać zarówno księcia, jak i pannę Dryden. Można im powiedzieć, że jestem agentem Służb Specjalnych. Nie poznają mnie.

- To nie wchodzi w grę.

Richard zeszywniał.

Księżę nabrał powietrza. Nie rozumiał, dlaczego Maitland zawsze tak szybko się obraża, zwłaszcza że to przecież on jest stroną poszkodowaną.

- To nie wchodzi w grę - wyjaśnił - bo księżę uznał, iż pannie Dryden lepiej będzie u brata. Wyjechali zaraz po milicji. Zapewniam jednak, że obydwójce nie widzieli ani nie słyszeli niczego, co mogłoby pomóc w rozwiązaniu zagadki. Panna Dryden nie ma wrogów, bo też skąd wrogowie u tak młodej kobiety pochodzącej z porządnej rodziny? A co do księcia, ten i owszem, ma ich, najwięcej wśród mężów swoich kochanek. Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie oszukał... Cóż, to nie ma związku z naszą rozmową. Tak czy inaczej, księżę Michael zarzeka się, że spotkanie panny Dryden całkowicie go odmieniło.

Richard rozluźnił się. Postanowił przesłuchać Dryden i jej brata zaraz po opuszczeniu Twickenham.

Na skroni księcia pojawiła się tętniąca żyła. Wbił wzrok w rozmówcę.

- Moja córka twierdzi, że ma mi pan coś specjalnego do powiedzenia.

Spojrzenie Richarda pozostało tak samo niewzruszone jak spojrzenie jego rozmówcy.

- Zamierzamy się pobrać - odparł.

- Chyba ja także mam tu coś do powiedzenia!

- Wszystko, co mógłby pan mi powiedzieć - zaczął Richard - sam sobie już powiedziałem. Proszę mi wierzyć, że tak samo nie jestem zadowolony z faktu, że Devere'owie staną się moimi krewnymi, jak wy z tego, że ja będę waszym!

- Przynajmniej w tym względzie się zgadzamy! - warknął książę. - Jednak w przeciwieństwie do pana, my, Devere'owie, nie osądzamy ludzi po ich pozycji społecznej. Och, tak, to są słowa Rosamundy. Moja córka zwierza mi się prawie ze wszystkiego.

- W takim razie musiała też powiedzieć, że nasze małżeństwo jest nieuniknione.

- Użyłbym słowa konieczne.

Richard nie odezwał się.

- Konieczne! - powtórzył książę. - Tak powiedziała mi Rosamunda. Czy pan wie, Maitland, że mnie pan zawiódł? Nie dlatego, że skompromitował pan moją córkę. Tłumaczyła mi, że okoliczności były wyjątkowe. Jest zdecydowana być z panem za moją zgodą lub bez niej. Podejrzewam, że dlatego właśnie wyznała mi, że jesteście kochankami. Cóż mogę zrobić? Nie jesteście już dziećmi. Dokonała wyboru i muszę go zaakceptować.

- Dziękuję - odparł Richard i odetchnął.

- To wcale nie znaczy, że mi się to podoba! Niech pan wierzy, że robiłem, co mogłem, aby przemówić jej do rozsądku.

Jednak na każdy argument ojca Rosamunda odpowiadała jedno; jest już dorosła, chce jego błogosławieństwa, ale tak czy inaczej, nawet bez jego zgody, poślubi Maitlanda.

Przypominała Caspara, gdy ten wrócił z wojny. Nic nie mogło złamać jej stalowego uporu. Książę wiedział, że mógłby zapobiec małżeństwu, wysyłając córkę do zamku Devere i tam trzymając ją pod kluczem, ale takiej ceny nie chciał płacić. Wiedział, że wtedy nigdy więcej nie nazwałaby go ojcem.

- Zawiodłem się - kończył - ponieważ źle pana oceniłem. Uważałem, że jest pan wojownikiem, że pana celem jest obrona własnego honoru.

Richard spochmurniał.

- To się nie zmieniło.

Książę roześmiał się.

- Tak? A jak pan zamierza tego dokonać, mieszkając we Włoszech lub w innym kraju, do którego zamierza pan zbiec?

- Słucham? - wycedził Richard przez zaciśnięte zęby. - Czy coś takiego powiedziała panu Rosamunda?

- Powiedziała, że pobierzecie się od razu, a potem uciekniecie do Szkocji lub innego niedostępnego miejsca i tam będziecie żyli sobie szczęśliwie, chociaż jak...

- Książę zauważył oburzenie Richarda i zamilkł. - Nie zamierza pan uciekać za granicę?

- Nie wiem, dlaczego Rosamunda wpadła na taki pomysł. Och, do diabła! - Richard skrzywił się, bo wróciła mu pamięć. - Rozmawialiśmy o rozpoczęciu nowego życia, ale miałem na myśli czas, gdy już zostanę uniewinniony. I nigdy nie planowałem opuszczać Anglii.

Nastąpiła długa chwila wypełniona ciszą.

- W takim razie, czy nasza rozmowa nie jest przedwczesna? - zapytał w końcu książę. - Czy nie lepiej poczekać z oświadczeniami? Po co ten pośpiech? Moja córka przecież nie jest w ciąży. Niech pan załatwi swoje sprawy, a potem się pobierzecie. Otwarcie i z moim błogosławieństwem.

- Nie. Musimy to zrobić teraz ze względu na Rosamundę. Nie chcę, by moje słowa zabrzmiały melodramatycznie, ale powinniśmy brać pod uwagę fakty. Pana córka może szybko zostać wdową. Gdybym zginął i okazałoby się, że jednak nosi w łonie nasze dziecko, mogłaby się załamać.

Oczy księcia zapłonęły.

- Ona załamie się tak czy inaczej, jeśli coś się panu stanie. Proszę mi powiedzieć, cóż tak niebezpiecznego zamierza pan uczynić, że zagraża to pańskiemu życiu?

- To jeszcze nic pewnego - odparł spokojnie Richard. - Ale jeśli zawiodą inne sposoby, być może będę zmuszony wystawić się na przynętę dla zabójcy. Przyda mi się pańska pomoc.



Załatwieniem formalności zajął się lord Caspar. Bez trudu zdobył specjalne zezwolenie na nazwisko Richarda i znalazł małą, położoną na uboczu kapliczkę w Cheapside. Ślubu udzielał stary wikary, który nie potrafił zapamiętać nawet tego, jaka jest pora dnia. Odbyło się to w obecności braci Rosamundy. Księżę się nie zjawił, twierdząc, że jest zbyt znany i obawia się, że jego osoba przyciągnęłaby zainteresowanie gawiedzi. Rosamunda zgadzała się z nim, jednak nieobecność ojca kładła się cieniem na najszczęśliwszym dniu jej życia.

Po uroczystości nie było przyjęcia. Zaraz po ceremonii Rosamunda zdjęła obrączkę, która należała do jej matki. Następnie państwo młodzi wynajęli dorożkę i udali się do zajazdu, w którym pozostawili powóz (nie chcieli jechać nim do kościoła, obawiając się, że ktoś go może rozpoznać) i powrócili do Twickenham.

W czasie podróży w obecności braci Rosamunda nie mogła porozmawiać szczerze z Richardem, choć bardzo tego pragnęła. Ale i tak była zadowolona, bo panowie odnosili się do siebie uprzejmie, a nie z wrogością, czego się obawiała. Miała podstawy, by się o to martwić, bo przecież jej zamiary, gdy je wyjawiała rodzinie, nie zostały przyjęte z radością.

Ojciec od razu wezwał jej braci. Musiała stawić czoło całej trójce, która wysuwała jeden argument za drugim, namawiając ją, żeby przynajmniej odłożyła ślub. Rosamunda przekonywała, że ślub musi się odbyć natychmiast. Wyznała, że sama poszła do Richarda i go uwiodła.

- Kochasz go - stwierdził w końcu ojciec. - Ale czy on kocha ciebie?

- Tak - odparła. - Richard mnie kocha.

Właściwie nigdy jej tego nie powiedział, ale nie zamierzała wtajemniczać w to ojca, wiedząc, że uczepiłby się tego argumentu. Richard nie jest sentymentalny, dlatego właśnie trudno mu jest wyrażać miłość słowami. Starał się trzymać ją na dystans, bo duma nie pozwalała mu myśleć o małżeństwie z kobietą o wyższej pozycji społecznej. Jakby nie wiedział, że ona się tym nie przejmuje! I nadal trzymałby się od niej z daleka, gdyby nie ten wypadek z Prudence.

To wydarzenie bardzo nim wstrząsnęło i zmusiło do odsłonięcia się, do

ujawnienia uczuć. Mówiły o nich jego oczy i to drżenie, gdy jej dotykał i gdy się z nią kochał. Na wspomnienie wspólnie spędzonej nocy sama zadrżała.

Postanowiła zmienić bieg myśli i oparłszy się o siedzenie, popatrzyła na trzech towarzyszących jej mężczyzn. Przyjrzała się zwłaszcza Richardowi i Casparowi.

Z wyglądu bardzo się różnili: Caspar miał ciemne włosy i był wysoki; włosy Richarda były kasztanowe, przetykane złotymi pasmami. Z nich dwóch on właśnie wydawał się bardziej angielski, choć wątpiła, czy uznałby to za komplement. Obydwaj byli mężczyźni i biła od nich pewność siebie.

Przeniosła wzrok na Justina. Jadł jabłko. Był jak młodsza wersja Caspara, ale coś go jednak odróżniało od tamtych dwóch mężczyzn.

Miał w sobie radość i beztroskę, której brakowało tamtym. Rosamunda lubiła go właśnie za to, że był przejrzysty jak górskie jezioro.

Owinęła się mocniej połamami peleryny, bo nagle poczuła przejmujący chłód.

- Nie rozumiem - rzuciła Rosamunda. - Myślałam, że wyjedziemy jeszcze dzisiaj. Jestem spakowana. Co się stało, Richardzie? Dlaczego zmieniłeś zdanie?

Siedzieli na oszklonej werandzie. Harper strzegł jej od strony ogrodu, a lord Justin stał z drugiej strony. Nikt nie mógł wejść na werandę bez ich pozwolenia.

Po raz pierwszy w ciągu całego dnia Richard i Rosamunda mieli okazję pozostać sami. Zapadał już zmrok, więc na werandzie paliły się latarnie, ich światło jednak było przyćmione, więc Rosamunda nie mogła dostrzec wyrazu twarzy Richarda.

- Nie zmieniłem zdania - odpowiedział. - Nie zrozumieliśmy się. Może się przejdziemy?

Podał jej ramię i ruszył przed siebie. Nad nimi rozpościerały się gałęzie egzotycznych drzew, powietrze wypełniała woń rosnących na klombach goździków i lawendy. Rosamunda jednak nie miała w tej chwili ochoty na podziwianie roślinności.

- W takim razie kiedy wyjedziemy? Jutro? Pojutrze? - zapytała z mocno bijącym sercem.

Nie wiedział, jak jej to przekazać, więc powiedział po prostu:

- Ja wyjeżdżam, ty zostajesz. Ale szybko wrócę. Wrócę po ciebie i wtedy zaczniemy to nowe życie, które ci przyrzekłem.

Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy. Uniosła brwi.

- A ty dokąd się wybierasz?

- Do Londynu - rzekł krótko. - Rosamundo, nie wiem, dlaczego źle mnie zrozumiałaś. Nigdy nie ukrywałem, że przede wszystkim pragnę udowodnić swoją niewinność.

Widział, że jest zaskoczona. Szeroko otworzyła oczy i ciężko oddychała.

Spróbował złagodzić jej ból.

- Będę niedaleko, a Harper będzie cię informował o tym, co się ze mną dzieje.

Miał taką spokojną minę, taką obojętną, podczas gdy nią szarpał ból i lęk. Lęk był silniejszy.

- Być może nigdy nie uda ci się oczyścić z zarzutów.

- Muszę spróbować.

- Jak długo mam czekać? Miesiąc? Rok?

- Powiedziałem ci już. Tydzień lub dwa. Nie dłużej.

- Skąd wiesz, że tylko tyle?

Potań skroń.

- Ponieważ zamierzam zastawić pułapkę na tego zbirą, który chce mojej śmierci.

Rosamunda zobaczyła przed oczami białą mgłę. Zachwiała się i nie upadła

tylko dlatego, że ją przytrzymał. Natychmiast ogarnęła ją wściekłość.

Odtrąciła jego ramię.

- Jestem twoją żoną! - krzyknęła. - Powinniśmy razem decydować o takich sprawach. Moim zdaniem, powinieneś opuścić Anglię i nie wracać, dopóki wszystko nie ucichnie. Przecież nie będzie to trwało wiecznie. Wrócimy tu za rok, jeśli będziesz chciał. Wtedy będziesz mógł spokojnie zająć się swoim dochodem.

- Za rok? - powtórzył z niedowierzaniem. - Za rok nie znajdę już żadnego śladu.

- W takim razie zostaw to mojemu ojcu i braciom! - Zamilkła, bo w swoim głosie usłyszała nutę hysterii. - Zostaw to ojcu i braciom - powtórzyła spokojniej. - Jeśli zaczniesz teraz działać, narazisz się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Przetarł oczy dłonią, wyprostował się, a potem pokręcił głową.

- Sądziłem, że mnie zrozumiesz. To jest coś, co muszę zrobić. Nie chodzi tylko o moje nazwisko. Czy zapomniałaś, że Lucy Rider została zamordowana? Przysiągłem sobie, że pomszczę jej śmierć, i zamierzam to zrobić.

Gdyby przez cały dzień nie snuła marzeń o tym, jak rozpoczynają nowe życie, pewnie spokojniej przyjąłaby jego decyzję, ale zawiedzione nadzieje i lęk budziły w niej gniew.

Cofnęła się o krok. Niskim, drżącym głosem powiedziała:

- Czy kobieta, która cię zdradziła, jest dla ciebie ważniejsza ode mnie?

Zaczynał tracić cierpliwość. Oddana, ciepła kobieta, która jeszcze zeszłej nocy zdawała się doskonale go rozumieć, zmieniała się w wiedźmę.

- Rosamundo, przestań - nakazał. - Prawie cię nie poznaję.

- To samo mogę powiedzieć o tobie! Powinnaś się była tego spodziewać! Jesteś samotnym wilkiem. Tak mówił mi Harper. Gdybym go wtedy posłuchała, nie byłoby tej rozmowy.

Zabolały go jej słowa.

- W takim razie może trzeba było posłuchać Harpera - odgryzł się. Pożałował tych słów zaraz po ich wypowiedzeniu. - Rosamundo - rzekł i wyciągnął do niej ramiona.

Umknęła przed nimi, po czym z cichym okrzykiem podniosła brzegi sukni i odeszła pośpiesznie.

Pobiegł za nią, ale zaraz się zatrzymał i uderzył pięścią w pień palmy.

Kiedy wbiegła do galerii, zobaczyła, że do Justina dołączył ojciec i Caspar. Stali i palili cygara. Wskazała palcem na każdego po kolei.

- To wy jesteście za to odpowiedzialni! - wykrzyknęła. - Wy go do tego namówiliście.

Wymienili niespokojne spojrzenia.

- Nie - odparli chórem.

- Zmuscie go do zmiany zdania, bo inaczej nigdy wam tego nie wybaczę - rzekła i odeszła.

Księżę wydmuchnął chmurę dymu.

- Chciałbym poznać człowieka, który zmusi Richarda Maitlanda do zmiany zdania - powiedział wolno. - Nie potrafiłem zmusić go do porzucenia pomysłu ożenienia się z córką i nie zamierzam zabierać się za następne daremne zadanie.

- Czy aż tak bardzo tego żałujesz? - zapytał Caspar.

- Żałuję, że doszło do tego w tej chwili, ale wszyscy wiemy, że okoliczności wymagały mojej zgody.

- Jednak jest to megalians, nie sądzisz? - zauważył Justin. - Kilka tygodni temu gazety nazywały Rosamundę doskonałą księżniczką. Spadła z wyżyn do śmieszności.

- Nigdy nie użyłbym słowa śmieszność w stosunku do Maitlanda - odparł książę. - Raczej może prostolinijność. A na pewno nieustępliwość. Ten człowiek się nie poddaje, ale jest honorowy i za to go szanuję. - Przez chwilę nad czymś się zastanawiał, a potem dodał: - Mogę postarać się o tytuł dla niego. To znaczy, gdy już będzie uniewinniony. Tytuł można kupić, tym bardziej że książę regent nieustannie odczuwa braki finansowe. Baron Maitland. To nawet ładnie brzmi.

- Ojczy, nie robiłbym tego - sprzeciwił się Caspar.

- Co? Nawet nie tytuł szlachecki?

- Nawet. Maitland ci za to nie podziękuje. Raczej się obrazi. Należy do ludzi, którzy chcą własnymi czynami zdobywać nagrody.

Książę przez chwilę przyglądał się starszemu synowi, a potem rzekł:

- Lubisz go, prawda?

- To chyba za dużo powiedziane - odparł Caspar z lekkim uśmiechem. - Powiedzmy, że zyskuje przy bliższym poznaniu. Maitland jest żołnierzem, którego chciałoby się mieć u boku w czasie bitwy. Oczywiście, z drugiej strony stanąłby Harper.

- A co ze mną? - zapytał wyzywająco Justin. - Ja też służyłem w wojsku.

Caspar przyglądał się, jak smużka dymu, którą wypuścił przed chwilą z ust, wolno rozplywa się w powietrzu.

- Tak - rzucił. - Ale nie byłeś w Hiszpanii. To była brutalna, brudna kampania. Z tego między innymi powodu rozumiemy się z Maitlandem. - Spojrzał na Justina. - Nie rób takiej smutnej miny, braciszku. Dobrze się spisałeś pod Waterloo. Zasłużyłeś na swoje ostrogi.

- Ale to nie to samo co udział w kampanii w Hiszpanii? - W pytaniu brzmiało wyzwanie.

- To nie jest kampania, którą należy się szczylić - odparł lekkim tonem Caspar. Przeszedł do kominka i wrzucił do niego gasnące cygareto. - Raczej staramy się wszyscy o niej zapomnieć.

Gdy powrócił na swoje miejsce, uśmiechał się.

- Już czas - powiedział.

Książę popatrzył na zegar stojący na gzymsie i westchnął.

- Tak - rzekł. - A coś mi się zdaje, że Maitland nie lubi czekać. - Klepnął starszego syna po dłoni. - Te rozmowy o wojnie budzą mój niepokój. Będziesz ostrożny?

- Będę.

- Życzę szczęścia, Caspar - rzekł Justin.

Po tych słowach starszy syn księcia wyszedł na werandę, cicho zamykając za sobą drzwi.

Nastąpiła chwila przepęlniona ciszą, a potem książę zrobił coś, czego nie miał w zwyczaju czynić; objął młodszego syna ramieniem.

- Może przejdziemy do biblioteki - zaproponował - i poprawimy sobie nastrój buteleczką mojego najlepszego koniaku.

Ruszyli przed siebie.

- Ojczy, co takiego przeżył Caspar w Hiszpanii? - spytał Justin.

- Nic takiego - odrzekł książę. - To samo, co inni żołnierze. To była tylko wojna.

Rosamunda, leżąc samotnie w łóżku, rzucała się niespokojnie na boki. Od kłótni z Richardem minęło już kilka godzin, a ona coraz bardziej traciła pewność siebie. Potraktowała go tak ostro, bo ją zaskoczył. Z drugiej strony sądziła, że trochę racji jednak miała. Teraz chciałaby usiąść z nim i porozmawiać jak dwoje rozsądnych, cywilizowanych ludzi, aż osiągną kompromis.

Podniosła się. Richard Maitland nie zna słowa kompromis! Uczepiła się tej myśli, chcąc utrzymać złość, ale choć bardzo się starała, gniew łagodniał. Richard

nigdy nie udawał przed nią kogoś innego. To ona go źle zrozumiała. Od początku wiedziała, że bardzo sobie ceni swój honor. Szekspir wyraził to lepiej niż ona, ale nie potrafiła przypomnieć sobie właściwego wersu.

Poza tym jest jeszcze sprawa Lucy Rider.

„Czy kobieta, która cię zdradziła, jest dla ciebie ważniejsza ode mnie?”

Aż się skrzywiła na wspomnienie swoich słów. Jak mogła się tak zachować? Jak mogła być taka nieczuła?

- Wybacz mi, Lucy - rzuciła w ciemność.

To jej noc poślubna. Dlaczego leży tu samotnie, gdy jej mąż - och, jak pięknie brzmi to słowo - zapewne także walczy z samotnością? Nie tak wyobrażała sobie swoją noc poślubną. Richard pewnie też nie. Nie zasłużył na to, mimo nieporozumień. Szybko zdarła z siebie kołdrę, wstała i ubrała się. Dziesięć minut później wymykała się z domu, kierując się do kwatery męża. Nie dostrzegła światła w oknach, więc pomyślała, że chyba dobrze zgadła, iż tak jak ona leży w ciemności i cierpi. Otwierając drzwi kluczem, który dostała od niego wcześniej, czuła się bardzo skruszona.

- Richardzie - powiedziała, wchodząc.

Cisza. Od razu wiedziała, że coś jest nie w porządku. W izbie było bardzo zimno, ktoś wyczyścił palenisko. Podeszła do kominka, znalazła hubkę i zapaliła świecę.

Na łóżku leżał goły materac. Zresztą cały pokój wyglądał tak, jakby tu nigdy nikt nie mieszkał. Szybko podeszła do komody i obejrzała każdą szufladę. Były puste.

Wybiegła na zewnątrz z bijącym sercem i ruszyła w stronę kwatery Harpera. Nie była zamknięta. Przywitał ją tam ten sam chłód, który zastała u Richarda.

Powoli, ruszając się jak we śnie, wróciła do Richarda i usiadła na krześle.

Odjechał bez słowa pożegnania.

Ten łajdak wyjechał, nie pożegnawszy się z nią! To prawda, że sama go porzuciła, nie dając mu powiedzieć tego, co chciał powiedzieć, ale przecież mógł za nią pójść, zmusić ją, by go wysłuchała.

„Ja wyjeżdżam, ty zostajesz”.



- Ha! - krzyknęła do pustego pokoju. - Tylko tak ci się wydaje, Richardzie Maitlandzie!

Powiedział, że jedzie do Londynu, ale nie zdradził, gdzie będzie go można znaleźć. To oczywiste, że nie ma do niej zaufania, że uważa, iż ona na nic mu się nie przyda w jego misji. Po tym, co razem przeszli, powinien wiedzieć, na co ją stać.

Cóż, tak się składa, że ona ma dom w Londynie. Wprawdzie jeszcze nie ma do niego kluczy, ale może mieszkać w Clarendon do czasu, aż prawnicy załatwią formalności. Zmusi Richarda, żeby do niej przyszedł, i wtedy powie mu, co o nim myśli. Potraktował ją jak jakąś bezużyteczną ozdobę, którą się trzyma na półce, bo jest taka delikatna. No to się zdziwi, gdy mu pokaże, że wcale nie jest bezużyteczna.

Wróciła do domu dumnie wyprostowana i z suchymi oczami.

## *Rozdział 22*

George Withers był zdumiony, gdy do jego gabinetu wprowadzono majora Digby'ego i kapitana Whorsleya. Umawiali się, że będą się spotykać tylko na neutralnym gruncie - w jednym z klubów lub przy okazji jakichś towarzyskich wydarzeń. Nie chciał, by ktokolwiek odniósł wrażenie, że łączy ich coś więcej niż tylko powierzchowna znajomość.

Uśmiechał się do gości zachęcająco, ale w środku aż kipiał z wściekłości. Nie mógł dopuścić, by w jakikolwiek sposób wiązano jego osobę z Richardem Maitlandem, a przecież Digby nadal dowodził akcją poszukiwania uciekiniera z Newgate. Withers odegrał już swoją rolę, doradzając, gdzie mają go szukać i kogo warto przesłuchać, udając, że jest tylko zaciekawionym obserwatorem, który

przypadkowo wszedł w posiadanie interesujących ploteczek, a przekazuje je, bo tak postąpiłby każdy porządny obywatel. W zamian Digby informował go o rozwoju dochodzenia, ale odbywało się to na odległość i tak powinno pozostać.

Zresztą co mu to dało? Nic, i to właśnie tak denerwowało Withersa. Minęły trzy tygodnie i nadal nikt nie natknął się na najmniejszy ślad Maitlanda. Oczywiście Maitland nie leniuchuje, co Withers dobrze wiedział. Już raz gorzko żałował, że pozostawił po sobie ślad, który Maitland wykorzystał. Byłby głupcem, gdyby nie wziął z tej lekcji nauki.

- Siadajcie, siadajcie - powiedział, wskazując krzesła.

Kiedy dwaj panowie sadowili się na miejscach, on przeszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Było późne popołudnie i na Bond Street panował największy ruch. Powozy najróżniejszej maści powoli toczyły się w stronę Oxford Street lub w stronę Piccadilly. Elegancko ubrani przechodnie przemierzali się od sklepu do sklepu. Nie dostrzegł niczego, co mogło wzbudzić zaniepokojenie.

- Nikt nie widział, jak tu wchodziliśmy. Użyliśmy tylnego wejścia - poinformował Digby.

Odwracając się od okna, Withers uśmiechnął się.

- Cieszę się. Czy wie pan, majorze Digby, że zaczynam żałować, iż wplątałem się w tę sprawę związaną z Maitlandem? Zdaje się, że nie rozumiałem, z jakim człowiekiem mamy do czynienia. Słyszałem, że nie ma litości dla zdrajców. Cóż, oczywiście, mogliśmy przekonać się o tym w czasie rozprawy. Mam nadzieję, że jesteście panowie dyskretni. Wolałbym, żeby ktoś taki jak on nie uważał mnie za wroga.

- Proszę się nie niepokoić - odparł Digby z lekką niechęcią. - Nigdy nie wydaję swoich informatorów, inaczej szybko bym ich tracił.

Withers dokładnie to chciał usłyszeć. Popatrzył na Whorsleya, który energicznie pokiwał głową.

- Mamy wielu informatorów - powiedział. - Ale ich nazwiska są utajnione.

- Może znam któregoś?

Whorsley zaśmiał się z dowcipu Withersa. Twarz Digby'ego pozostała kamienna.

- Napijcie się czegoś, panowie - zaproponował gospodarz. - Kawy? Brandy?

- Dziękujemy, nie - odparł Digby.

Withers usiadł.

- W takim razie czym mogę służyć?

Digby ciężko westchnął. Z twarzą spiętą gniewem powiedział:

- Mam tylko dwa dni na odnalezienie Maitlanda, a jeśli mi się to nie uda, moje miejsce zajmie ktoś inny.

- Ależ to absurd! - wykrzyknął Withers, autentycznie zdumiony.

- Tak czy inaczej, to właśnie się stanie. Przed godziną wezwał mnie do siebie zastępca ministra i powiedział mi to prosto w oczy. Uważają, że spartaczyłem robotę. - Prawa dłoń Digby'ego zacisnęła się w pięść, tak jakby chciał kogoś uderzyć. - Nie chcą przyjąć do wiadomości faktu, że zostałem złapany w pułapkę przez te osoby, które wymagają ode mnie pozytywnych wyników.

Mocno wciągnął powietrze, hamując rosnący gniew.

- Błagałem ich, żeby wezwali na przesłuchanie lady Rosamundę oraz Harpera, ale księżę ma posłuch u ministra. A Romsey uparł się, że ewentualne przesłuchanie musi się odbyć w Twickenham, i to w jego obecności.

- Uważacie, że ten Harper i lady Rosamunda coś ukrywają?

Digby roześmiał się ponuro.

- Maitland po mistrzowsku przekonał dziewczynę o swojej niewinności. Sądzę, że ona wie więcej, niż ujawnia. Co do tego renegata Harpera, uważam, że siedzi w tym wszystkim po uszy. Pomógł Maitlandowi w ucieczce z Newgate, ale potem, kiedy dowiedział się o nagrodzie, połasił się na nią, a przy okazji znalazł sposób na wykręcenie się sianem. Nie dziwię się, że przyjął ochronę księcia. Założę się, że boi się powiedzieć zbyt wiele, bo pewnego dnia mógłby spotkać się z Maitlandem.

Withers ze współczuciem kiwał głową. Niezależnie od gości, sam doszedł do pewnych wniosków, ale w przeciwieństwie do Digby'ego nie chciał, by władze przesłuchiwały lady Rosamundę. Jeszcze tydzień wcześniej był innego zdania, lecz teraz bał się. Co ona wie? Co może wiedzieć?

- Słyszałem, że zaatakowano jednego z gości lady Rosamundy - rzucił. - Czy to mogła być sprawka Maitlanda?

- Raczej nie. Celem był książę Michael. Podejrzewa się, że zaatakował go jakiś jego niezadowolony poddany.

Withers nigdy nie miał dobrego zdania na temat agentów państwowych i teraz jego opinia jeszcze się pogorszyła. No, ale przynajmniej nie musi się martwić, że wpadną na ślad chłopca.

- A co z Hugh Templarem? - zapytał.

- Whorsley? - rzucił Digby.

Whorsley odchrząknął.

- Wraz z żoną wrócił do swojej posiadłości w Oxfordshire. Wszystko jawnie. Jednak kazaliśmy go obserwować, więc jeśli zrobi jakiś fałszywy ruch, pierwsi będziemy o tym wiedzieli.

Withers skinął głową. Zapomniał o obecności Whorsleya. To człowiek z rodzaju tych, co to stapiają się z tłumem. Nie zwraca się na niego uwagi, ale wie tyle samo co jego przełożony. Withers uznał, że jeśli będzie chciał postanowić coś w sprawie Digby'ego, będzie musiał pamiętać o jego podwładnym, Whorsleyu.

Spojrzał na Digby'ego.

- Doceniam pańską szczerść, ale nie widzę związku z moją osobą.

Digby jakby go nie usłyszał. Rozprostował dłoń i wyciągnął ją przed siebie.

- Miałem już Maitlanda - stwierdził, po czym znowu zwinął dłoń i mocno zacisnął. - Ale na samym końcu prześcignęli mnie Harper i Templar.

- Uważa pan, że specjalnie wypuścili Maitlanda?

- Mogli, ze względu na stare czasy. - Digby zawahał się, a potem spojrzał rozmówcy prosto w oczy. - Potrzebuję następnego Dunsmoor.

Withers poczuł, że serce podskakuje mu do gardła. Tego się obawiał. Jego powiązanie z Maitlandem zaczynało wypływać na wierzch.

Digby mówił dalej:

- Nie mam wyboru i muszę zapytać, kto panu powiedział o istnieniu Dunsmoor.

Withers rozłożył ręce.

- Powiedziałem już, że usłyszałem o tej posiadłości w klubie. Jakie to ma znaczenie, kto przekazał mi tę informację?

- Ma, muszę poznać nazwisko.

- Cóż... - Withers wpatrzył się w swoje dłonie. Na twarz przywołał wyraz smutku i spojrzął na rozmówcę. - Nie chcę nikomu robić kłopotów.

Digby zacisnął zęby.

- Nikt nie będzie miał żadnych kłopotów. Potrzebuję tylko informacji. Jeśli pański znajomy wiedział o Dunsmoor, może też wiedzieć, gdzie jeszcze powinniśmy szukać Maitlanda. Dobry Boże, człowieku, zostały mi tylko dwa dni.

Withers bezradnie wzruszył ramionami.

- Chciałbym pomóc, ale to by była zdrada. Nie podam wam nazwiska mojego znajomego bez jego zgody.

- Niech mnie pan posłucha! - Digby wyprostował się na krześle. - Mówimy tu o mojej karierze. Jeśli nie znajdę Maitlanda, mogę wylądować na jakimś zapomnianym przez Boga posterunku na końcu świata. To zbyt poważna sprawa, by się przejmować uprzejmościami, rozumie pan? - Wstał. - Ma pan czas do ósmej dziś wieczorem. Wie pan, gdzie mnie znaleźć. Proszę przyprowadzić mi swojego znajomego albo przynieść coś, co mi pomoże. I proszę nie przychodzić z pustymi rękami.

Ta jawna pogroźka sprawiła, że krew napłynęła do twarzy Withersa. Nikt tak do niego nie mówił od czasów młodości. Przyrzekł sobie, że Digby mu za to zapłaci. Zapłaci za arogancję.

Zmusił się jednak do ukrycia gniewu.

- Kto jeszcze tam będzie? - zapytał spokojnie.

- Tylko ja i Whorsley, więc możesz pan powiedzieć swojemu znajomemu, że nikt go nie rozpozna.

Po odprowadzeniu gości Withers wrócił do gabinetu. Ciężko oddychał, a usta wykrzywiało mu dziki grymas.

Wszystko się rozpadało. Nie zamierzał pozostawać w Londynie po egzekucji Maitlanda. Powinien był trzymać się pierwotnego planu i odpłynąć do Charles Town. Wtedy nie musiałby zacierać po sobie śladów. Zaczynał się czuć tak, jakby znalazł się w pułapce.

Gdyby chłopiec widział go teraz, byłby nim zawiedziony.

Ta myśl stopniowo pomogła mu się opanować. Chłopiec, choć nieobecny, także stawał się problemem. Zaczynał się robić zbyt śmiały i za dużo wiedział.

Withers ciężko westchnął. Musi teraz po kolei zająć się każdym z problemów: lady Rosamundą, Peterem Drydenem, Whorsleyem, Digbym, no i chłopcem.

Najpierw Digby o ósmej w jego kwaterze. Żadnych świadków. Tym problemem zajmie się z przyjemnością.

Szli Bond Street w stronę Piccadilly, kiedy Whorsley powiedział:

- Naprawdę uważasz, że o Dunsmoor dowiedział się od jakiegoś znajomego?

- A inaczej skąd by wiedział? Przecież nie mieszka w Anglii od lat.

- Dziwne - mruknął Whorsley. - Bardzo dziwne.

- Co takiego? - zapytał zniecierpliwiony Digby.

- Dunsmoor i to, że Withers o nim wiedział, choć nikt inny nie miał pojęcia. Zastanawiam się, czy on czegoś nie ukrywa.

Digby zmarszczył czoło.

- Teraz za późno o tym myśleć. Mamy tylko dwa dni na odnalezienie Maitlanda. I pamiętaj, że jak się nam nie uda, wyślą mnie na jakiś zapomniany posterunek, a ty pojedziesz ze mną. - Westchnął przeciągle. - Posłuchaj - dodał na koniec. - Najpierw wsadźmy Maitlanda za kratki, a potem zajmijmy się Withersem.

Wieczorem Richard i Caspar zasiedli do partyjki szachów, aby umilić sobie oczekiwanie na powrót Harpera. Znajdowali się w saloniku mieszkania, które wynajęli w Black Friar, tuż przy Covent Garden. Pierwszą noc spędzili w innym zajęzdzie, ale Richardowi nie spodobał się jego rozkład. Nie było tam tylnego wyjścia, którym w razie potrzeby mogliby zbiec.

Caspar koncentrował się na grze, ale Richard nieustannie odbiegał myślami gdzie indziej i chciał o tym porozmawiać.

- Powtórz jeszcze raz - poprosił - co dokładnie powiedział właściciel zajazdu, kiedy zapytałeś go o tę noc, kiedy Lucy Rider została zamordowana.

Caspar spojrział na niego z niechęcią.

- Wybacz, ale zastanawiam się nad następnym ruchem. Poza tym już ci mówiłem, czego się dowiedziałem.

- Caspar, to tylko gra. Nie mogę uwierzyć, że wzięłeś te szachy ze sobą.

- To zestaw podróżny. Skoro miałem go przy sobie przez całą hiszpańską kampanię, to tym bardziej nie zostawiłbym go w domu w tej sytuacji.

Richard nie chciał się sprzeczać. Wielu żołnierzy ma jakieś swoje talizmany. Sam nie był specjalnie przesądny, a jednak nie rozstawał się z nożem, który podarował mu ojciec na piętnaste urodziny. I jeszcze ten pionek, którego dał Rosamundzie na urodziny. On także miał przy sobie te przedmioty w czasie całej kampanii.

Caspar uśmiechnął się przebiegle i przesunął wieżę, zasłaniając swojego skoczka przed atakiem króla Richarda.

- Twoja kolej - powiedział. Sądził, że doprowadzi grę do końca w trzech

ruchach.

- Nie ruszę się, dopóki mi nie powiesz.

Caspar westchnął, spojrział gniewnie na szwagra i złożył ręce na piersiach. Ponieważ Richard nie mógł pojawić się w zajeździe, w którym zamordowano Lucy Rider, zadanie to zostało powierzone jemu. Udał się do gospody z samego rana i przepytął właściciela. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ od rozprawy w gospodzie bez przerwy pojawiali się ciekawscy, a właściciel wyraźnie cieszył się z nowo nabytej popularności.

- Biedna Lucy - wzdychał, ale oczy mu promieniały radością. - No, ale nie mogę się uskarżać. Interes idzie wyśmienicie. Co chciałby pan wiedzieć, sir? - zapytał w końcu i schował do kieszeni suwerena, którego Caspar położył na stole.

Kolejność wydarzeń była dokładnie taka sama, jak właściciel zeznał w czasie rozprawy, ale Caspar zadał pytanie, którego nikt jeszcze nie zadawał.

- Kto pierwszy zjawił się w pokoju Lucy po wystrzale?

- Pan Frank Smith z synem. - Caspar powtórzył Richardowi słowa właściciela gospody chyba po raz setny. - A przynajmniej byli tam jako jedni z pierwszych. Właściciel kazał chłopcu wyjść, uważając, że dziecko nie powinno oglądać takich strasznych scen.

- Czy na ubraniu chłopca była krew?

- Właściciel twierdził, że trudno było nie pobrudzić się krwią w tym pokoju, a chłopiec stał tuż przy łóżku. Tak, był ubrudzony krwią, ale właściciel uważa, że to nie ma znaczenia.

Kazał chłopcu wyjść. Wyprowadził go ojciec.

- Byli gośćmi zajazdu?

- Wiesz, że tak. Już ci mówiłem. Pan Smith często zatrzymywał się w tej gospodzie. Tym razem po raz pierwszy towarzyszył mu syn. Po morderstwie już się nie pojawili, nie zostawili też żadnego adresu. Nigdy ich nie znajdziemy.

- Prawdopodobnie nie, ale i tak szkoda, że wcześniej tego wszystkiego nie wiedziałem. To ma sens, nie widzisz? Jak mężczyźnie i chłopcu, którzy znajdowali się ze mną w pokoju, udało się z niego wymknąć niepostrzeżenie? Dlaczego nikt nie widział, jak opuszczali hotel? Ponieważ nie wyszli z pokoju; nie opuścili hotelu. Znajdowali się między pierwszymi osobami, które przybiegły do pokoju.



Potem, kiedy właściciel kazał im wyjść, zrobili tak, jak polecił, i po prostu wrócili do swojego pokoju.

- Hm - mruknął Caspar. - Sądzę, że to możliwe. Ale czy nie uważasz, że bardzo ryzykowali? A gdybyś nie stracił przytomności?

- No właśnie. - Richard uśmiechnął się kwaśno. - Na tym etapie to tylko teoria, ale coś mi się wydaje, że ta dwójka lubi ryzyko.

- I uważasz, że to samo zdarzyło się po ataku na pannę Dryden? Napastnik wrócił z resztą gości na taras?

- Z oceną tej sytuacji zaczekam do jutra, kiedy już porozmawiam z panną Dryden.

Richard spojrzął na szachownicę, automatycznie podniósł konia i go przestawił.

- Co powiesz o...

Caspar wszedł mu w słowo.

- Nie wierzę, że to przeoczyłem. Toż to pogrom! Gdzie nauczyłeś się tak grać w szachy?

Richard uśmiechnął się. Nieczęsto miał okazję górować nad szwagrem.

- Szach mat w dwóch ruchach - powiedział i stracił koniem skoczka Caspara.  
- W Hiszpanii. Moim nauczycielem był pewien kryptograf. Nikt nie mógł go pokonać. Zwykle szachy były dla niego za wolne, więc zamieniał pola na szachownicy, żeby było szybciej. Warto było z nim grać. Widzisz... -Przerwał, bo usłyszał pukanie do drzwi.

- To pewnie Harper - stwierdził Caspar.

Richard podszedł do drzwi z pistoletem w ręku. Rzeczywiście, w drzwiach stanął Harper, tyle że trudno go było rozpoznać. Miał na sobie szkarłatną liberię, białe rękawiczki i białą perukę.

- Czy były jakieś wiadomości? - spytał Richard.

- Jedna. - Harper podał szefowi liścik, który odebrał w klubie Caspara przy St. James. To był ich sposób na utrzymywanie kontaktu z Twickenham. Tą drogą powiadamiano ich, co się tam dzieje.

Richard złamał pieczęć i szybko przebiegł tekst wzrokiem.

- Po raz ostatni ktoś otworzył i czytał moją pocztę w szkole w Eton - rzucił lakonicznie Caspar.

- Co? - zapytał nieprzytomnie Richard.

- List. Zdaje się, że widnieje na nim moje nazwisko.

- To czysta formalność - odparł Richard. - Jest od Justina. Przyjechał do miasta. Zatrzymał się w Clarendon. - Spojrzał na szwagra. - I przywiózł ze sobą Rosamundę.

Caspar odebrał list i też go przeczytał.

- Przyjechała, bo chce się zająć urządzaniem nowego domu.

- Jakiego domu? - zdziwił się Richard, marszcząc czoło.

- Nic nie wiesz? Rosamunda wynajęła dom przy Bloomsbury. Jeszcze zanim się pobraliście. Jest bardzo ładny.

Richard wolno skinął głową.

- Tak, przypominam sobie. Zarządca lokajów coś mi o tym wspominał, ale jakoś mi to umknęło.

- Niech sobie urządza ten dom. Nic się jej przy tym nie stanie, a przynajmniej będzie miała zajęcie. Zresztą Justin nie spuści z niej oka.

Richard trochę się uspokoił.

- Chyba masz rację. Wolałbym jednak, żeby została w Twickenham. Nie chcę, żeby...

- Żeby co?

- Żeby weszła nam w drogę, narażała się. - Richard uśmiechnął się ponuro. - Zdaje się, że powinienem odwiedzić moją krnąbrną żonę i dowiedzieć się, co naprawdę planuje.

Caspar roześmiał się, ale jego szwagrowi nie było do śmiechu. To nie była zabawa. Za godzinę, kiedy się ściemni, zamierzał złożyć długo odkładaną wizytę majorowi Digby'emu. Akcja się rozpoczynała i wolałby, żeby Rosamundy nie było w pobliżu, gdy pęknie zaporą.

Usłyszał stęknienie Harpera. Richard i jego sierżant natychmiast wstali.

- O co chodzi? - zapytał z niepokojem Caspar.

Harper wyciągnął lewą rękę. Na białej rękawiczce widniała plama po maderze, którą nalewał ze szklanej karafki. Harper lubił maderę prawie tak samo jak piwo.

- To wszystko? - upewnił się Richard, po czym wybuchnął śmiechem.

- Nie mam drugiej pary - rzucił Harper ze zbolaną miną. - Możecie się śmiać, ale kiedyś udało nam się z panem Templarem pojmać zabójcę, ponieważ ten nie przykładał wagi do swojego wyglądu. Rękawiczki służącego zawsze powinny być nieskazitelnie czyste. Muszę je wyprać, inaczej każdy pozna, że mój strój to tylko przebranie.

Richard i Caspar zostawili go więc przy praniu i wyszli na spotkanie z Digbym. Richard uparł się, że tylko on pokaże Digby'emu swoją twarz. Był wdzięczny szwagrowi za pomoc i wcale tego nie ukrywał, ale uważał, że ten nie powinien się ujawniać, bo gdyby wyszło na jaw, że pomaga skazańcowi, wysłano by go do karnej kolonii.

Powiedział Casparowi to wszystko, a ten, wysłuchawszy go, położył mu dłoń na ramionach.

- Nie rozumiem, dlaczego mówią, że nie potrafisz być czarujący - rzekł i roześmiał się, widząc zagniewany wzrok Richarda.

Do kwatery Digby'ego pojechali dorożką, ale gdy dotarli na miejsce, ze zdumieniem stwierdzili, że na ulicy pełno jest ludzi.

- To detektywi z Bow Street - mruknął Richard. - Rozpoznaję jednego z nich. Oficer Rankin. Jedź dalej i zatrzymaj się za rogiem - polecił woźnicy.

Gdy się zatrzymali, Caspar, który nie musiał się ukrywać, wysiadł i poszedł pod kwaterę Digby'ego dowiedzieć się, co się dzieje. Wrócił po kilku minutach i bez słowa wsiadł do powozu.

- To Digby i Whorsley - oznajmił. Głos mu lekko drżał. - Obaj zostali zamordowani. Whorsley postrzelony w głowę, a Digby ma poderżnięte gardło. I jest coś jeszcze. W ogrodzie znaleziono ciało jakiegoś chłopca. Jemu także poderżnięto gardło. Nie wiedzą, kim jest ten chłopiec.

W głowie Richarda zaroilo się od pytań i domysłów.

- Co teraz? - zapytał Caspar.

- Jedziemy do Rosamundy.

- Nie wiem, ile razy mam powtarzać - zrywała się Rosamunda. - Nie pojedę do Twickenham, i koniec.

Cała piątka wraz z Rosamundą i Justinem znajdowała się w Black Friar i przy małym stole spożywała spóźnioną kolację. Richard i Rosamundą nie odrywali od siebie wzroku. Pozostali koncentrowali się na jedzeniu.

- Nienawidzę brukselki - jęknął Justin, chyba tylko po to, żeby przerwać krępującą ciszę.

- Spróbuj sałaty - zasugerował mu brat. - Jest bardzo dobra.

- Sałata do gulaszu? - Justin skrzywił się.

- W takim razie jedz chleb - wtrącił się nieuprzejmie Harper.

Justin wziął od niego kromkę, zanurzył ją w gulaszu, a potem z wyrazem szczęścia na twarzy zaczął żuć.

Harper przyglądał mu się ze zdumieniem. Tak właśnie zazwyczaj jadał chleb, maczając go w sosie, ale nie chciał tego robić w tym towarzystwie, pamiętając o dobrych manierach. Uśmiechnął się, sięgnął po chleb, urwał kawałek i poszedł w ślady Justina.

- Dzisiaj zamordowano Digby'ego i Whorsleya - odezwał się nagle Richard. - Sądzę, że zrobiła to ta sama osoba, która stara się mnie zniszczyć. Co do chłopca, to myślę, że był współnikiem mordercy. Może się pokłócili, a może chłopak nie był mu już potrzebny. Sami widzicie, z jakim człowiekiem mamy do czynienia.

- Rozumiem - rzekła cicho Rosamunda. - Ale przecież mnie nic nie grozi.

Ze zdumieniem stwierdziła, że udaje jej się mówić tak spokojnie, choć była bardzo zdenerwowana. Przestraszyła się jak nigdy, kiedy mąż i starszy brat pojawili się niespodziewanie w jej sypialni w Clarendon. Myślała, że to

włamywacze, i już chciała krzyknąć, ale Richard zatkał jej usta ręką. Drugi raz przestraszyła się śmiertelnie, kiedy powiedział jej o Digbym, Whorsleyu i o chłopcu. Nie bała się o siebie, tylko o niego. Wiedziała, że świat pełen jest zła, ale jeszcze nigdy nie było ono tak blisko niej. Znała Digby'ego i Whorsleya.

Nie chciała wracać do Twickenham, bo wiedziała, że nie usiedzi tam spokojnie, nie wiedząc, co się dzieje z mężem. Nie prosiła, żeby zabierali ją ze sobą do Black Friar, ale skoro już tu była, zamierzała pozostać.

- Nie możesz tu zostać - sprzeciwił się Richard. - Stanowię zagrożenie dla każdego, kto mnie zna. Poza tym nie chcę, żebyś była w Londynie. Muszę się teraz skoncentrować na tym, co mam do zrobienia, a twoja obecność mnie rozprasza. Nie mam czasu martwić się o ciebie.

- Sądzisz, że w Twickenham jest bezpieczniej? Zapomniałeś już, co przydarzyło się Prudence?

Caspar westchnął.

- To wszystko jest bardzo interesujące - mruknął. - Ale niektórzy z nas mają ochotę spokojnie spożyć kolację. Może pójdziecie się kłócić gdzie indziej?

Richard wstał, pochwycił Rosamundę za rękę i prawie wyciągnął ją z pokoju.

Justin potrząsnął głową i zapytał szeptem:

- Jeśli kłóć się tak już na początku, to co będzie za rok albo dwa?

- Nic, za chwilę będą do siebie ćwierkali jak dwa gołąbki - mruknął w odpowiedzi Harper.

Justin obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

- Skąd ty to możesz wiedzieć. Jesteś przecież zatwardziałym kawalerem.

- Nie wiem, dlaczego tak mówisz - zdziwił się z urazą sierżant. - Miałem trzy żony i wyśmienicie znam się na małżeństwie. Czy ktoś chce tę ostatnią kromkę chleba?

Richard zaciągnął Rosamundę do małego pokoju, w którym stało tylko wąskie łóżko, komódka, krzesło i prawie nic więcej. Jedyne światło pochodziło od latarni z ulicy. W kominku się nie paliło.

Zamknął z hukiem drzwi i oparł się o nie. Potem położył ręce na ramionach Rosamundy.

- Rosamundo - zaczął błagalnie, ale też z groźbą w głosie.

Podniosła jego dłonie i przyłożyła je do policzków. Z oczu kapały jej łzy.

- Przepraszam za tę głupią kłótnię - powiedziała. - Miałaś rację, a ja się myliłam. Powinnam była się zastanowić, co mówię. Tylko tak bardzo się boję, że coś ci się stanie. Nie wiem, jak to zniosę. Ale już nigdy, nigdy więcej, nie chcę, byśmy rozstawali się w gniewie. Życie jest na to za krótkie.

Słyszając te przeprosiny, Richard zapomniał, w jaki sposób chciał ją przekonać do rozsądnego zachowania. Mruknął coś pod nosem, a potem przywarł wargami do jej ust. Przyciskał ją mocno do siebie, jakby chciał, żeby ich ciała stopiły się ze sobą.

Zastanawiał się, dlaczego na świecie jest tyle zła. Przybijała go myśl, że nie ma przed nim ucieczki i nawet ktoś taki jak Rosamunda, czysty niczym źródłana woda, musi się z nim stykać.

Podobne myśli krążyły po jej głowie. Zawsze kiedy była w ramionach Richarda, wydawało jej się, że otaczający ją świat gdzieś znika, a wraz z nim całe zło. Dawał jej pocieszenie i siłę przetrwania.

Tuląc się do siebie, przeszli do łóżka i położyli się.

Richard przypatrywał się twarzy żony. Jest taka piękna, myślał. Pogładził ciemne włosy, które rozsypały się na poduszce. Podniósł je i patrzył, jak przesuwają się pomiędzy jego palcami. Jest taka piękna, taka odważna i taka cudowna. Wiedział, że na nią nie zasługuje, ale za nic by z niej nie zrezygnował, tak jak nie mógł zrezygnować z oddychania.

Przesunęła dłońmi po jego plecach, budząc w nim pożądanie. Przyłgął do jej szyi. Pachniała tak, że nie mógł jej się oprzeć.

Pieszcząc ją ustami, wywołał ciche okrzyki podniecenia. Rozpięła mu koszulę i zaczęła wodzić rękami po gołej skórze.

Wyrwał się z jej objęć jak topielec walczący o oddech. Przeprowadził ją tu w pewnym celu, mieli porozmawiać. Jednak Rosamunda miała teraz najwyraźniej inny cel. Sięgnęła do guzików spodni. Podciągnęła spódnicę i zachęcająco rozsunęła nogi.

- To mnie nie zmusi do zmiany zdania - zapewnił gorączkowo.

Spojrzała na niego z oburzeniem. Kiedy wreszcie udało jej się wydobyć głos, był zachrypnięty.

- Myślisz, że wykorzystałabym to, żeby... żeby tobą pokierować? - Odepchnęła go, chcąc się wyswobodzić z objęć, ale jej nie puścił.

- Przepraszam - powiedział. - Jestem idiotą, wszyscy to wiedzą. - Pocałował ją szybko. - Powinnaś była wyjść za kogoś innego, kogoś, kto rozumie kobiety. Ja jestem w tym względzie do niczego.

Ręce, które go odpychały, mocno zacisnęły się na jego plecach.

- Nie mów tak! - wykrzyknęła. - Nie jesteś idiotą. Nie jesteś do niczego. Jesteś porządny i odważny. Jesteś najbardziej honorowym człowiekiem, jakiego znam.

- Jestem także na pograniczu szaleństwa.

Podciągnął suknię i unióśł wysoko kolana Rosamundy. Patrząc jej prosto w oczy, wszedł w nią powoli. Westchnęła i cicho wyszeptała jego imię.

- Och, Rosamundo - jęknął.

Zaciskając zęby, starał się nad sobą zapanować. Chciał, by ich zbliżenie trwało jak najdłużej. Uwielbiał, gdy traciła nad sobą kontrolę, kiedy stawiała się dzika, a jej ciałem wstrząsały dreszcze prowadzące do orgazmu.

Poruszał się wolno, delikatnie, choć było to dla niego prawie jak tortura. Gdy usłyszał jej okrzyk towarzyszący spełnieniu, odetchnął, po czym wbił się w nią twardo. Osiągał zaspokojenie przy wtórze jej rozkosznych pojękiwań.

Ona pierwsza się poruszyła.

- Naprawdę należy ci się nagroda za przebiegłość. „Jestem idiotą, jestem do niczego” - paplała, naśladując go. - Użalałeś się nad sobą, żeby wzbudzić moje współczucie.

Na twarzy Richarda błąkał się uśmieszek.

- I warto było. - Uniósł głowę. - Mam nadzieję, że nie chcesz się wycofać z tego, co powiedziałaś na mój temat? Naprawdę tak myślisz? - zapytał z wahaniem.

Jego niepewność bardzo się jej spodobała. Stawał się w ten sposób jeszcze bardziej pociągający.

- Naprawdę - zapewniła i uśmiechnęła się.

Usłyszeli nagły wybuch śmiechu dobiegający z saloniku i spojrzeli na drzwi. Rosamunda westchnęła.

- Musimy do nich wracać.

- Nie. - Uniósł jej głowę i lekko pocałował ją w usta. - Nie wiem, co przyniesie jutro. Nie chcę o tym mówić. Nie chcę o tym myśleć. Choć przez chwilę chcę udawać, że jesteśmy normalnymi ludźmi. Chcę, byśmy byli tylko ze sobą.

- Ja także tego pragnę - zapewniła go ognistocie.

Wstał i poprawił ubranie.

- Możesz rozpalić ogień?

- Jeśli jest hubka.

- Leży na gzymsie.

- Dokąd idziesz?

- Przyniosę wino i kieliszki. W końcu to nasza noc poślubna.

Kiedy wszedł do salonu, zapadła nagła cisza.

- Jeszcze mamy z Rosamundą kilka spraw do omówienia - rzekł.



Żadnej odpowiedzi.

Pod obstrzałem spojrzeń przeszedł do stolika z trunkami, podniósł karafkę z maderą i dwa kieliszki i wyszedł. Pierwszy odezwał się Harper.

- Gołębiczki - rzucił. - Mówiłem przecież.

## ***Rozdział 23***

W końcu to Justin pojechał do Twickenham, choć z wielką niechęcią, ponieważ obawiał się, że coś go ominie, ale przyrzekł, że wróci przed zapadnięciem zmierzchu. Miał poinformować ojca o morderstwach popełnionych w kwaterze Digby'ego oraz o rozwoju wypadków, a zwłaszcza o tym, że Rosamunda jest w Londynie. Richard ostatecznie zrezygnował z namawiania jej do powrotu do domu, ale był niewzruszony i za nic nie chciał się zgodzić, by brała z nimi udział w dochodzeniu. Pozwolił jej zostać, ale tylko jako obserwatorowi i zapowiedział, że przy najmniejszej oznace nadciągających kłopotów wyśle ją do domu.

Mogła wychodzić, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota, ale musiał jej towarzyszyć Harper i miała się go słuchać.

- Mówię poważnie, Rosamundo - oświadczył Richard. - Harper jest starym żołnierzem i potrafi wyczuć kłopoty na milę.

- Nie zamierzam przysparzać mu kłopotów - oznajmiła Rosamunda. - Mówiłam ci już, że umówiłam się dzisiaj z Callie. Poranek spędzimy na zakupach. To chyba bezpieczne zajęcie. Sądziłam, że już to uzgodniliśmy.

Richard nie przypominał sobie, żeby uzgadniali tę kwestię, ale przecież nie mógł zabronić żonie wychodzenia z domu tylko dlatego, że nękały go złe przecucia.

- Postuchaj - powiedziała. - Jeśli to ci poprawi nastrój, wyślę liścik i odwołam spotkanie.

Westchnął. Nie może przecież trzymać jej ciągle pod kluczem, a wyjście z Callie wyglądało na niewinną eskapadę.

- Uważaj na siebie - przestrzegł. - Nie mów nic, co mogłoby wskazywać na to, że wiesz, gdzie jestem. I pamiętaj, masz słuchać poleceń Harpera.

Niedługo po tej rozmowie on i Casper wyjechali do Chelsea, gdzie mieli nadzieję przepytac pannę Prudence Dryden i jej brata, pastora. Harper natomiast usiadł przy stole i rozłożył przed sobą całą kolekcję pistoletów, które postanowił sprawdzić i przeczyścić. Było jeszcze za wcześnie na spotkanie z Callie, więc Rosamunda zdecydowała, że trochę uprzątnie pokój. Natknęła się na szachownicę Caspara i od niechcienia zaczęła przestawiać pionki.

Gdyby potrafiły mówić, pomyślała, kto wie, co by powiedziały? Przesuwa się je tylko z kąta w kąt; biedaczyska nie bardzo pojmują, co się dzieje. Ona i te pionki mają ze sobą wiele wspólnego.

Kto wygrywa, Richard czy jego Nemezis?

W tej chwili poczuła przypływ determinacji. Nie jest pionkiem. Jest królową, a królowa nie siedzi beczynnie, kiedy król jest w niebezpieczeństwie. Znajduje szczelinę w obronie przeciwnika i rusza do ataku.

Może nie rozumie do końca jego strategii, ale trochę o nim wie, i od tego zacznie.

Myślała o pozornie niepowiązanych ze sobą faktach. Podniosła czarnego króla, próbując wyobrazić sobie poczynania Richarda w noc, gdy Lucy Rider została zamordowana. Potem przeniosła się w wyobraźni do Newgate. To wtedy pojawiła się na scenie, z czego teraz jest bardzo zadowolona, Nie potrafiłaby wyobrazić sobie już życia bez Richarda.

Tutaj się zatrzymała, zapatrzona w szachownicę.

Coś, co miało związek z Newgate, zawsze ją niepokoiło. Cóż to takiego? Całkowicie skoncentrowana, zaczęła przestawiać figury, odtwarzając scenę z sali odwiedzin.

„Uciekł więzień! Zamknijcie bramy!” - krzyczał strażnik.

Inni oddzielali gości od więźniów, których należało odprowadzić do cel.

Callie wstała i krzyknęła, że jeszcze nikomu nigdy nie udało się uciec z Newgate. Nikomu oprócz Richarda! Szedł prosto na nią, Rosamundę. Potknęła się o kosz z jedzeniem; rozległ się wystrzał i Richard upadł na nią.

Ponownie przyjrzała się całej sytuacji i wtedy pojęła, co ją tak niepokoiło. Zanim padł strzał, na sali panował spokój, a strażnicy stali do niej plecami, ponieważ oddzielali więźniów od gości. Panika wybuchła dopiero po wystrzale, tak więc nie oddał go któryś ze strażników pod wpływem paniki, jak do tej pory myślała.

- Harper - powiedziała.

Sierżant podniósł na nią wzrok.

- Słucham?

- Kto strzelił? Chodzi mi o dzień ucieczki z Newgate, kiedy znajdowaliśmy się jeszcze na sali odwiedzin.

- Przypuszczam, że jeden ze strażników. Spanikował i strzelił.

- Ale przecież nie było paniki. Panika wybuchła dopiero po wystrzale. A strażnicy stali odwróceny do nas plecami.

- Chyba ma pani rację, ale...

- Ale co?

Coś jej nie pasowało w ustawieniu figur na szachownicy. Kto w takim razie strzelił? Richard oskarżył ją o danie sygnału współnikowi, ale, oczywiście, nie było żadnego współnika. Przypomniała sobie coś jeszcze. Charles Tracey został od nich oddzielony. Znalazł się w rogu sali wraz z więźniami, z rękami w górze.

- No - zezłościł się Harper - powie mi pani w końcu, kto strzelał?

- Nie wiem - wyznała. - Ale się dowiem.

- Jak? - zapytał podejrzliwie.

- Pojedziemy do Newgate - poinformowała. - Zapytamy pana Proudie, może on wie.

Harper doszedł do wniosku, że postradał zmysły. Miał nadzieję, że już nigdy jego stopa nie przekroczy bram Newgate, a jednak znowu się tu znalazł, jak jakaś pozbawiona mózgu szmaciana kukła i czekał na korytarzu przed domem dozorczy, podczas gdy pan Proudie zabawiał lady Rosamundę w swoim salonie.

Nie był to prawdziwy dom, tylko mieszkanie wydzielone z części budynku więziennego, usytuowane w pobliżu głównego wejścia. Strzegło go dwóch strażników. Harper wiedział, że nie musi się obawiać ani Proudiego, ani strażników, nawet gdyby go rozpoznali. W końcu został oczyszczony z wszystkich zarzutów. Chodziło o samo Newgate. To miejsce źle na niego działało.

Starał się przemówić do rozumu lady Rosamundzie, ale czy chciała go słuchać? Gdzie tam. Ta kobieta nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Musieli się dowiedzieć, kto strzelał, choć nie miał „pojęcia, co im z tego przyjdzie.

Powinien był tupnąć nogą, ale w tym cały kłopot. Każda kobieta, kiedy tylko się postara, może owinąć go sobie wokół palca. Właśnie dlatego omijał je szerokim łukiem. Przyjaciele uważali, że nienawidzi kobiet, a w rzeczywistości było zupełnie odwrotnie. W ich rękach robił się miękki jak glina. Kobiety to tylko kłopoty!

Przyszła mu na myśl żona Hugh Templara.

- Otwórz drzwi, Harper - błagała i uczynił to bez większego zastanowienia, przez co obydwójce o mało nie zginęli. Następna to żona Jasona Radleya. Namówiła go słodkimi słówkami, żeby zabrał ją do Hampstead, i co znaleźli, kiedy tam dotarli? A teraz lady Rosamunda.

Nie miał pojęcia, co powie Richard, kiedy się dowie. Otworzyły się drzwi, w których pojawiła się Rosamunda, a za nią dozorca.

- Może być pan pewien, panie Proudie, że mój ojciec o tym usłyszy - powiedziała lady Rosamunda. - Zachował się pan bez zarzutu i tak mu powiem.

- A Jego Wysokość szepnie za mną słówko naczelnikowi?

- Może pan na to liczyć. - Zwróciła się do Harpera: - Idziemy, hm, James.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Harper długo wciągał w płuca świeże powietrze. Przed pobytem w Newgate nigdy nie zastanawiał się nad tym, czym

oddycha. Jednak teraz nawet nie najświeższe londyńskie powietrze wydawało mu się słodkie jak eter.

Szli w stronę czekającej na nich dorożki.

- Dlaczego tak długo? - zapytał.

- To przez Proudiego - wyjaśniła Rosamunda. - Biedaczysko boi się, że straci posadę przez tę waszą ucieczkę. Przyrzekłam, że wstawię się za nim u ojca.

- I zrobi pani to?

- Przecież mu przyrzekłam.

Harper uśmiechnął się. Właśnie to lubił u Rosamundy. Nigdy nie zapomniała o składanych przez siebie obietnicach.

Opowiedziała mu o tym, czego się dowiedziała, dopiero wtedy, gdy znaleźli się w dorożce, która miała ich zawieźć do domu pani Tracey.

- Proudie uważa, że strzelałeś albo ty, albo Richard. Oczywiście, nie mogłam mu powiedzieć, że się myli, ale zapytałam, dlaczego jest tego taki pewien. - Mówiła szybko, połykając słowa. - Wygląda na to, że zawsze, gdy w więzieniu dochodzi do strzelaniny, zostaje sporządzona urzędowa notatka. Okazało się, że nie strzelał żaden ze strażników; więźniowie nie mieli broni, a zresztą strażnicy ich otaczali, więc widzieliby, gdyby któryś z nich strzelał. Wiesz, co to oznacza?

- Cóż, nadażam za pani rozumowaniem. Ten strzał mogło oddać tylko pięć osób, a skoro wiemy, że nie był to pułkownik Maitland ani ja czy pani, zostaje pani przyjaciółka i Charles Tracey.

- Charles Tracey - powtórzyła Rosamunda z roziskrzonymi oczami.

- Tylko proszę nie wyciągać pochopnych wniosków. Rzeczy nie zawsze są takie, na jakie wyglądają.

- Jestem pewna, że to on.

- A dlaczego nie pani Tracey? - dopytywał się Harper. Nie bardzo wiedział, dokąd zaprowadzi ich ta dyskusja, i czuł się przez to niepewnie.

Rosamunda zacisnęła usta.

- Callie nie strzeliłaby do Richarda. Ona wierzyła w jego niewinność. Poza tym stałam między nią i Richardem, więc nie mogłaby go postrzelić, nawet gdyby chciała. Trafiałaby mnie. Ale Charles Tracey mógł to zrobić.

- W takim razie co się stało z jego pistoletem?

- Nie wiem, no ale przecież po wystrzale wybuchła panika. W zamieszaniu mógł schować go do kieszeni, prawda?

Harper potrząsnął głową.

- Po co miałby zadawać sobie tyle kłopotu? I dlaczego później nie przyznał się, że to on strzelał? Ogłoszono by go bohaterem. Wcale nie musiał kryć pistoletu.

- Myślałam o tym. - Z chęci przekonania Harpera Rosamunda położyła mu dłoń na ramieniu. - Może nie chciał, żeby zadawano mu jakiegokolwiek pytania. Może jest w jakiś sposób powiązany z Richardem. Nie, posłuchaj mnie, Harper. Coś mi nie pasuje w Charlesie. W zeszłym roku jego brat, James, zginął w dziwnym wypadku... takiego zwrotu użył lekarz: dziwny. James Tracey był umiarkowanym pijakiem, a rzekomo udusił się własnymi wymiocinami po wypiciu butelki brandy. Ciotka Fran uważa, że jego śmierć była bardziej niż dziwna; powiedziała, że uważa ją za podejrzaną, ale ponieważ była bardzo zdenerwowana, nie potraktowaliśmy poważnie tego, co mówiła. Zgadnij, komu dostało się najwięcej pieniędzy?

Harper jęknął.

- Charlesowi Traceyowi - wystękał, jakby ktoś wyciągał mu te słowa z gardła.

Rosamunda skinęła głową.

- Tak. Callie otrzymała swoją wdowią część, i to wszystko. Ale jest coś jeszcze. Charles kocha się w Callie. Och, wiem, że z tego nie byłoby nic dobrego. Nie mógłby ożenić się z żoną zmarłego brata, ale może pozbył się go, żeby mieć ją tylko dla siebie? Zresztą, to mu się nie udało. Zdaje się, że Callie go nie znosi.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z moim szefem? - zapytał z zastanowieniem Harper.

- Cóż, jeszcze nie wiem. Mam nadzieję, że Callie i ciotka Fran mi pomogą.

Harper był przerażony.

- Nie może pani tam pójść i ot tak insynuować, że Tracey jest mordercą.

- Przecież wiem! Będę dyskretna. Nic mnie zresztą nie interesuje śmierć Jamesa Traceya, chyba że miała jakiś związek z moim mężem. Może przed śmiercią James rozmawiał o czymś z Richardem. Może Charles bał się, że Richard

rozpocznie śledztwo. Naprawdę nie wiem, ale coś mi tu nie gra, Harper, czuję to. Jeśli Charles Tracey starał się zabić mojego męża w Newgate, musiał mieć ku temu powód.

Harper uznał, że czas tupnąć nogą. Z drugiej strony jednak żona szefa miała rację. Nie można przemilczeć faktu, że ktoś strzelał w Newgate. Jeśli nie był to któryś ze strażników, to kto inny, jak nie Charles Tracey? I dlaczego miałby to ukrywać?

- Będzie pani ostrożna? - zapytał.

- Przysięgam.

- Na pierwszą oznakę kłopotów...

- Zawołam cię. Ale nic się nie zdarzy, Harper. Jeśli Charles będzie w domu, niczego nie powiem. - Zacisnęła dłoń na jego ramieniu. - Jeśli ja tego nie zrobię, nikt tego nie zrobi. Richard nie może się pokazać u Callie. Może i mu się to nie spodoba, ale przecież od czego są przyjaciele.

Jej ostatnie słowa przekonały Harpera. Uznał, że rzecz nie w tym, iż kobiety potrafią owinać go sobie wokół palca, ale w tym, że czasami mówią całkiem sensownie.

Gabinet Petera Drydena prezentował się tak samo niedbale jak jego właściciel. Książki piętrzyły się nawet na podłodze, każde wolne miejsce zajmowały jakieś papierzyska. Peter zdawał się nie zwracać na to uwagi. Podobnie było z jego odzieżą. Kołnierzyk miał przekrzywiony, a surdut nierówno pozapinany. Ale wygląd zewnętrzny tego człowieka nie mówił prawdy o nim. Zdaniem Richarda, był to chodzący okaz uczciwości i dobroci. Kochał ludzi, mimo ich ułomności.

- Wyjechałem do Liverpoolu i zostałem kapelanem w jednym z tamtejszych

więzień - opowiadał Dryden. - Tak to bywa. Frank Stapleton przeprowadził się, ja się przeprowadziłem i straciliśmy ze sobą kontakt.

Czekali na powrót panny Dryden ze spaceru, na który wybrała się w towarzystwie żony Petera i jego trójki dzieci.

Richard, patrząc na pastora myślał, że ten łysy jegomość w okularach jest bardzo szczęśliwy. Nie ma bogactw, a jednak posiada wszystko, co w życiu najważniejsze.

Stojąc u drzwi państwa Drydenów, u których zjawiał się przecież bez zapowiedzenia, nie wiedział, jakiego przywitania się spodziewać. Mogli wezwać milicję lub wołać o pomoc. Niepotrzebnie się martwił. Prudence nie przesadzała. Brat nie zmienił przekonań. Lody zostały przełamane, gdy obaj przyznali, że przez te wszystkie lata tak się zmienili, iż nie rozpoznaliby się na ulicy. Obydwaj przytyli, a jasne włosy Richarda ściemniały, podczas gdy pastor swoje stracił całkowicie.

Richard nie widział powodu, by lawirować, więc powiedział wprost, że, jego zdaniem, istnieje powiązanie między wydarzeniem sprzed laty, do którego doszło w Cambridge, i zabójstwem Lucy Rider, Dryden zaś zrewanżował się udzielaniem jasnych i szczerych odpowiedzi.

- Jeszcze jeden kieliszek sherry? - zaproponował, wyrywając gościa z zamyślenia.

Richard odmówił, ale stojący pod oknem Caspar powiedział, że chętnie wypije.

Kiedy gospodarz usiadł, Richard zapytał:

- Nigdy nie pisałeś bezpośrednio do Franka Stapletona?

- Nie. Nie był moim przyjacielem tak jak George, ale zawsze byłem ciekaw, jak się wiedzie Frankowi. Zresztą dobrze mu się powodziło, dopóki nie zginął w tragicznym wypadku.

Popijając sherry, Richard zbierał w myślach wszystko, czego dowiedział się od Drydena. Frank Stapleton wyjechał z Anglii zaraz po zejściu w Cambridge. Zaopiekował się nim jego starszy kuzyn, George Withers, który prowadził intratny handel futrami w Kanadzie. Frankowi także dobrze się wiodło, ale głównie dlatego, że ożenił się z córką najbogatszego handlarza futrami w północnej Kanadzie. Potem doszło do tragicznego wypadku. Kuzyn Franka utonął i Frank odziedziczył sporą sumkę. Nie był to jedyny tragiczny wypadek w tej rodzinie. Jego ojciec



zginął w płonącym domu, tuż przed wyjazdem Franka do Kanady. Być może komuś wydało się to podejrzane i dlatego Frank Stapleton także spłonął w pożarze domu.

- Kto odziedziczył posiadłość Franka? - dociekał Richard.

- George, jak sądzę - odparł Dryden. - Nigdy mi tego nie mówił. Ale wiem, że nie było innych krewnych. Dlatego właśnie George uważał za swój obowiązek zaoferować Frankowi dom. Chodziło też o coś więcej. Frank zawsze sprawiał kłopoty, zawsze pakował się w tarapaty. George uważał, że ojciec Franka był zbyt surowy dla syna. Myślał, że w Kanadzie chłopak się zmieni.

- I co?

Pastor przez chwilę myślał.

- Cóż, nie ulega wątpliwości, że Frankowi wiodło się dobrze. George dużo o tym nie mówił, ale odnosiłem wrażenie, że Frank jednak go zawiódł. Nie powiem, że mnie to zaskoczyło. George należał do tego typu ludzi, których bardzo łatwo wykorzystać. Kiedyś nawet chciał zostać pastorem. Wtedy się poznaliśmy. Mój ojciec uczył go greki. Rodzina nie miała jednak pieniędzy, by wysłać go na uniwersytet, więc wyjechał do Kanady.

Richard skinął głową. Wszystko zaczynało się układać. George Withers był zbyt łatwowski, a jego kuzyn charakterem przypominał skorpiona. Może George zrobił się podejrzliwy, może zaczął zadawać niewygodne pytania. Tak czy inaczej z jakiegoś powodu Frank postanowił się go pozbyć i zająć jego miejsce. Wtedy dostałby mu się majątek George'a, no i spadek po nim.

- Kiedy ostatnio słyszałeś o swoim przyjacielu?

- Hm? Napisał do mnie po śmierci Franka. Wydawał się bardzo przybity. Pisał, że zostanie do pogrzebu, a potem przeniesie się gdzieś indziej, może do Georgii. Zimy w Kanadzie były dla niego za ciężkie. Od tamtego czasu minęło jakieś dziesięć lat.

Po chwili zadumy Dryden mówił dalej:

- To był ostatni list George'a, ale okazuje się, że on jest w Anglii, w Londynie. Dziwnym zbiegiem okoliczności Prudence spotkała go w domu pani Tracey jakieś trzy, cztery dni temu. Powiedział, że zjawił się w kraju z interesami, ale wkrótce wraca do Charles Town. Najdziwniejsze wydaje się to, że oświadczył, iż mnie nie zna. Myślę, że nie ma ochoty na kontynuowanie naszej znajomości. Być może w ostatnim liście napisałem coś, czym go obraziłem. Obawiam się, że

nie zawsze miło wypowiadałem się o Franku. Nie mogę tak tego zostawić. Spróbuję się z nim pogodzić, nawet gdyby miał mnie odrzucić.

- Czy lady Rosamunda też wtedy była u pani Tracey?

- Naturalnie. Inaczej Prudence nie znalazłaby się w tym domu. - Dryden uśmiechnął się oschle. - I był tam też ten człowiek, ten, któremu się wymknąłeś, major Digby.

Na dźwięk nazwiska Digby'ego Caspar odwrócił się od okna. Richard popatrzył na niego znacząco i zwrócił się do gospodarza.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedział. - Zeszłej nocy major Digby wraz ze swoim pomocnikiem i niezidentyfikowanym chłopcem zostali zamordowani. Zamordowano też Lucy Rider i strzelano do twojej siostry. Podejrzewam, że wszystkie te wydarzenia są związane z George'em Withersem.

Widząc pobladłe policzki Drydena, zdał sobie sprawę, że się pospieszył z tymi informacjami. Mając to na względzie, ciągnął:

- Przepraszam, że mówię tak bez ogródek, ale podejrzewam, że grozi wam niebezpieczeństwo. Postąpisz rozsądnie, rezygnując z pogodzenia się z Withersem. Powinieneś ukryć się wraz z rodziną na kilka dni. Nikomu nie mów, dokąd jedziesz, i wróć dopiero wtedy, kiedy przeczytasz w gazetach, że George Withers został aresztowany.

Dryden oniemiał. Mrugał energicznie, szukając słów.

- Chyba nie myślisz, że George zamordował tych wszystkich ludzi? Nie zrobiliby tego! Nie potrafiliby! Gdybyś go znał, wiedziałbyś, jak absurdalne jest twoje podejrzenie.

Richard wstał.

- Nie sądzę, żeby George Withers kogokolwiek zamordował. Myślę, że twój przyjaciel zginął dziesięć lat temu w pożarze, a Frank Stapleton skradł mu tożsamość i majątek. Uważam, że ten interes, z jakim zjawił się w Anglii, ma związek ze mną.

- To bardzo naciągnięta wersja, nie sądzisz, Richardzie? - wtrącił się Caspar. - Zgadzam się, że George Withers może być Frankiem Stapletonem, ale nie ma innego związku między nim a tobą oprócz Cambridge, a to przecież daleka przeszłość.

Richard nie znajdował w sobie cierpliwości na tłumaczenie tego, co, jego zdaniem, było tak oczywiste.

- Poczekam z osądem do chwili, aż porozmawiam z George'em Withersem.

Peter Dryden nie wydawał się przekonany.

- A co z jego ostatnim listem? - zapytał. - George został na pogrzebie. Przecież Frank nie mógł pojawić się na własnym pogrzebie. Wszyscy by go rozpoznali.

- Po prostu w liście skłamał - wyjaśnił Richard.

- Po co więc w ogóle do mnie pisał?

- Żebyś nie nabrał podejrzeń. Gdyby George zniknął bez śladu, zacząłbyś go szukać, prawda? Wtedy zainteresowałyby się nim milicja, a Frank tego nie chciał.

Dryden jeszcze nie był do końca przekonany.

- Ale... ale wrócić do Anglii jako George Withers... Czy nie bał się, że ktoś go rozpozna?

- A czy ty poznałeś mnie albo ja ciebie po tych siedemnastu latach? Poza tym sądzę, że Frank Stapleton zadbał o to, by nikt go nie rozpoznał. Tyle że istnieje wiele sposobów na rozpoznanie człowieka. Wspólne przeżycia. Wspomnienia. Długoletnia korespondencja. Ostatnią rzeczą, której Frank Stapleton pragnie, jest spotkanie z tobą. Dlatego właśnie jesteś dla niego niebezpieczny.

- Do diabła, co tu robi Rosamunda?! - zawołał nagle Caspar.

Richard pospiesznie podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Tylną bramą do ogrodu wchodziły dwie kobiety. Wraz z nimi szło troje dzieci. Całe towarzystwo głośno się zaśmiewało.

- To nie Rosamunda - powiedział. - Jedna z tych kobiet z daleka bardzo ją przypomina.

Taką samą pomyłkę można było popełnić w słabo oświetlonym ogrodzie w Twickenham.

- To panna Dryden - stwierdził Caspar.

W tej samej chwili Richarda przeszył dreszcz. Wszystko zaczynało być jasne. Już wkrótce spotka się z tym potworem, który przysporzył mu tylu cierpień. Przyglądając się zbliżającej się do domu Prudence, czuł rosnący niepokój. Panna

Dryden, podobnie jak Rosamunda, jest wysoka i ma ciemne włosy, a tamtej nocy, gdy ją postrzelono, miała na sobie szal, taki jaki ma teraz.

Peter Dryden zawołał siostrę do gabinetu. Zaczęła się witać z gośćmi, ale Richard, który się niecierpliwił, przerwał ten rytuał i zaczął zadawać pytania.

- Panno Dryden. Chciałbym, żeby przypomniła sobie pani wieczór, gdy panią postrzelono. Kto pierwszy pojawił się obok pani po wystrzale? Proszę się zastanowić, pomyśleć. Leży pani na ziemi. Księżę Michael pomaga pani się podnieść. Kogo pani widzi?

Prudence nerwowo popatrzyła najpierw na brata, potem na Richarda.

- Otaczało mnie sporo ludzi - odpowiedziała z wahaniem. - Pamiętam, że księżę kazał im się odsunąć.

Richard pytał dalej, starając się nie wystraszyć dziewczyny zbyt surowym tonem.

- Czy ktoś szczególnie zapadł pani w pamięć?

Skinęła głową i uśmiechnęła się smutnie.

- Pani Tracey, przyjaciółka lady Rosamundy. Myślała, że to Rosamunda, i wykrzyknęła jej imię, więc oczywiście wszyscy pomyśleli, że to ją postrzelono. Biedna kobieta. Naprawdę się przestraszyła. Potem podszedł do niej jej szwagier i odprowadził ją do domu.

- Dziękuję - rzekł Richard.

Gdy wyszli, Caspar zapytał:

- A teraz dokąd?

- Do domu pani Tracey przy Manchester Square.

Rosamunda doznała zawodu, bo okazało się, że Callie nie ma w domu. Za to był Charles, tak więc nie mogła zadać ciotce Fran tych wszystkich palących pytań.

- Och, kochanie! - zawołała ciotka na widok Rosamundy. - Callie nie pamiętała, czy miałyście się spotkać tutaj, czy u ciebie, pojechała więc do ciebie. Kazała ci to powiedzieć, jeśli się zjawisz.

- Że mamy się spotkać u mnie?

Na twarzy ciotki pojawił się wyraz zmieszania.

- Chyba tak.

- Zawiozę cię, jeśli chcesz - zaoferował się Charles. Widząc, że zrobił krok w jej stronę, Rosamunda szybko się cofnęła.

- Nie, nie, nie ma potrzeby - odparła. - Czeka na mnie dorożka.

Była zaniepokojona, że jednak za nią poszedł.

- Lady Rosamundo, proszę zaczekać.

Nie czekała. Wybiegła na klatkę schodową, ale złapał ją na półpiętrze, pochwyił za ramię i obrócił do siebie.

- Charles - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał naturalnie. - Co to ma znaczyć?

Natychmiast ją puścił.

- W Whitehall wszyscy o tym mówią - zaczął. - Major Digby i Whorsley zostali wczoraj zamordowani. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, jeśli, oczywiście, jeszcze nie wiesz.

Milczała, wpatrując się w niego i próbując go rozszyfrować. Zastanawiała się, ile ma lat. Jest w wieku Richarda, a może rok lub dwa młodszy. Ciekawe, na jaki uniwersytet uczęszczał.

Patrzył na nią, mrużąc oczy.

- Nie boisz się? - mówił niemal szeptem. - Ja bym się bał na twoim miejscu.

I nagle zaczęła się bać, straszliwie. Z cichym okrzykiem okręciła się na pięcie i uciekła do Harpera, szukając bezpieczeństwa.

## *Rozdział 24*

Opowiedziała Harperowi o rozmowie z Charlesem na schodach, ale stary wojak przyjął jej opowieść sceptycznie.

- Nie idzie za nami - powiedział, wyglądając przez małe okienko w tyle dorożki.

- Nie, ale wie, dokąd jedziemy.

Harper poklepał pistolet wetknięty za pas spodni.

- Kiedy się pojawi, zajmę się nim. Drugi mam w kieszeni. - Wyciągnął drugi pistolet. - Mogę go pani dać, jeśli pani chce.

Rosamunda skrzywiła się.

- Nie, jest taki duży. Chyba go nie udźwignę. I co powie pani Tracey, kiedy pojawię się przed nią z tym żelastwem?

- Przestraszy się?

- Padnie ze śmiechu! Poza tym po co ci dwa pistolety?

- W razie gdybym chybił i nie miał czasu na załadowanie. - Popatrzył z zastanowieniem na broń, którą zaferował Rosamundzie. - Przy najbliższej okazji sprezentuję pani jedno z tych francuskich cacuszek, które mieszczą się w damskiej torebce.

Rosamunda przyglądała się mu, gdy chował pistolet. Harper nie był przystojny, ale robił wrażenie mężczyzny, na którym można polegać. Trochę szorstki i niezwykle solidny. Nie do końca wierzył, że Charles Tracey im zagraża, a mimo to przygotował się na wszystko, nie chcąc ryzykować. Nie mogła życzyć sobie nic więcej.

Po dojechaniu pod dom zapłacili dorożkarzowi.

- Proszę iść, a ja poczekam przy bramie - zarządził Harper. - Jeśli Tracey się pojawi, zajmę się nim.

- Zaraz wracam.

Minęła bramę i znalazła się na podjeździe. Widok domu od razu poprawił jej nastrój. Wydawało się, że brzydota świata nie ma dostępu do tego skrawka nieba. Wyobraziła sobie dzieci bawiące się na trawniku i konie hasające po łące lub stojące w stajniach. Wraz z Richardem będzie chodzić na długie spacery do lasu graniczącego z tą posiadłością i bez ustanku dziękować Opatrzności za swoje szczęście.

Gdyby tylko...

Kiedy dotarła do domu, okazało się, że drzwi frontowe są otwarte. To ją zaskoczyło. Pomyślała, że dozorca zapomniał je zamknąć po wpuszczeniu Callie, co znaczy, że ciotka Fran się nie myliła i przyjaciółka czeka na nią w środku.

- Callie! - zawołała. - Callie!

Po chwili na szczycie schodów pokazała się przyjaciółka.

- Co tak długo? - zapytała. - Już straciłam nadzieję.

- Coś mnie zatrzymało. Gdzie zarządca? Zostawił otwarte drzwi.

- Chyba poszedł do stajni naprawić okiennicę lub coś w tym rodzaju. Jestem w różanym salonie. Wzięłam karafkę z sherry. Chyba nie masz mi tego za złe?

Pytanie było retoryczne. Callie zniknęła, więc Rosamunda poszła za nią, zastanawiając się przy okazji, czy dom spodoba się Richardowi. Jest solidny, bezpretensjonalny i trochę niemodny, tak samo jak on. Być może dlatego właśnie ta rezydencja jej się spodobała.

Callie stała przy oknie z wysokim kieliszkiem w ręku. Wyglądała zachwycająco w wiśniowej pelisie na tle pluszowych różowych zasłon. Światło padające z okna podkreślało jej delikatne rysy.

Odwróciła się z uśmiechem.

- Widzę, że jesteś sama. Nie byłam pewna, czy się na to zdobędziesz. Żadnej służby, braci, panny Dryden. Jestem pod wrażeniem.

- Panna Dryden jest u brata. Odpoczywa.

- Słyszałam. Tak jest zresztą lepiej. Tylko my dwie. Nalej sobie sherry. -

Callie skinęła w stronę karafki i kieliszków stojących na stoliku obok sofy.

Rosamunda jednak nie miała czasu na sherry. Przeszła prosto do rzeczy.

- Byłam dzisiaj w Newgate i rozmawiałam z dozorcą. Dowiedziałam się czegoś interesującego. - Odetchnęła. - Pamiętasz, że wtedy w więzieniu ktoś strzelał?

Callie upiła łyk.

- O tak, doskonale pamiętam.

- Dozorca powiedział, że nie strzelał żaden z jego ludzi ani też nikt z gości lub więźniów. Wiem, że Richard... Maitland - dodała Rosamunda trochę zbyt późno - też nie. Ani Harper. Czy rozumiesz, co to znaczy?

Callie westchnęła.

- Znaczy to, że strzelałam albo ja, albo Charles.

Rosamunda była zdumiona, że przyjaciółka tak szybko pojęła całą sytuację. Sądziła, że będzie musiała narysować jej plan sytuacyjny.

- Tak - rzekła. - I uważam, że to Charles chciał zabić Richarda Maitlanda.

Te słowa zostały przyjęte wybuchem śmiechu.

- Charles - powtórzyła Callie i znowu się roześmiała. - On nie umiałby zabić wściekłego psa, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Jest na to za głupi.

- W takim razie kto strzelał?

- A jak sądzisz?

Po dłuższej chwili milczenia Rosamunda potrząsnęła głową.

- Callie, nie ty. To nie ma sensu. Poza tym stałam między tobą i Maitlandem. Musiałabyś mnie trafić.

- Nie. Potknęłaś się o koszyk, dzięki czemu wspaniale wystawiłaś mi Maitlanda, a ja wykorzystałam szansę. Chybiłam, ale o włos.

Rosamunda straciła mowę. Gdy zaczęła się jąkać, Callie przerwała jej.

- Na tym właśnie polegał mój akt miłosierdzia. Poszłam do Newgate, by zabić Maitlanda lub dać mu okazję, by sam to zrobił.



Rosamunda opadła na krzesło.

- Ale dlaczego? - wydusiła.

Callie była wyraźnie rozbawiona.

- Gdybyś mnie uważnie słuchała, kiedy ci opowiadałam o rozprawie, wiedziałabyś dlaczego. Oglądałam go dzień po dniu. Nie mówiłam ci, że był wspaniały? Nie boi się śmierci. Jego pogarda dla oskarżycieli, dla prokuratury, dla samej rozprawy... cóż, można rzec, że zrobił na mnie ogromne wrażenie. Uznałam, że taki człowiek nie może umrzeć w tak przyziemny sposób. A więc wymyśliłam, jak mu pomóc wyjść z tej sytuacji. Chciałam zostawić mu swój pistolet. Widzisz, wierzyłam, że wybierze bohaterską śmierć, zamiast powieszenia. Ale los mi przeszkodził.

- Jaki pistolet? - dopytywała się Rosamunda.

- Ten, który ukryłam w mufce.

Callie odsunęła zasłonę i wskazała na swój kapelusz i białą mufkę z królika, leżące na parapecie. Tę samą mufkę miała ze sobą w czasie wizyty w Newgate.

Rosamunda wpatrywała się w nią, nie potrafiąc zaakceptować tego, co usłyszała. Callie wyzwałaby samego diabła dla samego dreszczyku - ileż to razy o tym myślała? - jednak ryzykowne bale maskowe i przejażdżki balonem to coś zupełnie innego niż zabicie człowieka z zimną krwią. Tego nie można zaakceptować.

- Nie mówisz tak, żeby kryć Charlesa?

Callie opróżniła kieliszek i przeszła do karafki, żeby nalać sobie następną porcję.

- Charles! - rzuciła z pogardą. - To tchórz. Wiedział, że chcę zostawić pistolet Maitlandowi. Powiedziałam mu, co zamierzam zrobić. Miał wtedy okazję, żeby zaimponować mi odwagą. A on co? Próbował mi przeszkodzić. Pamiętasz, jak nie chciał jechać do Newgate, jak jęczał, że są rozruchy? Jak już powiedziałam, to patetyczny słabeusz!

Wróciła do okna i opadła na parapet. Upiła sherry.

- Kiedy zobaczył, że chcę zabić Maitlanda, starał się znaleźć jak najdalej ode mnie. - Roześmiała się. - Chyba bał się, że go postrzele, jeśliby się wtrącił.

- Tak - mruknęła Rosamunda. - Sama się zastanawiałam, dlaczego Charles

tak się od nas odsunął.

Nie było sensu pytać, dlaczego Charles nic nie mówił o całym wydarzeniu. Kochał Callie i zrobiłby dla niej wszystko. Powinna być bardziej zaszokowana, niż była, ale pamiętała małą chatkę na wzgórzach, kiedy ona i Richard myśleli, że otoczyła ich milicja. „Chcę zginąć jak żołnierz, powiedział wtedy Richard. Pozwól mi umrzeć z godnością”.

Na samą myśl o tej chwili, kiedy sądziła, że straciła go na zawsze, łzy napłynęły jej do oczu.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że przyjaciółka jej się przygląda. Rosamunda jej uwierzyła - a jednak coś w Callie ją niepokoiło, coś, co się kryło tuż pod powierzchnią. Akt miłosierdzia. Czyżby?

Potrząsnęła głową.

- Ale Richard nie zostałby powieszony, prawda Callie? Próbował się uwolnić. Mówiłaś, że wierzysz w jego niewinność, więc dlaczego do niego strzelałaś? Chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że nie chciałaś, żeby uciekł. Musiał umrzeć - wypowiedziała te słowa automatycznie, tak jak przyszły jej na myśl.

Callie przechyliła głowę na bok.

- Nie doceniłam cię. Nie sądziłam, że do tego dojdiesz. I tak zamierzałam ci powiedzieć. Podśluchałam twoją rozmowę z panną Dryden, gdy rozmawiałyście w tym pokoju, wiedziałam więc, że i tak domyślisz się wszystkiego. Wrócisz do samego początku i od nowa rozpoczniesz śledztwo. Poza tym cały czas coś cię niepokoiło w związku z Newgate. Oczywiście miałaś rację. Nie obchodziło mnie, że Maitland wykpi się od szubienicy, ale nie mogłam pozwolić mu uciec. Wtedy już zawsze musiałabym oglądać się za siebie, sprawdzając, czy na mnie nie czyha.

Rosamunda wstała. Przez głowę przelatywało jej tysiące myśli, krew wrzała.

- Ty nie możesz być jego Nemesis!

- Nemesis? - Oczy Callie zamigotały. - Tak, trafiłaś na właściwe słowo. Tu chodzi o zemstę. Ale nie, nie ja jestem jego Nemesis. Na scenie pojawiłam się dopiero w ostatnim akcie. Nie mam nic przeciwko... Richardowi? Tak go teraz nazywasz? Jednak zaproponowano mi tak interesującą rolę, że nie mogłam jej

odrzuć.

Rosamunda chciała coś powiedzieć, ale język przywarł jej do podniebienia. Wpatrywała się w Callie i nagle wszystko stało się jasne. Jeśli ona nie była Nemesis, w takim razie pozostała jej do odegrania tylko jedna rola. I oczywiście była do niej stworzona: delikatnie zbudowana, drobna. Zawsze uwielbiała grać.

Nagle pamięć przywołała scenę z przeszłości. Nie miały wtedy więcej niż dwanaście, trzynaście lat. Było Boże Narodzenie i wszystkie dzieci przygotowywały jakiś występ na wieczór wigilijny. Rosamunda popisała się grą na pianinie, ale zebrała słabe oklaski. Callie natomiast odegrała scenkę z Kupca weneckiego, przebrana za chłopca. Widzowie byli zachwyceni, a Callie, oczywiście, tryumfowała.

Rosamunda zdała sobie sprawę, że teraz też patrzy na występ. Ona jest publicznością, którą Callie chciała zadziwić grą, i udało jej się to. Karmiła się aplauzem.

Callie stwierdziła, że to ostatni akt. Tylko jak się skończy ta sztuka?

Rosamundę ogarnął nagły strach. Callie nie mówiłaby tego wszystkiego tylko dla zabawy. Odwlekała moment tryumfu, który w końcu nadejdzie. I była na niego przygotowana... mufka leżała przecież w zasięgu ręki. Callie promieniowała pewnością siebie, prawie się nią upajała.

Rosamunda zrozumiała, że została tu zwabiona. Callie wiedziała, że Prudence wyjechała odpocząć do brata. Rosamunda za to już wcześniej przechwalała się, że skończyła z ochroną narzuconą przez ojca. Chciała przecież żyć jak zwyczajna dziewczyna!

Och, cóż z niej za idiotka! Wzięła ze sobą Harpera, ale został przed domem. Stoi na zewnątrz, oczekując pojawienia się Charlesa Traceya.

Gdzie jest Nemesis?

Na tę myśl kolana ugięły się pod nią. Wyprostowała się, starając się uspokoić. Nemesis musi gdzieś się tu czaić.

- Zbladłaś - zauważyła Callie. - Czyżbym cię zaszokowała?

To nie było odpowiednie słowo. Klatkę piersiową Rosamundy unosiło przerażenie. Nie panikuj, napominała się w duchu. Musiała się zastanowić, co może zrobić. Niech Callie gra dalej, a ona w tym czasie coś wymyśli.

Harper! Trzeba go zaalarmować.

Odezwała się w końcu, zdumiona, że potrafi wydobyć z siebie sensowne zdanie.

- To ty byłaś chłopcem, którego Richard widział w pokoju Lucy Rider?

- Zgadza się.

- Co cię do tego zmusiło? Czy ten mężczyzna ma nad tobą jakąś władzę? Czy zmusił cię do tego?

W oczach Callie pojawił się gniew.

- Nikt nie zmusi mnie do zrobienia czegoś, czego sama nie chcę. Jesteś taka konwencjonalna, że nigdy mnie nie zrozumiesz. Zabiłam Lucy Rider, bo mnie to bawiło.

Rosamunda przełknęła ślinę.

- Ale ten mężczyzna... on nie zabija dla zabawy. Chciał ukarać Richarda, prawda?

Callie zmrużyła oczy.

- Znowu Richard? Widzę, że naprawdę zrobił na tobie wrażenie. Ale co do Franka, to tylko w połowie masz rację. Owszem, chciał ukarać Maitlanda, ale to tylko jeden z motywów. Posiadając władzę nad czyimś życiem i śmiercią, zbliżasz się do nieśmiertelności. Frank to zrozumiał.

Rosamundę nagle olśniło.

- To ty zabiłaś swojego męża?

Callie znowu się zaśmiała.

- On był pierwszy. Nie rób takiej przerażonej miny. Upiłam go, a potem udusiłam poduszką. Nie cierpiał.

Przerażenie Rosamundy byłoby mniejsze, gdyby Callie mówiła jak obłąkana, którą zresztą była. Jednak ich rozmowa przypominała ploteczki lub pogaduszki na temat mody. Widząc, że Callie wstaje i wkłada dłoń do mufki, Rosamunda postanowiła szybko coś powiedzieć.

- To nie jesteś ty. Co ten człowiek ci zrobił?

Callie zachłysnęła się śmiechem.

- Nigdy tego nie zrozumiesz. Całe życie kierowałam się zasadami. My natomiast żyjemy na ostrzu noża. Ryzykujemy wszystko. Życie i śmierć nic dla nas nie znaczą. Już przy pierwszym spotkaniu swój rozpoznał swego. Powiedziałam mu, że zabiłam męża, a on mi pogratulował. Opowiedział, jak zabił żonę, a ja mu pogratulowałam. Wiedziałam, że spotkałam bratnią duszę.

- To ty zabiłaś Digby'ego i Whorsleya?

- Nie, Frank. Ja zabiłam chłopca.

- Ale dlaczego? Co on ci zrobił?

- Nic. Po prostu tak się złożyło, że tam był. Zdaje się, że przyszedł po zaległe pieniądze do swego pana. Tak mi powiedział, zanim poderżnęłam mu gardło. Cóż, rozumiesz chyba, że musiałam to zrobić. Widział nas.

Callie odrzuciła mufkę i wycelowała w Rosamundę zgrabny pistolecik, taki, jakich używają damy, a które łatwo ukryć w mufce lub torebce.

Dlaczego, dlaczego, użalała się w myślach Rosamunda, nie posłuchałam Harpera?

- Frank zastanawia się pewnie, co mnie zatrzymało - rzekła Callie. - To miało trochę potrwać. Jednak nie mogłam się oprzeć, żeby wszystkiego ci nie wyjaśnić, a teraz, gdy już nie ma nic więcej do powiedzenia, nadszedł czas.

- Jak możesz to robić?! - zawołała Rosamunda. - Wychowałyśmy się razem. Jesteśmy prawie jak siostry.

- Siostry! - Callie prychnęła. - Ja byłam tylko biedną krewną, ty oczkiem w głowie swojego ojca! Czy wiesz, co mówił mi mój ojciec? Że muszę okazywać szacunek i wdzięczność, bo inaczej księżę go wyrzuci i skończymy w przytułku dla ubogich. Tak więc musiałam się uśmiechać, przymilać i udawać, że cię lubię. Ale ja cię nie lubiłam. Nienawidzę cię i w końcu mogę to wyznać.

Callie nie wyglądała już przeuroczo. Arogancja nadała jej twarzy złowrogi wyraz. Rosamunda czuła, że na jej twarzy rysuje się zranienie i zdumienie. Później, powiedziała do siebie w duchu, później poużalasz się nad sobą, teraz myśl o tym, jak dać znać Harperowi. I gdzie, na Boga, jest zarządca domu?

Rozejrzała się szybko po pokoju, szukając jakiegoś pomysłu na ucieczkę lub czegoś, czym mogłaby się obronić. Na wyciągnięcie ramienia miała karafkę z

sherry, poza tym stała kilka kroków od drzwi, ale zapewne nie zdąży do nich dotrzeć.

Skuliła się, widząc, że Callie unosi pistolet.

- Skoro mam umrzeć, chcę wiedzieć, z jakiego powodu - zawołała Rosamunda.

Pistolet obniżył się.

- Bo zapowiedziałaś, że udowodnisz niewinność Maitlanda. Wiedziałam, że nie zrezygnujesz, i miałam rację. Zaczęłaś od Newgate, ale nie poprzestałaś na tym. Nawet gdy byłaś dzieckiem, nie można cię było odwieść od żadnego postanowienia, kiedy już zapadło. Wiedziałam, że muszę cię powstrzymać. Raz udało ci się mnie oszukać, ale drugi raz na to nie pozwolę.

- Ja ciebie oszukałam?

- Rosamundo - syknęła Callie lodowato. - Jeszcze na to nie wpadłaś? W noc balu. Pomyliłam się i wzięłam Prudence za ciebie. Strzelałam z ogrodu.

Rosamundy nie dziwiło już nic, co mówiła stojąca przed nią obłąkana kobieta. Skoncentrowała się na zbliżeniu się do stolika, na którym stała karafka.

- Nigdy nie ujdzie ci to na sucho - stwierdziła. - Ciotka Fran wie, że miałam się tu z tobą spotkać. Tak samo Charles, Harper i... zapewne zarządca.

Callie uśmiechnęła się.

- Fenton? O tak, ale on potwierdzi moją wersję. Powiedziałam mu, że nie będę na ciebie dłużej czekała. Widział, jak wychodziłam. Chwilę potem Frank uderzył go w głowę i zamknął w składziku z węglem. Wtedy wróciłam. Milicja dojdzie do wniosku, że do domu włamali się złodzieje, ty ich nakryłaś, a wtedy oni cię zabili.

Rosamunda patrzyła na nią, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

- Nikt nie widział ani Franka, ani mnie - ciągnęła Callie. - Dom leży na uboczu. Nie masz sąsiadów, którzy mogliby cię obserwować. Przecież cię przed tym przestrzegałam, prawda?

Rosamundzie zabrakło już pytań... oprócz jednego.

- Kim jest ten Frank? Dlaczego tak bardzo nienawidzi Richarda?

- To stara historia. Nie wiedziałabyś, o kogo chodzi, nawet gdybym podała ci

jego nazwisko. Zresztą chyba mogę ci je wyjawić, nic złego się nie stanie. To Frank Stapleton.

Rosamunda nie zdziwiła się. Już zaczynała to podejrzewać. Teraz czas na ucieczkę.

- Frank Stapleton! - Spojrzała w stronę drzwi prowadzących na mały taras. - Słyszał pan, panie oficerze? Lepiej niech się pan pokaże, nim kogoś pan postrzeli.

Callie zwróciła pistolet w stronę tarasu i to Rosamundzie wystarczyło. Porwała za karafkę i rzuciła nią z całej siły. Callie uchyliła się przed nadlatującym szkłem, nie puściła jednak pistoletu. Rosamunda w mgnieniu oka wypadła przez drzwi i stanęła jak wryta. Po schodach wspinał się mężczyzna z pistoletem w rękę. Był to George Withers.

„Frank pewnie się zastanawia, co mnie zatrzymało”.

Frank Stapleton. George Withers?

Wpadła w panikę. Okręciła się i umknęła korytarzem do tylnej klatki schodowej.

Za drzwiami przywarła do ściany. Słyszała, jak Callie woła do Franka, żeby poszedł frontowymi schodami, a ona pobiegnie za Rosamundą. Miała nadzieję, że pomyśla, iż ukryła się w kuchni. To da jej czas na skontaktowanie się z Harperem, co nie będzie łatwe, ponieważ teraz znajdowali się po dwóch różnych stronach domu.

Najbliższą kryjówką były stajnie, jednak, by się do nich dostać, musi zejść na dół, przejść obok domu, a potem przez murawę. Jeśli Stapleton wyjdzie przez frontowe drzwi, zobaczy ją. Nie miała jednak rady, musiała zaryzykować.

Gdy dotarła do trawnika, zrzuciła trzewiki i przebiegła jak strzała. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Posiadłość wydawała się o wiele większa, ogród nie był już taki mały. Ciągnął się w nieskończoność.

Kula, która przeleciała obok niej z prawej strony, świadczyła o tym, że Stapleton ją dostrzegł, a krzyk Callie, że ona też już za nią biegnie. Przed Callie może i zdoła uciec, ale raczej nie uda jej się umknąć przed Stapletonem. Gdyby tylko Harper pojawił się w bramie i zobaczył i ją! Nie mogła krzyczeć; nie mogła marnować sił.

Niemożliwe, że to się dzieje naprawdę, myślała. Słońce tak pięknie świeci, drzewa mieniają się kolorami. Otoczenie przypominało rajski ogród. A ją ściga

dwójka szaleńców.

Gdy dobiegła do stajni, zatrzymała się, by złapać oddech. Nie miała już sił biec dalej. Tu się wszystko skończy. Harper usłyszy strzał i przybiegnie, ale co jej z tego przyjdzie? Musiała coś zrobić, nawet jeśli nic to nie da.

Callie nie kłamała. Zarządca naprawdę naprawiał okiennice. Zostawił robotę w połowie. Rosamunda podniosła deskę, którą obrabiał, i odwróciła się, by przywitać Callie lub każdego, kto pojawi się na progu stajni.

Stała tam, wyczulona na wszystkie odgłosy, kroki na trawie, przyspieszony oddech, leniwe bzykanie pszczoły i oszalałe bicie własnego serca.

Nie spóźniła się. Trafiła Callie z całej siły prosto w pierś, i to tak, że powietrze z niej uciekło i padła na plecy, puszczając pistolet. Rosamunda odrzuciła deskę, próbowała sięgnąć po pistolet, ale natychmiast się cofnęła, bo zza rogu wyłonił się Stapleton.

Uśmiechnął się do niej. Naprawdę się uśmiechnął, jakby z nią flirtował, potem przełożył swoją broń do lewej ręki i podniósł pistolet Callie.

- To mi się podobało - rzucił i cmoknął.

Callie, która odzyskała przytomność, usiadła. Twarz wykrzywiła jej furia.

- Ty zdiro! - krzyknęła do Rosamundy, a potem zwróciła się do Stapletona:  
- Frank, oddaj mi pistolet.

- Oczywiście, moja droga.

W tym momencie Rosamunda uznała, że nie pozostaje jej nic innego, jak tylko zacząć krzyczeć. Otworzyła usta, ale zamiast jej głosu rozległ się huk wystrzału. Frank Stapleton przystawił pistolet do czoła Callie i strzelił.

Śmierć nastąpiła natychmiast. Twarz Callie zamarła w wyrazie zdumienia. Usta ułożyły się w „o”, a brwi wygięły się wysoko nad ciemnymi oczami. Na lewej skroni pokazała się mała dziura po kuli. Kiedy Stapleton wyprostował się, dziewczyna upadła na plecy, patrząc w niebo pozbawionymi życia oczami.

Rosamunda zasłoniła usta dłonią. Nie mogła się poruszyć, nie mogła się odezwać ani oderwać wzroku od zabitej.

Wstań, chciała krzyknąć. Koniec gry! To trwa stanowczo zbyt długo!

Ale to nie była gra. To była straszliwa rzeczywistość.



Podniosła oczy, bo Stapleton się poruszył. Bez pośpiechu odrzucił pistolet Callie na ziemię i przełożył swój do prawej, ręki.

Rosamunda nie mogła złapać tchu.

- Mówiła, że jesteście bratnimi duszami - wydyszała.

Wzruszył beznamiętnie ramionami.

- Pani Tracey nic dla mnie nie znaczyła. Podziwiałem chłopca, Sebastiona. Tak właśnie mi się przedstawił, kiedy poznaliśmy się na balu maskowym. Dopiero po wielu tygodniach wyznał mi swój sekret. Nigdy tak naprawdę nie potrafiłem myśleć o Sebastionie jako o pani Tracey.

Bezradnym gestem wskazała Callie.

- Ale dlaczego to? - spytała.

- Musiałem z tym skończyć. Zaczynał być nieostrożny. Niczego się już nie bał. Gdybym go nie zabił, on zabiłby mnie. Powoli tracił dla mnie szacunek. Proszę zamknąć oczy, lady Rosamundo. Przyrzekam, że nie będzie bolało.

Słyszac te uprzejme słowa, poczuła mdłości, jednak instynkt samozachowawczy nie pozwalał jej się poddać. Musi coś zrobić. Harper z pewnością usłyszał wystrzał. Jest już gdzieś blisko. Na pewno zaraz wejdzie.

Machnęła ręką.

- Na Boga, przynajmniej zamknij jej oczy - powiedziała. - Kochała cię. Uszanuj to.

Gdy się odwrócił i spojrzał obojętnie na Callie, Rosamunda wykorzystała szansę. Rzuciła się na niego. Kiedy upadali na ziemię, pistolet wymknął mu się z dłoni i potoczył po kocich łbach aż do kamiennej urny. Rosamunda gryzła, drapała, rwała garściami włosy, ale walka nie była wyrównana. Stapleton uderzył ją mocno w twarz i gdy dochodziła do siebie po ciosie, zdążył sięgnąć po broń.

W tym właśnie momencie na podwórzu pojawił się Harper z wyciągniętym pistoletem. Najpierw spojrzał na Rosamundę i to był jego błąd. Stapleton wystrzelił, a sierżant padł.

Oboje, Rosamunda i Stapleton, wpadli w tej sekundzie na ten sam pomysł, ale ona była bliżej i to ona pierwsza chwyciła pistolet Harpera. Strzeliłaby do Stapletona bez zawahania, ale ten umknął, zanim zdążyła go namierzyć.

Harper wstał z trudem; przyłożył rękę do ramienia.

- Cholera jasna! - stęknął. - Jak mogłem być taki głupi?

Rosamunda przełknęła łzy.

- Myślałam, że cię zabił.

- Nie ma takiej cholernej możliwości. Co to? - Skrzywił się, stając na nogi. - Chyba konie.

Rozległ się wystrzał i czyjeś okrzyki. Rosamunda wybiegła, Harper za nią.

- Proszę wracać! - wołał. - Proszę wracać! Ten łobuz mógł nabić pistolet! Pomyślała pani o tym? I nie powiedziała pani jeszcze, co się, do diabła, wydarzyło!

Nie musiała biec daleko, tylko do końca stajni. Trzej mężczyźni na koniach wpadli na podwórze i galopowali po trawniku w pościgu za Stapletonem, który dobiegał do lasu.

- To szef i pani brat - stwierdził Harper.

- I Charles Tracey.

Skończyło się po kilku minutach. Pierwszy dopadł Stapletona Richard. Zeskoczył z konia i poturlali się po ziemi. Caspar i Tracey dotarli do nich, ale nie zsiadli z koni. Richard przyciskał plecy Stapletona kolaniem, ramieniem przygniatał mu szyję, a drugą ręką odciągał głowę do tyłu.

- Szef nic mu nie zrobi - rzucił Harper, zerkając niespokojnie na Rosamundę.

- Mam nadzieję, że skręci mu kark! - rzuciła dziko.

Ale tak się nie stało. Richard podniósł Stapletona na nogi, powiedział coś do Caspara, który zsiadł z konia i wycelował w jeńca broń. Richard dosiadł konia i wraz z Traceyem podjechali do stajni.

- Nic wam się nie stało? - zapytał.

- To tylko zadraśnięcie - zapewnił Harper, trzymając się za ramię.

- Ja jestem cała - dodała Rosamunda. Ale wcale nie czuła się dobrze. Spoglądała na Charlesa Traceya, przygotowując się na to, co miało nastąpić. Przyszedł czas na spuszczenie kurtyny po ostatnim akcie, który jednak wcale nie przebiegł tak, jak spodziewała się Callie.

Tracey zsiadł z konia. Miał twarz poszarzałą od smutku.

- Gdzie ona jest? Gdzie jest Callie?

- Charles, przygotuj się na szok - ostrzegła go Rosamunda.

- Wiem, że nie żyje.

- Zaprowadź go do niej - zarządził cicho Richard. Rosamunda posłuchała. Kiedy Charles zobaczył Callie, nie odezwał się. Po prostu wziął ją w ramiona i rozpłakał się jak dziecko.

## *Rozdział 25*

Rosamunda siedziała w swojej sypialni w Twickenham i wyglądała przez okno wychodzące na podjazd. Od pojmania Franka Stapletona minął tydzień, najgorszy tydzień w jej życiu, nie z powodu Franka Stapletona, tylko dlatego, że Richard oddał się w ręce milicji i został aresztowany.

Mogło być gorzej. Mogli go wysłać do Newgate, ale wezwano Służby Specjalne i dzięki ich wpływom pozwolono Richardowi przeczekać śledztwo w wygodnej celi w więzieniu w Richmond, tylko pięć minut drogi od Twickenham. Tego dnia miał się spotkać z premierem w towarzystwie teścia i Caspara.

Rosamunda bardzo się martwiła, że prawda może nigdy nie wyjść na jaw. Frank Stapleton nie zaprzeczył, kim jest; nie mógł tego zrobić po jej zeznaniach i po zidentyfikowaniu przez Petera Drydena, jednak przyznał się tylko do zamordowania Callie. Wiedział, że zawiśnie, ale chciał pociągnąć za sobą Richarda.

Pan Massie, zastępca Richarda, powiedział jej, że Stapleton nie okazał żadnej skruchy. Stwierdził, że zabił panią Tracey, zaślepiony zazdrością, a wszyscy inni kłamią z nieznanym mu powodów.

- Wydaje mu się, że jest sprytny - powiedział Massie. - A nas ma za skończonych głupców. Jego arogancja nie ma granic.

Przypomniała sobie te słowa na pogrzebie Callie. Było to przygnębiające wydarzenie, w którym uczestniczyło tylko kilka osób. Nie umiała powiedzieć nic dobrego ani Charlesowi, ani ciotce Frań, bo czuła się w środku zupełnie zmrożona. Była też całkiem dezorientowana i nadal nie mogła pojąć, jak to możliwe, że ta Callie, którą tak dobrze znała, w ogóle nie istniała.

Dobrze, że przynajmniej żal Charlesa Traceya nie był udawany. On także musiał zeznawać, ale opowiedział tylko o Newgate i ataku na Prudence Dryden. Wyznał, że czuł od Callie zapach prochu, ale sądził, że to jeden z jej niesamowitych żartów.

Kiedy ją o to zapytał, potwierdziła jego przypuszczenia. Powiedziała, że spodziewając się, iż bal okaże się nudny, zabrała ze sobą pistolet, tak dla rozgrzania atmosfery. I śmiała się, ponieważ uwielbiała go szokować.

Jednak im dłużej Charles się nad tym zastanawiał, tym bardziej stawał się niespokojny. Kula drasnęła pannę Dryden, a przecież mogła ją zabić. I jeszcze coś go męczyło: zrozumiał, że Callie pomyliła Rosamundę z panną Dryden.

To właśnie chciał powiedzieć Rosamundzie przed jej spotkaniem z Callie. Zamierzał za nią pojechać i już przyprowadził konia, gdy pojawili się Richard i Caspar. Pojechali więc razem i zdążyli w samą porę, by pochwycić Stapletona.

Od tamtego dnia Rosamunda ani razu nie rozmawiała z mężem. Nie dlatego, że władze tego zabraniały, tylko dlatego, że taka była decyzja Richarda: zapowiedział, że stanie przed nią dopiero jako wolny człowiek i oficjalnie poprosi ją o rękę.

Nie zdejmowała obrączki nawet na chwilę, bo czuła się pewniej, mając ją na palcu. Richard zostanie oczyszczony i wróci do mnie, powtarzała sobie bez ustanku, jakby to była litania.

Z powodu ciągłego wcierania łez o mała nie przeoczyła przyjazdu pod dom powozu księcia. Otarła twarz, przekonała się, że się nie pomyliła, i rzuciła się do drzwi.

- Justinie! - zawołała piskliwie. - Wrócili!

Kiedy zbiegała po schodach, jej młodszy brat wyłonił się z biblioteki i dołączył do niej.

- Uspokój się, Ros - powiedział, choć jego głos także zdradzał podekscytowanie. - Wszystko będzie dobrze, przekonasz się.

Ręka w rękę zesli do wyłożonego marmurem holu, gdzie stał już w pogotowiu zarządca lokajów. Turner był tak samo niespokojny jak państwo. Chodził w tę i we w tę przed drzwiami wejściowymi, zerkając na przyczepiony do surduta zegarek za każdym razem, gdy robił zwrot.

- Teraz! - rzucił do portierów.

Ci otworzyli drzwi i zbiegli po schodach, w chwili gdy powóz księcia stawał przed domem.

Pierwszy pojawił się książę. Miał zagadkowy wzrost i twarz.

Rosamunda rozejrzała się uważnie, ale zobaczyła tylko Caspara, nikogo więcej.

- Ojczy! - zawołała. - Co się stało? Czy uniewinniono Richarda?

- Nie - zaprzeczył książę.

Serce jej stanęło, Justin uściśnął jej dłoń, próbując dodać otuchy.

- Nie uniewinniono, tylko całkowicie oczyszczono z zarzutów - dokończył książę, promieniejąc radością. - Oczywiście, musi to jeszcze zostać poddane urzędowym czynnościom, ale to tylko formalność. Tymczasem jest wolny. Turner, prosimy o szampana w bibliotece i dopilnuj, żeby wszyscy służący dostali piwo, a służące sherry.

W holu ukazał się Richard; przyszedł wraz z Casparem, za nimi wkroczył Harper.

Nie wiadomo skąd, pojawiła się cała służba. Przywitaniu Richarda z żoną towarzyszyły wiwaty. Wszyscy śmiali się i klaskali, i tylko Rosamunda szła w stronę Richarda, a po jej policzkach płynęły strumienie łez.

Ale nie była to pora na płacz, więc wkrótce ona także się śmiała. Służący, jeden za drugim, gratulowali Richardowi pomyślnego końca sprawy.

Ostatni do biblioteki wszedł Caspar. Zamknął drzwi i oparł się o nie.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałem - wyznał. - Nasza służba jest zazwyczaj taka powściągliwa.

- To wyjątkowe okoliczności - zauważył książę. - Nie co dzień członek

naszej rodziny ucieka przed strykiem.

Po tej uwadze łączy znowu napłynęły do oczu Rosamundy. Była coraz bardziej zniechęcona. Nie rozumiała, czemu cały tydzień dzielnie się trzymała, a teraz co krok zamienia się w fontannę.

Wszyscy usiedli.

- No i? Co się wydarzyło? - zapytał niecierpliwie Justin. - Nie trzymajcie nas w niepewności. Rosamunda i ja gryźliśmy palce, czekając na wasz powrót.

Odpowiedział mu śmiech zebranych.

- Richardzie, to twoje zadanie - zachęcił księżę.

Richard spojrzał na żonę.

- Co się wydarzyło? - powtórzył. - Służby Specjalne zebrały dostatecznie dużo dowodów, by przekonać ministra, iż zapadł niesprawiedliwy wyrok, który należy unieważnić. Massie, mój zastępca, wpadł na wspaniały pomysł, by przy ogłoszeniu tej wieści obecny był Stapleton. Chodziło o to, że brakowało dowodów na obciążenie go innymi morderstwami oprócz pozbawienia życia pani Tracey. Massie liczył na to, że sprowokuje Stapletona, i na szczęście, wcale się nie pomylił.

- Stapleton wybuchnął - wtrącił Caspar. - Nie można tego inaczej nazwać. Ekspłodował straszną nienawiścią i nie był to piękny widok.

- To prawda - zgodził się Richard.

Stapleton żywił do niego nienawiść nie tylko za zdarzenie w Cambridge, ale, jak się okazało, za wszystko. Richard stał się powodem każdego niepowodzenia i poniżenia, których, doświadczał tamten. Uważał, że zarówno matka, jak i ojciec oraz znajomi z Cambridge traktowali go okropnie, podobnie jak Richard Maitland, który zemścił się na nim okrutnie za coś, co było jedynie chłopięcym wybrykiem.

- Postanowiłem, że nigdy więcej - powiedział Stapleton, wycierając ślinę z ust. - Jeśli ktoś musi być ofiarą, to już nigdy więcej nie będę to ja!

Od tamtej pory każdy, kto miał mu coś do zarzucenia lub sprawiał, że czuł się gorszy, automatycznie stawał się jego wrogiem: żona, teść, Digby i wreszcie ktoś bardzo ważny - chłopiec, Sebastian.

Kiedy już zaczął mówić, nie mógł się zatrzymać. Dał prawdziwy wykład, jakby słuchali go nie dorośli, lecz małe, opóźnione w rozwoju dzieci. Stwierdził, że nigdy by go nie złapali, gdyby nie ten chłopiec. Sebastian stał się nieostrożny i

wymknął się spod kontroli. Ten akt miłosierdzia w Newgate to był jego pomysł, podobnie jak strzelanie do Prudence Dryden, kiedy sądził, że celuje do Rosamundy. Ale pozostało coś jeszcze. Pani Tracey miała ochotę na małżeństwo, a przecież ona nic dla Withersa nie znaczyła. Dlatego właśnie musiała umrzeć, a chłopiec wraz z nią.

Na koniec oświadczył, że gdyby milicja nie wiedziała, że pani Tracey i Sebastion to ta sama osoba, nic by mu nie udowodniła.

- Śpiewał jak z nut - opowiadał Richard. - Ale, moim zdaniem, te jego tłumaczenia to tylko wymysły. Przechwałki. Tak naprawdę Withers nie potrzebował żadnego powodu, by zabijać. Myślę, że zabijanie stało się dla niego sportem. Wątpię, aby rana, którą podobno zadałem mu w przeszłości, jątrzyła się przez siedemnaście lat. Myślę, że przyjechał do Anglii, żeby kupić konie, a kiedy usłyszał, że dobrze mi się powodzi, zapragnął się zabawić. Zamordowanie mnie było wyzwaniem, któremu nie mógł się oprzeć.

Rosamunda zadrżała, bo przypomniała sobie słowa Callie.

- A co z Lucy Rider? - zapytała cicho.

Richard tak mocno ścisnął dłoń żony, że omal jej nie zmiażdżył, ale Rosamunda nawet się nie skrzywiła. Widziała jego ból i chciała go z nim dzielić.

Ciężar dalszego opowiadania przejął na siebie Caspar, udając, że nie widzi przynębnienia szwagra, choć oczywiście wszyscy byli go świadomi.

- Zakochała się w Withersie, a on ją wykorzystał. Cóż, gdy poznała Stapletona, była młodą niewinną dziewczyną i pod jego wpływem się zmieniła. Nieszczęsna nie wiedziała, w co się pakuje.

- Ale jak on ją znalazł? - dopytywała się Rosamunda.

- Zaprzyjaźnił się z Digbym i wypytywał go o mnie - wyjaśnił Richard. - Wygląda na to, że major mi nie ufał i dlatego mnie śledził. Tak czy inaczej powiedział Withersowi, że jadam regularnie w George'u i Dragonie, więc tam właśnie się pojawił.

Richard zaczął ciężko oddychać, przypomniawszy sobie, jak Stapleton przechwalał się, że bez większego trudu zmusił agenta Digby'ego, by padł przed nim na kolana. Stapleton nie okazał cienia skruchy, cienia żalu również z powodu zamordowania Lucy Rider.

Richard odchrząknął.

- Jak powiedział Caspar, Lucy zakochała się w nim, a on ją wykorzystał. Wiedziała, że Stapleton, a raczej Withers, bo pod tym nazwiskiem go znała, chce mnie zdyskredytować, ale powiedział jej, że ma powód, bo podczas studiów zgwałciłem jego siostrę. Wierzyła we wszystko, co jej mówił, więc wypełniała sumiennie jego polecenia. Jego plan polegał na tym, by przekonać ludzi, że byłem zazdrosnym kochankiem, który chciał zamordować Lucy w ataku zazdrości. Miała zacząć krzyczeć, kiedy tylko pojawię się w pokoju, a Stapleton, ukryty za drzwiami, miał mnie uderzyć w głowę mosiężnym świecznikiem. Potem chcieli wezwać milicję i oskarżyć mnie o usiłowanie morderstwa. Byłby to koniec mojej kariery w Służbach Specjalnych. Lucy sądziła, że to właśnie będzie moja kara.

- Ależ to niesamowite! - wykrzyknął Justin. - Nikt nie jest aż tak naiwny!

- Patrzcie państwo, odezwał się ktoś, kto nigdy nie był zakochany - zachnął się książę.

- Biedna Lucy. - Rosamunda zadrżała.

Richard znowu uściśnął jej dłoń. Nie mógł powiedzieć jej wszystkiego.

Otóż Lucy tak bardzo ufała Stapletonowi, że zrzuciła z siebie ubranie i położyła się do łóżka, choć w pokoju był też chłopiec. Stapleton przekonał ją, że dwaj świadkowie będą bardziej przekonujący niż jeden. Potem przyglądał się, jak chłopiec podrzyna jej gardło. Następnie chłopiec spokojnie zdjął płaszcz ubrudzony krwią Lucy, wrócił do swojego pokoju i włożył drugi. Po chwili stał na szczycie schodów, czekając na Richarda.

Tylko że to nie był chłopiec. To była Callie Tracey, najlepsza przyjaciółka Rosamundy, która razem z nią dorastała. To właśnie w całej tej sprawie najbardziej Richarda mierziło. Człowiek nie staje się zbrodniarzem z dnia na dzień, to musiało narastać latami.

Patrząc na żonę, dziękował Bogu, że obłąkanie Callie nie udzieliło się Rosamundzie. Jego pięknej, ukochanej Rosamundzie.

- Przypuszczam, że Stapleton powiedział jej, iż ożeni się z nią i że będzie żyła w dostatku, o jakim nawet nie śniła - rzekła Rosamunda.

- Coś w tym rodzaju.

- Czy dowiedziałeś się, skąd Digby wiedział, że powinien szukać cię w Dunsmoor? - zapytał po chwili ciszy Caspar.

- Tak - odparł Richard. - To przez moją nieostrożność. Przez moją głupotę.



Przez czysty sentyment. W moim gabinecie wisi obrazek przedstawiający Dunsmoor.

- To nie to - sprostował Caspar. - Stapleton od razu zauważył, że ten obraz jest mierny w porównaniu z resztą obrazów, które mogłyby wisieć w królewskiej akademii. Właśnie dlatego się nim zainteresował. Nazwa domu widniała na portyku. Dunsmoor. To pobudziło pamięć Stapletona. Jest naprawdę całkiem inteligentny. Przeanalizował, w których miejscach widziano Richarda po ucieczce z więzienia, i doszedł do wniosku, że zmierza właśnie do Dunsmoor.

- Udało mu się zgadnąć, nic więcej - mruknął z irytacją Richard.

- Kto namalował ten obrazek? - zapytał niewinnie Justin.

- Oczywiście Richard - wyjawiał Caspar i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

W tej chwili w drzwiach stanął Turner z dwoma pomocnikami i z szampanem.

- W piwnicy są jeszcze dwie butelki, Wasza Wysokość - poinformował służący. - Proszę zadzwonić, gdyby były potrzebne.

Po jego wyjściu książę wstał. Oczywiście reszta natychmiast także się podniosła.

- Siadajcie! - krzyknął książę. - Mojemu zięciowi nie spodoba się wasze zachowanie. To nie jest państwowa uroczystość i nie musimy być tacy oficjalni.

Wszyscy usiedli. Casparowi i Justinowi udało się nie wymienić znaczących uśmiezków.

Książę uniósł kieliszek, po czym jego wzrok padł na Harpera, siedzącego nieco z boku.

- Sierżancie, czy zaszczyli nas pan wygłoszeniem toastu?

Harper niechętnie wstał.

- Nie potrafię tego robić - rzekł. - Jestem prostym człowiekiem, Wasza Wysokość. Nie umiem tak pięknie przemawiać jak wy, panowie.

- I właśnie dlatego to ty powinieneś wygłosić toast - odparł książę.

- Cóż - zaczął sierżant - żona numer trzy lubiła...

- Harper - warknął Richard ostrzegawczo.

Harper więc wrócił pamięcią do swojej matki i do tego, czego go nauczyła. Uniósł kieliszek.

- Życzę dobrej walki! - powiedział po prostu.

Księżę rozpromienił się. Wszyscy wstali.

- Dobrej walki! - zawtórowali.

Kilka godzin potem Richard i Rosamunda odeszli do swojej sypialni. Zrobiliby to wcześniej, ale służba rozpakowywała bagaże i paczki przywiezione z mieszkania Richarda przy Jeremy Street i z gospody Black Friar. Teraz już wszystko było poukładane i wreszcie zostali sami.

- Mam zawołać pokojówkę, żeby pomogła ci się rozebrać? - zapytał.

Rosamunda roześmiała się. Wypiła sporo szampana, który uderzył jej do głowy, więc była w wyśmienitym nastroju.

- Podobno mężczyźni są mało spostrzegawczy. Ostatnio noszę tylko takie suknie, które mogę sama włożyć i zdjąć. Callie mówi... - zamilkła.

Richarda spoważniał. Nie wiedział, co powinien teraz powiedzieć lub zrobić, więc tylko przysiadł na brzegu łóżka i rzekł ciepło:

- Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki.

Rosamunda spojrzała na niego.

- A mnie nie. Och, oczywiście, przykro mi, że okazała się złym człowiekiem, ale to, co zrobiła, było straszne. Na dodatek robiła to bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

- Podobnie jak Stapleton.

- Nazwała go bratnią duszą - rzuciła Rosamunda i zadrżała. - Moim zdaniem, Callie potrafiła czuć tylko pogardę. Zniszczyła szczęśliwe wspomnienia, jakie miałam z czasów naszego dzieciństwa. Zawsze mnie nienawidziła, ale najgorsze jest to, że za to, kim się stała, obwiniła mnie i moją rodzinę.

Richard poklepał łóżko obok siebie, więc podeszła i usiadła obok.

- Kiedy ludzie robią coś złego, próbują jakoś się usprawiedliwić i zawsze zrzucają winę na kogoś innego - wyjaśnił. - Widzą tylko to, co chcą widzieć. Uwierz mi, że Callie i Stapleton sami wybrali swoją drogę. Nikt nie zmusił ich, by robili to, co robili, i byli tacy, jacy byli.

- Och, wiem! Żał mi tylko czegoś, co w rzeczywistości nigdy nie istniało. Przejdzie mi. - Dotknęła jego twarzy. - Dzięki Bogu, że na świecie istnieją też tacy ludzie jak ty, którzy poświęcają życie, by zdemaskować osobników takich jak Callie i Stapleton.

Na to właśnie zdanie czekał Richard. Podniósł jej dłonie i zaczął całować je po kolei.

- Chcę z tobą na ten temat porozmawiać - rzekł. - Myślę, że przyszedł czas na zmianę.

- Zmianę? - zapytała ostrożnie.

Skinął głową.

- Teraz, gdy jestem już żonaty, muszę się trochę ustatkować. Dunsmoor przynosi mi godziwy dochód, ale sądzę, że będzie nam się wiodło jeszcze lepiej, jeśli tam zamieszkamy. Można sporo zarobić na hodowli owiec i koni. Dużo się nad tym zastanawiałem i uznałem, że choć nie wiem zbyt wiele na temat hodowli, to mogę się przecież nauczyć. Myślę, że bylibyśmy tam bardzo szczęśliwi, jak sądzisz?

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Ty, farmerem? Wiejskim szlachcicem? - Roześmiała się. - O tak, już to widzę.

Puścił jej rękę.

- Nie zgodzę się żyć z twojego posagu niczym pasożyt - oświadczył.

- W takim razie nie będziemy żyli z moich pieniędzy. Sam powiedziałeś, że Dunsmoor daje ci spory dochód. Mogę żyć tak prosto jak ty, Richardzie. Nie

pozwolę, żebyś poświęcił siebie, aby zapewnić mi luksusową egzystencję.

- Twojemu ojcu bardzo by się to podobało: zięć uganiający się za mordercami i innymi antychrystami. Kiedy się z tobą żeniłem, wiedziałem, że to się musi zmienić. Twoja rodzina tego oczekuje.

- A więc to tak! - Wstała i zaczęła się przechadzać. - Sądziłam, że nie przejmujesz się tymi głupimi przesadami. Nie chodzi ci o moje pieniądze, tylko o zachowanie pozorów. - Oparła ręce na biodrach i patrzyła na niego ze złością. - Zawiodłam się na tobie, Richardzie. Po pierwsze, że obraziłeś moją rodzinę. Ich nie interesuje, w jaki sposób zarabiasz na życie. W gruncie rzeczy mój ojciec jest z ciebie dumny. Ale nawet gdyby cała moja rodzina była taka pompatyczna, jak ty jąrysujesz, nie byłoby powodu się przed nimi płaszczyć. Myślałam, że jesteś wojownikiem.

Rozbawiła go tą tyradą. Kiedy zamilkła, by nabrać powietrza, rzucił:

- A po drugie?

Zgubiła się.

- Co?

- Wyliczałaś moje winy.

Wypuściła powietrze.

- Po drugie, jako żona chciałabym, żebyś się ze mną konsultował w takich sprawach. Jeśli sądzisz, że pogrzebiesz mnie na wsi, a sam wdasz się w przygody, to grubo się mylisz. Nie, nie przerywaj mi. Tak właśnie się stanie. Już to widzę. Zapewne wkrótce zostaniesz wezwany do jakiegoś ważnego dochodzenia, potem do następnego i do następnego, i zanim się obejrzymy, będziesz cały czas przebywał w mieście, a ja w Dunsmoor.

Teraz śmiał się już jawnie.

- Chodź tu - powiedział, wyciągając do niej ramiona. Gdy usiadła obok niego na łóżku, rzekł: - W porządku, konsultuję się z tobą. Czego ty byś chciała?

Odpowiedziała mu z powagą.

- Chcę, żebyś nadal pracował w Służbach Specjalnych. Wiem, że premier znowu zaoferował ci twoją posadę. Caspar mi to powiedział. Richardzie, to nie jest zwykła praca, to twoje powołanie. Gdyby nie było ludzi takich jak ty, różne Callie i różni Stapletonowie czyniliby zło bezkarnie. Nie możemy na to pozwolić.

- Są inni agenci. Nie jestem niezastąpiony.

- Może i nie, ale to właśnie chcesz robić, a jeśli cokolwiek nauczyłam się przez ostatnie tygodnie, to tego, że powinniśmy robić to, co jest dobre dla nas, a nie to, co według innych powinniśmy robić. Całe życie byłam córką księcia. Nie chcę nią już być, mam dosyć tej roli. Więc jeśli o to chodzi, jeśli porzucasz pracę dla mnie, lepiej się zastanów.

Posłał jej ciepły uśmiech.

- Przypuśćmy, że wrócę do pracy dla rządu. A co z tobą? Gdzie ty będziesz?

- W Woodlands. To idealne miejsce na wychowywanie dzieci i może hodowlę kilku koni, a ty każdego wieczoru będziesz do mnie wracał. Co do tego, czym się będę zajmowała - oczy jej zalśniły - cóż, razem będziemy rozpracowywali twoje dochodzenia. Nie zaprzeczysz chyba, że mam talent do rozwiązywania zagadek kryminalnych.

Z uśmiechem przesunął ręką po jej włosach.

- Gdybyś była mężczyzną, mianowałbym cię swoim zastępcą.

- Gdybym była mężczyzną, zgłosiłabym się na posadę samego szefa.

Wybuchnął śmiechem i pchnął ją na łóżko. Po długim pocałunku nagle przyszła mu do głowy pewna myśl, więc powiedział:

- Sądzisz, że będziesz się dobrze czuła w Woodlands po tym, co się tam wydarzyło z Callie i Stapletonem?

- A co się wydarzyło? Cudem zachowałam życie, Harper i dozorca są zdrowi, ty pomściłeś śmierć Lucy Rider i w końcu udało ci się oczyścić nazwisko. Para pozbawionych sumienia, okrutnych zabójców dostała to, na co zasłużyła. Gdybym była przesądna, powiedziałabym, że Woodlands przynosi szczęście i nam, i tym, których kochamy.

Wstała, rozejrzała się, szukając torebki, po czym wróciła do łóżka z odrapanym pionkiem, który dostała od Richarda na urodziny.

- A może zawdzięczamy nasze szczęście temu? Miałam go przy sobie przez cały czas.

- Ty jesteś moim szczęściem - powiedział z przejęciem. - Gdyby nie to, że poszłaś do Newgate, Bóg wie, jak by to wszystko się dla mnie skończyło.

- Tak samo dla mnie. - Uśmiechnęła się. - Będziemy mieli co opowiadać wnukom.

Pocałował ją delikatnie.

- Prześcignęłaś mnie. Ja myślałem o dzieciach. Od nich powinniśmy zacząć.

Zadrżała, kiedy położył dłoń na jej piersi.

- Zawsze podziwiałam twoją inteligencję. - Przyciągnęła jego głowę, tak że ich usta się spotkały.

Obudziła się z krzykiem. Po twarzy spływały jej łzy. Richard także się obudził i wziął ją w ramiona.

- Szaaa - uspokajał. - To tylko sen.

- To była Callie! - zawołała i przywarła do niego.

- Już nie może cię skrzywdzić.

- Nie. Nic nie rozumiesz. Pływałyśmy w morzu. Byłyśmy daleko od brzegu. Ja chciałam wracać, ale ona chciała płynąć dalej. Krzyczałam do niej, żeby ze mną wracała, ale mnie nie słuchała. Śmiała się i płynęła dalej. Potem, nie wiem skąd, pojawiła się wielka fala i wszystko się skończyło.

Ramiona jej drżały, łkała.

- Wołałam ją i wołałam, ale Callie nigdzie nie było. Nigdy nie wróci! Nigdy nie wróci!

Nakrył ją kołdrą i objął, szepcząc słowa, którymi uspokaja się małe dzieci. W końcu zasnęła.

Kilka dni później byli spakowani i gotowi do przeprowadzki do Woodlands.

W ich sypialni piętrzyły się kufry. Podczas gdy Rosamunda kończyła się ubierać, Richard przeglądał listy, które nadeszły od znajomych i przyjaciół.

- Ten jest od Hugh - poinformował. - Razem z Abbie przyjeżdżają w przyszłym tygodniu do miasta i chcą wydać przyjęcie na naszą cześć. A ten od Jasona Radleya. Wspominałem ci o nim i o jego żonie, Gwyneth, prawda? Wrócili z podróży poślubnej. - Roześmiał się. - Jestem zdumiony, że ten list nie parzy mnie w palce. Jason napisał w nim kilka ciepłych słów do przyjaciela, który nie zawiadamia o swoich kłopotach. Oni także chcą wydać przyjęcie na naszą cześć.

Rosamunda rozglądała się, szukając rękawiczek. Nie mogąc ich jednak znaleźć, podeszła do kufra, uklękła przy nim i otworzyła zamek.

- Zdaje się, że twoi przyjaciele to rozsądni ludzie - powiedziała. - Przyjaciele powinni powiadamiać przyjaciół o swoich kłopotach.

- A to jest list od mojego ojca. - Przez chwilę czytał, a potem rzekł: - Chcę wiedzieć, dlaczego przez cały miesiąc się do niego nie odezwałem. Najwyraźniej nie dostał ode mnie listu, w którym napisałem mu o rozprawie i o tym, że w końcu jestem wolny i że się ożeniłem. - Zamilkł, widząc, co Rosamunda wyjęła ze skrzyni.

- Na Boga, jak to się tu dostało? - zapytała.

Trzymała różowy damski pantofelek, wysadzany kolorowymi kamyczkami. W kilku miejscach, gdzie kamyki odpadły, miał brzydkie dziury. Obcas był złamany, a na skórze widniały plamy po wodzie.

- Kiedy ostatnio widziałam ten but - powiedziała, obracając go w dłoni - znajdowałam się w domku w Chelsea, a ty dałeś mi do przebrania ubranie Harpera.

Spojrzała na Richarda. Patrzył na but tak, jakby go nienawidził. Nagle zerwał się i wyrwał jej go z rąk.

- Kobiety nie zaznają spokoju, dopóki nie wyciągną z mężczyzny wszystkich jego tajemnic. - Wrzucił but do kufra i zamknął wieko. - To mój kufer - burknął. - Nie twój.

Rosamunda przyglądała mu się ze zdumieniem.

- Richardzie, ten but jest zniszczony. Nie da się go naprawić, a nawet gdyby się dało, to nie mam drugiego. Nie pamiętasz, że zgubiłam go w czasie zamieszek? Oddaj mi go, to go wyrzucę.

- O nie, nie zrobisz tego!

Opuściła dłoń.

- Ale dlaczego? Jest bezwartościowy. Nie myślisz chyba, że te kamienie są prawdziwe? To szkło. No, oddaj go.

- Nie oddam!

Powoli zaczynała rozumieć.

- Richardzie, chyba nie trzymasz tego zniszczonego buta z sentymentu, co?

Zaplótnął ręce na piersi.

- A jeśli tak?

Przez chwilę się zastanawiała, a potem potrząsnęła głową.

- To znaczy, że masz go od dnia, w którym mnie porwał. Przecież wtedy mnie nienawidziłeś. Kpiłeś ze mnie, terroryzowałeś.

Roześmiał się drwiąco.

- Można kogoś terroryzować na różne sposoby.

Wstała.

- Nie zostawię go tutaj - oświadczyła. - Chcę wiedzieć, dlaczego go zatrzymałeś.

Popatrzył na nią gniewnie.

- Jeśli będziesz się śmiała, zbiję cię.

- Przysięgam, że nie będę. - Zaciśnęła usta, ale w oczach tańczyły jej wesołe błyski.

Richard wypuścił powietrze.

- Nie wiesz, jak się czułem, gdy kilka godzin po porwaniu cię myślałem tylko o tobie i o tym, że pożądam twego pięknego ciała. Jak jakiś młodziak. Gardziłem sobą za to, a pod koniec dnia podziwiałem cię tak, jak jeszcze nigdy nie podziwiałem żadnej kobiety. I było coraz gorzej. Zakochiwałem się w tobie, choć oczywiście nie rozpoznawałem oznak. Jak miałem to zrobić? Nigdy wcześniej nie byłem zakochany. Wiedziałem tylko, że źródłem mojego zirygowania jesteś ty. „Doskonała księżniczka”, jak o tobie pisały gazety. Wiedziałem, że wyjdiesz za



kogoś takiego jak księżę Michael i że nigdy nie będę cię miał. Uczucie do ciebie paraliżowało mnie.

Zrobiła krok w jego stronę, potem następny i nagle znalazła się w jego ramionach. Twarz promieniała jej radością.

- Richardzie, czy mówisz mi w ten sposób, że mnie kochasz?

- A ty o tym nie wiesz? To nie jest oczywiste? Cały świat o tym wie: twój ojciec, bracia, Harper, służba.

- Oczywiście, że wiem! Ale myślałam, że ty tego nie wiesz.

Zaśmiał się i jęknął zarazem, potrząsając nią.

- Kocham cię - powiedział. - Inaczej po co trzymałbym ten but? Gdybyś tylko wiedziała, ile razy chciałem go wyrzucić. I nie mogłem. Był dla mnie symbolem czegoś pięknego i odważnego, co wraz z tobą pojawiło się w moim życiu.

- Ależ ten but nie jest piękny. Jest zniszczony. Nie mogłeś zachować sobie mojej chusteczki albo czegoś innego, ładniejszego?

- Nie chciałem niczego, co jest doskonałe. Pragnąłem tego buta, za to, co symbolizował. Czy ty jesteś doskonała? A ja?

- Nie - przyznała ciepło. - Nie jesteśmy doskonali, za to doskonale do siebie pasujemy.